

ZDOBYĆ

TO

CO

TAK

ULOTNE

BEATRICE COLIN

W
ydawnictwo
ab

Beatrice Colin

ZDOBYĆ TO, CO TAK ULOTNE

przełożyła Dorota Konowrocka-Sawa



Tytuł oryginału: *To Capture What We Cannot Keep*

Copyright © 2016 by Beatrice Colin. All rights reserved

Published by arrangement with Flatiron Books. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Dorota Konowrocka-Sawa,
MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Motto

I. Luty 1886123456789

II. Czerwiec 1887101112131415161718192021222324252627282930.
Wrzesień 188831323334353637383940414243. Luty 18894445464748

EpilogEdynburg, 1890Afryka Zachodnia, 1891

Dla Paula, z miłością

Podpory, zanim spotkają się na tak imponującej wysokości, wydają się wytryskać z ziemi, kształtowane jakby działaniem samego wiatru.

– Gustaw Eiffel, 1885

I
Luty 1886

Śnieg przyprószył piasek na Polu Marsowym. Wielki, wypełniony ogrzany powietrzem balon w niebiesko-białe paski kołysał się na linach przed Szkołą Wojskową, gondolę przywiązano do niewielkiej drewnianej platformy opasanej niechlujnym żółtym transparentem. Trzy postaci, dwie kobiety i mężczyzna, zbliżały się od strony wynajętej dwukonki stojącej przy alei de Suffren, idąc spieszenie przez plac w kierunku balonu.

– *Attendez!* – zawołała Caitriona Wallace. – *Nous arrivons!*

Gdy zatrzymała się na stopniach, by poczekać na pozostałą dwójkę, pociemniało jej nagle w oczach, a w polu widzenia zamigotały okruchy światła. Tego ranka ciasno zasznurowała gorset, ściągając tak mocno, aż dziurki prawie się zetknęły; teraz jej pierś unosiła się i opadała, a Cait płytkimi haustami próbowała złapać oddech – wdech, wydech, wdech i wydech.

– Zdążyliśmy – powiedział Jamie Arrol, kiedy się z nią zrównał. – Niewiele brakowało.

– Proszę, wasze bilety – przerwała mu. – Wsiadaj do gondoli. Twoja siostra już idzie.

W wiklinowym koszu czekało dwadzieścia zniecierpliwionych osób, mężczyźni w cylindrach z bobrzej skóry i kobiety – tylko dwie – w podbitych futrem płaszczach podróżnych. Balonowa atrakcja nie przyciągnęła kompletu uczestników, nie w ten lodowaty zimowy poranek, gdy niebo było tak ołowiane, jakby w każdej chwili mogło spaść im wszystkim na głowy, nie w poniedziałek o jedenastej przed południem.

Liny napięły się na wietrze, który dmuchnął od Sekwany i mlecznym tumanem poderwał z ziemi piasek przyprószonego śniegiem. Teren wystawy pachniał świeżo wyprodukowanymi linami, rozgrzanym smarem i dymem unoszącym się znad piecyka balonu opalanego węglem drzewnym; spod tego wszystkiego przebijał zapaszek alkoholu. Cait pomyślała, że pewnie wśród pasażerów płci męskiej krąży piersiówka. Jej samej dobrze by zrobił łyceczek dla kurażu. Ale przecież uspokoi się, kiedy już się znajdzie w gondoli. Nie dopuści do siebie myśli o jakimkolwiek niepomyślnym obrocie zdarzeń, nie pozwoli, by wyobraźnia postawiła jej przed oczami wznoszącą się i stającą w płomieniach gondolę, zwalającą się na dół i roztrzaskującą na kawałki lub dryfującą nad dachami domów niczym Gambetta w 1870 roku. Nie, nie pozwoli, by strach wziął nad nią górę. Bardzo uważnie przeczytała ulotkę reklamową. Z platformą będzie ich łączył długi łańcuch, to całkiem bezpieczne. A kiedy się wzniosą na wysokość trzystu metrów, rozejrzy się i zobaczy wyraźnie cały świat.

– Chodź już! – krzyknęła do swojej podopiecznej. – Wszyscy czekają!

Alice Arrol zaczęła iść zwawiej dopiero wówczas, gdy znalazła się bliżej

schodków. U stóp platformy stała grupka paryskich dam z uniesionymi parasolkami, za pomocą których starały się uchronić kapelusze od zdmuchnięcia ich z głów przez wiatr. Alice zerknęła na nie obojętnie, po czym jej twarz zastygła w wyrazie wystudiowanej nonszalancji.

– Prawdę mówiąc – powiedziała, poprawiając rękawiczki i wbijając spojrzeń w zaciągnięte chmurami niebo – chyba tu zostanę.

Niespełna pięć minut wcześniej nie mogła się doczekać lotu. Cait trudno było ukryć konsternację.

– Naprawdę? A czy ta wyprawa balonem nie była czasem twoim pomysłem?

Alice szerzej otworzyła oczy i skrzywiła usta w uśmiešku.

– Chyba pani żartuje. – Roześmiała się. – Do głowy by mi nie przyszło postawić stopę w jakimś latającym koszu!

Policzki miała zarumienione, a jej loki przybrały postać chmury złotych kędziorków okalających buzię. Zachowała dziecięcy kolor włosów, jej blond nie ściemniał, przez co sprawiała wrażenie młodszej, niż naprawdę była. Niemowłoco różową skórę oprószyła białym pudrem i musnęła błękitem na powiekach. Miała już dziewiętnaście lat, ale często brano ją za osobę znacznie młodszą. Cait ogarnął przypływ tkliwości. Alice swoją świeżo nabytą pełnoletność nosiła wciąż niezgrabnie niczym przyduży płaszcz, do którego miała nadzieję dorosnąć.

Obsługa balonu zaczęła odwiązywać liny. Cait podniosła oczy na brzeg kosza, ale nie dostrzegła Jamiego. Będzie musiała powiedzieć mu o zmianie planów. Odwróciła się z powrotem do Alice.

– Poczekasz tu?

– Zamierza pani wybrać się beze mnie?

Cait nawet nie przyszło to do głowy – aż do tej chwili. Oczywiście powinna była zostać, przecież była szaperon opłacaną za pilnowanie i dotrzymywanie towarzystwa Alice i jej bratu, Jamiemu Arrolowi. Nie mówiąc o tym, że jako trzydziestojednolatka była już zdecydowanie za stara na spontaniczność. Najgorsze, że duża wysokość, strome podejścia, a nawet miejsca w górnych rzędach na widowni teatru budziły w niej przerażenie. Jednak w powozie w drodze na teren wystawy powiedziała sobie stanowczo, że taka szansa się nie powtórzy i musi ją wykorzystać.

– Może powinnam – powiedziała. – Miałabyś coś przeciwko?

– Nie, nie, proszę nie zostawać tylko ze względu na mnie.

– Dasz sobie radę sama? Nie ruszaj się z tego miejsca ani na krok.

– Nie ulegnę żadnym pokusom, przysięgam. Proszę iść, pani Wallace.

– Bilety zostały już opłacone! – zawołała Cait, pnąc się ku wyciągniętej ręce mężczyzny sterującego balonem. – Niewykorzystanie ich byłoby koszmarnym marnotrawstwem. Twój wuj byłby wściekły! I przygnębiony! Potrafisz to sobie wyobrazić?

Obejrzała się, w chwili gdy Alice wybuchła głośnym śmiechem, po czym szybko zakryła usta dłonią. Choć tyle czasu spędzała na ćwiczeniu przed lustrem stosownego wyrazu twarzy, jak na ironię najładniejsza była właśnie wówczas, kiedy się zapominała.

Gdy kilka ostatnich woreczków piasku wyrzucono przez burtę, a liny zwinięto, pilot oparł się na dźwigni, piecyk złapał ciąg, ogień zahuczał i balon zaczął lecieć w górę z impetem pęcherzyka powietrza unoszącego się w toni. Cait zacisnęła powieki i chwyciła się mocno brzegu wiklinowego kosza. Mimo wszystko było to po prostu wspaniałe.

Osiem lat wcześniej Cairiona nie przypuszczała nawet, że się tu znajdzie, że będzie wznosić się w niebo nad Paryżem, niemożliwie wysoko, zupełnie nieważka. Była wtedy zamężna, zakorzeniona i osiadła. Jej mąż, Saul Wallace, był przystojny i czarujący, ich dom w Glasgow duży i wygodny, wspólna przyszłość rozwijała się u ich stóp jak czerwony dywan. Miały być dzieci, wakacje, rocznice.

Saul liczył sobie zaledwie trzydzieści trzy lata, gdy jego pociąg, opuściwszy jeden brzeg rzeki Tay, nie dotarł do drugiego. To był grudzień 1879 roku, trzy dni po Wigilii Bożego Narodzenia. Cait, siadając przy kominku i otwierając powieść, nie wiedziała – bo skąd miała wiedzieć? – że w tym momencie ich wspólne życie właśnie się kończyło, że most kolejowy na rzece Tay runął, a Saul Angus Wallace utonął w lodowatej wodzie pod kilkoma tonami pękającego żelaza.

Balon dotarł do końca uwięzi i nagle zatrzymał się z szarpnięciem. Otworzyła oczy. Piecyk huczał, balon wciąż unosił się w powietrzu, świat był nadal taki, jakim go zostawiła: Paryż u jej stóp, niebo nad jej głową. Na moment skupiła się na oddychaniu, nie pozwalając myślom krążyć wokół pustej przestrzeni pod gondolą. Nie próbowała sobie nawet wyobrazić wysokości, na jaką dotarli. Pozostali pasażerowie rzucali się z jednej strony na drugą, najwyraźniej lekceważąc sobie to, że nie podtrzymuje ich nic z wyjątkiem ogrzanego powietrza. Nikt poza nią się nie bał, nikt poza nią nie stał półtora metra od burty kosza, obezwładniony lękiem.

– Co za widok! – Jamie Arrol zerkał nad krawędzią, nie posiadając się ze szczęścia. – Niech pani podejdzie zobaczyć.

– Już idę – odpowiedziała. – Za chwilę.

Odwrócił się i dostrzegł, że jest sama.

– Panna Arrol zmieniła zdanie – wyjaśniła.

– Jej strata. – Jamie wzruszył ramionami. – Tam jest Panteon... Łuk Triumfalny... A tam... To chyba musi być katedra Notre Dame! Proszę popatrzeć!

Zacisnęła zęby, po czym ostrożnie, niepewnie, z wahaniem zerknęła ponad krawędzią gondoli. A tam, nisko w dole, rozciągały się szerokie bulwary barona Haussmanna wiodące wzdłuż starych murów miasta, zieleniła się plama Łasku Bulońskiego, czerniły kłęby dymu unoszącego się znad fabryk na południu,

a z placu Gwiazdy i bliżej, z placu Trocadéro, rozchodziły się promieniście aleje. Cait dostrzegła kolejki powozów maleńkich jak żuczki, ludzi maciupkich jak mrówki, miasto tak małe i regularne jak rzędy kamiennych dziecinnych klocków ustawionych na barwnym prześcieradle.

– No i? – zapytał Jamie.

Obraz jej się zamazał, poczuła ból w skroniach – to było za wiele. Cofnęła się o krok.

– Pani drży! – zaśmiał się Jamie. – Proszę tylko poczekać, aż powiem o tym siostrze.

– Nic mi nie jest. A w każdym razie za minutę nic mi nie będzie. Idź, idź, nie marnuj czasu.

Mimo żaru bijącego z piecyka powietrze było tu znacznie chłodniejsze niż na ziemi. Dłonie rzeczywiście jej drżały, ale nie tylko z zimna. Najbardziej przerażała ją myśl nie o tym, że może wypaść z gondoli, lecz o tym, że w każdej chwili może ogarnąć ją dojmujący przymus skoczenia. Od śmierci męża często wpadała w panikę, jakby żyła na granicy dwóch światów, jedną nogą już będąc na tamtym.

W kokonie ciepła bijącego od ognia próbowała się na czymś skupić, na czymkolwiek. Usłyszała ciche kliknięcie. Odwróciła się. Po drugiej stronie kosza, za małą drewnianą skrzynką, stał mężczyzna; był zupełnie zatopiony w myślach, sądząc z wyrazu jego twarzy. Pod szyją miał luźno zawiązaną muszkę i w przeciwieństwie do pozostałych pasażerów nie nosił kapelusza. Jakby wyczuwając jej spojrzenie, zamrugał i rozejrzał się. Na ułamek sekundy, nie więcej, ich spojrzenia się spotkały. Cait zabiło mocniej serce, załomotało gwałtownie o niewzruszony mur fiszbinów i wełny. Przełknęła ślinę i odwróciła wzrok. Co ona sobie wyobrażała, na miłość boską? Jaka kobieta odwzajemnia spojrzenie mężczyzny? Odwróciła się, szukając wzrokiem innych, bezpieczniejszych punktów zaczepienia. Stojąca obok niej grupka Amerykanów rozmawiała o restauracjach.

– Pięć franków za jabłko na talerzu – mówił właśnie jeden z nich. – Robbój w biały dzień.

– Ale wino było bardzo przyzwoite – zwrócił mu uwagę towarzysz.

– Może i tak, ale zorientowali się, że im nie przepuszczę. Przez resztę pobytu zamierzam unikać jadań w naszym hotelu. A przecież mówili mi, że Francuzi naiwniaka wyczują na miłę.

Cait uzmysłowiła sobie nagle, że mężczyzna bez kapelusza przeszedł na jej stronę gondoli i skierował spojrzenie ku północnej części miasta rozciągającej się za rzeką. Ze zdwojoną uwagą wsłuchiwała się w dywagacje Amerykanów na temat koszmarnej jazdy i potwornych przeżyć w hotelach, ale cały czas była świadoma jego obecności, jego bliskości, drewnianego pudełka, za którym stał, włosów odsuniętych z czoła i opadających swobodnymi ciemnymi puklami na

kołnierz, wydychanego przez niego marznącego obłoczka stapiającego się w powietrzu z jej własnym oddechem.

– Pchły! – zagrział jakiś głos. – Wszędzie te pchły!

– U mnie były pluskwy – potwierdził drugi. – Znalazłem je nawet w szczoteczce do zębów.

Mężczyzna wyjął drugą, mniejszą drewnianą skrzyneczkę z tej pierwszej i ostrożnie zamocował ją na trzech metalowych nogach. Wyglądało to na jakieś urządzenie do robienia fotografii. Paryż oszalał niedawno na jej punkcie i wszędzie widziało się dziesiątki mężczyzn noszących ze sobą te mahoniowo-mosiężne pudełka, przechadzających się po nadbrzeżnych bulwarach albo rozstawiających się z nimi w Ogrodzie Luksemburskim.

Dostrzegła, że jest starszy, niż jej się w pierwszej chwili wydało, mógł mieć około czterdziestki. Jego ciemne włosy przetykane były siwizną, płaszcz miał starannie skrojony, a buty wypastowane. Wyglądał na człowieka zadbanego. Ale w jego sposobie poruszania i noszenia się, w lekkim pochyleniu sylwetki Caitriona rozpoznała znajomy rys. Był mężczyzną – teraz lub dawniej – samotnym.

Nadal obserwowała go kątem oka, a on otworzył pudełko i rozciągnął z przodu coś na kształt niewielkiej harmonijki, po czym zrobił krok w bok i przechylił się przez burtę gondoli. Cait ogarnęła fala emocji; poczuła, że upada, głową naprzód, w pustkę. Jej ręka sama wyciągnęła się i chwyciła go za ramię. Mężczyzna odwrócił się.

– Madame? – powiedział.

– Proszę mi wybaczyć – wykrztusiła po francusku. – Ale wyglądał pan tak, jakby zaraz miał pan...

Otworzyła usta, lecz nie zdołała wypowiedzieć tego słowa.

– Rzucić się w dół? – dokończył, również po francusku.

Zamrugnęła oczami.

– Chciałam powiedzieć: wypaść.

– Nie dziś, ale dziękuję za troskę.

Zerknął na rękę, którą nadal ścisnęła go za rękaw. To była jej lewa dłoń, pozbawiona teraz obrączki, którą niegdyś nosiła.

– Bardzo przepraszam. – Puściła go pośpiesznie.

– Ależ nic się nie stało. Czy dobrze się pani czuje?

– Mam lęk wysokości – przyznała.

„Jak groteskowo musiało to zabrzmieć – pomyślała nagle – jak niewiarygodnie, jak ewidentnie fałszywie właśnie tu, w gondoli balonu”. On jednak nie spuszczał wzroku z jej twarzy i nawet nie mrugnął. Nie śmiał się.

– Dużo czasu spędzam w powietrzu.

– Doprawdy? Kim pan jest, linoskoczkiem?

Roześmiał się i twarz mu się rozpromieniła. Cait uznała, że nie była to twarz

nieprzyjemna w wyrazie.

– Blisko. Czy lot sprawia pani przyjemność?

– Bez wątpienia jest to ogromne przeżycie – odpowiedziała. – Nigdy wcześniej nie miałam okazji znaleźć się w gondoli balonu. I nie mam pewności, czy jeszcze kiedyś będę ją miała.

– Mnie się to całkiem podoba. To uczucie, że jest się przywiązanym do ziemi tylko łańcuchem. A teraz, jeśli wybaczy mi pani na chwilę, muszę zrobić kolejne zdjęcie.

Przysunął swój aparat do krawędzi kosza, spojrział przez malutką dziurkę na tylnej ściance i wyregulował harmonijkę z przodu. Kiedy już był zadowolony, przekręcił pokrętkę, sięgnął do torby, znalazł płaskie czarne pudełko i przymocował je do tylnej ścianki aparatu.

– Jest pani Angielką? – zapytał, wyciągając z pudełka cieką metalową płytkę.

– Szkotką.

Uśmiechnął się, po czym zerknął na swój zegarek kieszonkowy.

– Naświetlam płytkę – wyjaśnił. – Należy przytrzymać ją całkowicie nieruchomo przez dokładnie dwadzieścia sekund.

Wstrzymała oddech, gdy odliczał sekundy.

– *Voilà!* – powiedział, zamykając na powrót migawkę. – W samą porę.

Podniosła wzrok i spostrzegła rzadką mgłę, która opadając, spowiła balon białym welonem.

– Zatem będziemy musieli wyobrazić sobie ten widok.

Odwrócił się, znów skupiając na niej całą swą uwagę.

– A więc proszę sobie wyobrazić wieżę. Najwyższą wieżę na świecie. Zostanie zbudowana właśnie tutaj, na Polu Marsowym, na wystawę światową, dla uczczenia setnej rocznicy rewolucji francuskiej. Nie będzie już pani musiała wypuszczać się w balonie.

– Ach, tę! – wykrzyknęła. – Ale wszyscy twierdzą, że będzie okropna! Zwykły pylon przedstawiany jako nie wiadomo co.

Roześmiał się i zaczął składać swój aparat.

– Albo prawdziwie koszmarna latarnia – powiedział.

Szarpnęło nagle i balon opadł o metr czy dwa. Pasażerowie wydali okrzyk niepokoju, który szybko pokryli rozbawieniem. Może nie byli wcale tak nieustraszeni, jak się wydawało.

– Krótkie to było – powiedział Jamie, pojawiając się nagle u jej boku. – A teraz już nic nie widać. Nie jestem pewien, czy warto było wydać tyle na bilet.

– Powinien pan spróbować wycieczki małym parowcem pasażerskim, *bateau-mouche* – stwierdził Francuz. – Najlepsza jest trasa z Charenton do Auteuil, a bilet kosztuje zaledwie dwadzieścia centymów. I można obejrzeć z rzeki całe

miasto.

Dwóch mężczyzn, jak to zwykle bywa, wdało się w pogawędkę na temat rozmaitych profesji i ich perspektyw. Cait poczuła ukłucie rozczarowania; wolałaby, żeby Jamie nie szukał w tym momencie jej towarzystwa.

– A zatem jest pan inżynierem – powiedział Jamie. – Cóż za zbieg okoliczności! Być może słyszał pan o moim wuju, Williamie Arrolu. Nasza firma buduje most kolejowy Forth Rail Bridge pod Edynburgiem. I prawie już skończyliśmy most na rzece Tay. Zastąpi ten, który runął do rzeki.

Zerknął przelotnie w stronę Caitriony. Balon znów ściągnięto o metr w dół, a ona poczuła, jak w niej również coś opada. Zapomniała się. Miała trzydzieści jeden lat. Dostała już w życiu swoją szansę.

– A nad czym pan obecnie pracuje? – zapytał Jamie inżyniera.

– Nad wieżą ze stali – odpowiedział ten i uśmiechnął się do Cait.

– Ale chyba nie nad wieżą Eiffla? – drażzył Jamie. – Tą, którą mają tu gdzieś zbudować?

– Zaprojektowałem ją. Wraz z kolegą, Maurice'em Koechlinem. Pracujemy dla Gustawa Eiffela.

Cait zakryła usta dłonią i poczuła, jak pod opuszkami palców płoną jej policzki.

– Powinien był mi pan powiedzieć! A tak to proszę, nazwałam ją prawdziwie koszmarną latarnią!

Jamie zerknął na nią z ukosa; najwyraźniej odezwała się nieproszona, ale Francuz wydawał się nie tyle urażony, ile rozbawiony.

– To ja ją tak nazwałem, nie pani. Próbowałem dziś zrobić kilka zdjęć placu budowy do naszego archiwum – wyjaśnił. – W przyszłym tygodniu zaczynamy kopać fundamenty.

– Naprawdę? A jak pan sądzi, ile potrwa budowa? – zapytał Jamie.

– Musi się zakończyć przed wystawą światową, więc najwyżej dwa lata. Kiedy dobiegnie końca, wieżę będzie można dojrzeć z każdego miejsca w Paryżu.

– Imponujące! Wie pan, ja również kształcę się na inżyniera.

Słowa Jamiego zaskoczyły Cait. Wuj opłacił mu naukę na uniwersytecie, a kiedy Jamie ją porzucił, wziął go na praktyki w swojej firmie. Przyobiecano mu stanowisko kierownicze, ale najpierw Jamie musiał na nie zasłużyć, pnać się wzorem wuja po kolejnych szczeblach zawodowej drabiny, od warsztatu w hali fabrycznej poczynając. Kreśląc niezliczone rysunki i wiercąc otwory na nity, opanował podstawy inżynierii wodno-łądowej, ale nie błysnął – do pracy przychodził późno, a tuż po lunchu szedł do domu. Po kilku nieprzyjemnych rozmowach z wujem postanowiono, że Jamie da sobie czas na zastanowienie. Podróżując przez ostatnie sześć miesięcy po Europie, rozważał już między innymi karierę kupca winnego i importera czekolady.

– Obawiam się, że nie dosłyszałem pańskiego nazwiska – dodał Jamie.
– Emil Nouguiet – odpowiedział Francuz.
– Skoro to pan zaprojektował tę wieżę, dlaczego nie została nazwana pana imieniem? – zapytała Cait.
– Eiffel odkupił od nas patent. A teraz nie tylko ją wznosi, ale i w znacznej mierze za nią płaci.

– Słyszałem, że będzie go to kosztować miliony franków – wtrącił Jamie. – Czy to prawda?

– Owszem. Choć ma nadzieję odzyskać większą część tej sumy dzięki sprzedaży biletów.

Gondola wylądowała z tąpnięciem na piasku Pola Marsowego. Amerykanie zaczęli spontanicznie klaskać.

– Bardzo nam było miło pana poznać, monsieur Nouguiet – powiedział Jamie. – Czy jest tutaj również pańska żona?

– Obawiam się, że nie ma nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi.

– A zatem jesteśmy w tej samej sytuacji – rzekł Jamie. – Musi pan poznać moją siostrę.

Emil Nouguiet skłonił się przed Cait.

– Nie, nie, jestem tylko przyjaciółką rodziny. Caitriona Wallace.

– Proszę mi wybaczyć – odparł cicho po francusku. – Caitriono.

Przeszedł ją lekki dreszcz. Zwrócił się do niej po imieniu. Uznała jednak, że lepiej nie zwracać na to uwagi i sprawiać wrażenie nieświadomej tej nadmiernej poufałości.

– No cóż – odpowiedziała. – Życzę powodzenia przy budowie wieży.

– Dziękuję.

Prawie wszyscy pasażerowie opuścili już gondolę. Załoga zwijała liny i składała na stertę woreczki z piaskiem. Rozgrzane węgle zalano wodą.

– Pani Wallace! – zawołał Jamie, stając na stopniach platformy, żeby pomóc jej zejść. – Przecież nie mogę tu czekać do wieczora!

Alice tkwiła u podstawy schodów, twarz miała nieruchomą jak lalka. Damy z parasolkami zniknęły.

– I jak? – zapytała.

– Powinnaś była się wybrać – odparła Cait.

– Chciałbym, żebyś kogoś poznała! – zawołał Jamie zza jej pleców.

Alice spojrzała na Cait z przerażeniem. Jej twarz zdawała się mówić: „Kogóż to wartego poznania, na miłość boską, można spotkać w będącym miejscową atrakcją balonie?”.

– Chciałbym panu przedstawić moją siostrę – powiedział Jamie, kiedy mężczyzna zszedł już ze schodów. – Miss Alice Arrol. Monsieur Nouguiet, wysoko ceniony inżynier.

Jamie nie owijał w bawełnę: młoda niezamężna siostra, bezceremonialna informacja o jej dostępności, sugestia, że Nougier może posiadać odpowiedni status społeczny uzasadniający rozważenie jego kandydatury. Jeśli jednak inżynier był tego w jakimkolwiek stopniu świadom, nie dał nic po sobie poznać.

– Mademoiselle – powiedział z lekkim ukłonem.

– *Enchantée* – odpowiedziała Alice.

Zapadło krótkie, wyczekujące milczenie.

– Na jak długo zatrzymali się państwo w Paryżu? – zapytał Emil Jamiego.

– Tylko do końca tygodnia. Jesteśmy w trakcie Grand Tour, że tak powiem. Powłoczyliśmy się trochę po Niderlandach, a potem zbyt długo zabawiliśmy w Rzymie i musieliśmy całkowicie zrezygnować z Wenecji. Ale bez wątpienia warto było przyjechać do Paryża, skoro poznaliśmy pana.

Cait uświadomiła sobie boleśnie, co w Paryżu zdarzyło się już niejednokrotnie, ich żalorny brak ogłady i rzucające się w oczy parweniuszostwo. Ich maniry były tak prowincjonalne, że chyba nawet w pełni sobie tego nie uświadamiali.

– Gdyby przed wyjazdem znaleźli państwo chwilę, z radością służyć swoim czasem. – Nougier wręczył Jamiemu wizytówkę. – Jako inżyniera może pana zainteresować możliwość zwiedzenia fabryki w Levallois-Perret.

– W rzeczy samej – powiedział Jamie. – Dziękuję.

Kiedy już Emil się oddalił, Alice przewróciła oczami.

– Proszę, tylko nas nie wlecz do fabryki.

– Wiesz, kto to był? – wyszeptał Jamie. – Pracuje dla Gustawa Eiffela, *tego* Gustawa Eiffela. I jest bez zobowiązań!

– Jamie! – przerwała mu Alice. – Zanim się zabierzesz do swatania mnie, chciałabym zwrócić ci uwagę na to, że nawet nie miał kapelusza!

– Cii... – uciszył ją brat. – Może cię usłyszeć.

Ale Emil Nougier był już w połowie placu defilad i zmierzał w stronę Sekwany, a jego ciemna sylwetka odcinała się ostro na piasku. Cait nie odrywała od niego wzroku. Chwilę później zaczął padać śnieg i stopniowo postać mężczyzny zatarła się, zszarzała, zbladła, wreszcie znikła.

Wszystko utonęło w bieli. Emil podniósł wzrok i zapatrzył się w przestrzeń, którą miała wypełnić wieża, w wirujący powoli i wdzięcznie opadający na ziemię śnieg. Lodowe kwiaty, jak czasem nazywano płatki śniegu. Złapał jeden na dłoń i obserwował, jak się topi i przemienia w kroplę wody. Czy rzeczy piękne stawały się jeszcze piękniejsze, kiedy nie można ich było zatrzymać? Wieża nie postoi długo: dwadzieścia lat. W porównaniu z innymi konstrukcjami jej wielkości będzie tylko mgnieniem oka, uderzeniem serca, lodowym kwiatem.

Wyobraził sobie Gabrielle leżącą tego ranka na jego łóżku, z ciemnymi nieuczesanymi włosami, w niezasnurowanej sukni. Ile jeszcze potrwa ich romans? Tydzień? Miesiąc? Przecież nie dłużej... Zatęsknił nagle za prostotą i uczciwością, brakiem podstępów i szczerym spojrzeniem, takim jak wzrok kobiety, którą właśnie poznał w balonie. Ale to był Paryż, tutaj nic nie było proste. Każdy związek obwarowany był jakimiś zastrzeżeniami.

Gabrielle uważała, że Emil, posiadając ją, może się uważać za szczęściarza. Obracała się w kręgach, do których on nie miał dostępu. Pozowała artystom i z wieloma z nich łączyła ją zażyłość, w każdym razie takie wzbudzała w nim przekonanie, niby to od niechcienia wtrącając nazwiska Degasa, Renoira i Moneta i wspominając o przyjęciach, jakie wydawali dla niej w restauracji Maison Fournaise. Nie robiła tajemnicy z tego, że jest mężatką, poślubioną mniej znanemu malarzowi, któremu jej zachowanie zupełnie nie przeszkadzało. Raz napomknęła o córce, dziewczynce mniej więcej ośmioletniej, którą oddała na wychowanie dziadkom.

Ich romans rozpoczął się przed trzema miesiącami, zamachali jednocześnie na tę samą dorożkę pod teatrem na placu du Châtelet. Lało jak z cebra i każde z nich nalegało, by skorzystało z niej to drugie, aż wreszcie wskoczył przed nich jakiś dżentelmen w cylindrze i sam ją zajął. Kieliszek czy dwa koniaku w teatralnym barze na ukojenie obopólnego oburzenia wydawało się dobrym pomysłem. Jakiś czas później Emil przywołał następną dorożkę, do której wsiedli już oboje.

Oczywiście wiedział, że to związek nie do utrzymania i nie do obrony, ale w tym akurat momencie obojgu im odpowiadał. On obdarowywał ją ślicznymi strojami i biżuterią, a ona odwzajemniała się na inne sposoby. Kiedykolwiek dręczyło go poczucie winy, odwiedzał jej ulubiony sklep, Boucheron, znajdujący się na placu Vendôme.

– Przyjdiesz na wernisaż? – zapytała go Gabrielle tego ranka. Stała przed niewielkim lustrem, poprawiając sobie kapelusz i mocując go szpilkami.

– Twój mąż tam będzie? – zapytał.

– Wystawia dwanaście obrazów. Więc tak, spodziewam się, że będzie.

– Więc nie.

Obrócił się, położył płasko na plecach i wbił wzrok w sufit.

– Ciągłe ma pretensję, że nie wybrano go na ekspozycję impresjonistów w Nowym Jorku – ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi.

– A czy będą tam jakieś obrazy, do których pozowałeś?

Zastygła w pół gestu i obejrzała się na niego.

– Kilka. Dlaczego pytasz?

– Bez powodu.

Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Zapinając kołnierzyk i przypinając szelki, przypomniał sobie, jak waliło mu serce pod dotykiem jej dłoni, jak kapitulowało jego ciało pod musnięciem jej palców. Potrafiła wzburzyć mu krew w żyłach, lecz nie posiadała jego serca. Dlaczego więc myśl o tym, że była z innym mężczyzną, wyprowadzała go z równowagi?

Gabrielle obserwowała go w lustrze. W końcu się odwróciła.

– Emilu. Jesteś zirytowany, prawda?

– Nie! Muszę iść do pracy, to wszystko. Spóźnię się.

– Ale nie ma jeszcze nawet ósmej.

Zdjęła kapelusz i odrzuciła go na bok. Rozpięła mu kołnierzyk, pocałowała w szyję, w ucho, w usta, a potem jeszcze raz ujęła go za ręce i pociągnęła w stronę łóżka.

– Chciałbym cię namalować – wyszeptał potem.

– Ależ jak ja bym wyglądała, na miłość boską? – Zaśmiała się. – Stalowy dźwigar zamiast twarzy i dwa nity w miejsce oczu?

Właśnie tak o nim naprawdę myślała; był inżynierem, nie artystą. A jednak w jego pracy – w pnących się filarach i łukach mostów, w każdej budowlu wzniesionej ze światła, z powietrza i stali – krył się pierwiastek sztuki.

– Może inaczej na mnie spojrzysz, kiedy zobaczysz naszą wieżę.

– Jak kawałek metalu skręcony z innym kawałkiem może być sztuką? – zaprotestowała Gabrielle.

– Jeszcze się przekonasz. Poczekaj, aż staniesz na szczycie i spojrzysz na miasto leżące u twoich stóp.

– Ale dlaczego miałabym mieć na to ochotę? – drażyła.

– A dlaczego nie? Dlatego że możesz!

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek, uniósłszy brodę.

– Uwierzę, jak zobaczę – powiedziała i odturlała się od niego.

Jego ojciec miał na przestrzeni lat kilka kochanek. Przychodziły do fabryki szkła po godzinach, kiedy piece już stygły, a dmuchacze szkła dawno już poszli do domu po całym dniu pracy. Emil dobrze je wszystkie pamiętał: Isabelle z rudymi włosami, Chantelle, żonę piekarza, Miriam o prześlicznym, śpiewnym głosie. Jego matka musiała wiedzieć – wszyscy inni wiedzieli – ale podchodziła do tego ze

stoickim spokojem. Cédric Nouguier był właścicielem fabryki, ważną postacią w miasteczku La Villette na przedmieściach Paryża. Jak długo unikał skandali, tak długo mógł robić, co mu się podobało.

Emil jednak, wziawszy pod uwagę jego wiek, potrzebował nie kochanki, lecz żony. Ale co mógł jej zaproponować? Chociaż odziedziczył mieszkanie w piątej dzielnicy, rzadko w nim przebywał. Podróżował za pracą – Portugalia, Ameryka, Austro-Węgry, Rosja – i całymi miesiącami sypiał w hotelach. Budowa wieży miała być jednym z jego pierwszych zleceń w Paryżu i czasem zastanawiał się, czy nie ogląda tego miasta, tego świata, swego życia oczyma wędrowca, przelotnie, jakby tylko przejeżdżał w pobliżu. Kilka mgnień oka i po wszystkim. A przecież musiał się ożenić i szybko doczekać dzieci – najlepiej z jakąś zamożną kobietą, która mogłaby zainwestować pieniądze w jego rodzinną fabrykę. Przypominano mu o tym co tydzień, kiedy odwiedzał matkę żyjącą w nadziei, że pewnego dnia będzie mogła spokojnie umrzeć ze świadomością, że rodzina Nouguier, wszyscy jej starsi członkowie oraz przedsiębiorstwo z poprzedniej epoki nadal mają się znakomicie.

Śnieg nie utrzymał się, topiąc się w rozmokłe bryłki tuż po tym, jak opadał na ziemię. Emil szedł wzdłuż Sekwany, mijając szeregi barek płynących w stronę miasta. Poruszały się tak wolno, że pozostawiały na powierzchni jedynie delikatne zmarszczki. Większa część ich ciężaru znajdowała się poniżej linii wody. Mężczyzna spuścił wzrok i dostrzegł w czarnym lustrze wody swoje odbicie, rozkawałkowane, raz za razem rozciągane i na powrót ściskane, dopóki ciemna jak szkło powierzchnia nie przestała falować.

Nawet tak daleko poza granicami miasta na rzece roilo się od parowców i barek, lekkich joli i holowników łańcuchowych z wielkimi kołami podnoszącymi ociekające wodą łopatkami z dna rzeki. Kilka małych parowców pasażerskich zacumowano do pływającego pomostu, ale tylko jeden, z którego komina wydobywała się smuga dymu, wydawał się gotowy do odpłynięcia.

– *Quand partez-vous?* – zapytała Cait.

– Za dwie minuty – odpowiedział kapitan po angielsku.

Zgodnie z rozkładem przyczepionym na tablicy w drewnianej ramce dopłynięcie do Auteuil po drugiej stronie Paryża miało im zająć około półtorej godziny, a powrót nieco krócej. Kiedy Jamie umawiał się na godzinę z woźnicą, który miał ich odebrać, Cait podążyła spojrzeniem na drugą stronę rzeki. Świat zastygł w martwocie, zimowe światło miało barwę zielonej herbaty. Stojące rzędem nieduże łodzie wiosłowe podskakiwały na martwej fali. Nieco dalej w dół rzeki znajdowały się pływająca restauracja, łaźnia i pralnia. Kilka klęczących na drewnianym pomoście kobiet namydlało i prało w lodowatej wodzie prześcieradła. Przez wczesnoporaną mgłę przedarł się promień słońca.

– Może usiedlibyśmy na zewnątrz? – zaproponowała Caitriona, kiedy już kupili i podstemplowali bilety.

– Za zimno – powiedziała Alice.

Znaleźli więc sobie ławkę w kabinie, tuż przy zaparowanym oknie. Nie było tłoku: kilka starszych par siedzących w milczeniu i wbijających wzrok w przestrzeń przed sobą – „Niemcy”, wyszeptał Jamie – kobieta z trójką małych dzieci i zakonnica. W powietrzu unosił się ciężki zapach pleśni, smoły i oleju silnikowego, a spod tego wszystkiego przebijał mdły fetor rzeki.

– Nie robi to specjalnego wrażenia – zauważyła Alice, wycierając zaparowaną szybę i wyglądając na zewnątrz. – Mogłabyś mi przypomnieć, gdzie jesteśmy?

– To miasto nazywa się Charenton – odpowiedziała Cait.

– Wiem. Ale czy jest tu coś poza rzeką?

Cait otworzyła przewodnik i zajrzała do skorowidza.

– „Położone między Laskiem Vincennes, Marną i Sekwaną – przeczytała – miejsce to znane jest głównie z mieszczącego się tutaj szpitala dla umysłowo chorych”.

Podniosła wzrok na Alice i obie zaczęły się śmiać.

– I tyle z pogoni za stylem – oznajmił Jamie – elegancją i czym tam jeszcze.

– Mówiłam ci, że powinniśmy pójść na zakupy – powiedziała Alice.

– Nie poddawajmy się tak łatwo – odrzekł Jamie. – Jeszcze nawet nie wypłynęliśmy z doku. A ja jestem zdecydowany zobaczyć tyle Paryża, ile się da,

w czasie, który nam pozostał. I nie mam na myśli tylko wewnątrz magazynów mód i dwukonnych dorożek.

Cait spuściła wzrok na mapę paryskich rzek i kanałów, niebieskich węży na tle ceglastej czerwieni. Za dwa dni ruszą z powrotem do Dover, by przekroczyć kanał, wsiąść do pociągu z Londynu do Glasgow, tymczasem ją wypełniały obawy, lęki i głęboka jak czeluść melancholia.

Jesienią zeszłego roku pozostawiła swoje wynajmowane w Glasgow mieszkanie, przykrywszy wszystkie meble pokrowcami i anulowała wszystkie regularne zamówienia. W dniu wyjazdu lał deszcz i rynsztoki wypełniły się zeschniętymi liśćmi i czarnymi wirami ulicznego brudu. Posłała swoją niewielką walizkę na dworzec, a sama ruszyła piechotą z Pollokshields do miasta drogą wiodącą wzdłuż torów kolejowych. Kiedy czekała na stacji na Jamiego i Alice, tylko deszcz i myśl o tym, że zmokłaby jeszcze bardziej, powstrzymały ją od powrotu piechotą do domu. „Dlaczego – zapytywała samą siebie – przyjąłam posadę szaperon, opiekunki Alice Arrol?”. Choć przecież wiedziała dlaczego. Był to ten rodzaj pracy, jaką przyjmowały kobiety niemające innego wyboru.

Jej willa została sprzedana – wraz ze srebrną zastawą ślubną – wiele lat wcześniej, ale po tym, jak Cait poszła za nietrafioną, jak się okazało, radą, wartość jej inwestycji stopniała niemal do zera. Zamieszkała w skromnym dwupokojowym lokum na drugim piętrze budynku, którego okna wychodziły na tory. Kiedy uzmysłowiła sobie, że jej oszczędności na niedługo już starczą, odpowiedziała na ogłoszenie w „Glasgow Herald”.

– Jakie to szczęście – powiedział William Arrol podczas rozmowy o pracę. – Właśnie takiej kobiety jak pani szukałem.

Po czym wyjaśnił jej, że z powodów, których nie chciałby szerzej omawiać, odrzucił już kilkanaście kandydatek. Pochylił się ku niej i roześmiał.

– Między nami mówiąc, jedna z nich była tak stara, że sama potrzebowała opiekunki, by chociaż wdrapać się po schodach. Kolejna była za młoda; sprawiała wrażenie osoby, która sama zamierza złapać odpowiedniego męża. Ale pani... Pani jest kobietą dojrzałą, dobrze się pani ubiera, do tego jest pani wykształcona, obyta i zachowuje się odpowiedzialnie. Pani Wallace, jest pani idealną opiekunką młodej damy.

Oparł się na siedzeniu, zadowolony z wygłoszonego komplementu. Cait ogromnym wysiłkiem woli ukryła wrażenie, jakie zrobiły na niej jego słowa.

– Zanim przyjmę jakąkolwiek propozycję, muszę poznać zakres swoich obowiązków.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Arrol. – Za bardzo się zagalopowałem. Zostałaby pani na sześć miesięcy opiekunką mojej bratanicy, a w mniejszym stopniu również mojego bratanka. Oboje wybierają się na Grand Tour, chyba tak się to określa, aby przyswoić sobie kulturę kontynentu i dopełnić swoją edukację.

Pokrywam wszystkie wydatki i oferuję pani hojne uposażenie. Jeśli te warunki pani odpowiadają, może pani objąć tę posiadłość.

Alice i Jamie Arrol pojawili się na stacji piętnaście minut spóźnieni, odprowadzani przez całe mnóstwo przyjaciół, płacząc się w parasolkach i usprawiedliwieniach i wiodąc za sobą czterech mężczyzn niosących dwa ogromne kufry. Kiedy kuszetkowy umieścił ich już w przedziale, kierownik pociągu palnął całej trójce kazanie; nie zamierzał czekać, nawet na takich jak oni. Kiedy wreszcie pociąg ruszył ze stacji, Alice otworzyła okno, pomachała tłumnie zgromadzonym i uroniła łzę.

– Znajdę jej bogatego męża! – zawołał Jamie. – Niemieckiego barona albo włoskiego księcia!

– To tobie potrzeba żony! – odkrzyknął jakiś głos. – Wzięłaby cię w karby!

Chociaż pociąg zaczął już nabierać prędkości, Cait wciąż uważała, że ma jeszcze czas na zmianę zdania. Wpatrywała się w okno zdużającego na południe pociągu i na ułamek sekundy jej wzrok zatrzymał się na ciemnych, pustych oknach jej mieszkania. Wtedy właśnie uzmysłowiła sobie, że nie ma absolutnie nic, dla czego warto byłoby wracać do domu.

W pociągu do Londynu panował tłok, ale kiedy usiedli w restauracji pierwszej klasy, okazała się jedyną osobą, której ubrania lekko parowały, schnąc po deszczu. W Dover, kiedy czekali na prom, wzeszło słońce. Nie zapakowała parasolki, więc pozwoliła jesiennemu słońcu ogrzać sobie twarz. Miała za sobą osiem lat deszczu.

Parowiec miał właśnie wyruszyć, podniesiono trap, zwinięto liny. Na drodze zatrzymał się powóz, z którego wysiadło trzech młodych mężczyzn i trzy młode kobiety. Kilkoro z nich podbiegło do pomostu i błagało kapitana, by na nich poczekał.

– Dlaczego nie mogą złapać następnego? – zapytała Alice.

– Może próbują uciec ze szpitala dla umysłowo chorych? – wyszeptał Jamie.

Kapitan czekał; statek nie był pełen. Trap znów opuszczono i grupa weszła na pokład, taszcząc kosze, butelki, koce i poduszki. Mężczyźni mieli na sobie barwne koszule i jaskrawe jedwabne kamizelki widoczne spod surdutów. Jeden z nich niósł małą drewnianą gitarę. Kobiety ubrane były w popołudniowe aksamitne suknie w kolorze bladego błękitu, pudrowego różu i głębokiej purpury. Jedna niosła bukiet kwiatów.

– Nie sądzę, by byli obłąkani – wyszeptała Alice. – Wyglądają na artystów.

– A to nie to samo? – zapytał Jamie.

– Myślę, że to orszak ślubny – powiedziała Cait.

Alice zerknęła przez okno, przyglądając się, jak układają wszystko na ławeczkach na pokładzie. A potem odchyliła się na oparcie z wyrazem rozczarowania na twarzy.

– Dlaczego nie siedzimy na zewnątrz? – zapytała.
– Nie chciałaś – odparł Jamie. – Już nie pamiętasz?
– Ale dlaczego mnie posłuchałeś? Przecież zwykle w ogóle mnie nie słuchasz!

Jamie uchwycił wzrok Cait i westchnął. Jego siostra, wydało się mówić jego spojrzenie, była niemożliwa.

Spędzili w Paryżu miesiąc, zatrzymawszy się w niewielkim apartamencie hotelu Le Meurice przy ulicy Rivoli. Gdyby to zależało od ich wuja, znaleźliby tańsze zakwaterowanie. O tym jednak miał się dowiedzieć dopiero później, kiedy już otrzyma pocztą rachunek. Ale cóż mógł wiedzieć William Arrol? Alice nalegała, żeby obracali się wśród właściwych osób, a on zdecydowanie był osobą niewłaściwą.

William Arrol, syn prządki, zaczął pracować jako dziewięciolatek, a tajniki mechaniki i hydrauliki zgłębiał w szkole wieczorowej. W wieku lat trzydziestu prowadził już znakomicie prosperujące przedsiębiorstwo inżynieryjne Dalmarnock Iron Works. Firma zdobywała zlecenia na dziesiątki projektów, w tym kontrakt na budowę Caledonian Railway Bridge, przysparzając mu niebagatelny majątek. Kiedy jego żona Elizabeth nie zdołała mu urodzić potomków, przeniósł całą swoją uwagę na dzieci owdowiałego brata, Alice i Jamiego. Miał nadzieję, że jego bratanek przejmie ostatecznie interesy, a bratanica, przy jego finansowym wsparciu, przyzwocie wyjdzie za mąż. Pieniądze Williama Arrola były nowe, ale wyznawane przez niego wartości zdecydowanie staroświeckie.

Buchnęła para, łopatkami koła zaczęły się obracać, z komina wydobyła się smuga dymu i statek znalazł się na środku rzeki, po czym zaczął płynąć z prądem. Prześlizgiwali się pod mostami, sunęli skrajem pól i mijali ociekające wodą ceglane ściany fabryk. Czasem zatrzymywali się, by wpuścić na pokład kolejnych pasażerów, a wypuścić innych, ale zawsze tylko na kilka chwil. W miarę jak zbliżali się do centrum Paryża, brzeg rzeki coraz gęściej zabudowany był magazynami. Miasto było uzależnione od swoich szlaków wodnych, a barki, które mijali, wiozły na swoich pokładach wszystko: od kwiatów przez bydło i świeże ryby po węgiel.

W pobliżu Île de la Cité Sekwana rozdzielała się na dwie odnogi, a gdy mijali Notre Dame, w wąskich kanałach zrobiło się tłoczno. W pobliżu ratusza rozładowywano sześć barek, a w powietrzu unosił się słodko-kwaśny zapach jabłek. Jeden z artystów siedzących na pokładzie wziął do ręki gitarę i zaczął na niej brzdąkać. Kobieta w czerwonym aksamicie – panna młoda, jak domyśliła się Cait – złożyła głowę na kolanach młodego mężczyzny z jasną brodą i zapatrzyła się na kamienne przesła Pont Neuf. Inny mężczyzna rozlał do sześciu kieliszków butelkę wina i połamał bagietkę.

– *À votre santé!* – zawołał do swoich przyjaciół, pozostałych pasażerów

i ludzi, którzy zerkali na nich z mostu. – *Bonne chance!*

Nieco dalej minęli w milczeniu Luwr. Alice odmówiła wejścia do środka, opierając się propozycjom obejrzenia kolejnych wielkich mistrzów lub dzieł starożytnych Egipcjan. Upierała się, że we florenckiej Galerii Uffizi było wystarczająco dużo sztuki. Parowiec płynął dalej, zatrzymując się przy ogrodzie Tuileries, a potem, po drugiej stronie, przy urządzonym z przepychem Pałacu Inwalidów.

– Z rzeki wydaje się większy – powiedziała Alice. – Możesz mi przypomnieć, co jest w środku?

– Grób Napoleona – odrzekł Jamie. – Myślę, że powinniśmy go odwiedzić.

– Czy nie widzieliśmy już wystarczającej liczby umarłaków? – zapytała Alice. – Ile czasu spędziliśmy na cmentarzu Père-Lachaise? Jakies nieskończone godziny!

– Niewystarczająco długo – oznajmił Jamie. – Tylko ze względu na ciebie nie zwiedziliśmy katakumb.

– Co, na miłość boską, może być interesującego w kupce kości?

– Gdybyś choć zerknęła, może byś się dowiedziała – odpowiedział, piorunując siostrę spojrzeniem. Z upływem tygodni coraz rzadziej bawił się w uprzejmości. Alice, choć potrafiła być słodka, nie grzeszyła rozumem.

Wzdłuż nabrzeża przy Polu Marsowym zwalono sterty ziemi. Kilka koni zaprzęzonych do wozów wywoziło stamtąd masy gruzu. Kilkunastu mężczyzn kopało szpadlami. Po wodzie niósł się odgłos walenia młotem.

– Co oni zrobili? – jęknęła Alice.

– To wieża – wyjaśnił Jamie. – Rozpoczęli prace przy fundamentach.

Po przeciwległej stronie placu Caitriona dostrzegła kilku mężczyzn robiących notatki. Zaciekawiała się, czy jednym z nich nie jest czasem Emil Nougier.

– Wychodzę – oświadczyła Alice. – Zaczerpnąć powietrza. Sama, jeśli nie macie nic przeciwko.

Rozejrzała się, aby sprawdzić, czy Jamie albo Cait nie zaprotestują.

– To idź – powiedział Jamie. – Nikt cię nie zatrzymuje.

Cait nagle zrobiło się go żal; był uwięziony z dwiema kobietami w jednym z najbardziej podniecających miast tego świata.

– Nie musisz nam ciągle towarzyszyć – powiedziała. – Może miałbyś ochotę wysiąść na najbliższym przystanku? Moglibyśmy spotkać się później w hotelu na kolacji.

Jamie wstał, a napięcie na jego twarzy momentalnie ustąpiło.

– No, to jest myśl. Rzeczywiście, przed naszym wyjazdem chciałbym zobaczyć tycjanowskie piękności w Luwrze. A swoją drogą, czy sądzi pani, że powinienem odwiedzić naszego znajomego inżyniera? Gdybym tego nie zrobił,

mógłby to uznać za afront. Ha, gdzie jest ta wizytówka, którą od niego dostałem?

Wyciągnął ją z kieszonki kamizelki.

– Emil Nougier – przeczytał z kiepskim akcentem.

Cait poprawiła go, czując, jak oblewa się rumieńcem.

– Będziesz musiał najpierw przesłać mu wiadomość – powiedziała. – Nie możesz się pojawić bez zapowiedzi.

Jamie odwrócił się i wbił w nią spojrzenie.

– Uważa pani, że powinienem o tym tak po prostu zapomnieć, prawda?

Statek zakołysał się na martwej fali. Byli zwykłymi turystami, przepływającymi przez miasto i odhaczającymi jedna po drugiej kolejne atrakcje, niczym więcej. Powinna zdławić w sobie pragnienie czegokolwiek więcej, nie pożądać tego, co nieosiągalne dla kogoś z jej przeszłością. Ale w końcu jakież to miało znaczenie? Za kilka dni jechali do domu. Niczego nie kładła na szali, nic nie ryzykowała.

– Przeciwnie. Jestem pewna, że Alice również chciałaby się wybrać – powiedziała. – Gdybyś wszystko umówił.

– Alice? – powtórzył Jamie, marszcząc brwi, ale po chwili uśmiechnął się. – Jestem pewien, że przynajmniej przez chwilę zdoła markować zainteresowanie inżynierią. Słuszna myśl! Zapytam go, czy może przyjąć całą naszą trójkę.

Statek cumował do nabrzeża przy Trocadéro.

– Jak masz iść, to idź – powiedziała.

– Dziękuję, pani Wallace – odparł, na powrót nakładając na głowę kapelusz.

– Czy może pani przekazać mojej siostrze, że zobaczą się z nią na kolacji?

– W swoim czasie. Myślę, że teraz jest nieco zajęta.

Oboje wyjrżeli przez okno. Alice trzymała się kurczowo barierki parowca. Nie podziwiała jednak widoków, lecz z mieszaniną grozy i zachwytu obserwowała, jak jedna z kobiet, nie wypuszczając z dłoni kieliszka czerwonego wina, podciągnęła spódnice, pokazując światu fioletowe pantalony, i samotnie zatańczyła na pokładzie.

– Ten tam to Georges Seurat – wyszeptała Gabrielle do Emila. W kącie stał słusznego wzrostu szczupły mężczyzna z wysokim czołem i spiczastą bródką. – A to jego obrazy.

Były to głównie pejzaże, zawieszane od podłogi do sufitu wśród setek innych płócien; najbliższe nosiło nazwę *Le Pont de Courbevoie*. Emil podszedł odrobinę bliżej. Malowidło składało się z maleńkich kropek farby; to, co z daleka sprawiało wrażenie fioletu, z bliska okazywało się jaskrawą czerwienią tuż obok bladego błękitu. Gdzie indziej Seurat skonstrastował jasne kolory z ciemnymi i ciepłe z zimnymi.

– Wiem, gdzie to jest – powiedział Emil. – To północna część wyspy Grande Jatte. Czy wcześniej nie namalował samej wyspy? Jak nazywał się tamten obraz?

– *Niedzielne popołudnie na wyspie Grande Jatte?* – podsunęła Gabrielle. – Widziałeś go? Czyż nie jest koszmarny? Ludzie wyglądają na nim jak lalki. Słyszałeś, co zaszło, kiedy wystawił to płótno w zeszłym miesiącu w Brukseli? Wybuchło powszechne oburzenie!

Mówiła szeptem; w galerii było bardzo tłoczno. Wszyscy chcieli zobaczyć, o co tyle hałasu, i teraz zerkali spod zmrużonych powiek na prace Seurata, a niektórzy mrugali gwałtownie, jakby dla ich oczu jaskrawe barwy i żywe odcienie były wręcz trudne do zniesienia.

– Wątpię, czy kiedykolwiek to sprzeda – ciągnęła Gabrielle. – Poza tym to strasznie wielkie. Co za strata czasu! – Podniosła wzrok i Seurat uchwycił jej spojrzenie. Lekko skinęła mu głową.

– Mówisz, że to on? – zagadnął Emil.

– Proszę, nie rozmawiaj z nim. Godzinami będzie cię zamęczał paplaniną o nauce, harmonii i tych wszystkich teoriach, które wykoncypował razem z tym swoim przyjacielem, Paulem Signakiem, który nawiasem mówiąc, jest jeszcze gorszy.

– Może powinienem to kupić?

Gabrielle sprawiała wrażenie autentycznie wstrząśniętej.

– *Grande Jatte?* Postradałeś rozum? To byłaby karygodna wręcz strata pieniędzy, nigdy byś ich nie odzyskał. A poza tym co byś zrobił z tym obrazem?

– Powiesiłbym go w swoim mieszkaniu.

– Ależ, Emilu! Przecież nie udałoby ci się przepchnąć go przez drzwi!

Roześmiała się i odrzuciła głowę do tyłu, by wyeksponować szyję. Nie tylko na jego użytek. W galerii roiło się od zwiedzających, ale nie brakowało też artystów i handlarzy sztuką. Ci pierwsi mieli ubrania w egzotycznych kolorach, bujne wąsy lub skórę zbrązowiałą po długim pobycie w jakimś gorącym miejscu. Ci drudzy ubrani byli w poważne, kosztowne garnitury i mieli kieszonkowe

zegarki. Wernisaż otwierał trzecią wystawę Société des Artistes Indépendants. W przeciwieństwie do oficjalnego Salonu paryskiego stowarzyszenie artystów niezależnych nie stosowało surowych kryteriów selekcji, nie miało też jury i było otwarte dla wszystkich twórców, o ile tylko uiścili niewielką opłatę. Wszyscy przychodzący na wernisaż chcieli zostać dostrzeżeni, uznani, docenieni. Choć właściwie po co?

– Nikt już nic nie sprzedaje – wyszeptała Gabrielle nieco później. – Nie tak jak za dawnych czasów. I te koszmarnie obrazy Seurata. Jestem pewna, że budzą w ludziach odrazę.

Wystawa była prezentowana w przestronnym Pavillon de la Ville de Paris na Polach Elizejskich. Dwupiętrowy pawilon z przeszklonym dachem zbudowano na wystawę światową w 1878 roku. Teraz w otoczonym kolumnadą foyer wyeksponowano rzeźby, a w galeriach zawieszono tysiące obrazów. Na pokazie zamkniętym nie było szczególnie tłoczno, lecz mimo to setki ludzi kłębiły się na schodach i balkonach, aby wcisnąć się do galerii; większość z nich wypatrywała artystów, o których czytywała w gazetach.

– Spójrz na to – powiedziała młoda kobieta po angielsku. – Jeśli zmrużę oczy...

Głos wydał się Emilowi znajomy. Odwrócił się, ale okazało się, że to jakaś dziewczyna i jej podstarzała matka, obie zupełnie mu nieznane. Pod jego spojrzeniem wzdrygnęły się, jakby poprosił je o drobne.

– *Pardon* – przeprosił po francusku.

Tego ranka otrzymał liścik od poznanego w balonie młodego mężczyzny, zapytującego go o możliwość zwiedzenia fabryki. Przekonywał sam siebie, że przecież można by sobie wyobrazić, że pojawią się na pokazie zamkniętym. Co więcej, mogą być tu w tym momencie, tylko w innej sali. Przypomniał sobie nagle chłód powietrza, dłoń na rękawie, smak dymu na wargach.

– Kto, na miłość boską, dał jej zaproszenie? – zdziwiła się Gabrielle.

W drzwiach galerii pojawiła się potężna kobieta, sama, nieco zdyszana. Miała na sobie różową namarszczoną suknię wieczorową z wielką tiurniurą, w stylu, który dawno już wyszedł z mody. Na szyi zawiązała aksamitkę, a swoje bujne piersi wylewające się z dekoltu przyozdobiła sztucznymi kwiatami. Nawet w mdłym świetle przesączającym się przez rolety, które zasłaniały wszystkie okna, nie sposób było nie dostrzec rozprysku czegoś ciemnego na rąbku jej sukni – być może wina lub błota. Emil poczuł coś na kształt współczucia dla kobiety. Zastanawiał się, czy dostrzegła tę plamę. Najprawdopodobniej zauważy ją później, za późno, i poczuje wstyd ogarniający jej ciało wolno i nieubłaganie – jak plama.

– Folies-Bergère znajduje się przy ulicy Richer – wyszeptał ktoś na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli.

Kobieta uniosła pulchny podbródek. „Nie mam czasu dla tych ludzi” –

wydawała się mówić jej twarz. Miała inne sprawy, którymi musiała się zająć. Jej spojrzenie kilkakrotnie prześliznęło się po tłumie, po czym wreszcie spoczęło na Seuracie. Poprawiła sobie gorset, ściągnęła łopatki, podeszła prosto do niego i pocałowała go w same usta. Cała sala jak na komendę wciągnęła powietrze, dając wyraz powszechnemu oburzeniu i ledwie skrywanej grozie.

– Jego kochanka – wyartykułowała bezgłośnie Gabrielle. – Czy oboje nie są wręcz perfekcyjnie paskudni? Chodźmy.

Ujęła Emila pod ramię i oboje przeszli przez pozostałe sale obwieszone setkami obrazów.

– Tyle miernoty – powiedziała. – Teraz każdy sądzi, że może zostać artystą. Tyle że nie może.

– A gdzie jesteś ty? – zapytał. – Chciałbym zobaczyć przedstawiający cię obraz.

Gabrielle odwróciła się i wbiła w niego spojrzenie. W przygaszonym świetle jej skóra wydawała się blada, a dolna warga miała kolor ciemnej, głębokiej czerwieni.

– W następnej sali – odparła, mrugając niespokojnie wielkimi oczami. – Ale... proszę... Nie...

– Nie...?

Nie odpowiadając, zerknęła w kierunku drzwi prowadzących na balkon nad głównym foyer. A potem ujęła w dłoń fałdę spódnicy, odwróciła się i popłynęła w ich stronę. Nie. Słowo odezwało się echem w jego głowie. Nie rób sceny? Nie zakochuj się we mnie? Nie był pewien, czy potrafi – nawet gdyby chciał.

Tego wieczoru Gabrielle włożyła suknię odsłaniającą ramiona, a włosy upięła w luźny kok na czubku głowy. Ramiona miała wąskie, talię jeszcze węższą. Wcześniej zapragnął wyciągnąć ręce, położyć obie dłonie na tych szczupłych biodrach, których linię kreśliły cienkie zarysy stali wewnątrz gorsetu, i przyciągnąć ją do siebie. Jakby czując jego wzrok na sobie, Gabrielle odwróciła się, lecz zamiast uchwycić jego spojrzenie, popatrzyła w przestrzeń za nim. Rozejrzał się, odkrywając, że wpatruje się w nią starszawy, dobrze ubrany dżentelmen z monoklem. Na uchylonych ustach Gabrielle zaigrał lekki uśmiech.

– Pan Nougier! – zawołał jakiś głos. – Dziękuję za przybycie. Żona zapewniała mnie, że pan będzie.

W jego stronę kuśtykał mężczyzna z wyciągniętą dłonią. Emil poczuł wyrzuty sumienia. A zatem tak wyglądał mąż Gabrielle.

– Za nic nie chciałbym tego przegapić – odpowiedział.

– Proszę – powiedział malarz – chciałbym panu pokazać swoją nową pracę. To najlepsze, chyba najlepsze, co kiedykolwiek namalowałem.

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażał. Choć malarz miał akcent typowy dla klasy średniej, sprawiał wrażenie zaniedbanego, ubogiego, chorego. Zalaatywało od

niego surowym czosnkiem i świńską skórą, skwaśniałym winem i dymem. Emil przepychał się za nim przez tłum, patrząc mimowolnie na jego wytarty kołnierzyk, zdarte obcasy i chromą nogę. Jakie nieszczęścia spadły na tego artystę oprócz polio? I jak to możliwe, że znosi dzielenie się swoją śliczną żoną z kimkolwiek?

– W tej sali jest lepsze światło – powiedział malarz. – Okna wychodzą na północ.

Emil celowo odczekał, aż znajdzie się na samym środku galerii, po czym spojrzął na prace. Kobieta czytająca książkę. Kobieta przypatrująca się sobie w lustrze. Kobieta śpiąca w łóżku, z odwróconą twarzą. Kobieta naga, z kwiatami we włosach i uchwyconym na twarzy uśmiechem.

– Podobają się panu? – zapytał malarz.

To nie była Gabrielle. Kończyny miała nie tak zgrabne, sylwetkę nie tak miękko zarysowaną, kształt podbródka niewystarczająco wdzięczny. A jednak to była ona.

– Tak. Bardzo.

Później Emil stał w oknie szatni i obserwował rząd powozów toczących się w deszczu po Polach Elizejskich. Spod drzewa wyszedł jakiś mężczyzna z jedną ręką. Rozpiął sobie brudną koszulę i ochlapał wodą szyję i pierś, a potem natarł sobie brodę, twarz, ciało i kikut. Ale to był miejski deszcz, taki, który pozostawia ciemne smugi na umytych oknach i plamy na upranej bieliźnie. Emil podejrzewał, że mężczyzna będzie wkrótce jeszcze brudniejszy niż przedtem.

Zamyślił się. Czy ten człowiek był w Paryżu w maju 1871 roku, podczas krwawego tygodnia, gdy miasto stanęło w ogniu, powietrze stało się ciężkie od dymu, a trupy powstańców zaścieliły ulice? Czy właśnie wtedy stracił rękę? Emila ominęła rzeź, pracował wówczas w Austro-Węgrzech przy budowie mostu na Cisie. Nie ucierpiał.

Gdy kiedyś Gabrielle za dużo wypijała, opisała mu zawrozcenie wiatru w okapie, przetykane odległym terkotem karabinów. Opowiedziała mu o tym tygodniu spędzonym w mieszkaniu w górnych rejonach dzielnicy Belleville ze swoimi młodszymi siostrami, kiedy głodując w wyniku pruskiego oblężenia, czekały, aż ich ojciec, działacz Komuny Paryskiej, wróci do domu i przyniesie im trochę chleba. Nie wrócił ani tej nocy, ani następnego dnia. I nie było w tym nic dziwnego. Często zniknął na całe dni, sprawiwszy im wcześniej tęgie lanie. Ale tym razem nie wrócił w ogóle. Matkę wezwano w końcu do zidentyfikowania ciała leżącego na stercie pod murem cmentarza Père-Lachaise. Gabrielle poszła razem z nią jako najstarsza córka. Powiedziano im, że ojciec, po tym, jak dopadli go w pobliżu miejsca spoczynku Balzaca i Delavigne'a, został związany, postawiony pod murem i stracony przez pluton egzekucyjny.

– Kiedy go zobaczyłam, poczułam wyłącznie wściekłość – powiedziała Gabrielle Emilowi. – Miał puste kieszenie. Nawet kromki chleba. Zostawił nam

tylko siniaki.

Chociaż to pruskie wojska otoczyły miasto, odcięły je od świata i zmusiły mieszkańców do tego, żeby w imię przetrwania zjadali wszystko, co napotykali na swej drodze, zarzynając zwierzęta z zoologu i pożerając szczury, masakry komunardów dokonały oddziały rządowe już po podpisaniu traktatu i wycofaniu się wrogich oddziałów. Gabrielle rzadko wspominała o swoim dzieciństwie i może nie było się czemu dziwić: maltretujący rodzinę ojciec, matka pokonana przez kiłę, dwie siostry zmarłe na suchoty, szkarlatyna, która osłabiła jej serce... Kartoteka przemocy i słabego zdrowia, biedy i zgorzknienia.

A jednak w odróżnieniu od innych mieszkańców dzielnic nędzy, ludzi o kościach policzkowych wyostzonych głodem, który nigdy całkowicie ich nie opuścił, Gabrielle nie nosiła na twarzy śladów przeszłości. Co więcej, właśnie dzięki swej aparycji szybko uciekła z Belleville. Jako dwunastolatka została dostrzeżona przez jakiegoś malarza i wynajęta do pozowania. Przez następne piętnaście lat przenosiła się od jednego artysty do drugiego, mieszkując to na brudnych poddaszach, to na strychach, po których hulał wiatr. Pięła się powoli, ale pewnie, a do tego po drodze udało jej się zdobyć męża. Ubierała się coraz szykowniej, przyciągała krąg wielbicieli i budowała kapitał społeczny. Nie wynajmowano jej już na godziny, była ponad to. Jej kochankowie, artyści, przyjaciele wynagradzali ją w inny sposób: obrazami, sukniami, biżuterią albo wyjściami do opery. Wkrótce trudno już było odgadnąć jej pochodzenie. Miała długą, arystokratyczną szyję i niski, elegancki tembr głosu. Emilowi wydała się nieco przesadna jej deklaracja, że z wieku dziewczęcego nie wyniosła nic poza duszą. Kiedy poznał ją – i jej duszę – nieco lepiej, uświadomił sobie, że jednak to prawda. Czasem jednak wciąż dostrzegał w niej dziewczynkę, głodną i proszącą o chleb.

Znad wieszaków zarzuconych płaszczami i kapeluszami unosił się zapach kamfory i mokrej wełny. Ale przynajmniej szatnia była pusta. I cicha. Emil usiadł na otomanie i przeczesał włosy palcami. Spuścił wzrok na swe dłonie, na których można już było dostrzec ślady upływającego czasu. Należało ruszyć naprzód, wyzwolić się, wziąć na siebie odpowiedzialność! Cóż on robił ze swym życiem?

Klamka drgnęła i drzwi się otworzyły.

– Tutaj jesteś! – powiedziała Gabrielle, stając w progu. – Wszędzie cię szukałam. Właściwie bliska już byłam rezygnacji.

W jej głosie zabrzmiał cień wyrzutu, jakby to była jego wina, że tak trudno go było wytropić.

– Tu jest za dużo ludzi – wyjaśnił. – Potrzebowałem chwili spokoju.

Gabrielle zamknęła za sobą drzwi. Wzięła głęboki wdech, po czym wypuściła powietrze z płuc i uśmiechnęła się.

– Wszystko jedno. Nigdy nie zgadniesz, co się stało!

Pokręcił głową.

– Sprzedał je – wypaliła. – Sprzedał je wszystkie.

Nagle dostrzegł, że oczy jej błyszczą, a policzki płoną.

– Wiedziałaś – ciągnęła. – Wiedziałaś, że w końcu do tego dojdzie.

Wszyscy idziemy to uczcić! – Zamilkła na moment. – Bardzo bym chciała, żebyś poszedł z nami, o ile masz rzecz jasna ochotę, ale oczywiście zrozumieć, jeśli niekoniecznie. To znaczy, nie czuj się zobowiązany.

Jednym tchem zaprosiła go i zniechęciła. Taka właśnie była.

– Tak naprawdę mam sporo pracy.

Gabrielle skinęła głową. Przecież tym się właśnie zajmował. Pracą. Harowaniem w jakimś anonimowym biurze. Poprosiła kiedyś, żeby jej wytłumaczył, na czym polega jego zawód, ale przerwała mu po kilku minutach.

– Równie dobrze mógłbyś do mnie mówić po rosyjsku. Nie rozumiem ani słowa!

Za oknem jakiś mężczyzna wybuchnął śmiechem, jakaś kobieta zawołała do drugiej, żeby ta na nią poczekała. W powietrzu dała się wyczuć zmiana, ludzie zaczęli wychodzić. Gabrielle odgarnęła z twarzy kosmyk włosów, a potem pochyliła się, żeby go pocałować.

– No cóż, przynajmniej tu jesteś. Bardzo ci dziękuję za przyście.

– A tak przy okazji – zapytał – kto je właściwie kupił?

Zastygła, z wargami oddalonymi od jego ust zaledwie o kilka centymetrów, jakby to pytanie nie przyszło jej wcześniej do głowy.

– Jakiś kupiec, kto go tam wie – powiedziała, prostując się. – Nikomu innemu, to znaczy nikomu liczącemu się, nie udało się sprzedać więcej niż dwóch studiów.

– Nawet Seuratowi?

– Zwłaszcza Seuratowi.

Zastygła na chwilę, a potem jej spojrzenie spoczęło znów na Emilu. Zamrugła oczami.

– Nie było tak źle, prawda? – zapytała.

Ukrył twarz w fałdach jej niebieskiej jedwabnej sukni, sukni, którą pomógł jej wybrać i za którą zapłacił, sukni, za którą mu jeszcze nie podziękowała, i wciągnął głęboko powietrze.

– Podobały ci się obrazy?

– Nie tak bardzo jak modelka. Zamknijmy drzwi i zrobmy to teraz – wyszeptał. – Wśród tych wszystkich płaszczy.

Roześmiała się.

– Czy ty nigdy o niczym innym nie myślisz?

– Nie. Nigdy.

I wtedy Gabrielle jakby zmartwiała.

- Co? O co chodzi?
- O nic. – Uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.
- Gabrielle?
- No dobrze. Nienawidzę prosić, ale czy mógłbyś mi pożyczyć dwadzieścia franków?

Odsunął się od niej, wyciągnął banknot z portfela i podał jej go.

- To pożyczka – zastrzegła.
- Oczywiście.
- Jesteś kochany. – Ucałowała go w czubek głowy. – No i co myślisz?

O sukience?

- Bardzo wykwintna.

Okręciła się, a Emil otoczył jej talię dłońmi. Pod wierzchnią suknią miała małą, miękką skórzaną torebkę z czymś twardym w środku.

- Co to jest? – zapytał, wyciągając ją.
- Nic – odparła szybko, próbując mu ją wyrwać.
- Wcale nie wygląda na nic.

Trzymał teraz torebkę poza jej zasięgiem, a kiedy ją otworzył, ze środka wypadł niewielki przedmiot i potoczył się po podłodze. Emil podniósł go, zanim gorset Gabrielle pozwolił jej się schylić i go uprzedzić. Jej uśmiech znikł.

– Daj mi to – powiedziała, a jej oczy pociemniały od wrogości, której nigdy wcześniej w nich nie widział.

Położył na jej otwartej dłoni małą platerowaną strzykawkę. Gabrielle zacisnęła dłoń, wrzuciła strzykawkę z powrotem do torebki i wyszła bez słowa.

Było wcześniej, miasto spowijała jeszcze mgła, zarysy wyższych pięter kamienic wydawały się miękkie, rozmyte, jakby pociągnięte niechlujnie gruntem. Fabryka Eiffela w Levallois-Perret znajdowała się w odległości krótkiego kursu dorożką od centrum miasta, w siedemnastej dzielnicy, niedaleko na północ od Lasku Bulońskiego.

– Mam nadzieję, że uprzytamniasz sobie, jak niewiarygodnie podniecające będzie to przeżycie – powiedział Jamie. – Poznamy Gustawa Eiffela. Ten człowiek to geniusz!

– Komitet Trzystu wydaje się nie podzielać tej opinii – stwierdziła Alice. – Jak określili tę wieżę? Bezużyteczna. Potworna.

– Kto ci to powiedział? – zapytał Jamie.

– Ty – odparła. – Pisali o tym w gazecie, nie pamiętasz? Czytałeś mi to na głos.

Jamie wytarł zaparowane okno i zapatrzył się na widoczny w oddali fort Mont-Valérien.

– Co oni tam mogą wiedzieć? – Wzruszył ramionami.

– Wyobrażam sobie, że całkiem sporo – odparowała Alice.

– To będzie najwyższa wieża na świecie, Alice – oświadczył, odwracając się do niej. – Trzysta metrów wysokości. Co więcej, będzie zrobiona z żelaza, wyłącznie z żelaza, jak most. A co pani sądzi, pani Wallace?

– Trudno powiedzieć. Może się okazać naprawdę cudowna.

Alice westchnęła głośno, po czym odwróciła się do brata.

– To będzie budynek pozbawiony skóry, nie cudowny, lecz kompletnie groteskowy. Nie do wiary, że tak zmieniłeś ton, Jamie.

Mężczyzna odchylił się na oparcie i uśmiechnął się. Powstrzymanie się od zgryźliwej riposty, od uszczypliwej uwagi było do niego zupełnie niepodobne, ale w jego sposobie bycia dawały się dostrzec jakieś niezauważalne dotychczas lekkość i pogoda ducha. Zaledwie kilka dni temu zdawał się cierpieć na klaustrofobię, ruchy miał sztywne, spojrzenia wyzywające, jak gdyby chodził na napiętej smyczy, rozpaczliwie marząc o ucieczce z uwięzi ich towarzystwa. Nagle jakby gdzieś otworzyły się jakieś drzwi, a on był już jedną nogą za nimi, odprężony i pogodzony ze światem, jakby ich sprawy już go nie dotyczyły.

Najwyraźniej należało zmienić temat. Alice stanęła na wysokości zadania.

– Czy słyszałeś? Miriam Morrison, córka twojego nauczyciela łaciny, jest przy nadziei.

– Kto ci o tym powiedział? – zapytał Jamie.

– Dostałam wczoraj list od Tiffie. Rodzina próbowała utrzymać to w sekrecie, wysłać ją do jakiegoś ośrodka w Dumfries dla niezamężnych matek, ale

sprawa się rozniosła.

– Biedna dziewczyna – westchnęła Cait.

– Od lat jej nie widziałem. – Jamie zapatrzył się w okno.

– Gdzie byłeś zeszłej nocy? – zapytała Alice. – Pukałam do drzwi, ale bez skutku.

– W każdym razie nie z Miriam Morrison. – Zaśmiał się.

– James! – skarciła go Alice. – To nie są żarty.

Zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, jakim kłamstwem się wyłgać.

– W moim pokoju było za gorąco – powiedział wreszcie. – Wyszedłem zaczerpnąć powietrza.

– Dlaczego po prostu nie otworzyłeś okna?

Cait, wyczuwając, że zanosi się na kolejną awanturę, włączyła się do rozmowy, przyznając, że owszem, sypialnie w hotelu są przegrzane, ale kiedy otworzy się okno, do pokoju wlewa się okropny hałas z ulicy.

– Sama musiałam otworzyć okno w toalecie – dodała.

Alice i Jamie jednocześnie stłumili chichot. Takie właśnie wrażenie sprawiała na nich przez większość czasu: osoby przekornej i ekscentrycznej – i sama ich w tym mniemaniu utwierdzała.

– Po prostu bądź ostrożny – powiedziała Cait.

– Nie chcemy znaleźć twojego ciała unoszącego się na wodach Sekwany – dodała Alice.

Poza śródmieściem Paryża ulice stawały się węższe, budynki wyższe, za oknami wywieszano pranie, a na murach wymalowywano reklamy absyntu i cointreau. Dzieci rzucały kamieniami do brudnych, brązowych kałuży, a dziewczyny zaledwie kilka lat od nich starsze, ze sznurkami sztucznych pereł na szyjach i z kroplami deszczu we włosach, wystawały po bramach, czekając na klientów. W pierwszej chwili Caitriona poczuła się wstrząśnięta biedą, bezwstydem, z jakim te młode kobiety sprzedawały swoje ciała, obojętnością na skrajną nędzę i moralny upadek.

Tymczasem Paryż, jak sobie uzmysłowiła, nadrabiał miną. Nowy, imponujący rozkład ulic, rozległe, otwarte przestrzenie, gigantyczne pomniki – całe miasto skonstruowano dla jednej klasy społecznej kosztem drugiej. Powstały tysiące okazałych kamienic i nowiutka sieć kanalizacji długości sześciuset kilometrów; znalazło się wystarczająco dużo bajecznie majątnych, utytułowanych i goniących za modą obywateli, którzy w nich zamieszkali, ale byli oni dosłownie niewidzialni, ukryci w powozach, schowani za wielkimi, ozdobnymi metalowymi bramami. Jadali w skrytych za ciężkimi kotarami restauracjach w rodzaju Paillarda przy ulicy Rivoli, a letnie miesiące spędzali w Cabourgu, Deauville, Biarritz czy Baden-Baden.

Poprzednich mieszkańców centrum Paryża – tych, którzy zamieszkiwali

kiedyś chaty obok Luwru lub wąskie uliczki Île de la Cité, tych, których pradziadowie i prababki szturmowali Bastylię, ogłaszali Francję republiką i spuszczały ostrze gilotyny na szyje monarchy i jego zwolenników niespełna sto lat wcześniej – zmuszono do zajęcia nowych, uboższych kamienic w zewnętrznych dzielnicach miasta. Jednak wrócili – do Les Halles, na ulicę Rivoli i do Lasku Bulońskiego – przynosząc ze sobą cały ten zgiełk i zamęt, które przynosili zawsze. A byli jeszcze głodni, bezdomni, zagubieni, obłąkani i śmiertelnie chorzy, którzy wbijali w przechodniów spojrzenia, siedząc na lśniących stopniach opery Garnier lub pod elegancko przystrzyżonymi drzewami alei des Gobelins albo bulwaru Saint-Michel, jako że nie mieli dokąd pójść, bo chociaż Haussmann skłonny byłby wyrazić inną opinię, miasto w takim samym stopniu należało do nich jak do całej reszty.

Choć Paryż stał się stolicą zdobną balkonami i soczystą zielenią parków o dostępnych dla wszystkich placach i urządzonych z przepychem teatrach, było w nim coś, czego nie dawało się zamurować, zracjonalizować liniami prostymi i porządkiem fasad. Niezależnie od swego wyglądu to miasto miało być zawsze czymś wykraczającym poza jego architekturę. W powietrzu dawało się wyczuć drżenie obecne w burzliwym nurcie rzeki i smaku żywicy z rozległych lasów ciągnących się niemal nieprzerwanie od Beauvais na północy do Orleanu na południu. Średniowiecze i współczesność stapiały się w jedno pod mostami Sekwany, a ponad miastem biały pył z placu budowy bazyliki Sacré Coeur mieszał się z czarną sadzą i ze smrodem unoszącymi się znad Marais, dzielnicy biedoty, lub znad popękanych ulic ciągnących się wzdłuż torów na Montparnassie, tworząc mgłę, która w odpowiednim świetle wydawała się niemal srebrna.

Levallois-Perret było niegdyś niewielką wsią na przedmieściach Paryża. Układ dzielnic zaprojektowany przez Haussmanna wypchnął większość przemysłu na skraj miasta i wioska stała się strefą przemysłową, w której fabryki i magazyny wznosiły się tuż obok porzuconych ogrodów. Fabrykę Eiffela otaczał wysoki mur, ale łatwo ją było rozpoznać dzięki nieprzerwanemu strumieniowi wyładowanych do granic wozów konnych wyjeżdżających za jej drewnianą bramę oraz fetorowi siarki i płonącego węgla drzewnego. Kiedy powóz zbliżył się do bramy głównej, Jamie głęboko wciągnął powietrze do płuc.

– Czy nie przychodzi ci to na myśl domu? Fabryki Dalmarnock?

Spojrzał na swoją siostrę, ale ta milczała, mocno zacisnąwszy wargi.

– Dlaczego tak się zachowujesz, Alice? – warknął.

– Jak?

– Nie chcesz stać się... kimś?

– Chcę dobrze wyjść za mąż, jeśli to masz na myśli. Masz jakąś inną propozycję?

– A zatem chcesz wrócić do Szkocji i tam zgnieć.

– Tak się składa, że akurat stamtąd pochodzimy – odparowała. – I nigdzie ani przez sekundę nie zamierzam gnić.

– Natychmiast przestańcie! – wtrąciła się Cait. – Oboje.

– A czy nie wolałabyś zostać tutaj – ciągnął Jamie – gdybyś miała taką możliwość? Cóż może nas czekać w Glasgow?

– Nie wiem, co sobie roisz, ale odpowiedź brzmi „nie” – przerwała mu Alice. – I nie zmusisz mnie. Choćby z tego powodu, że ja go w ogóle nie znam.

Jamie mu dłuższą chwilę zajęło zrozumienie, o czym mówi jego siostra.

– Masz na myśli tego francuskiego inżyniera? Energicznego monsieur Nouguiera?

– Czy tak właśnie się nazywał? – zapytała Alice i zapatrzyła się w okno.

– Czy nie są to rozważania odrobinę przedwczesne? – wtrąciła Cait. – Tak jak powiedziała Alice, spotkaliśmy go tylko raz, i to przelotnie.

– A czy kiedykolwiek był to warunek konieczny do zawarcia małżeństwa? – parsknął Jamie. – Nie wydaje mi się.

– A poza tym – rzuciła Alice – spodziewam się oświadczyć.

– Jeśli masz na myśli tego wieprza... Niżej już chyba nie mogłabyś mierzyć.

– Wystarczy – ostrzegła Cait.

– Nazywa się Hogg – powiedziała Alice z naciskiem. – Pan Arthur Hogg.

– Nazywaj go sobie, jak chcesz, ma pieniądze, za to brak mu poczucia humoru. Idealny mąż!

Alice spurpurowiała na twarzy. Wyglądała, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem.

– Nie słuchaj go – pospieszyła z pomocą Cairiona. – Jamie, myślę, że powinieneś przeprosić siostrę.

– Za co? Za to, że stwierdziłem coś oczywistego? Przecież ona myśli tak samo. Prawda, Alice?

Alice otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie głosu.

– Widzi pani! – prychnął Jamie.

Powóz się zatrzymał.

– Tylko już nie nazywaj go wieprzem – powiedziała Alice.

Boczne drzwi powozu otworzyły się na halę magazynową, dwukrotnie większą od warsztatów Dalmarnock Arrola. Piętrzyły się w niej stosy krótkich żelaznych belek i drewnianych beczek wypełnionych metalowymi śrubami. W głównej części dziesiątki robotników nosiły dźwigary lub targały worki, dokładały do ognia albo skręcały ze sobą poszczególne metalowe elementy. Po jednej stronie znajdowały się liczne ogromne wiertarki promieniowe, a po drugiej spod sufitu zwisały w rzędzie wielokrażki i haki. Widoczność ograniczał kurz unoszący się w powietrzu pachnącym rozgrzanym metalem, w którym rozlegał się tępy łoskot młota uderzającego o kowadło, przerywany przenikliwym świstem

i zgrzytem wiertarek.

– Imponujące – powiedział Jamie.

– Obrzydliwe – skwitowała Alice. – No to dokąd teraz?

– Nouguiet napisał, że powinniśmy skierować się prosto do głównego biura.

Zamiast jednak zaprowadzić panie do środka, gdzie siedzieli skuleni nad biurkami kreślarze, Jamie poprowadził je przez środek fabrycznej hali. Alice miała na sobie białą suknię, futrzaną etolę i nowy kapelusz przyozdobiony pawimi piórami. Nie chciała dopuścić, by jej brat o wszystkim decydował, skoro ich pobyt w Paryżu dobiegał już końca, ale ostatecznie zgodziła się odwiedzić fabrykę Eiffela i skorzystać z okazji zaprezentowania nowego stroju, który ledwie co odebrała od krawca. Całą halę pokrywała jednak warstewka czarnego smaru z rodzaju tych, co wchodzi za paznokcie i wżerają się w skórę dłoni.

– Uważaj, by niczego nie dotykać – ostrzegła ją Cait.

Za późno. Opuszki palców Alice zostawiły już pięć malutkich plamek na staniku jej sukni.

– Och! – krzyknęła i spojrzała na Jamiego.

– Mówiliśmy ci, żebyś niczego nie dotykała – odparował.

– Łatwo ci powiedzieć.

– Przykryj to etolą – zasugerowała Cait. – Nikt nic nie zauważy.

Alice mocniej owinęła się futrzaną pelerynką. Przyjrzała się swoim dłoniom i wytarła smużki smaru chusteczką.

– Powiedźcie mi – wyszeptała – dlaczego oni tak na nas patrzą?

Kilkunastu robotników przerwało swoje zajęcia i wbiło w nich spojrzenia. Jeden z nich uchylił czapki. Twarz miał czarną od sadzy, ale wokół oczu rozchodziły się promieniście drobne białe zmarszczki.

– Są po prostu ciekawi – powiedziała Cait. – Jamie, jesteś pewien, że nie sprawiamy kłopotu?

– Dlaczego mielibyśmy sprawiać?

Emil Nouguiet czekał na nich przed biurem, u szczytu metalowych schodów. W świetle wpadającym długimi promieniami przez znajdujące się powyżej zakurzone okna dostrzegła natychmiast, że malujący się na jego twarzy uśmiech jest szczery.

– Zapraszam serdecznie – powiedział.

Cait wybrała na tę okazję swoją najpoważniejszą wełnianą suknię w czarno-szarą kratę. Alice w swej białej sukience i nowym kapeluszu, spod którego wymykały się jasne loczki, jaśniała blaskiem u jej boku.

– Dziękujemy – powiedział Jamie. – Przepraszamy za spóźnienie. Pamięta pan moją siostrę?

Inżynier skłonił się Alice, po czym zwrócił się ku Cait.

– I panią Wallace? – dodał Jamie.

– Oczywiście.

Podawała mu rękę. W taki sposób kobieta zamężna powinna witać mężczyznę, nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale Cait nagle zabrakło tchu, a kiedy inżynier ujął jej dłoń i lekko ją uścisnął, nieoczekiwanie poczuła się skrępowana i zakłopotana.

– Powinniście byli jednak skorzystać z wejścia dla gości – rzekł. – Przeszliście przez halę fabryczną.

Alice spojrzała znacząco na brata, ale zamilczała.

– Chcieliśmy zobaczyć na własne oczy halę i warsztaty – odparł Jamie. – Imponująca organizacja.

– Wszystko, co widzicie, przyczynia się do budowy wieży – wyjaśnił Nougier. – Każdy element zostanie tu przewiercony lub wygięty, a następnie przetransportowany na miejsce budowy.

– Wydaje się to niebagatelnym przedsięwzięciem – zauważył Jamie.

– I bez wątpienia takim jest. Zgodnie z naszymi wyliczeniami potrzebujemy osiemnastu tysięcy różnych elementów i ponad dwóch milionów nitów.

– Wielkie nieba! – westchnęła Alice.

– A jak ją złożycie? – zapytał Jamie.

– Zaczniemy od fundamentów i będziemy się piąć. Każdy element, już po ukształtowaniu, zostanie przewieziony na plac budowy i ręcznie przynitowany w odpowiednim miejscu.

– I to zadziała? – spytała Alice.

Po chwili milczenia, tak krótkiej, że niemal niezauważalnej, inżynier się roześmiał.

– Taką mamy nadzieję. Chodźmy – powiedział, wyprowadzając ich na korytarz. – Zatrudniamy nie tylko dziesiątki specjalistów zajmujących się obróbką metali, ale i cały zespół kreślarzy.

– A kiedy poznamy najważniejszą postać tego przedsięwzięcia? – chciał wiedzieć Jamie.

– Monsieur Eiffel jest bardzo zajęty. Ale oczywiście sprawdzę, czy znajdzie chwilę. – Zatrzymał się przy oknie wychodzącym na halę. – Jak państwo widzą, pracujemy nad zbrojeniami, którymi zostaną wzmocnione betonowe płyty fundamentów.

Ogromne stalowe pręty lśniły, rozgrzane do czerwoności, uderzane młotami i wyginane. Uszy pękały od łoskotu wiertarek. Nougier musiał wrzeszczeć, żeby je przekrzyczeć.

– Aby mieć pewność, że wieża zachowuje absolutny pion – ciągnął – wykorzystamy kesony pneumatyczne...

Alice ziewnęła. Wiercenie ustało.

– Może wolałaby pani sama rzucić okiem? – zaproponował Nougier. –

Takie suche objaśnienia mogą wydawać się nudne.

Alice zamrugała szybko oczami, po czym lekko potrząsnęła głową.

– Może – podsunęła Caitriona po francusku – mogłybyśmy tu gdzieś poczekać...

– Czy młodej damy w ogóle to nie interesuje? – odpowiedział pytaniem, również po francusku.

Cait uśmiechnęła się bez słowa.

– A panią? – indagował dalej. – Dlaczego nie pójdzie pani bez niej?

– Co on mówi? – wyszeptała Alice.

Cait spróbowała zbyć tę bezpośrednią uwagę.

– Czy mogłybyśmy gdzieś tutaj poczekać? – zapytała.

Mężczyźni niespiesznie odeszli korytarzem, a Cait i Alice usiadły na twardej drewnianej ławie. Przez chwilę milczały. Caitriona przymknęła powieki i nagle przed oczyma stanął jej niski szary horyzont Fife z Morzem Północnym w tle i słońce prześlizgujące się po nizinie jak dłoń przeczesująca beztrudnie włosy. Kiedy była tam ostatnio? Czy z Saulem niedługo przed tym, zanim się pobrali? A może jako dziecko na wakacjach w St. Andrews? Dlaczego przypomniała sobie o tym akurat teraz? Może właśnie wtedy po raz ostatni brała szczęście za pewnik? I nagle dotarł do niej głos Alice, sprowadzając ją z powrotem do paryskich warsztatów inżyniera.

– Jest całkiem energiczny – mówiła. – A ja nie musiałabym tutaj przychodzić, prawda? W każdym razie niezbyt często?

Cait otworzyła oczy. Buzia Alice zmarszczyła się w wyrazie skupienia.

– To znaczy, pani nie musiała, prawda? Kiedy była pani mężatką? Nie musiała pani przychodzić do biura swojego męża?

Słońce świeciło wciąż jasno, ale świat nagle zmroczniał. Cait próbowała przekonać samą siebie, że to było dawno, ale czas nie miał natury linearnej. Wstrząs po tym, co się wydarzyło, nie zelżał, został po prostu głębiej pogrzebany, i czasem oślepiająca potworność, niedające się ukryć upokorzenie i nieznośny wstyd otwierały się w niej jak nocny kwiat.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, Alice odwróciła się i przyjrzała twarzy swojej opiekunki.

– Strasznie przepraszam. Co za idiotka ze mnie, że w ogóle o tym wspomniałam.

– Nie, nie przejmuj się – odpowiedziała Caitriona, uśmiechając się z wysiłkiem.

Przekonana, że niezręczny moment już minął, Alice podjęła przerwany wątek.

– Widzi pani, jakaś część mnie nie chce się zestarzeć na tyle, żeby stać się niezdatną do zamążpójścia i skończyć w roli starej panny. Ale ta druga część ma

ochotę uciec.

– Nie zostaniesz starą panną, Alice.

– Wiem. Zawsze zostaje wieprz.

– Pan Hogg sprawia wrażenie osoby posiadającej wiele zalet. Nie słuchaj tego, co wygaduje Jamie.

Alice odwróciła się i spojrzała na Cait.

– Co pani o nim myśli? – wyszeptwała. – O inżynierze? Myśli pani, że mógłby być dla mnie dobrą partią? Wuj William nie posiadałby się z radości. Ale jest taki stary!

– Stary?

– Musi mieć co najmniej czterdzieści lat.

– To nie jest podeszły wiek. Jak na męża.

Ale Alice już prawie nie słuchała. Pochłonęły ją własne myśli.

– Musiałabym się nauczyć francuskiego – ciągnęła. – Może pani mogłaby mnie uczyć? A po ślubie moglibyśmy się przenieść do ślicznego domku w pobliżu Lasku i mieć całą gromadkę francuskich dzieci, które moglibyśmy nazwać na przykład Pierre albo Mathilde.

– Alice, może nie powinnaś uprzedzać faktów.

– Ale mój wuj był dla nas taki dobry. Nie chciałabym go rozczarować.

Piętro niżej trzasnęły drzwi. Krótki wybuch śmiechu Jamiego poprzedził szuranie stóp na schodach. Wracali.

– Jak wyglądam? – zapytała Alice. Zamrugwała swoimi wielkimi oczami do Cait.

– Uroczo – odpowiedziała Cait.

To była prawda. Rzeczywiście tak wyglądała.

– Ale co z sukienką?

– Jego nie interesuje twoja sukienka, Alice.

Na szczycie schodów pojawili się Emil, Jamie i niższy, prawie pięćdziesięcioletni mężczyzna z zaczesanymi na bok siwymi włosami. Ujrawszy damy, podszedł do Cait i skłonił się.

– Mademoiselle Arrol? – zapytał. – Gustaw Eiffel.

W niezręcznej sytuacji, jaka powstała, Alice wysunęła się naprzód.

– To ja jestem panną Arrol, monsieur Eiffel. Zna pan naszego wuja, jak przypuszczam?

Mężczyzna przeniósł wzrok z Caitriony na Alice i skłonił się raz jeszcze.

– Proszę mi wybaczyć. W rzeczy samej. To znakomity inżynier i niezwykle zajmujący kompan. Podziwiam go z całego serca.

Alice jakby się rozluźniła. Uśmiechnęła się i ciasniej owinęła futrzaną etolą.

– Ciężko pracuje przy budowie kolejnego mostu – powiedziała, zerkając na Emila. – Na rzece Forth, w pobliżu Edynburga.

– Ach, oczywiście – odpowiedział Eiffel. – Zamierzamy specjalnie wybrać się do Szkocji, żeby go zobaczyć, gdy zostanie już ukończony.

Alice rozpromieniła się z dumy, jakby to były jej most i jej rzeka. Jamie bacznie ich wszystkich obserwował. W końcu dostrzegł sposobną chwilę.

– Jestem pewien, że wuj zgodziłby się ze mną, że chętnie nawiązałibyśmy bliższe stosunki. Zwiążali Paryż ze Szkocją. Mam pewną propozycję.

Jego siostra gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej błękitne oczy rozwarły się z przerażenia.

– Ależ nie przerażaj się tak – zaśmiał się Jamie. – Mam kilka własnych pomysłów. Dotyczących mnie i tylko mnie. Panie Eiffel, chciałbym tu wrócić i pracować jako czeladnik przy budowie wieży. Czy byłoby to możliwe?

Spojrzał wyczekująco na inżyniera.

– Zasadniczo nie mam nic przeciwko – odpowiedział Eiffel. – Panie Nouguier?

Ale uwagę Emila Nouguiera zajęło coś innego: korytarzem w ich stronę biegł jeden z pracowników biura. Pana Eiffela wzywano natychmiast na halę produkcyjną.

– Panie Nouguier? – przynaglił go Jamie, kiedy już Eiffel, życzywszy im miłego dnia, oddalił się korytarzem. Nouguier zamrugął raptownie, potarł oczy i przeprosił.

– Wstałem o piątej – wyjaśnił. – Przepraszam.

– Na nas już pora – powiedziała Cait. – I tak zajęliśmy zbyt dużo pańskiego czasu.

Spojrzenie Alice przeskoczyło z Jamiego na Nouguiera i z powrotem.

– Ale przecież wieża! – zaprotestowała i zaśmiała się niezręcznie. – Są może jakieś plany czy coś, co moglibyśmy obejrzeć? To znaczy, tak na szybko. – Wyczekująco przekrzywiła głowę.

– Z przyjemnością pokażę państwu pierwotne szkice – zmuszony był odpowiedzieć Emil.

Po twarzy panny Arrol rozlał się wyraz ulgi.

– Cudownie. Byłabym zainteresowana. W gruncie rzeczy bardzo zainteresowana.

Cait uniosła dłoń i zakryła oczy. Zamrugwała, ale z jej wzrokiem było coś nie tak, dokładnie na środku pola widzenia pojawiła się szybko ciemniejąca plama. Te bóle głowy zaczynały się zawsze tak samo: najpierw ślepotą, potem jaskrawe przebliski, a potem uderzenie bólu po jednej stronie twarzy. Usiadła z powrotem na drewnianej ławie.

– Przepraszam. Chyba tutaj zostanę. Rozboliła mnie głowa.

– Pani Wallace miewa tego rodzaju niedyspozycje – wyjaśniła Alice. – Ale za chwilę będzie zdrowa jak ryba.

– Idźcie. Nic mi nie będzie.

Nagle uzmysłowiła sobie czyjaś obecność u swego boku.

– Czy życzyłyby sobie pani czegoś? – zapytał Emil Nougquier.

Wyczuła, że przykucnął przed nią. Po prostu nie mogła go zobaczyć.

– Szklanki wody. Jeśli nie będzie to zbyt duży kłopot.

Zanim wrócił, oślepiające pulsowanie przesunęło się z centrum jej pola widzenia i tętniło teraz maleńką tęczą po lewej stronie. Odzyskała wzrok. Wstała, kiedy podszedł i podał jej szklankę.

– Dziękuję. Gdzie są Arrolowie?

– Z jednym z moich współpracowników. Jak się pani czuje?

– Już znacznie lepiej – powiedziała pogodnie. – To nic poważnego. Lekarz powiedział, że to neurastenia, wyczerpanie nerwowe objawiające się tym, co określił mianem migreny.

– Ach, tak, moja matka również na to cierpiała. Czy przepisał pani coś?

– Toinę. Bez wątpienia dzięki niej ból staje się mniej dotkliwy. Ale z drugiej strony przepisują toinę na wszystko, nawet na kaszel i na cholere!

Nougquier się roześmiał.

– Na obłęd i nadczynność tarczycy.

– Na epilepsję i uzależnienie od opium – ciągnęła.

– Gdyby tylko działała – rzekł cicho.

Na chwilę jakby zatopił się we własnych myślach. Cait poprawiła kapelusz.

– To bardzo uprzejme, że znalazł pan dla nas czas.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Prześliznął się spojrzeniem po ustach kobiety, po czym znów spojrzał jej w oczy.

– Kiedy wyjeżdża pani z Paryża?

– Za dwa dni.

– Wróci pani? To znaczy do Paryża?

– Raczej nie. – Nastąpiła chwila milczenia, drobne interludium, w którym istniały dla niej tylko jego oczy i jego miarowy oddech. – W każdym razie – powiedziała, oddając mu szklankę – na pewno musi pan wracać do pracy. Czy mógłby pan powiedzieć pozostałym, że poczekam na nich w powozie?

– Oczywiście – odparł. – *Au revoir*.

Nie „żegnaj”, lecz „do zobaczenia”. Nigdy więcej się nie spotkają. Dostała już swoją szansę. Lecz mimo to przeszył ją dreszcz, kiedy wyobraziła sobie jego wzrok błędzący po jej postaci, obejmujący jej ramiona, talię, biodra i skromną tiurniurę. U podnóża schodów zawahała się, po czym odwróciła się i spojrzała za siebie. Był tam, stał u szczytu schodów z pustą szklanką w dłoni, obserwując jej odejście.

Był marzec i paryski *petite saison* zbliżał się ku końcowi. Emil wiedział, że czeka ich fala przyjęć i balów, obiadów i podwieczorków. *Grande saison* otworzą po Wielkiej Nocy zawody jeździeckie na Polach Elizejskich. Po nich nastąpią kolejne bale, wyścigi konne i przyjęcia towarzyszące wystawom, dopóki wreszcie klasa średnia i wyższa nie wyjedzie z Paryża na lato, zmierzając luksusowym Błękitnym Ekspresem na północ na Côte Fleurie lub na południe na Côte d'Azur.

Dla pozostałych mieszkańców miasta pory roku nie były jedynie tłem pozwalającym zaprezentować nowe stroje. Upał, chłód, wilgoć i suszę należało po prostu przetrwać, uzupełniając garderobę o szal czy dwa lub rezygnując z jednej warstwy bielizny. Emil zauważył, że było nietypowo ciepło jak na tę porę. Ciągące się wzdłuż brzegów rzek liczne *guinguettes*, kawiarniane ogródki z parkietami do tańca, rozstawiły się w tym roku wcześniej niż zwykle. Na Montmartrze kawiarnie, z których rozciągał się widok na całe miasto, z wahaniem otworzyły swoje tarasy, a praczki pięły się z mozołem na wzgórze – zwane po prostu la Butte – z kosztami mokrych prześcieradeł, by rozwiesić je na ugorze obok stojących na szczycie wiatraków.

Emil zatrzymał się, aby w drzwiach do pracowni zapalić papierosa. Zaciągnąwszy się, poczuł na sobie czyjś wzrok. Odwrócił się i obejrzał przez ramię, przesuwając spojrzeniem po całej długości ulicy aż do bulwaru Clichy, ale nikogo nie dostrzegł. Z wąskich uliczek poniżej zalaływało skwaśniałym winem i stęchlizną, porannymi szczynami i tytoniem wypalonym poprzedniego wieczoru. Domy uciech – burdele, cyrki i kabarety – zamknięto zaledwie na kilka krótkich godzin, ale już w południe część z nich otworzy swe podwoje dla klientów, uchylając drzwi, by stworzyć wrażenie, że zostały przewietrzone.

– Szukasz modelki? – Szczupła kobieta w wieku około trzydziestu lat wyszła z bramy po drugiej stronie ulicy tak nagle, że Emil upuścił papierosa. Była ubrana jak pastereczka: drewniany kij, bosc stopy i brązowa sukienka na białej wymiętej halce. Choć jej ubiór przywodził na myśl arkadyjską prostotę, w jej oczach malowało się coś znacznie bardziej świadomego.

– Raczej nie – odpowiedział i wyciągnął papierośnicę, by wyjąć z niej kolejnego papierosa. – Nie dziś.

Kobieta poprawiła sobie stanik i postąpiła kilka kroków w jego stronę.

– Malowali mnie wszyscy mistrzowie. Nawet Poussin.

– Bardzo wątpię, czy byłaś malowana przez Poussina. Nie żyje od dwustu lat.

– Nie przez tamtego – odparła kobieta, kręcąc głową. – Ten zdecydowanie żył. Powiedział, że kształci się w École des Beaux-Arts. Bardzo przyzwoity człowiek. Dlaczego miałabym nie wierzyć w to, co mi powiedział?

Uśmiechnęła się do niego; w jej twarzy było coś znajomego, jakaś pewność, że on ma to, czego ona pragnie, a ona ma środki, aby to dostać.

– Zostanę twoją modelką za pięćdziesiąt su dziennie. Znacznie mniej, niż zapłaciłbyś tam. Za franka zapozuję nago.

Pod jej koszulką rysowała się lekka wypukłość piersi. W jej oddechu dawała się wyczuć słodka nuta próchnicy. Odwrócił się.

– Madame. Obawiam się, że moja namiastka talentu nigdy nie pozwoliłaby mi oddać pani urody. A teraz proszę mi wybaczyć, jestem już spóźniony na zajęcia.

Skłonił się, odwrócił, a potem przeszedł przez podwórko i wspiał się po wąskich stopniach do pracowni artysty.

– Wrócisz tu – zawołała za nim. – A na następny raz zapamiętaj, że mam na imię Jeanne.

Na szczycie schodów pod drewnianymi drzwiami czekała grupka mężczyzn. Drzwi były zamknięte, ale kilku z nich i tak na wszelki wypadek raz czy dwa razy nacisnęło klamkę. Atelier było pokojem na poddaszu ze szklanymi wstawkami w dachu. Choć światło wlewało się do środka przez cały dzień, latem było tu za gorąco, a zimą za zimno. Nauczyciel, były członek akademii, starszy mężczyzna o twarzy okolonej bokobrodami i w pękniętych okularach, wydawał się nie zwracać uwagi na temperaturę. Otworzył studio, nie zapewniając w nim ogrzewania ani nawiewu, i udzielał lekcji przyszłym artystom za miesięczną opłatą w wysokości dziesięciu franków. Była nawet lista oczekujących. Lecz mimo to, a może właśnie dlatego, nauczyciel się spóźniał. Zawsze się spóźniał, a mężczyźni jak zwykle zaczynali się niecierpliwic. Wielu przyszło kilka godzin wcześniej, żeby zająć sobie jak najlepsze miejsce, i teraz z nudów zaczęli robić się zgryźliwi i ponurzy. Emil zajął miejsce na końcu kolejki i dopalił papierosa.

– Poussin – powiedział sam do siebie.

Większość paryskich artystów, studentów École des Beaux-Arts albo Suisse, niezależnej pracowni, mieszkała tu, na Montmartrze. Było to coś więcej niż wioska, część Paryża, a jednak nie, nie z tym strumyczkiem, szumem wiatraków i bzyczeniem pszczół przylatujących tu z ogrodów warzywnych Abbesses. Gdy tylko dotarło się do podnóża la Butte, spod smrodu miasta i zapachu przeoranej ziemi zaczynała wycierać woń terpentyny i farby olejnej. U podnóża mieszkali malarze, którzy odnieśli sukces; Renoir i Degas mieszkali i pracowali w pobliżu bulwaru Clichy. Wyżej, gdzie uliczki były bardziej strome, a pokoje tanie i zagracone, ale za to z widokiem, mieszkała cała reszta: mężczyźni, którzy marzyli o wystawie w oficjalnym salonie lub Salonie Niezależnych i którzy wszystkie swoje pieniądze – i prawdopodobnie również pieniądze swoich rodziców – wydawali na lekcje i farby z Maison Edouard, wina z doliny Rodanu i na dziwki. Nic dziwnego, że tylu z nich zapadało na rozmaite choroby i łapało kiłę. Nic dziwnego, że tylu z nich znajdowano leżących na ulicach, zmięte kupki ubrań pod

otwartymi wysoko oknami. Ci, którzy przetrwali, wydawali się żywić powietrzem, własnym ego, uciechami łoża i zupą.

W końcu, powłócząc nogami, na podwórzu poniżej pojawił się wykładowca z laską w jednej dłoni i zawiniątkiem zawierającym kupkę kości w drugiej. Otworzył drzwi do pracowni i cofnął się, a studenci wpadli do środka, żeby zająć sobie jak najlepsze miejsca. Z przodu klasy umieszczono klasyczną rzeźbę przedstawiającą uwiecznionego w marmurze atletę. Kiedy uczniowie rozłożyli sztalugi i zaostrzyli ołówki, do pomieszczenia wszedł młody mężczyzna i nie czekając na polecenie nauczyciela, zaczął się rozbierać. W tym tygodniu zajęcia, jak ogłosił nauczyciel, miały dotyczyć ludzkiej anatomii.

– Spójrzcie – powiedział, kiedy studenci już ucichli. – Spójrzcie, w jaki sposób połączone są kości, jak poruszają się pod skórą. – Uniósł modelowi ramię i zgiął je. – Zwróćcie uwagę na odcień skóry, na bijący z niej blask. Można to osiągnąć, nakładając na siebie kolejne warstwy pigmentu wzorem Delacroix, Rembrandta czy Dürera. Ale malowanie dobrych obrazów nie jest jedynie kwestią techniki. Artysta musi rozumieć ludzkie ciało od zewnątrz i od środka. To nie jest tylko kwestia uchwycenia ulotnej powierzchowności.

Rozległy się zgodne, pełne uznania pomruki. Wszyscy wiedzieli, że nauczyciel odnosi się do prac impresjonistów.

– Oto miednica – powiedział, unosząc kości – oraz kości udowa, piszczelowa i strzałkowa lewej nogi. Kiedy będziecie dziś rysować, chcę zobaczyć, że jesteście świadomi położenia tych kości pod skórą.

Powoli ustawił modela we właściwej pozycji: na siedząco, z jednym kolaniem uniesionym i wyciągniętą ręką.

– No więc? – zapytał. – Kto nam odpowie? Pan?

Wskazał na Emila. Poza wydawała się znajoma, ale Emil nie potrafił sobie przypomnieć. Pokręcił głową. Stary mężczyzna wydawał się tym rozbawiony.

– Czy kiedykolwiek był pan w Luwrze?

– Wielokrotnie – przyznał Emil, mieniąc się na twarzy.

– A więc? – zapytał nauczyciel resztę klasy.

– To *Stworzenie Adama* – odpowiedział chór głosów. – Michała Anioła.

Emil skulił się. Oczywiście. Powinien był wiedzieć. Chociaż oryginał znajdował się w Kaplicy Sykstyńskiej, w Luwrze przechowywano wiele szkiców ołówkiem.

Prawie słyszał śmiech Gabrielle, łaskotanie jej rozbawienia zabarwionego wzgardą. Nie miała jednak pojęcia, że próbował udoskonalić swe umiejętności, studiując malarstwo i rysując, gdy tylko pozwalał mu na to czas. Po dniach spędzonych na dokładnym wyliczaniu odległości i kątów z wykorzystaniem linijek, kątomierzy i cyrkli praca wyłącznie za pomocą ołówka i kartki papieru, rysowanie tego, co ma się przed sobą, sprawiały mu ulgę. Jego styl był całkowitym

przeciwieństwem jego technicznej pracy; linie były zamaszyste i swobodne, lecz jednocześnie oszczędne. Chciał uchwycić to, czego nie dawało się uchwycić – ulotność, tymczasowość.

Od wieczornego wernisazu nie widywał się prawie z Gabrielle. W końcu umówili się na spotkanie w małej kafejce na Montparnassie, którą wybrali ze względu na niewielkie prawdopodobieństwo spotkania w niej kogokolwiek znajomego. Kiedy podeszła do jego stolika – oczywiście spóźniona – natychmiast dostrzegł, że nadal jest w znakomitym nastroju po sprzedaży obrazów. Szła z głową uniesioną odrobinę wyżej, uśmiechem odrobinę szerszym i oczami promieniejącymi blaskiem, który wydawał się skupiać na wieczności całkowicie odmiennej od tej, która czekała wszystkich pozostałych.

Kiedy już dwukrotnie przycisnęła policzek do jego policzka i kiedy zamówili kawę, wreszcie jakby go dostrzegła.

– Jak się miewasz? – zapytał.

– Lepiej, skoro cię widzę – odpowiedziała, po czym ujęła jego dłoń i przytrzymała ją.

Coś w nim jakby przygasło. Ich romans przypominał konia zaprzęzonego do wozu bez woźnicy, pędzącego przed siebie na złamanie karku ku katastrofie, której byli wyłącznymi sprawcami.

Po chwili cofnął dłoń, udając, że ociera sobie pot z czoła.

– Gorąco tu – powiedział.

– Za ciężko pracujesz.

Zamrugła i dostrzegł jej źrenice, wielkie i czarne. Co wzięła? Laudanum? Opium? Morfinę? Wiedział, że pytanie jej o to mija się z celem, wyparłaby się wszystkiego. Oboje zamilkli. Uzmysłował sobie, że gdy z tego równania usunęło się miłość fizyczną, niewiele mieli sobie do powiedzenia. Szybko wypił swoją kawę, opróżniając filiżankę aż do spoczywających na dnie drobinek cukru. Gabrielle zaczęła się bawić łyżeczką, postawiła ją pionowo na stole i obracała w kółko opuszką palca.

– Jaka jest Ameryka? – zapytała nagle.

Poprzedniego roku Emil spędził miesiąc w Nowym Jorku, pomagając Eiffelowi zmontować metalową konstrukcję Statui Wolności. Przypomnił sobie zmarszczki na powierzchni cieśniny Verrazano, nieźrównany blask promieni słonecznych na wodzie i kręcący w nosie zapach slumsów. Przypomnił sobie szerokie ulice miejskiej szachownicy i bujną zieloność Central Parku. Przypomnił sobie, kiedy pierwszy raz zobaczył masę „ulicznych Arabów”, jak ich nazywano, grupę sześciorga czy siedmiorga bosych, bezdomnych dzieci, z których najmłodsze miały zaledwie pięć czy sześć lat, śpiących w zagłębieniach pod witrynami hotelu przy ulicy Zachodniej Dwudziestej Trzeciej. Jedno z nich wysunęło małą brudną stopę na chodnik. Na jego oczach dama w średnim wieku, wystrojona w perły

i jedwabie, wysiadła z powozu, po czym po prostu przeszła przez tę stopę, jakby to był kawałek ułamanej gałązki albo rączka od starej parasolki, po czym ruszyła przeszklonym wnętrzem hotelowego lobby w kierunku restauracji, w której, jak zakładał, zamierzała zamówić ostrygi i wykwintne wino.

– Cudowna, jeśli masz pieniądze – odparł.

– A dlaczego nie mielibyśmy ich mieć? To znaczy, gdybyśmy mieli tam pojechać. Bo przecież... właściwie co nas tutaj trzyma?

Odwrócił się do niej, ale pojął z wyrazu jej twarzy, że była już gdzie indziej, porwana prądem wyobrażonej przyszłości. Choć sam do siebie czuł obrzydzenie, nie potrafił się powstrzymać od zadania jej tego pytania.

– Dowiedziałas się? Wiesz już, kto kupił te obrazy?

Jakby chlusnął jej zimną wodą w twarz. Zamrugowała gwałtownie.

– Nie. Nie powiedział mi. Ale dlaczego pytasz? Ty wiesz?

Emil pokręcił głową. Nigdy by jej nie powiedział. I wiedział doskonale, że nie powiedziałby jej o tym również jej mąż. Odchylił się na krześle i zamknął oczy. Co on wyprawiał? Kim się stawał? Powinien to natychmiast przerwać, szybko, zanim zostanie wyrządzonych więcej szkód. A jednak mimowolnie był od niej uzależniony.

– Gabrielle – powiedział, wyciągając do niej rękę. – Wrócimy do mojego mieszkania? Mamy czas?

Ale po tym, jak poszła do toalety, żeby poprawić sobie makijaż, pozostało już tylko tyle czasu, by wyjść.

Studenci pojawiający się w pracowni artysty należeli do dwóch kategorii. Szczupli, z farbą na włosach i głęboko wyżłobionymi na czole zmarszczkami należeli do tych poważnych, oddających się swojej sztuce bez reszty. Pozostałą część grupy stanowili mężczyźni tacy jak Emil, których eleganckie stroje, pełne brzuchy i czyste dłonie zdradzały, że pracują gdzieś na etacie i są zwykłymi amatorami.

Emil wziął się do rysowania modelu. W atelier panowała cisza, jeśli nie liczyć trzepotania gołębi na tafli szkła nad ich głowami i skrzypienia ołówków po papierze. Próbował uchwycić kości pod skórą, lecz dostrzegając mimowiednie, że skóra modelu nie została ukształtowana w chłodnym białym marmurze; pocila się, pokrywała wysypką, mięśnie nie były napięte, ale lekko obwisłe, widać było blizny i ślady pozostawione przez niedopasowane buty i zbyt opięte ubranie, cera mężczyzny zaś miała rumiany, pijacki koloryt. Kiedy wreszcie pozwolono mu się odprężyć, pozbierał się z trudem, bo każdy staw, każdy mięsień bolały go od wysiłku, jakiego wymagało trwanie w bezruchu. Niełatwo było utrzymać taką pozę.

Nauczyciel krążył wśród swoich uczniów, komentował prace i za pomocą własnego ołówka poprawiał linie lub podkreślał kontury. Kiedy jednak doszedł do

Emila, przystanął i przez chwilę w ciszy wpatrywał się w jego rysunek, po czym ruszył dalej. Wtedy właśnie Emil uzmysłowił sobie, że rysunki innych studentów nie przypominały w istocie pozującego przed nimi modela; wszyscy artyści, co do jednego, narysowali Adama.

W porze lunchu niektórzy studenci spakowali swoje sztalugi i albo ruszyli w dół zbocza – siadając w cieniu takich miejsc jak kabaret Chat Noir – albo wspięli się wyżej do kawiarni, w okolicy Moulin de la Galette. Nauczyciel wytarł nos w rękaw, po czym zaczął szkicować tułów modela, każdy mięsień, każdą kość, podkreślone światłocieniem.

– Uczyłem się rysunku, szkicując trupy – powiedział tym, którzy zostali. – Na Akademii. Nie łapią ich skurcze, nie dopada zmęczenie. O tak, rysowanie zmarłych jest prawdziwą przyjemnością.

Nagle oczyma duszy Emil ujrzał taki obraz: Gabrielle, jej nagie ciało, otwarte oczy i gładka, niczym nieskażona, trupio blada skóra. Ogarnęło go przeczucie, że spotka ją jakiś okropny los i że to będzie jego wina. Nagle wydało mu się, że zaraz się udusi, z trudem chwycił powietrze. Poluzował krawat, po czym chwycił marynarkę i zwinął szkic. Wyszedłszy na zewnątrz, próbował się uspokoić, zacząć normalnie oddychać. Oparł się dłonią o zimny kamienny mur na podwórku i pozwolił, by jego nierówna powierzchnia obtarła mu skórę. Były inne kobiety – kobiety, których życiorysów nie przetykały tragedie i uzależnienia, kobiety, które nie były już zameżne. Napisze do niej list. I jutro z tym skończy.

Z sykiem hamulców i długim niskim westchnieniem gwizdka lokomotywy pociąg z Londynu zatrzymał się tuż przed dworcem kolejowym St. Enoch w Glasgow. Znajdowali się na moście wysoko nad rzeką Clyde. Było już ciemno, ale Cait wciąż dostrzegała zarysy statków parowych zacumowanych wzdłuż Broomielaw, majaczących w mroku pogłębiarek, czarne kolumny żurawi parowych wyładowujących tony węgla, a w oddali światła promu Govan. Od ich wyjazdu na kontynent nic się nie zmieniło. Powietrze było nadal zmętniałe od dymu węglowego, nad głową wisały jak poprzednio ciężkie chmury deszczowe, a ze wzgórz Kilpatrick schodziła gęsta, wilgotna mgła. Nawet zapach się nie zmienił: rdza i sadza, kopalnie węgla i palony chmiel z browaru. Pociąg szarpnął wreszcie dwukrotnie i zaczął się wtaczać na stację. Cait zapadła się jeszcze bardziej w siedzenie. Po sześciu miesiącach podróży dotarli wreszcie do domu.

– Ciekawa jestem, czy ktokolwiek wyjdzie nas powitać – powiedziała Alice.

– Nie liczyłem na to – odparł Jamie. – Baba z wozu, koniom lżej, jak to mówią.

– Wysłałeś ten telegram w Londynie? – zapytała.

Jamie raptownie zakrył sobie usta dłonią.

– Wiedziałem, że o czymś zapomniałem!

Na twarzy Alice momentalnie odmalowało się przerażenie.

– Droczy się z tobą – powiedziała Cait.

– Przecież wiem – odparła z niepotrzebnym naciskiem.

Gdy tylko pociąg zatrzymał się pod stalowo-szklanym sklepieniem dworcowej hali, pasażerowie drugiej i trzeciej klasy wysiedli pospiesznie i zlewając się w jedną wielką rzekę ludzi, ruszyli w stronę przystanku omnibusów i postoję dorożek. Pasażerowie pierwszej klasy się nie spieszyli. Wysiedli spokojnie i stanęli na peronie, gdy tymczasem dziesiątki tragarzy wspięły się do wagonów, by wyładować ich kufry, walizy, torby podróżne i papierowe pakunki na flotyllę drewnianych wózków. A potem, kiedy pasażerowie sprawdzili już obecność wszystkich swoich bagaży, po czym dla pewności sprawdzili ją raz jeszcze, niektórzy przywołali skinieniem swoich stangretów, a inni ruszyli w kierunku głównego wyjścia, aby tam poczekać na swoje powozy.

Oczywiście Alice i Jamiemu zgotowano stosowne przyjęcie. Odczekawszy odpowiednią chwilę, wysiedli z pociągu, witani oklaskami.

– Wreszcie! – pisnęły trzy młode dziewczyny i rzuciły się, by uściskać Alice.

– Widziałaś wszystko?

– Wszystko! – odpowiedziała. – I było cudownie!

Cait uśmiechnęła się, wsuwając włosy pod kapelusz i zapinając płaszcz podróżny. Panteon nie – za tłoczno. Wspaniała katedra w Chartres nie – za ciemno.

Ta w Sienie też nie – za nudno. Prawdą było jednak to, że widziały masę dworców, luksusowych hoteli i pasaży handlowych.

Rozglądając się za tragarzem, który miał wynieść z pociągu jej walizkę, Cait zauważyła mężczyznę stojącego w lekkim oddaleniu z bukietem czerwonych róż w dłoni. Alice też musiała go dostrzec, ale udawała, że nic nie widzi. Po chwili jednak ten jakby uznał, że czeka już wystarczająco długo.

– Proszę spojrzeć tutaj, miss Arrol – zadudnił tak głośno, że wszyscy się odwrócili. – Doniesiono mi o pani dzisiejszym powrocie. Przybyłem na pociąg o dziewiątej trzydzieści osiem z Paryża. Niestety, mój informator musiał błędnie sądzić, że wsiadła pani do tego pociągu, gdy tymczasem przyjechała pani tym o dziesiątej czterdzieści trzy. Czy otrzymała pani moje listy?

Grupka przybyłych na stację rozstała się, by umożliwić mu dojście do środka, do Alice, po której twarzy przemknął wyraz paniki.

– Pan Hogg, cóż za niespodzianka. I róże. Co za hojność!

Faktycznie, otrzymała jego listy. Po prostu nigdy się nie zebrała, żeby na nie odpowiedzieć.

– No więc... dostała je pani?

– Nie! – skłamała Alice. – Obawiam się, że nie, panie Hogg. Poczta na kontynencie jest zupełnie nieprzewidywalna. Ale nic nie szkodzi. Bardzo miło znów pana widzieć.

Pan Hogg, który w dzieciństwie cierpiał na jakieś nieprzyjemne dolegliwości skórne, cerę miał tak szorstką i dziobatą jak skórka sewilskiej pomarańczy, ale jego oczy miały żywy błękitny odcień. Skóra, choć pokryta bliznami, jaśniała teraz oczekiwaniem i radością, a nad górną wargą załśniła cienka warstewka potu.

– Wygląda pani... – zaczął, ale najwyraźniej nie miał na podorędziu żadnych przysłówków ani metafor. Nie był, jak często o tym wspominał, człowiekiem szczególnie elokwentnym. Pozwolił niedokończonemu zdaniu zawisnąć w powietrzu, po czym odchrząknął.

Alice zamrugła i przyglądała sukienkę. A potem przywołała na twarz wyraz, który miał ukryć jej rozczerowanie.

– Pan Hogg zajmuje się handlem mięsem – wyjaśniła przyjaciółce.

– Zapiekaniami mięsnymi – sprecyzował pan Hogg zwięźle.

Ktoś stłumił chichot. Na innym peronie rozległ się gwizdek i pociąg, w kłębach pary i dymu, zaczął szykować się do odjazdu.

– No cóż... – powiedziała Alice. – Musimy...

– Oczywiście – odrzekł pan Hogg, gorliwie kiwając głową.

Nagle Alice pisnęła.

– To Tiffie! – wykrzyknęła na widok zbliżającej się do nich dziewczyny w wielkim białym kapeluszu. Idący za nią mężczyzna, będący już przed czterdziestką, od roku jej mąż, zerknął na zegarek. Kiedy grupka przybyłych na

stację przesunęła się, aby zrobić miejsce przyjaciółce Alice, zarówno jej mąż, jak i pan Hogg zostali z niej wykluczeni.

W całym tym zamieszaniu Cait wysiadła z wagonu niedostrzeżona przez nikogo. Co prawda w pewnej chwili Alice zerknęła przez ramię, jakby czegoś zapomniała, a Jamie uchwycił spojrzenie pani Wallace i nieznacznie pokiwał jej dłonią, ale oboje natychmiast zagarnęła fala kuzynów, przyjaciół ze szkolnej ławy i dawno niewidzianych znajomych. Caitriona patrzyła, jak Arrolowie i ich świta idą przez stację; głosy mieli wysokie i przenikliwe, a ich śmiech wypełniał opustoszałą już halę. Czterech tragarzy ruszyło za nimi pospiesznie, a każdy z nich ciągnął wózek ze stertą bagaży. Pan Hogg podążył ich śladem, wciąż z bukietem w ręku, niepewny, czy został zaproszony tam, dokąd zmierzali.

Teraz na peronie została tylko jedna walizka: jej. Tragarz rozejrzał się, by sprawdzić, czy jest tu ktoś jeszcze, jakiś mężczyzna, który mógłby mu wydać polecenie.

Jako świeżo upieczoną mężatkę bawiło ją to, jak kierowcy i tragarze wydają się głusi na jej głos, jakby docierały do nich wyłącznie słowa wypowiedane przez jej męża. Czy musiała mówić donośniej, czy może niższym głosem, by zostać usłyszaną?

– Proszę pani – odezwał się tragarz. – Czy to należy do pani?

Oboje spuścili wzrok na walizkę, sfatygowaną sześciomiesięcznym użytkowaniem. W sumie nie robiła nadzwyczajnego wrażenia.

– Tak. To moje.

– Nikt na panią nie czeka?

Pokręciła przecząco głową.

– No to gdzie mam to zanieść? – zapytał, podnosząc bagaż.

– Na postój. Wezmę dorożkę.

I właśnie wtedy, kiedy szli przez halę dworcową, ona pół kroku za tragarzem, zauważyła Williama Arrola stojącego pod zegarem i niecierpliwie popukującego czubkiem wielkiego parasola o ziemię. Teraz, gdy pasażerowie pociągu z Londynu opuścili już stację, ta wydawała się niemal opustoszała. Kiedy tylko William Arrol dostrzegł Cait, uniósł palec i pomaszerował w jej stronę.

– Pani Wallace, cóż za przyjemność widzieć panią całą i zdrową. Czy ciekawie spędziła pani czas?

– Bardzo.

Jego wzrok powędrował ponad jej ramieniem.

– Obawiam się, że rozminął się pan z nimi. O jakieś dziesięć minut.

Sprawił wrażenie zbitego z pantałyku.

– Coś mnie zatrzymało w biurze... – Zaczęło padać i po chwili o szklany dach dworca zabębniła ulewa. William Arrol urwał i zerknął w górę. – Specjalnie zamówiliśmy deszcz. Żeby powitać was w domu.

Przez chwilę nie wiedziała, co odpowiedzieć, po czym uprzytomniła sobie, że żartuje.

– Ależ bardzo dziękuję – rzekła z uśmiechem. – Jak idą interesy?

– Budowa mostu Forth Rail Bridge postępuje zgodnie z planem. Właśnie wróciłem z Queensferry. A nowy most na rzece Tay zostanie otwarty dla ruchu w lipcu.

– Czy zaplanowano stosowną ceremonię?

– Nie tym razem – odpowiedział cicho. – Z szacunku dla ofiar. – Urwał. – A swoją drogą, w jaki sposób zamierza się pani dostać do domu? Czy ktoś na panią czeka?

– Wezmę dorożkę – odparła Cait pogodnie.

Minęła chwila, zanim jej słowa do niego dotarły, lecz kiedy to się stało, wydał się wstrząśnięty.

– Bardzo mi przykro. Mój bratanek powinien się tym zająć.

– Nie, naprawdę, nic się nie stało.

– Mój stangret panią zawiezie – zaprotestował Arrol. – Nalegam. Przynajmniej tyle mogę zrobić, by podziękować pani za dowieszenie ich z powrotem w jednym kawałku.

– Jeszcze ich pan nie widział.

Spojrzał na nią spode łba, po czym wybuchnął krótkim śmiechem.

– Rzeczywiście.

William Arrol był dużym mężczyzną o dłoniach krótkich i szerokich jak kielnie. Jakby chcąc zrekompensować sobie te dłonie, brak wykształcenia i ubogie pochodzenie, zawsze był elegancko ubrany, siwe włosy miał uczesane, bujne bokobrody przystrzyżone, a kołnierzyk świeżo uprany. A jednak, choć być może sobie tego nie uświadamiał, zdradzał się na wiele drobnych sposobów: zbyt obficie skrapiał się wodą kolońską, nosił przykrótkie rękawy i nieprawidłowo akcentował takie słowa jak „logika”, „matematyka” czy „muzyka”. Jednak kiedy już się go poznało, ujawniał ten szczególny rodzaj inteligencji, którego nie sposób było nauczyć się z książek.

– Dziękuję za pani listy – powiedział, kiedy szli przez dworzec. – Za pani regularne wiadomości. Zawsze z radością czytałem je przy śniadaniu. Dziękuję, że poświęcała pani na nie swój czas.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. A jak miewa się pani Arrol?

Tylko ledwie dostrzegalne drgnięcie powieki zdradziło, jak trudno było mu odpowiedzieć na to pytanie. Plotkowano, dość bezlitośnie, że żona Arrola „słabowała na umyśle”. Rzadko wychodziła z domu i nieodmiennie utrzymywano, że cierpi na taką czy inną dolegliwość. Budował dla niej dom w Ayr, z wielką oszkloną werandą i widokiem na zatokę Firth of Clyde.

– Lepiej. Dziękuję, że pani pyta.

Kiedy wsiadała do jego powozu, stał na krawężniku, trzymając parasol wysoko nad jej głową, by osłonić ją przed deszczem.

– A co z panem? – zawołała. – Jak dostanie się pan do domu?

– Pójdę piechotą. Lubię się wieczorem przejść.

– Ale w deszczu?

– Nie jestem z cukru – odpowiedział. – Obiecuję, że się nie rozpuszczę. I... pani Wallace, jestem pewien, że wkrótce znów się zobaczymy, ale jeśli tymczasem mogę coś dla pani zrobić, wystarczy się odezwać.

I uderzył dłonią o dach powozu, dając znak stangretowi, by ruszał.

Jeśli nie liczyć leżącego na podłodze stosu nieotwartych listów, jej mieszkanie wyglądało tak samo jak w chwili, w której je opuszczała. Drzwi wejściowe nadal skrzypiały, domagając się naoliwienia zawiasów, stary słomkowy kapelusz wciąż wisiał w korytarzu na stojaku, na zaścielonym kapą łóżku nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. A jednak pod dotknięciem dłoni wszystko okazywało się chłodne i bez życia, każdą powierzchnię pokrywała warstwa kurzu. Wyjeżdżając, Cait pozostawiła w oknie kuchennym szparę, przez którą przez sześć miesięcy przepływało brudne i wilgotne powietrze Glasgow. Przejeżdżający pociąg wydał niski gwizd, pędząc na południe w kierunku Crossmyloof. Z mieszkania piętro niżej dobiegł ją pomruk rozmowy, urwana wibracja męskiego śmiechu i wysokie tony kobiecego głosu.

Caitriona zapaliła lampę i przeszła przez pokoje, przyglądając im się tak, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Sufit był wysoki, ale pomieszczenia miały fatalne proporcje. Meble, wszystkie co do jednego wybrane do zupełnie innego domu o znacznie większych gabarytach, wydawały się stłoczone na niewielkiej przestrzeni, pozostawiając niewiele miejsca na poruszanie się. Szafy spiżarniane były wypełnione stosami porcelanowych talerzy i waz do zupy, w szufladach upchnięto komplety sztuców i łopatki do ryb, a w sypialni na maglu leżały stosy prześcieradeł z indyjskiej bawełny i haftowanych obrusów na popołudniowe przyjęcia, rodzinne uroczystości i chrzciny, do których nigdy nie doszło. Zrozumiała, że patrzy na przechowalnię porzuconych nadziei, muzeum nieprzeżytego życia.

Gdy tego ranka wyjeżdżali z Paryża, niebo było nieskazitelnie błękitne, a powietrze tak czyste i łagodne, że wszystko, co mieli porzucić – ulice, ludzie, zapach palonej kawy i orzechów – wydawało się wyrazistsze, kolory wyglądały na głębsze i bardziej nasycone, poziomy i pionowy miasta nie tyle naszkicowane, ile wryte. A z oddali, tak nikły, że być może nie tyle usłyszany, ile wyobrażony, dobiegał ich regularny rytm młotów kujących żelazo.

Cait stanowczo obstawała przy tym, by stawili się na Gare du Nord przynajmniej godzinę przed odjazdem. Popędzając Alice i Jamiego i porządkując ich bagaże, pospieszała ich, łąjała i napominała, co i raz dając komuś napiwek.

Rezerwacje, przesiadki, gazety, przekąski, tragarze, bileterzy, kierownicy pociągów, pozostali pasażerowie – nie pozwalała sobie na myślenie o niczym innym. Podczas ich podróży po Europie to ona usuwała im kłody spod nóg, przekonując bileterów, by wpuścili ich do muzeum mimo rychłego zamknięcia, rezerwując najlepsze miejsca w teatrach i pociągach, organizując to, co Jamie określał mianem jej „małych cudów”.

Tego ranka wiedziała jednak, że gdyby zatrzymała się choć na chwilę, gdyby pozwoliła sobie na pomyślenie przez moment o tym, że właśnie wyjeżdżają z Paryża, z Francji, z Europy kontynentalnej, że wracają do Szkocji, w oczach stanęłyby jej łzy, a gula w gardle, na razie wielkości groszku, zaczęłaby rosnąć i pęcznieć. Cait nie cierpiała na brak przyjaciół, nie czuła się samotna. Ojciec zmarł, ale została jej jeszcze siostra wraz ze swoją niedawno założoną rodziną, którą Cait mogła odwiedzać. Anne wyszła za młodszego brata Saula, George’a Wallace’a; przypominał Saula, a jednocześnie bardzo się od niego różnił – zupełnie nie posiadał niewyczerpanych pokładów energii swojego starszego brata. Istotniejsze było jednak to, że nie miał jego wybuchowego usposobienia. Co akurat Cait bardzo cieszyło.

Kupiła krewnym drobne podarunki – maleńkie szklane zwierzątka w Rzymie i drewniane marionetki w Niemczech, ale jeszcze nie potrafiła się zdobyć na to, aby przed nimi stanąć. Nie była gotowa zmierzyć się z ich współczuciem i troską, choćby kierowały nimi najlepsze intencje. Nie potrafiła sobie wyobrazić chwili, w której znajdzie się przed ich domem, gotowa nacisnąć dzwonek i świadoma, że oto za chwilę skąpie się w ciepłym świetle i dobiegającym ze środka dziecięcym śmiechu. To była kwestia jakiegoś braku, jakiejś tęsknoty; wołała być sama niż czuć się opuszczona.

Nie ściągając podróżnego płaszcza, usiadła w swoim zimnym saloniku z widokiem na tory kolejowe i patrzyła, jak światło migoczącej lampy tańczy po podłogowych deskach. Jak mogłaby tutaj zostać? Jakim cudem miałyby stąd wyjechać? Zamknęła oczy i pozwoliła głowie opaść na kolana.

Caitriona śniła o iglicy wieży Eiffla, o poczerniałym żelazie, które przebija chmury. Śniła o mężczyźnie stojącym za aparatem fotograficznym i obserwującym ją przez maleńką soczewkę. Śniła, że Emil Nougier o coś ją pyta, lecz nie miała pojęcia o co. Przebudziła się ze wzdrygnięciem, z bolesnym kurczem szyi i szpilkami wbijającymi jej się w ramię. Na jej policzku odbił się wzór tapicerki. Stojący na obramowaniu kominka zegar wskazywał szóstą trzydzieści. Było jeszcze ciemno, ale na drodze za oknem tłoczyli się już handlarze węglem, a ich wózki wraz z wozami piekarzy przejeżdżały powoli przez tory wiodące do Strathbungo.

Wstała i przeciągnęła się, po czym poszła do łazienki umyć twarz. Zrobi listę, zorganizuje sobie czas. Należało wysłać ubrania do pralni, zamówić zakupy

spożywcze, odpowiedzieć na listy i zatroszczyć się o kwestie finansowe. A kiedy już wypocznie po podróży, wtedy pójdzie zobaczyć się z pastorem i tak jak wcześniej zaoferuje mu swoje usługi. Miała teraz wystarczająco dużo pieniędzy, żeby móc się skromnie utrzymać przynajmniej przez kilka lat. A co potem? No cóż, w takiej sytuacji będzie musiała po prostu, jak mawiała jej babka, przekroczyć most. A tymczasem znajdzie się dla niej mnóstwo zajęć: odwiedzanie chorych, przyozdabianie kościoła na święta, zbieranie pieniędzy na sieroty w Afryce. Tym właśnie zajmowały się wdowy z określonej klasy społecznej: wyciągały pomocną dłoń. Ich czas pochłaniały przedsięwzięcia dobroczynne, często w odległych krajach. Cait zrozumiała teraz, że nie były to działania całkowicie altruistyczne: pozwalały im nie myśleć o bolesnej pustce ich życia codziennego.

Zdjęła odzież podróżną, rozłożyła ją na łóżku i otworzyła szafę. Znalazła pozostawione w niej ubrania: szare suknie spacerowe i suknie żałobne, czarne i liliowe. Wisiały nietknięte od miesięcy, jeszcze wypełnione cieniem jej ramienia, wspomnieniem jej perfum na dekolcie. Dotknęła krepy, bombazyny, żałobnej wełny w jodelkę, przesunęła opuszkami palców po sztywnych tkaninach. Spośród fałd sukni wyfrunęła ćma. Cait obserwowała, jak trzepoce się na oślep w bladym świetle poranka.

Tydzień później stała w pracowni krawieckiej z kilkoma próbkami tkaniny w ręku.

- W tej czerwieni? – zapytała krawcowa.
- I jedną niebieską, ze wzorem paisley – potwierdziła Cait.
- Z mniejszą tiurniurą?
- Właśnie. W Paryżu wszystkie damy noszą teraz mniejsze tiurniury.
- Zaraz się do tego zabiorę – powiedziała krawcowa.

W jej głosie pojawił się jednak cień wątpliwości i Cait poczuła się zobowiązana je rozwiązać.

– Nie zadurzyłam się we Francuzie, jeśli o tym właśnie pani myśli. Ale to człowiekowi naprawdę znakomicie robi... Mam na myśli podróże. Nawet jednodniowa wycieczka do Troon działa jak balsam. Była pani w Troon?

- Nie – odpowiedziała ta.

Caitriona powiodła palcami po belach tkanin: atlasów i aksamitów, woali i bawełny we wszystkich kolorach, od najbledszego beżu do najgłębszej purpury. Krawcowa, szczupła kobieta po pięćdziesiątce, ubrana w sukienkę z lawendowej krepy, została jej polecona przez Alice.

– Powinny być gotowe za dwa tygodnie – poinformowała, uśmiechając się chłodno, kiedy już wszystko podliczyła. – Do widzenia, pani Wallace.

Ruszywszy ulicą Buchanan w kierunku dworca kolejowego, Cait podniosła oczy. Słońce już zachodziło i niebo przybrało kolor ciemnego różu. Piaskowiec, z którego zbudowano kamienice czynszowe stojące po drugiej stronie

skrzyżowania, zabarwił się karmazynem. Tego dnia po raz pierwszy od jej powrotu nie padało.

Kiedy skręciła w ulicę Gordona, ogarnęły ją nagle wątpliwości. Kilka dni wcześniej zdeponowała w banku czek Williama Arrola, a tymczasem dziś, w ciągu zaledwie jednego dnia, wydała znacznie więcej, niż zamierzała. Nowe suknie z przyzwoitej tkaniny były drogie, zwłaszcza gdy szyła je krawcowa Alice Arrol. Cóż ona dobrego narobiła? Jak mogła sobie pozwalać na takie ekstrawagancje? Dlaczego, na miłość boską, wydała tyle pieniędzy? Jaki to miało sens, skoro nikt nie patrzył, nikt nie zwracał uwagi na to, co nosiła? Tylko perspektywa oglądania szyderszego uśmiešku krawcowej powstrzymała ją od obrócenia się na pięcie, powrotu do pracowni i anulowania złożonego zamówienia.

Nieprzerwany strumień wozów i powozów konnych, omnibusów i dorożek płynął ulicą Jamaica w kierunku rzeki. Wejście do hali dworca znajdowało się po drugiej stronie drogi. Cait czekała na jakąś lukę, czując płynący ku niej zapach dymu i pary buchających z lokomotyw, które stały przy peronach, i słysząc głos recytujący przez megafony nazwy stacji: „Whifflet”, „Ardrossan Central”, „Cathcart Circle”. Strumień płynął bez ustanku. Jeszcze chwila, a spóźni się na pociąg. W końcu ruch nieco osłabł i Caitriona mogła podjąć próbę przekroczenia ulicy. I wtedy jakiś głos za nią krzyknął:

– Pani Wallace! Proszę chwilkę poczekać!

To był Jamie Arrol. U jego boku stał starszy mężczyzna, którego nie rozpoznała.

– Wiedziałem, że to pani – powiedział Jamie. – Tylko dama z prawdziwą klasą wkroczyłaby z taką pewnością siebie w sam środek rozpędzonej arterii Glasgow.

– Nie wiem, czy to aby na pewno komplement – odparła z uśmiechem. – Jak się miewasz?

– Dziękuję, dobrze. Tęskniła pani za mną?

– Tęskniłam za tobą i panną Arrol, owszem.

– Sądziłem, że z ulgą się pani nas obojga pozbędzie. – Roześmiał się.

– Wcale nie.

– Francuzi określają damy kalibru pani Wallace mianem „budzących respekt” – wyjaśnił Jamie swojemu towarzyszowi.

– Rozumiem – odparł ten. – W rzeczy samej, brzmi to jak komplement, choć nie znam francuskiego.

W odpowiedzi Jamie walnął starszego mężczyznę w plecy, jakby ten rzucił jakiś żart.

– A tak swoją drogą, siostra wspomniała, że dzisiejszego popołudnia umówiła się pani na wizytę u jej krawcowej – podjął wątek Jamie. – Pomyślałem sobie, że możemy się przypadkiem spotkać. No i proszę! Z ogromną przyjemnością

przedstawiam pani mojego przyjaciela. Pani pozwoli, pan Sinclair.

– Bardzo mi miło panią poznać – powiedział pan Sinclair, wyciągając rękę. – Wiele o pani słyszałem.

– Doprawdy? – zapytała, ściskając mu dłoń i z pewnym niepokojem patrząc na Jamiego.

– Całe miasto mówi o naszych przygodach na kontynencie – zablefował. – A pani, moja droga pani Wallace, odgrywa tu rolę pierwszoplanową.

Mijał ich właśnie zatłoczony omnibus, tak hałaśliwie turkocząc kołami po bruku, że przez moment prowadzenie rozmowy było niemożliwe.

– Proszę się nie obawiać – doprecyzował Jamie, kiedy omnibus odjechał. – Zawsze przedstawia się pani w jak najlepszym świetle.

Pan Sinclair uśmiechnął się, koniuszki jego okazałych białych wąsów ledwie zauważalnie drgnęły. Pomijając wąsy, był kompletnie łysy i tylko za lewym uchem powiewał mu samotny kosmyk włosów.

– Skłonny byłbym uznać to za niedopowiedzenie – dodał.

Przestąpił z nogi na nogę i uśmiechnął się do niej z wyżyn swojego wzrostu, ale był tak postawny, a jego oczy były tak pomniejszone soczewkami okularów w drucianych oprawkach, że Cait nie potrafiła odwzajemnić jego spojrzenia.

– Jak ci się wiedzie w fabryce konstrukcji stalowych? – zapytała Jamiego.

– Nie mogę narzekać – odparł. – Ale długo tam nie zabawię, mam nadzieję. Jak pani wie, mam pewne plany.

Uśmiechnął się do niej znacząco. Nauczyła się ostrożnie podchodzić do jego planów. Przedyskutowawszy je wyczerpująco, zakupiwszy stosy książek i zaczerpnąwszy opinii specjalistów, zawsze, bez wyjątku i bez zbędnych ceregieli, po prostu je porzucał. Większość pasji Jamiego miała żywot krótkotrwały, najwyżej kilkutygodniowy. Tak samo było z kobietami: Jamie w ciągu zaledwie kilku godzin potrafił całkowicie utracić zainteresowanie adorowaną damą. Kobiety, którym nadszkwiał, a które później tak raptownie porzucał, bywały załamane, ale często zwyczajnie wściekłe. Te, którym los sprzyjał, zachowywały dla siebie jakąś formę zadośćuczynienia, biżuterię lub perfumy, które im kupił w napadzie miłosnej szczodrości. Pozostałe zastanawiały się bezskutecznie, co takiego zrobiły, powiedziały lub włożyły na siebie, że tak gwałtownie ostudziły jego uczucia. Nie do Cait należało zapewnianie ich o tym, że nie powinny doszukiwać się winy w sobie, nie czuła się upoważniona, by komentować jego zachowanie choć jednym słowem. Ale współczuła im, tym biednym młodym kobietom, które życie nauczy jeszcze nieczułości na mężczyzn, na ciosy, na ryzyko, pozbawiając je swej urody.

– Jakie plany? – zapytała ostrożnie.

– W tej chwili nie mogę jeszcze o tym mówić. Ale jestem pewien, że się pani domyśla.

Rozmowa ugrzęzła w martwym punkcie, ale żaden z mężczyzn nie spieszył

się do odejścia. Cait usłyszała gwizd i oczyma duszy ujrzała swój pociąg wypuszczający kłęb pary na peron. Była zdecydowana podjąć próbę możliwie szybkiego zakończenia tej wymiany zdań.

– Czy przyjechał pan do miasta w interesach, panie Sinclair? Czy też dla przyjemności?

Jego prawa ręka, niczym ciągnięta niewidzialną siłą, zbliżyła się natychmiast do lewego nadgarstka. Jednym rzutem oka stwierdziła, że nosi na nim żalobną bransoletę – nie, nie jedną, lecz dwie, a każda spleciona jest z ludzkich włosów: jedna z ciemnych, druga z jasnych.

– Jestem umówiony na wizytę u notariusza. Moja najdroższa żona odeszła kilka miesięcy temu i są pewne sprawy, które wymagają uregulowania.

– Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Bardzo dziękuję. Byliśmy na to przygotowani.

Takiej rozmowy zdecydowanie nie można było uciąć w pół zdania. Pan Sinclair zdjął okulary i przetarł je chusteczką, po czym dokonał krótkiej rekapitulacji swojego życia i dotychczasowych strat.

– W końcu są razem – powiedział, uśmiechając się smutno. – W objęciach Boga.

– Pan Sinclair jest starym przyjacielem naszej rodziny – wyjaśnił Jamie po pełnej szacunku pauzie. – Chodziłem do szkoły z bratankiem pana Sinclaira. Może mi pan przypomnieć, czym się pan zajmuje?

– Handel artykułami żelaznymi – odpowiedział mężczyzna, założywszy z powrotem na nos okulary.

– Gourock, prawda? – zapytał Jamie.

– Greenock – poprawił. – Sklep znajduje się przy Market Street. Mieszkamy w pobliżu nadbrzeżnej esplanady. Była tam pani kiedyś, pani Wallace?

– Obawiam się, że nie, panie Sinclair.

– Mówiąc „my”, mam na myśli mnie i moją siostrę, miss Amelię Sinclair – poczuł się zmuszony wyjaśnić. – Dom jest teraz, powiedziałbym, za duży tylko dla nas dwojga, ale trudno zrezygnować z takich wspaniałych widoków na rzekę Clyde.

I znów stali w milczeniu, a Cait rozważała ponure połączenie martwej żony i dziecka, niezamężnej siostry i pięknego widoku.

– Cieszę się, że miałam nieoczekiwaną przyjemność poznania pana – powiedziała, kiedy pauza osiągnęła już przyzwoitą długość. – Obawiam się, że muszę pospieszyć na pociąg.

Jamie krótko i ostro dźgnął swego przyjaciela łokciem w bok. Twarz pana Sinclaira poczerwieniała nagle.

– Kościół! – wykrzyknął.

Cait wytrzeszczyła na niego oczy. Wąsy mu zadrżały, ale ciągnął

z wysiłkiem:

– Zastanawiałem się, czy wyświadczy mi pani uprzejmość, pani Wallace, pozwalając mi towarzyszyć sobie do kościoła?

Potarł nos. Dłonie, jak zauważyła, również mu drżały. Jamie patrzył na nią wyczekująco.

– No cóż, ja... – zaczęła. – Bardzo mi to pochlebia, ale...

– Śmiało – powiedział Jamie. – Przez całe popołudnie wychwalałem panią pod niebiosa przed moim przyjacielem. Opowiadałem mu, jaka jest pani urodziwa, czarująca i wyrafinowana. I nagle, cóż za przypadek, natykamy się właśnie na panią!

Mijający ich młody mężczyzna dosłyszał ostatnie słowa i obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Tym razem to Cait się spłoniła.

– Pozwoli pani? – zapytał pan Sinclair z wahaniem.

Może to jego łagodność, załamujący się głos i szkliste spojrzenie sprawiły, że zmieniła zdanie. Choć prawdę mówiąc, czy mogłaby odmówić, nie robiąc przy tym wrażenia osoby nieuprzejmej?

– Dobrze. – Skinęła głową.

Pan Sinclair westchnął, lecz po chwili na jego twarzy odmalowała się lekka konsternacja.

– Będąc w Glasgow, chodzę zwykle do kościoła St. Andrew's in the Square. Czy to byłoby dla pani do przyjęcia? Potem moglibyśmy pójść na spacer przez park na północnym brzegu Clyde. Jeśli nie będzie padało.

Zesztywniała. Właśnie w tym kościele poślubiła Saula. Skąd jednak mógł o tym wiedzieć?

– To dobry pomysł.

– Czy mam posłać po panią powóz?

– Nie. Spotkamy się przed wejściem. Za piętnaście jedenasta.

– Znakomicie.

Ulica Jamaica nagle opustoszała, żadnych omnibusów ani dwukółek, jeśli nie liczyć osamotnionego nędzarza z wózkiem. Pożegnawszy się, Caitriona wybiegła na ulicę tuż za nim, wbiegła po schodach i dosłownie w ostatniej chwili zdążyła na pociąg. Przez całą drogę do Pollokshields wbijała wzrok w okna mijanych fabryk i kamienic czynszowych, wpatrywała się w jasne prostokąty światła i zastanawiała się, na co, na miłość boską, właściwie się zgodziła.

– Myślę o nim – wyznała siostrze.

Anne zmrużyła oczy. Jej myśli krążyły wokół dziecka leżącego na jej kolanach, które zasnęło wreszcie po godzinie popłakiwania, dziecka, którego niemal nie dawało się podnieść i ułożyć w kołysce bez budzenia.

– A tak naprawdę – ciągnęła Cait – w ogóle go nie znam. Spotkałam go tylko dwa razy. I nie ma takiej możliwości...

Cait urwała. Obie na chwilę zamilkły. Cóż tu można było jeszcze dodać? Uniósłszy palec do ust, Anne wstała tak płynnie, jak tylko potrafiła, po czym ułożyła swe dziecko, już czwarte, w kołysce. Chłopczyk wybudził się, popłakał chwilę, po czym na powrót zapadł w sen.

– Wreszcie – wyszeptała. – Chyba ząbkuje. No dobrze, o czym to mówiliśmy? Ach tak, pan Sinclair? No i co o nim myślisz? Nie jest już młody, ale to bardzo przyzwoita partia!

– Czy ty mnie w ogóle słuchałaś?

– Oczywiście, że tak!

Anne zamrugła kilkakrotnie. Cait zdławiła w sobie chęć wrzaśnięcia, wyładowania złości na siostrze tak beztrudnie przyjmującej wszystkie uśmiechy losu: zdrowe dzieci, czarującego męża i uroczy dom, zawsze ciepły i wygodny. Zamiast tego pociągnęła łyk letniej herbaty.

– Nie, nie słuchałaś.

– Czy pan Sinclair ma dzieci?

Cait pokręciła głową.

– Miał jedno, ale zmarło w niemowlęctwie na błonicę.

– Och. – Anne wyciągnęła rękę i położyła dłoń na własnym dziecku, jakby samym dotykem mogła odpędzić wszystkie choroby. – Jakie to smutne. Ale w pewnym sensie to lepiej. To znaczy dla ciebie.

Cait spojrzała przez okno na płataninę nagich, zimowych gałęzi drzew rosnących w ogrodzie.

– Może.

– Moim zdaniem, o ile ono cokolwiek znaczy, musisz po prostu brać, co dają.

– Anne...

– W końcu skąd możesz wiedzieć, kiedy nadarzy się kolejna taka okazja? Jeśli w ogóle!

Cait popatrzyła na siostrę. Mówiła bez ironii, w dobrej wierze. Nie miała pojęcia o życiu. W każdym razie o jej życiu.

– A co do tego Francuza – ciągnęła Anne – tego inżyniera... nawet jeśli naprawdę zdarza ci się o nim myśleć, musisz przestać.

Znów przez moment siedziały w milczeniu. Chociaż w sugestii Anne zabrzmiała interesowna nuta, siostra miała prawdopodobnie rację: Cait powinna brać, co dają.

– To znaczy zakładam, że między tobą a inżynierem do niczego nie doszło? Nie zadeklarował się oficjalnie?

Caitriona pokręciła przecząco głową.

– Tak naprawdę mówiło się o możliwości zeswatań go z Alice.

Wyglądało na to, że Anne sprawiło to ulgę.

– Ale tak czy inaczej, on na pewno już kogoś ma – ciągnęła jej siostra. – Tam musi być jakaś kobieta.

– Jest Francuzem. Na pewno ma dwie! – Anne urwała. – Cait?

W końcu podniosła oczy i napotkała jej spojrzenie.

– Powiedziałabym, że raczej trzy – odpowiedziała ta. – A może nawet więcej?

– Nie cztery? – wyszeptała Anne.

I zaczęły się śmiać tak, że nie mogły przestać, ocierały tylko oczy, aż wreszcie wybudzone całym tym hałasem dziecko zanosło się oburzonym płaczem.

W Levallois-Perret Emil pracował siedem dni w tygodniu. Podczas gdy Maurice Koechlin wraz ze swoim zespołem kreślał produkty, Emil nadzorował wytwarzanie wszystkich co do jednej części składowych wieży. Każdy element musiał mieć otwory na nity wywiercone w ściśle określonym miejscu. Na placu budowy wszystko musiało precyzyjnie do siebie pasować.

Po pracy wpadał zwykle na szklaneczkę bordo do baru obok Parc de la Planchette. Od ponad miesiąca nie dostał żadnej wiadomości od Gabrielle. Tak było najlepiej, czyste cięcie. Może wyjechała z Paryża? Wyobraził sobie, że może być w Nowym Jorku lub Bostonie i żyć życiem, którego pragnęła. Miał nadzieję, że jest szczęśliwa. Choć nigdy by się tego nie domyśliła, zrobił wszystko, co w jego mocy, aby tak właśnie się stało.

Szukając drobnych dla kelnera, zauważył leżącą na barze gazetę. Była środa, a w środowe wieczory, o ile tylko był w Paryżu, jadał kolację u matki. Na zegarku kieszonkowym sprawdził, że jest już godzinę spóźniony. Zostawił pieniądze na barze, prędko wyszedł na ulicę i przywołał dorożkę.

Madame Nougier mieszkała samotnie w szesnastej dzielnicy, w lokum zdecydowanie zbyt przestronnym dla jednej osoby. Od śmierci ojca Emila większość pokoi stała zamknięta, meble okryto bawełnianymi pokrowcami chroniącymi je przed kurzem, okna przysłonięto roletami. Matka Emila spędzała obecnie większość czasu w niewielkim pokoju na tyłach mieszkania, dogodnie umiejscowionym w pobliżu kuchni i łazienki. Gnębiły ją rozmaite dolegliwości, o których napomykała półgębkiem, nigdy do końca nie wyjaśniając ich natury, więc regularnie wzywała młodego lekarza, którego cierpliwość wydawała się niewyczerpana. Emil podejrzewał czasami, że wymyśla sobie jakieś objawy tylko po to, żeby móc go ponownie wezwać. Jeśli faktycznie tak było, czy młody lekarz o tym wiedział i ustępował jej dla świętego spokoju? Bez wątplenia wystawiał jej zawyżony rachunek, lecz mimo to Emil zastanawiał się, kto tu właściwie kogo wykorzystuje.

Chociaż codziennie przychodziła tutaj gospodyni, która gotowała, sprzątała i czasem dotrzymywała jego matce towarzystwa podczas krótkiej przejażdżki powozem lub przechadzki nad jeziorem do parku Monceau i z powrotem, wiedział, że starsza pani musi się czuć samotna. Z miejsca postanowił częściej ją odwiedzać; wywiezie ją z miasta, może nawet zabierze na wakacje.

– *Maman!* – zawołał, wchodząc do środka.

Chcąc go powitać, matka uniosła się za zastawionym rozmaitymi rzeczami niewielkim stolikiem. Mieściło się na nim wszystko, czego mogła tego dnia potrzebować: woda toaletowa, pióro i atrament, papier do pisania, leki, puder do

twarży i szkatułki z biżuterią. Zbliżała się do siedemdziesiątki i chociaż wszystko wokół niej zmięкло – jej ubrania, jedzenie, które jadła, nawet światło przesączające się przez zaciągnięte na stałe zasłony – umysł miała nieodmiennie ostry jak brzytwa.

– Emil. – Wyciągnęła ku niemu rękę. Nawet w domu, nawet sama, nosiła białe rękawiczki. Uniósł jej dłoń do ust, jak to zawsze robił, i ucałował sztywny materiał. – Wreszcie! – wykrzyknęła. – Zaczynałam już tracić nadzieję!

– Bardzo przepraszam. Coś zatrzymało mnie w pracy.

– No cóż – powiedziała z westchnieniem zawodu – teraz jesteś tu. Mam dla ciebie kilka rzeczy do podpisania. Ale możesz to zrobić po kolacji.

Gospodyni jak zwykle zostawiła na blacie dwa talerze z zimnym jedzeniem. Tym razem były to rostbef z nadzieniem pomidorowym, tarta ze szparagami i koszyk pokrojonego chleba, w tej chwili już szcerstwiałego. Emil nalał wina do dwóch zmatowiałych kryształowych kieliszków, po czym przeniósł jedzenie na mały stolik matki i usiadł naprzeciw niej.

– Wystarczy? – zapytała. – Smakuje ci?

Choć zapach tego, co trzymała na stoliku, mieszał się z zapachem jedzenia i wina, przez co wszystko smakowało wodą toaletową i syropem z fig, zapewnił ją, że posiłek jest wyśmienity.

– Jak się miewasz? – spytała, kiedy się już usadowili.

– Zupełnie nieźle. A co słyhać u ciebie, mam?

– Od czego by tu zacząć?

Najpierw przekazała mu wszystkie wieści rodzinne: narodziny, pogrzeby, choroby i niepowodzenia, które jako że nie dotyczyły jej osobiście, relacjonowała mu z nieskrywaną przyjemnością. Większość tych historii opowiadała mu już wcześniej, lecz mimo to we właściwych momentach udawał zaskoczenie lub rozbawienie. W końcu zapadła cisza.

– Sprawiasz wrażenie zmęczonego.

– Trochę rzeczywiście jestem.

– Dobrze się odżywasz?

– Wystarczająco.

– I pracujesz?

Słowo „pracujesz” wypowiedziała z nutą wzdargi. Po skończeniu szkoły Emil odmówił wejścia w rodzinny interes i pomocy przy prowadzeniu fabryki, zamiast tego podjął studia inżynierskie i architektoniczne na uniwersytecie, co wywołało wówczas niewielki skandal. Maison Soucht znajdowało się w rodzinie od szesnastego wieku i produkowało przedmioty z kryształu i ze szkła ołowiowego: karafki do wina, emaliowane lampy i bombki choinkowe – wszystko przepięknie, ręcznie wyrabiane. Kiedy Emil rozpoczął pracę w firmie Gustawa Eiffela i zabrał się do projektowania i konstruowania mostów, jego rodzice byli przekonani, że to

tylko przejściowy kaprys. Nougquierowie nigdy dotąd dla nikogo nie pracowali. Tymczasem prawie dwadzieścia lat później starsza pani nadal czekała, aż jej syn wreszcie dorośnie.

Kwestii tej nie podejmowano aż do nagłej śmierci jego starszego brata Bertranda, co stało się przed półtora rokiem. Jako jedyny syn i spadkobierca Emil został właścicielem fabryki i wszystkiego, co się z nią wiązało, ale do tej pory starał się mieć z nią tak niewiele do czynienia, jak to tylko było możliwe. Raz w tygodniu, po kolacji w mieszkaniu matki, podpisywał czeki, przeglądał księgi rachunkowe i próbował markować zainteresowanie sprawami przedsiębiorstwa, ale bez Bertranda fabryka zaczęła przynosić straty. Emil winił za to recesję, wiedział jednak, że matka obarcza winą jego.

– Konstrukcja wieży idzie bardzo dobrze – powiedział. – Musisz przyjść zobaczyć plac budowy.

Louise Nougquier przekroiła sobie pomidora na pół i nabrała na widelec niewielką porcję jedzenia, ale nie przytaknęła.

– W gazetach wcale tak nie piszą.

– Dobre wiadomości się nie sprzedają.

Jego matka była zagorzałą czytelniczką prasy. Nie spierała się z nim jednak, porzucając rozpoczęty temat.

– A zatem? – Spojrzała na niego wyczekująco.

Jedzenie uwięzło mu w gardle tak, że z trudem przełknął. Jak jedno krótkie zdanie może być tak brzemienne w znaczenia?

– Mamo – rzucił ostrzegawczo – gdybym miał jakiegokolwiek interesujące cię wieści, powiedziałbym ci o tym.

Westchnęła, odłożyła sztućce i spuściła wzrok na perski dywan.

– Muszę kazać wyczyścić ten dywan – rzekła niewyraźnie. – Zanim zostawię ci go w spadku.

W jej głosie zabrzmiał wyrzut. A zatem tak miał wyglądać ten układ? Ona przekaże mu w spadku dywan, a on w zamian zrobi to, czego ona chce? Wysoka cena za byle dywan. Czy matka nie rozumiała, że nie czuł przywiązania do przedmiotów, których tak pilnie dla niego strzegła?

– Nie jesz, mamo?

Potrząsnęła głową.

– Zjadłam troszkę przed twoim przyjściem. A poza tym Fauchon wydaje mi się czasem zbyt wykwinny.

Pod jej ciężkim spojrzeniem zjadł posiłek do końca.

– Deser? Na blacie jest *crème caramel*. Zmarnuje się, jeśli go nie zjesz.

– A ty nie chcesz, mamo?

Zbyła pytanie machnięciem dłoni.

– W moim wieku na niewiele ma się już ochotę.

Ale Emil wiedział, czego ona tak rozpaczliwie pragnie: żeby wziął odpowiedzialność za Maison Soucht, przyprowadził jej dobrze urodzoną synową i spłodził wnuki, które zapewnią ciągłość rodu Nouguierów i potwierdzą, że jej życie nie poszło na marne, lecz dało przyzwoity wynik, jak w arytmetyce, której nigdy nie wolno jej było studiować.

Małżeństwo z ojcem Emila, podobnie jak większość małżeństw zawieranych w jej sferach, zostało zaaranżowane przez rodziców młodej pary. Szła do ołtarza, prawie nie znając Cédrica Nouguiera, a jednak od powodzenia tego związku zależała przyszłość obu rodów. Fabryka wymagała modernizacji, i to dzięki posagowi panny młodej sfinansowano zakup nowego pieca węglowego. Jej młodsze siostry pozostały niezamężne – na ich wiana nie starczyło już pieniędzy – i obie żyły skromnie dzięki przychodom z rodzinnego przedsiębiorstwa. Louise Nouguier wydawała się sądzić, że jej syn jest nieświadom tego, co się tutaj waży, nie zdaje sobie sprawy z całego tego samopoświęcenia i dobrej woli, które zainwestowano w ciągu dekad, nie uprzytamnia sobie, w jakim stopniu te niepisane układy leżą u podstaw wszystkiego, w co wierzyła. Kobiety oliwiły tryby świata, tworzyły struktury wsparcia przypominające drewniane rusztowania wykorzystywane przy budowie wieży. Nagle zrobiło mu się jej żal, żal tego jej pośrednio przeżywanego życia. Nawet teraz obserwowała go, jak je, i delectowała się każdym kęsem, jakby mogła poczuć smak jego deseru.

– Dobre? – zapytała, kiedy słodki krem i ciemny syrop zniknęły. Odpowiedział, że wyśmienite, ale po prawdzie ledwie co posmakował.

Zrobiwszy mu kawę – małą, czarną i mocną – matka wyciągnęła niewielki stosik czeków, każdy wypisany na jedną z pozostających na utrzymaniu przedsiębiorstwa osób.

– Twoja ciotka potrzebowała w tym miesiącu odrobinę więcej, niezbyt dobrze się czuła. Nie masz nic przeciwko?

– Wiesz, że nie musisz pytać, mamó.

– Bertrand zawsze chciał wiedzieć, gdy coś się zmieniało w rachunkach. A twój ojciec nigdy niczego nie podpisywał, dopóki nie sprawdził w księgach buchalteryjnych.

– Jestem pewien, że wszystko jest w jak najlepszym porządku – powiedział Emil, po czym zamasyście podpisał wszystkie czeki po kolei.

Pożegnania nigdy nie były łatwe. Matka ścisnęła go jakby od niechcienia, ale on wiedział, jakie to dla niej trudne. Nie znoził zostawiać jej samej w tym wielkim mieszkaniu, tak niegdyś pełnym życia, a jednak nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ucieknie. Powietrze było tu gęste i lepkie jak spalony karmel.

– Spróbuj w przyszłym tygodniu tak się nie spóźnić – skarciła go delikatnie.

– Postaram się, obiecuję.

– Jakaś drobna dobra wiadomość – dorzuciła – bardzo podniosłaby mnie na

duchu.

Po wyjściu na zewnątrz wziął głęboki wdech, nie mogąc się doczekać, aż strumień świeżego powietrza wypełni mu płuca. Gdyby tylko Bertrand nie umarł. Gdyby tylko jego starszy brat się ożenił i spłodził syna, a najlepiej dwóch, Emil nie znalazłby się w tej sytuacji. Zrezygnował z przywoływania dorożki, postanawiając się przejść dla przewietrzenia głowy. Im bliżej był domu, tym większy spokój go ogarniał. Próbował obiektywnie spojrzeć na sytuację. Miał dopiero czterdzieści jeden lat i mnóstwo czasu, żeby znaleźć sobie dziewczynę, ożenić się i doczekać dzieci. Albo kobietę, taką jak ta Szkotka. Na myśl o niej poczuł ukłucie żalu. Jej nigdy już nie zobaczy.

Uliczni latarnicy pozapalali swoimi długimi kijami lampy gazowe wzdłuż wspaniałych bulwarów i alei. W porównaniu z jasnością migoczących lamp łukowych na placu Opery lampy gazowe pałały przyćmionym blaskiem niczym złote kule. Reszta Paryża pogrążona była nocą w ciemnościach, miasto rozciągające się poza rozświetlonymi ulicami przypominało kupon najczarniejszej tkaniny. Kiedy zachodzące słońce wciąż jeszcze rozjaśniało niebo na zachodzie, powrót piechotą do domu zdawał się dobrym pomysłem. Noc zapadła jednak szybciej niż kurtyna w teatrze, Emil prędko więc stracił orientację i znalazł się wśród wąskich, mrocznych jak atrament ulic Marais. Przyspieszył, stawiając każdy krok stanowczo i zdecydowanie, by odstraszyć potencjalnych morderców, rabusiów i złodziei, którzy mogliby czaić się po bramach. Chociaż rozsądek przynaglał go do biegu, szedł miarowym krokiem, w regularnych odstępach czasu odchrząkując lub kaszląc, by sprawiać – niezgodne z prawdą – wrażenie, że się nie boi. Kiedy nagle otworzyły się jakieś drzwi – jasny prostokąt żółtego światła – Emil aż odskoczył. Pojawiła się w nich sylwetka mężczyzny, wypchnięta na zewnątrz przez postawną kobietę, która wrzeszczała, aby ten nigdy nie wracał. Drzwi się zatrzasnęły i przez chwilę obaj pogrążeni byli w całkowitych ciemnościach. Po chwili drzwi znów się otworzyły, kobieta jęknęła i mężczyzna został porwany z powrotem w jej obfite objęcia.

Emil ruszył pospiesznie naprzód: w lewo, potem w prawo, znów w lewo, aż wreszcie ku swej ogromnej uldze wpadł na szarą kamienną fasadę Luwru. Odzyskać orientację: wcale nie był daleko, co sobie uzmysłowił, przekraczając Pont des Arts i podążając wzdłuż Quai de Conti, wcale nie tak daleko. W końcu znalazł się na swojej ulicy, pod swoją kamienicą i wreszcie – pod drzwiami do własnego mieszkania.

W sypialni świeciła się lampa. Nie potrafił sobie przypomnieć, by ją zapalał, ale wsuwając klucz do zamka, ucieszył się z jej blasku. Zerknął pospiesznie przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie jest śledzony, po czym otworzył drzwi i wszedł na wewnętrzne podwórko tak cicho, jak potrafił, nie chcąc obudzić dozorcę, popędliwego mężczyzny z Awinionu.

Nie czekając na windę, zaczął wchodzić po schodach. Kiedy od mieszkania dzieliło go jeszcze pół piętra, usłyszał czyjś cichy śpiew, dobiegający ze środka. Choć nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Gabrielle śpiewała, natychmiast rozpoznał jej głos. Dozorca musiał ją wpuścić. Gdy Emil otwierał drzwi, w głowie szumiało mu od wypitego bordo i odczuwanego niepokoju.

Gabrielle leżała na jego łóżku z zamkniętymi oczami, rozpuszczonymi włosami i sukienką podciągniętą na uda. Na ścianach wisiały obrazy, które kupił na wystawie Salonu Niezależnych, wszystkie odwrócone tyłem w stronę pokoju. Wcześniej stały w korytarzu, popakowane po kilka i od chwili dostarczenia nierozpakowane. Teraz podłogę pokrywały poszarpane papiery i kawałki sznurka – świadectwo tego, jak gwałtownie zerwano z nich opakowanie.

Na moment znieruchomiał. Czekał, aż Gabrielle wyczuje jego obecność, ale szybko stało się jasne, że jest zbyt odurzona, by cokolwiek mogło do niej dotrzeć. Patrzył, jak siada, wyciąga z torby metalową strzykawkę i powoli zsuwa pończochę. Chwyił ją za nadgarstek, nim zdążyła nacisnąć tłoczek. Głowa opadła jej w tył, kiedy odwróciła się, próbując skupić na nim spojrzenie, z na wpół przymkniętymi oczami i na wpół otwartymi ustami.

– Ty! Sądziłam, że jestem tu sama ze swoimi mrocznymi myślami. – Spuściła wzrok. Biel jej uda rozkwitła błękitem i fioletem w miejscach, w które wkluła się wcześniej igła.

– Coś ty zrobiła? – wyszeptał.

– Kochany Emilu. Czy mogę ci zadać to samo pytanie?

Teraz dostrzegł, że każdy z wiszących na ścianie obrazów został rozdarty, płótno rozszarpano od góry do dołu. Na podłodze pod oknem leżał kuchenny nóż.

– Mogłeś mi powiedzieć. Dlaczego je kupiłeś, dlaczego właśnie ty? A ja sądziłam... Sądziłam, że to wszystko nabrało wreszcie jakiegoś znaczenia...

– Gabrielle... – przerwał jej.

– Nic nie mów. Tylko pogarszasz sprawę.

Emil wstał z łóżka i podniósł nóż. Przesunął palcem po poszarpanej krawędzi jednego z płócien. Jego powierzchnia zwiotczała i pozwijiała się, farba popękała i zaczęła się łuszczyć. Wycierając ostrze, pozwolił się wreszcie ogarnąć fali oburzenia i przekonania o własnej wyższości. Czy to, co zrobił, było naprawdę takie złe? Jej mąż chyba tak nie sądził. Co więcej, był bardzo przekonujący.

Gabrielle wciąż siedziała bez ruchu na łóżku, ze strzykawką na kolanach. Wydawała się drobna, krucha, żałosna. Zastanowił się, czy choćby jeden centym z jego pieniędzy dostał się jej dziecku.

– *Chérie* – zaczął – jeśli wyrządziłem ci jakąkolwiek krzywdę, nie zrobiłem tego umyślnie.

– Świetnie wiedziałeś, co robisz. Chciałeś mnie upokorzyć.

– Chciałem pomóc...

– Pomogłeś jak diabli.

Zamrugnął gwałtownie. Poczł wzbierające w oczach łzy; coś ścisnęło go w gardle. Jakim prawem tak się do niego zwracała?

– Przepraszam, ale nie miałem zamiaru...

– Przestań! – krzyknęła.

Zakryła twarz dłońmi i zanosła się łkaniem, z trudem łapiąc powietrze. To było nie do wytrzymania. Podeszedł do niej, ukląkł przed nią i położył dłonie na jej nagich ramionach.

– Gabrielle – wyszeptał.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła, po czym odepchnęła go, trąc ramiona, jakby jego dotyk ją parzył. – Wynoś się!

Jej spojrzenie było twarde i nieustępliwe. Odwrócił się więc, wyszedł z pokoju i przed drzwiami do sypialni postawił krzesło. O świcie, gdy niebo zaczęło się rozjaśniać, drzwi się otworzyły i stanęła w nich ubrana i wyszykowana Gabrielle. Bez słowa przeszła obok niego i wyszła przez drzwi wejściowe.

Tydzień później dozorca wysłał mu do pracy wiadomość, wzywając go do natychmiastowego powrotu do domu. Emil znalazł Gabrielle przed kominkiem, owiniętą kocem. Twarz miała bladą jak płótno, wargi pogryzione, oczy głęboko zapadnięte. Posłał po swojego lekarza, a ten pojawił się przed upływem godziny. Po krótkim badaniu zalecił odpoczynek w łóżku i toinę. Następnego dnia Emil wysłał wiadomość do męża Gabrielle, uspokajając go, że jest bezpieczna. Nie otrzymał odpowiedzi.

– Muszę wracać do pracy – powiedział jej. – I muszę się zobaczyć z matką. Ale potem wrócę.

Poszedł do biura, próbując nadgonić wszystkie zaległości, po czym spędził kilka godzin z madame Nougquier. Po kolacji przejrzał księgi rachunkowe fabryki szkła i podpisał jakieś czeki, po czym wymówił się i ruszył do domu. Nie musiał się tak spieszyć. Popiół w kominku już wygasł. Gabrielle wyszła przed wieloma godzinami.

Korony drzew w Lasku Bulońskim tworzyły jedną wielką chmurę świeżej zieleni. W powietrzu unosił się intensywny zapach wilgotnej ziemi, a szpaki zbijały się nad głowami ludzi w stada i krążyły po nieskałanym błękitnym niebie. Dorożkarz wysadził go przy głównym wejściu do parku, przy Porte Dauphine, i zaproponował, że pomoże mu targać wielki pakunek, ale Emil odrzucił propozycję. Już piechotą przeciął ścieżkę wiodącą do jeziorzek i drugą, prowadzącą na tor wyścigów konnych, po czym ruszył na poszukiwanie ustronnego miejsca w pobliżu rzeki. Raz usłyszał gdzieś niedaleko wystrzał z muszkietu. Pora była trochę zbyt późna na pojedynki, a jednak wciąż tu przychodzili, zdradzeni mężowie i zuchwali kochankowie, znieważeni i porzuceni, kłócący się o kobietę jak mewy o rybę.

Stos obrazów z łatwością zajął się ogniem. Drewno z rozpadających się ram pluło iskrami, płótno marszczyło się, kurczyło, by wreszcie zmienić się w popiół. Emil przyglądał się, jak jęzory płomieni pełzną po bladej skórze Gabrielle, po jej twarzy i uśmiechniętych wargach, po czym jednym miękkim ruchem unicestwiają je na zawsze.

Nocą niebo nad Glasgow rozjaśniała łuna. Wielkie piece Caledonian Railway Locomotive Works w Springburn oraz stocznie i walcownie Fairfielda w Govan huczały całą noc, nadając nisko wiszącym chmurom napływającym znad wzgórz Campsies barwę brudnej ochry. Tego wieczoru przewożono na ciągniętej przez konie platformie nową lokomotywę z St. Rollox na nabrzeże Stobcross, gdzie miała zostać załadowana żurawiem na łódź i wysłana do Indii, południowej Afryki albo Chin. Część mężczyzn, którzy pracowali przy jej produkcji – kreślarzy, kowali, formierzy żelaza i wytwórców kotłów – defilowała za nią przez całą drogę do doków. Inni klaskali na chodniku albo machali z okien, kiedy ogromny parowóz mijał ich z prędkością nieco tylko przekraczającą zwykłe tempo marszu, powoli unosząc swój wielki kocioł i majestatyczny komin niemal cztery metry nad brukiem.

Omnibus, którym jechała Cait, zatrzymał się, by przepuścić wielką maszynę. Wszyscy wyciągnęli szyje albo jęli przeciskać się w kierunku kabiny kierowcy, żeby zyskać lepszy widok.

– Pewnie ze dwa tygodnie zajmuje im zrobienie takiej jednej – zawołał kierowca przez ramię.

– Gdziekolwiek by pociągnęli tory kolejowe – odezwał się mężczyzna stojący obok – zawsze znajdzie się robotę jakiegoś fachowca z Glasgow.

Miasto oblepiał wilgotny smog. Cały podwórzec huty Williama Arrola w Dalarnock wypełniały stalowe belki, które należało wysłać do zakładów Queensferry na potrzeby mostu budowanego na Forth. Biuro Arrola mieściło się na pierwszym piętrze, powyżej montażowni. W liście zapytywał on, czy pani Wallace mogłaby wpaść następnego dnia o dogodnej dla siebie porze, by pomówić z nim o sprawie natury osobistej. Sekretarka zdradziła jej, że pojawiła się w najmniej szczęśliwym momencie. Arrol otrzymał właśnie wiadomość, że dwudziestoletni robotnik zginął w wyniku upadku na terenie budowy mostu.

– Może przyjdę innym razem? – zaproponowała Cait.

– Pan Arrol nigdy nie odwołuje spotkań – odpowiedziała sekretarka.

Cait zapukała do jego drzwi i została poproszona do środka. W gabinecie zamknięto okiennice i rozpalono ogień w kominku. Choć w pokoju było gęsto od dymu tytoniowego, w pierwszym momencie wydawało się, że nikogo w nim nie ma. Po chwili usłyszała brzęk szkła uderzającego o szkło. Wyczuła węchem, że nalewano whisky.

– Powtarzam im ciągle – powiedział William Arrol – że jeśli pracują na wysokościach, to muszą korzystać z klatek bezpieczeństwa. Czy poinformowałaś już jego rodzinę?

Dostrzegła teraz, że Arrol siedzi w fotelu, twarzą do okien, trzymając w ręku

karafkę z alkoholem.

– Panie Arrol. To ja.

Odwrócił się i w świetle bijącym z otwartych drzwi za jej plecami dostrzegła, jak bardzo ściągnęła mu się twarz.

– Pani Wallace. Oczywiście. Proszę o wybaczenie.

Wstał, odstawił karafkę na tacę i włączył lampę. Na jego biurku leżał wielki rysunek, przytrzymywany z obu stron zdjęciami na sztywnym kartonie. Jednym rzutem oka stwierdziła, że obie fotografie przedstawiają jego żonę, Elizabeth.

– Przykro mi słyszeć tak niepomysłną wiadomość.

– Cóż można na to poradzić? – odparł. – Ci młodzi ludzie są tak lekkomyślni, zupełnie beztroscy. Prawdę mówiąc, właśnie w tej sprawie chciałem się z panią zobaczyć. Herbaty?

– Bardzo proszę.

– Dobiegły mnie słuchy, że powinienem złożyć pani gratulacje.

– Słucham?

– Zaręczyny? W każdym razie tak wieść gminna niesie. Proszę usiąść, za momencik wracam.

Oczywiście spodziewała się tego, oświadczyzny Sinclaira wisały w powietrzu, jak mogła nie zdawać sobie z tego sprawy? Wyczuwała je w pełnych szacunku skinieniach jego głowy, w zamaszystości, z jaką kreślił jej imię, w lekkim dotyku jego dłoni między jej łopatkami i w sposobie, w jaki starał się ją wy badać, gdy sądził, że tego nie zauważy – jakby była koniem, którego zakup rozważał. Ostatecznie, jak jej oświadczył, byłoby to bardzo rozsądne posunięcie – był od niej starszy, lecz łączyła ich strata małżonka. A jednak palce jego dłoni wciąż mimowolnie obracały na nadgarstku splecione z włosów bransolety. Czy kiedykolwiek je zdejmie? Czy odłoży je do szuflady? Już sama myśl o zimnych pasmach włosów jego córki i pierwszej żony dotykających jej skóry napępiała ją obrzydzeniem.

– Czy mogę prosić o czas do namysłu? – odpowiedziała, kiedy w końcu zdobył się na zadanie jej tego pytania. Stali w bramie jej czynszowej kamienicy, osłaniającej ich przed falami ulewnego deszczu. Twarz Sinclaira stężała. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Oczywiście – odparł, zaśmiaawszy się lekko. – Jak długi?

– Tydzień.

– Ale nie dłużej – zastrzegł.

Już miała wejść do budynku, kiedy zauważyła, że Sinclair jeszcze nie skończył mówić.

– Zapewne pani tego brakuje. Powinności małżeńskich.

– Słucham?

– Była pani kobietą zameżną. Ależ proszę, przecież z pewnością to pani aż

tak nie szokuje. Nawet starsze klaczki lubią odrobinę pobrykać o odpowiedniej porze miesiąca. Zwłaszcza takie jak pani... To widać.

Wąsy mu drgnęły. Nie potrafiła dostrzec jego oczu skrytych w cieniu odbijającym się w szkle okularów.

– Czekam na pani odpowiedź z zapartym tchem. – Po czym odwrócił się i pokuśtykał w kierunku dworca.

Zdarzyło się to przed sześcioma dniami; od tamtej pory prawie w ogóle nie spała. Nie czuła absolutnie żadnego pociągu do Rolanda Sinclaira, niczego z wyjątkiem nieokreślonego oświecenia przypominającego wczesne objawy grypy. Sęk w tym, że Cait nie miała żadnych porządných powodów, żeby odrzucić jego oświadczenia, a w każdym razie żadnych, do których mogłaby się przyznać. Miała trzydzieści jeden lat i nie posiadała żadnych źródeł dochodów, Roland Sinclair dysponował natomiast stosownym majątkiem, miał pozycję społeczną i nie miał żadnych zobowiązań. A zatem sprawa była przesądzona. Wyjdzie za niego i zostanie panią Rolandową Sinclairową. Zamieszkają przy esplanadzie z jego siostrą. A do niej będzie przychodził na to, co określił mianem „brykania”.

Arrol wszedł z powrotem do biura, niosąc tacę zastawioną porcelanowym serwisem do herbaty, dwiema filiżankami na spodeczkach i ciastem.

– Cukru? – zapytał, nalawszy jej herbaty i dolawszy mleka.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie? – upewnił się, wręczając jej filiżankę. – Patrząc na panią, nabieram przekonania, że odrobina słodczy bardzo by się pani przydała.

– Czy wszyscy już wiedzą?

Uniósł brwi i z powagą skinął głową. Upiła nieco herbaty, po czym odstawiła filiżankę z powrotem na spodek.

– Muszę dać mu odpowiedź do jutra.

Arrol, zanim odpowiedział, przez moment wpatrywał się w podłogę.

– Nie musi się pani zgadzać.

– Jak mogłabym odmówić? Nie mam żadnych podstaw.

A potem zasłoniła twarz dłonią i rozszlochała się. Arrol wyjął z kieszeni czystą chusteczkę i wręczył ją Cait. Zza okna, z ulicy Dunn, dobiegły ich śmiechy, przekleństwa i przekomarzanki jakichś mężczyzn.

– Przepraszam, że znów sprawiam panu kłopot, kiedy ma pan już tyle na głowie – powiedziała, wycierając twarz.

– Ależ żaden kłopot. Taka kobieta jak pani musi być ostrożna. Kto się raz sparzył, ten na zimne dmucha. Czy nie tak brzmi to porzekadło? Zwłaszcza po tym, co wydarzyło się ostatnim razem.

Wbiła w niego spojrzenie. Co wiedział na temat jej małżeństwa?

– Ostatnim razem? – powtórzyła.

William Arrol obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

– Mówią, że to była kwestia braku zewnętrznych wzmocnień ukośnych. I kiepskiego wykonania. Ale moim zdaniem tam wszystko szwankowało: projekt, konstrukcja i konserwacja.

– Ach. Oczywiście.

Poczuła się jak idiotka, jak histeryczka, skupiła się więc na starannym złożeniu chusteczki.

– Słyszałam, że nowy most na Tay jest już ukończony – odezwała się.

– Zostanie otwarty w lipcu. Czy wie pani, w jaki sposób budujemy nowy most nad zatoką Firth of Forth?

– Naturalnie. To niezwykle ciekawe.

– To pierwszy most na świecie, który zostanie zbudowany wyłącznie ze stali. Nie z żelaza, lecz ze stali – sprecyzował. – Konstrukcja będzie się opierać na zasadzie zrównoważonych wsporników; każda z trzech podpór będzie początkowo stać samodzielnie. Będziemy je rozbudowywać cal po calu, aż wreszcie, jeśli szczęście nam dopisze, spotkają się nad wodami zatoki, tworząc przęsła.

– A dopuszcza pan myśl, że mogą się nie spotkać?

– Musimy wierzyć. – Uśmiechnął się.

– W Boga?

– W matematykę. Kiedy budowa dobiegnie końca, powstanie most bezpieczniejszy od wszystkich dotychczasowych. A jednak nadejdzie ten moment, to sięganie jednego ramienia ku drugiemu, gdy nic nie będzie pewne, nic nie będzie ustalone.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Panie Arrol – powiedziała Cait, odzyskując panowanie nad sobą – w jakiej konkretnie sprawie chciał się pan ze mną widzieć?

– Obawiam się o mojego bratanka Jamiego. Mam poczucie, że jego przęsło może nigdy nie sięgnąć swojego punktu przeznaczenia, że się tak wyrażę.

– A co on teraz robi?

– Chce wrócić do Paryża.

– Chyba rzeczywiście o tym wspomniał – powiedziała Cait. – Kiedy ostatnio się z nim widziałam.

– Mówi, że nadarza mu się sposobność objęcia posady czeladnika u kogoś z przedsiębiorstwa Gustawa Eiffela. Chce pracować przy budowie jego żelaznej wieży. Dlaczego, pytam go, kiedy jesteśmy w samym środku budowy mostu przez Firth of Forth?

– Próbował pan z nim rozmawiać?

Arrol zaśmiał się urywanie z nieukrywanym oburzeniem, po czym podniósł swoją szklankę whisky i wlał sobie resztkę do herbaty.

– Zamierzałem zapytać panią o zdanie, o to, czy sądzi pani, że to dobry pomysł. Ale teraz... teraz przyszła mi do głowy myśl, która może okazać się

rozwiązaniem problemów nas wszystkich.

Z drugiego końca placu rozległ się gwizdek fabryczny, długi i niski, z obniżoną w połowie nutą. W tej krótkiej chwili spokoju, kiedy pracujący na hali mężczyźni odłożyli swoje narzędzia i wzięli menażki z obiadem, kiedy ich żony i córki usłyszały gwizdek i podkręciły gaz pod garnkami ziemniaków, i zaczęły zaparzać herbatę w czajniczkach, Cait mrugnęła. Propozycja Arrola była ostatnią rzeczą, jaką spodziewała się usłyszeć. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym na powrót je zamknęła.

– No więc?

– Paryż? – upewniła się.

– Mówimy o Jamiem. I o Alice, która wyszłaby choćby za latarnię, gdyby ta się jej oświadczyła.

Serce Cait biło szybko, za szybko, żeby mogła za nim nadążyć. Wzięła oddech tak głęboki, jak pozwalał jej na to gorset, po czym spojrzała Williamowi Arrolowi prosto w oczy.

– Czy mówi pan absolutnie serio?

Popatrzył na nią w mdłym świetle.

– To wcale nie będzie taka bułka z masłem. Wobec mojej dwójki krnąbrnych podopiecznych pełniłaby pani znów funkcję odpowiedzialnego dorosłego.

Uniosła filiżankę herbaty i pociągnęła łyk. Ręka jej zadrżała.

– O jakim okresie pan myślał?

– Z tego, co jest mi wiadome, wieża musi zostać ukończona w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku przed rozpoczęciem wystawy światowej. Przynajmniej zyska pani w ten sposób realny powód, by odrzucić awanse tego pani Sinclaira, w każdym razie w dającej się przewidzieć przyszłości.

Choć miała świadomość, że raptownie się wznosi, zrzuca z siebie cały ten ciężar i odrzuca balast, nie czuła tym razem zawrotów głowy i żaden lęk nie chwycił jej za gardło.

– Wyświadczę pani przysługę, a pani odwzajemni się tym samym – ciągnął.

– Będzie pani metaforyczną siatką bezpieczeństwa, która zapewni je mojemu beztróskiemu bratankowi i równie lekkomyślnej bratanicy. Tak! Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba. Idealny plan dla wszystkich. – Jakby się rozluźnił. Wyciągnął nogi i skrzyżował je przed sobą. – Dla wszystkich z wyjątkiem tego Sinclaira, oczywiście.

– Panie Arrol – powiedziała Cait – nie ma pan pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy.

– Mogę się domyślać – odrzekł i roześmiał się. – Ciasta?

II
Czerwiec 1887

Fundamenty wieży zostały ukończone. W ziemię wkopano cztery wielkie metalowe kesony czy też stopy, jak je czasem nazywano: dwa w pobliżu rzeki i dwa nieco dalej od niej. Emil wiedział, że budowa zaczyna się zawsze w ten sam sposób: nie od dodawania, lecz od usuwania. Robotnicy wykopali setki kilogramów ziemi i kamienia, przerzucając urobek na wózki, a z nich na wagony, które miały odjechać pociągiem lub odpłynąć barką. Teraz plac budowy wyglądał jak stanowisko archeologiczne, wykopaliska pozostałości innej cywilizacji, której szczegóły popadły w zapomnienie, lecz której skala była ogromna, a ambicje gargantuiczne – i która pozostawiła po sobie układ potężnych ścian i belek nośnych.

Aby uzyskać stabilność fundamentów, od strony rzeki musieli kopać znacznie głębiej. Robotnicy drążyli więc wilgotną glinę i mokry piasek, błoto pełne potłuczonych naczyń i odłamków szkła, fragmentów zwierzęcych kości i płatków krzemienia. Powietrze cuchnęło rozkładem, zgnilizną i siarką, a nad wszystkim unosiły się kłęby dymu z palonego drewna, od którego oczy łzawiły, a świat co rusz robił się szary i zamazany. Wydawało się, że ognie palą się dzień i noc, w równej mierze oczyszczając, co zanieczyszczając.

Zapach przywodził Emilowi na myśl Owernię, gdzie zbudowali wiadukt Garabit, i Portugalię, gdzie skonstruowali most Maria Pia nad rzeką Duero w Porto. Jednak w centrum Paryża, naprzeciw przepysznych wież pałacu Trocadéro, okraczający wejście na Pont d'Iéna plac budowy wydawał się śmierdzieć gorzej niż zwykle. Może to była kwestia obecności miasta? A może głębokości wykopanej dziury? Wykop sprawiał niechlujne, wulgarne wrażenie – szpetne rozdarcie w nieskazitelnej tkaninie miasta. Nic dziwnego, że tylu ludzi przychodziło się gapić, podglądać i wytykać palcami.

Od pierwszego dnia, kiedy zaczęli kopać, szeregi powozów zatrzymywały się przy krawężniku na Quai d'Orsay i wypuszczały dziesiątki zaciekawionych, oburzonych lub rozwścieczonych gapiów. Mężczyźni w melonikach wolno przechadzali się obok albo zatrzymywali przy ogrodzeniu, żeby oprzeć się na laskach i czekać, aż coś się wydarzy. Damy w płaszczach, które wiatr wzdymał niczym pióra na kruczych skrzydłach, przemykały pospiesznie, osłaniając twarze chusteczkami przed pyłem, dymem i głębokim, wilgotnym, niepokojącym zapachem fundamentów. Początkowo niewiele było do oglądania. Plac budowy potwierdzał tylko to, o czym ludzie już i tak byli przekonani: powstająca konstrukcja będzie potwornością, prawdziwie koszmarną latarnią uliczną. Lecz Emil wiedział, że wieża wkrótce zacznie się piąć. Prace postępowały zgodnie z planem. W tym tempie dotrą na pierwszą platformę przed Gwiazdką.

– Monsieur! – wykrzyknął jakiś głos z drugiej strony placu. – Monsieur

Nouguier?

Odwrócił się i zmrużył oczy, sięgając spojrzeniem poza stertę gruzu i tory kolejowe. Z kłębow dymu wyłoniła się postać, wyfraczony mężczyzna z wysokim cylindrem na głowie, jakby wybierał się właśnie do teatru, opery lub na przedstawienie baletowe. Potknął się o kamień, zaklął i ruszył dalej w stronę Emila.

– Kto to? – zapytał Emil kierownika robót.

Ten pokręcił głową.

– Nie wiem, kto mu pozwolił wejść na plac budowy. Jak tylko się dowiem, otrzyma stosowną naganę. Nie mogą nam się tutaj wałęsać jacyś ciekawscy. Cholerna odpowiedzialność. Wyprowadzę go stąd.

Kiedy jednak mężczyzna podszedł bliżej, wydał się inżynierowi znajomy.

– Poczekaj – zawołał do kierownika robót. – W porządku. Znam go.

Jamie Arrol chwycił dłoń Emila i potrząsnął nią energicznie.

– Powiedziano mi, że tu pana znajde. Widzi pan, najpierw pojechałem do Levallois-Perret. Nadaremno, jak się okazuje. Wszystko jedno, dobrze znów pana widzieć. I cieszę się, że nie zaczęliście beze mnie.

Odwrócił się i wskazał gestem plac budowy.

– Prawdę mówiąc, zaczęliśmy wiele miesięcy temu – powiedział Emil z wahaniem.

– Żartuję – odparł mężczyzna. – Naturalnie. W każdym razie miło pana znów widzieć.

Emil wpatrywał się w Szkota, którego poznał pięć miesięcy wcześniej. Co, na miłość boską, on tutaj robił?

– Nazywam się Arrol – wyjaśnił mężczyzna. – Jamie Arrol? Pamięta pan?

– Pan Arrol, oczywiście. Znów na wakacjach?

Po niemal niedostrzegalnej pauzie Jamie Arrol się roześmiał.

– Bardzo zabawne. Proszę, mam dla pana list.

Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął białą zalakowaną kopertę i wręczył ją Emilowi.

– Wszystko tu jest. Pozwolenie na podjęcie praktyki przy projekcie, jak mi to zaproponowano. Mój wuj William Arrol miał już okazję poznać Gustawa Eiffela, więc ten pomysł naprawdę go ucieszył. Ha, kto raz przyjaźni poznał moc!

Emil gapił się na list, próbując sformułować odpowiedź. Zaproponował mu praktykę? Nic takiego sobie nie przypominał.

– Mam nadzieję, że to wystarczy – powiedział Jamie Arrol, wyczuwając jego wahanie. – Pana zwierzchnik, pan Eiffel, wyszedł z taką propozycją, przypomina pan sobie?

Emil sobie nie przypominał. Skoro Eiffel to zaproponował, to niech Eiffel sobie z tym radzi.

– Ale kiedy porozmawiałem z wujem – ciągnął Jamie – zgodziliśmy się, że

byłoby lepiej, gdybym mógł pracować z panem. Gustaw Eiffel musi być człowiekiem bardzo zajęтым, a poza tym pańska dziedzina w większym stopniu leży w moim obszarze zainteresowań.

Nouguier złożył list i wsunął go do kieszeni. Porozmawia z Gustawem z samego rana. Taka sytuacja była absolutnie nieakceptowalna.

– Ucieszy się pan na pewno na wieść, że zakwaterowaliśmy się już w Paryżu – ciągnął młody mężczyzna. – Wynajęliśmy mieszkanie w pobliżu Pól Elizejskich. W gruncie rzeczy jestem gotów rozpocząć...

Dym dmuchnął im w twarz i Arrol się rozkaszał.

– Cholerny dym – wykrztusił.

– My? – zapytał Emil, kiedy napad kaszlu minął. – Powiedział pan „my”?

– Przywiozłem swój klan! A tak naprawdę tylko swoją siostrę, Alice. Poznał ją pan! Zrobiła spore wrażenie.

Skinął głową, choć po prawdzie i siostra tego człowieka ledwie zapisała mu się w pamięci. Ale kobietę w balonie – jej rękę na jego rękawie, wyraz troski w jej wielkich szarych oczach, kształty jej sylwetki, gdy schodziła po schodach w Levallois-Perret – to pamiętał.

– Tylko was dwoje?

Jamie Arrol spojrzał na niego z ukosa.

– Nie przywiozła męża, jeśli o to pan pyta. Choć chętnych nie brakowało.

Emil uśmiechnął się, ale nie skomentował tego. Paryżanin nigdy nie mówiłby o swej siostrze tak, jakby można ją było kupować i sprzedawać niczym torbę jabłek. Zastanowił się, jak długo Jamiemu Arrolowi uda się tu przetrwać. Paryż był miastem, które potrafiło człowieka awansować i zrujnować, wynieść na szczyty, a potem bez ostrzeżenia z nich strącić. Nic dziwnego, że paryżanie byli z natury tak ostrożni i zdystansowani. Ci, którzy ochoczo otwierali się przed innymi, po butelce wina zdradzali najtajniejsze sekrety, śmiali się zbyt głośno w Chat Noir i bez opamiętania szastali pieniędzmi w kasynach, nie byli paryżanami.

Brzegiem rzeki nadjeżdżał pociąg z Gare des Invalides, a łoskot silnika i turkot kół przez dłuższą chwilę uniemożliwiały prowadzenie rozmowy. Emil odwrócił się i zaczął iść z powrotem w kierunku ustawionych obok siebie baraków. Jamie go dogonił.

– Mam uposażenie od mojego wuja – powiedział, kiedy pociąg wreszcie przejechał. – Nieszczerólnie hojne, wypada zaznaczyć, ale musi wystarczyć. Oczywiście Eiffel nie będzie musiał płacić mi ani jednego su. Przybyłem tu, by się uczyć!

Czy on naprawdę sądził, że tak po prostu może rozpocząć prace przy projekcie tej miary? Praktyka była poważnym i czasochłonnym przedsięwzięciem. Emil odrzucił już co najmniej sześć podań wykwalifikowanych kandydatów.

Odwrócił się do młodego mężczyzny w chwili, gdy ten zdjął kapelusz, by otrzeć pot z czoła.

– Musi pan zrozumieć... – zaczął.

Ale uwagę Jamiego Arrola przykuło już co innego. Utkwił spojrzenie w powozie, który stał tuż przy Pont d'Iéna.

– Poniedziałek – powiedział Jamie, ruszając nabrzeżnym bulwarem. – Około dziesiątej rano? Spotkamy się tutaj?

– Proszę zaczekać! – zawołał Emil. Ale jego głos utonął w turkocie kół przejeżdżającej dorożki. Patrzył, jak Jamie Arrol wydaje woźnicy polecenie i wsiada do powozu, a ten odjeżdża brzegiem rzeki w kierunku Notre Dame.

Biuro w Levallois-Perret było zamknięte, ale stróż nocny wpuścił Emila do środka. W głębi szuflady jego biurka znajdowało się pudełko fotografii placu budowy wieży, które zrobił z balonu przed rozpoczęciem prac konstrukcyjnych. Rozłożył je na biurku. Oto Pole Marsowe z Trocadéro ledwie widocznym w oddali. Na kolejnym, zrobionym w inną stronę, Szkoła Wojskowa. Dalej kilka widoków Paryża z wysoka, rozświetlone aleje wokół placu Gwiazdy i odległe wzgórze Montmartre'u. W końcu znalazł płytkę, którą wykonał jako zdjęcie próbne. Przedstawiała pasażerkę w gondoli balonu. Wśród tłumu mężczyzn w cylindrach i kobiet w futrach, za zniekształcającym obraz gorącym bijącym z piecyka, uczepona brzegu wiklinowego kosza, z zamkniętymi oczami, stała Szkotka. Dotknął fotografii, zostawiając na niej odcisk palca. Gdyby tylko potrafił przypomnieć sobie jej imię.

Cait usiadła na balkonie i rozplotła włosy. Nikt nie mógł jej tutaj dostrzec, jeśli nie liczyć gwiazd i pszczoł przelatujących z jednej doniczki lawendy na drugą. Jej pokój znajdował się na ostatnim piętrze, w mansardzie wynajętego przez Arrolów domu – wąskiego, wysokiego budynku z bladobłękitnymi okiennicami przy ulicy Cardinet. Z jednej strony wolałaby pokój położony niżej, ale z drugiej – uwielbiała ten widok. O ile tylko nie stawała zbyt blisko barierki, czuła się bezpieczna, a zawroty głowy dawały się opanować.

Poniżej znajdował się niewielki, ukryty w cieniu ogród, a w nim omszały marmurowy posąg stojący nad malowniczym oczkiem wodnym, w którym pływały karpie. Rzadko rosnące drzewa, jesiony i lipy były tak rachityczne, jakby całą swoją energię poświęciły, aby się pięć. Gdyby była drzewem, zrobiłaby to samo: z wysoka rozciągał się widok na wiele kilometrów wokół, poszarpana perspektywa dachów i przewodów kominowych, iglic kościołów i pokoików na poddaszach, łupku i ołowiu, czerwonej cegły i spatynowanej miedzi. Delikatny wietrzyk niósł zapach rozgrzanego piaskowca i świeżej kawy, pieczonego chleba i bzu z sąsiedniego ogrodu. Cait zamknęła oczy i poczuła delikatny dotyk słońca na powiekach, przebijający się przez cienką tkaninę białej bawełnianej koszuli nocnej i pieszczący jej bladą szkocką skórę.

Już prawie od miesiąca czekała na moment, kiedy zacznie żałować podjętej decyzji. Spodziewała się go od chwili, w której postanowiła obwieścić Rolandowi Sinclairowi, że nie zostanie jego żoną. Ale się nie doczekała. Jej siostra Anne wybuchła płaczem, gdy Cait zakomunikowała jej swoje postanowienie, po czym orzekła, że Caitriona za to wszystko zapłaci i że z pochopnych decyzji jeszcze nigdy nie wynikło nic dobrego. Jej szwagier, człowiek zwykle bardzo małomówny, próbował skłonić ją do zmiany zdania, a kiedy to nie przyniosło rezultatu, zasugerował jej wizytę u lekarza. To prawda, że wyglądała inaczej. Od spotkania z Williamem Arrolem nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Nigdy nawet nie marzyła o tym, żeby pojechać na dwa lata do Paryża. Powiedziała sobie, że może nawet tu wróci. A może nie? Nic dziwnego, że nie potrafiła zasnąć, nie umiała się skoncentrować i straciła apetyt. Choć próbowała tego nie okazywać, zwykła filiżanka herbaty zdradzała, jak bardzo drżą jej dłonie.

– Kiedy o tym poinformujesz tego biednego mężczyznę? – zapytała ją Anne.

Przez chwilę Cait nie mogła sobie przypomnieć, kim właściwie jest Roland Sinclair. Jakby spotkała go w jakimś innym życiu.

– Dziś po południu, jak wszystko dobrze pójdzie.

– Jak wszystko dobrze pójdzie? Jak tu cokolwiek może dobrze pójść, Caitriono? Wieści się rozejdą, ludzie wezmą cię na języki. Żałuję, że mnie nie posłuchałaś. To będzie naprawdę nieprzyjemne. Dla nas wszystkich.

– Przykro mi, Anne, że przysparzam ci zgryzot. Nie zasłużyłaś sobie na to. Siostra zbyła jej słowa machnięciem dłoni.

– Gdyby tylko Saul nie wsiadł do tego okropnego pociągu. Gdybyś tylko przekonała go, żeby nie jechał do Dundee, w ogóle nie znaleźlibyśmy się w tej sytuacji.

Cait zamrugała, oczy ją zapiekły. Jak Anne mogła sugerować, że tej katastrofy kolejowej można było uniknąć? Że to, co się wydarzyło, było jej winą? Gdyby jej siostra tylko wiedziała, jaką zapłaciła za to cenę.

– Nie sądzisz? – dodała ostrożnie Anne na wypadek, gdyby posunęła się za daleko.

Lecz wtedy dziecko zaczęło płakać, niania zawołała matkę i rozmowa się urwała. Najwyraźniej z punktu widzenia Anne owdowiała siostra oznaczała społeczną katastrofę. Cait była piątym kołem u wozu, niepasującym elementem układanki. A jednak tyle było spraw, o których jej siostra nie miała bladego pojęcia. Tyle spraw, o których nikt nie miał bladego pojęcia.

Roland Sinclair usiadł w cieniu banana rosnącego w pałacu Kibble w ogrodzie botanicznym i szarpał swoje wąsy. Po krótkim milczeniu stało się jasne, że odmowę przyjął fatalnie.

– To dla mnie prawdziwy cios. Gorzkie rozczarowanie, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. A proszę pozwolić mi zaznaczyć, pani Wallace, że życie doświadczyło mnie nie raz.

– Nie było moim zamiarem sprawienie panu bólu.

– Ale go pani sprawiła – powiedział, zdejmując okulary. – Zdecydowanie mi go pani sprawiła.

I wbił w nią nieustępliwe spojrzenie, by jego czerwieniejące oczy czasem nie umknęły jej uwadze. A ona, choć przecież na to wszystko nieobojętna, odniosła wrażenie, że ostatecznie nie znają się na tyle długo, żeby miał podstawy do aż takiego rozgoryczenia. Nawet jeśli choć odrobinę ją kochał – w co wątpiła – nigdy nie zdobył się na odwagę, by to jednoznacznie wyrazić. Przypomniała sobie jego słowa: „połączeni stratą”. Ich relacja byłaby konstrukcją opartą na dwóch finałach dwóch różnych żyć, co trudno było uznać za najlepszy punkt wyjścia jakiegokolwiek związku.

W końcu Roland Sinclair odchrząknął, wydmuchał nos i wziął się w garść.

– Moja siostra będzie ogromnie urażona. Zapowiedzi do „Glasgow Herald” zostały już wysłane.

– Zawsze można je odwołać – zasugerowała Cait.

Pokręcił głową i pogładził bransolety z włosów.

– Amelia nie znosi czegokolwiek odwoływać. Ma poczucie, że jest to równoznaczne z pewnego rodzaju osobistą porażką. To śmieszne, wiem, ale trudno walczyć z przyzwyczajeniami. Nie wiem, jak zdołam jej to przekazać.

– Ale ja przecież – powiedziała Cait ostrożnie – nie przyjęłam oświadczyn.

– Ale jak powiedziała moja siostra, dlaczego miałyby je pani odrzucić? Taka oferta trafia się może raz w życiu. Zwłaszcza, a proszę tego źle nie zrozumieć, pani Wallace, zwłaszcza kobiecie w pani położeniu. Amelia powiedziała, że musiałyby pani oszaleć, żeby nie skorzystać z nadarzającej się okazji.

Kiedy Cait została jej przedstawiona, Amelia Sinclair zlustrowała ją przeciągłym spojrzeniem, jakby na pierwszy rzut oka potrafiła stwierdzić, czy Caitriona jest na tyle godna zaufania, uczciwa i w wystarczająco fatalnym położeniu, aby przyjęcie przez nią oświadczyn pana Sinclaira uznać za przesądzone. Najwyraźniej doszła do wniosku, że owszem.

– Żadnych dzieci? – upewniła się.

– Żadnych – potwierdził.

Takt najwyraźniej nie był jej mocną stroną. Była dumna z tego, że mówi, co myśli, i że myśli, co mówi. Kolacja była długa i niezręczna.

– Nasz gość mówi po francusku – powiedział Roland Amelii.

– Na niewiele jej się to tutaj przyda. Słyszałam, że była wcześniej zamężna?

W tym momencie do Cait zaczęło docierać, że przez cały posiłek Amelia będzie się wypowiadać na jej temat w trzeciej osobie.

– Byłam – powiedziała ostrożnie. – Niestety, mój mąż zginął.

– W katastrofie mostu na Tay – dokończyła Amelia. – Słyszałam.

Przez moment każdy zajął się krojeniem swojego kawałka mostka.

– Zapytaj ją, czy znaleźli ciało – powiedziała Amelia do brata.

– Proszę! – zachnął się. – Nie przy jedzeniu.

W pałacu Kibble przebiegł obok nich na oko sześciolatek chłopiec. A za nim drugi.

– To niesprawiedliwe! – krzyknął ten drugi. – Oszukujesz! Nikt nie lubi takich, co łamią zasady!

Cait i pan Sinclair siedzieli wpatrzeni w przestrzeń, oboje nadal połączeni stratą, on z wilgotnymi oczyma, ona z suchymi.

– Powinam już iść – powiedziała wreszcie. – Zanim się rozpadła.

– Prognozy są dobre – odparł. – Ale z drugiej strony prognozy mogą się mylić. Fakty można zinterpretować w sposób stwarzający fałszywe wyobrażenie.

– Panie Sinclair... – zaczęła.

– Wiesz – przerwał jej – naprawdę cię polubiłem, Caitriono.

– Ja również cię lubiłam... To znaczy lubię – poprawiła się.

– Czy to nie wystarczy? Sympatia. Przyjaźń. Jakiś rodzaj dopasowania. Miłość mogłaby pojawić się później.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Wnętrze jego dłoni było miękkie jak bibuła.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Absolutnie pewna? Nie mam nic przeciwko Paryżowi, ale będziesz tam nikim... Szaperon. Przecież stać cię na więcej. A co

będzie po twoim powrocie? Nie robisz się młodsza. Jest całkiem możliwe... mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale bez mężczyzny, który mógłby cię utrzymywać, jest całkiem możliwe, że popadniesz w nędzę.

Wciągnęła powietrze, powoli i głęboko. Wszystko, co mówił, było prawdą. Widziała te szlachetnie urodzone, upadłe kobiety w kościele, z ustami zaciśniętymi zgryzotą i kieszeniami pełnymi okruchów czerstwego chleba i kostek cukru. Pan Sinclair patrzył na nią zza szkieł, zwracając ku niej tęczówki wielkie i niebieskie jak szklane kulki dawane dzieciom do zabawy. Może miał rację. Podjęła pochopną, nieprzemyślaną, wariacką decyzję. Czy niczego się nie nauczyła?

– Bo przecież, jak zawsze powtarza moja siostra – dodał – lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu.

I wtedy Cait zrozumiała, że choćby jej położenie było najgorsze, cena, jaką zapłaci, była najwyższa, a alternatywa najbardziej ryzykowna, nigdy nie zazna szczęścia z mężczyzną, który w kluczowym momencie wygłasza bezsensowne porzekadło. Zwłaszcza jeśli wyszło ono z ust jego siostry. Wciąż patrzył na nią z nadzieją. Cofnęła rękę i zwróciła się twarzą ku niemu.

– Dałam już słowo Arrolom. Przykro mi.

Zamknął oczy i westchnął. Dostał wreszcie ostateczną odpowiedź. Zerknęła na zegarek, a on uznał to za sygnał, by podnieść się z ławki.

– Chciałem złapać pociąg o piątej czterdzieści trzy. Ale mam jeszcze szansę złapać ten o czwartej siedem. Nie masz nic przeciwko?

Zatrzymali się przy wejściu do ogrodu. Ona zmierzała w jedną stronę, on w drugą.

– No cóż.

– Powinieneś jeszcze zdążyć na pociąg. Jeśli się pospieszysz.

Tyle że pan Sinclair jakoś przestał się spieszyć.

– Może mógłbym przyjechać do Paryża i złożyć ci wizytę?

– Będziesz bardzo mile widziany.

– Może więc tak zrobię. – Usta Rolanda Sinclaira uśmiechnęły się, lecz jego spojrzenie pozostało nieporuszone. Nigdy nie przyjedzie do Paryża. Oboje o tym wiedzieli, ale w tych okolicznościach zdawało się, że to odpowiednie słowa.

Powoli przeszła obok nich kobieta kierująca się w stronę Byres Road, ubrana w czarną suknię, z pasmami siwizny we włosach. Wzrok Rolanda Sinclaira podążył za jej szeleszczącą tiurniurą. Mimo tego, co właśnie jej powiedział, Cait miała pewność, że wkrótce się pozbiera.

– Do widzenia, panie Sinclair – powiedziała i uściśnęła mu dłoń.

– Do widzenia, pani Wallace – odpowiedział, po czym odwrócił się i odszedł.

Nie minęło dziesięć minut, jak chodniki upstrzyły się kroplami deszczu.

Od ich przyjazdu do Paryża nieprzerwanie świeciło słońce. Cait czuła, jak

stopniowo mięśnie jej ramion, szczęki i pleców rozluźniają się. Choć sobie tego nie uświadamiała, jej ciało było skulone, sprężone do obrony przed szkockim klimatem, gdzie nawet latem powietrze przeszywało zimnym wiatrem i ostrą wilgocia i gdzie nieodmiennie zbierało się na deszcz od zachodu.

Chociaż na zewnątrz świeciło słońce, w wynajętym domu wszystko było ciemne. Nie była to wyłącznie kwestia mahoniowych mebli, wytartych dywanów, zasłon czy nawet wyblakłych obrazów olejnych na ścianach. Chodziło o to, że nie otwierano okiennic, by nie wpuszczać do środka światła słonecznego. Dla zachowania w domu porządku zatrzymano służącą tu od lat gospodynię i ogrodnika. Po śniadaniu Cait przechodziła przez wszystkie pokoje i otwierała okna, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. Gospodyni szła za nią, zachowując stosowny odstęp, i na powrót je zamykała.

Tego ranka usłyszała dobiegający z dołu pomruk rozmowy. Alice odbywała konwersacje z nauczycielem francuskiego, starszym mężczyzną, który wpatrywał się w nią zza okularów, kiedy nieprawidłowo wymawiała słowa, okazując więcej cierpliwości, niż potrafiłaby się na to zdobyć Cait.

– W szkole mówiliśmy *je suis* – usłyszała głos Alice. – Z „s” na końcu.

– A we Francji – odpowiedział nauczyciel spokojnie – go nie wymawiamy. Jest nieme, nieobecne. Jak *oui*, czyli „tak”, mówimy *suis*.

– Jest pan absolutnie pewien?

– *Oui*.

– A więc postanowione? – upewnił się Arrol tamtego dnia w swoim biurze w Dalmarnock kilka miesięcy wcześniej. – Zaopiekuje się pani nimi.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Długie snopy promieni bladego szkockiego słońca padały przez pokój, rozświetlając tysiące unoszących się w powietrzu pyłków kurzu. Arrol podniósł się z krzesła i podał jej dłoń.

– Wiem, że mogę obdarzyć panią zaufaniem. Kobietę pani klasy.

„Jak szybko – pomyślała wówczas – wszystko się zmienia. Jak szybko problem może się przeobrazić w rozwiązanie”. I poczuła w sobie napięcie. Jakby coś w niej wyciągało się ku czemuś poza nią. Wznoszenie się żelaza ku niebu.

– Jeszcze jedno – dodał nagle Arrol. – Słyszałem, że jest pewien mężczyzna, jeden z inżynierów Eiffela, który okazał zainteresowanie Alice. Czy mogłaby jej pani nieco pomóc, wykazać się zmysłem inżynierii społecznej? Jako kandydat wydaje się odpowiedni, a ona ma już dziewiętnaście lat, co w życiu młodej kobiety jest wiekiem przełomowym, jak pani wiadomo.

Słońce schowało się za chmurę, pogrążając pokój w półmroku.

– Lepiej, żeby to był on niż ten przeklęty rzeźnik, który mi tu wszędzie węszy – ciągnął Arrol. – Jak się ten Francuz nazywał? Emil jakiś tam...

„Emil Nouguier. Czemu nie?” – zadała sobie pytanie później, kiedy szła już London Road z powrotem w stronę miasta. Alice Arrol była młoda, śliczna

i posażna. I może wszystko to, co wydarzyło się między nią a Emilem Nouguiérem tamtego dnia na szczycie schodów, było jedynie oszołomieniem spowodowanym na wpół już zapomnianymi zawrotami głowy.

Byli w Paryżu już od niemal miesiąca, a ich drogi nadal się nie skrzyżowały. Jamie jak na razie zabraniał im pokazywać się na placu budowy wieży. Powiedział im, że chce nawiązać lepsze stosunki z Nouguiérem, zanim wprowadzi komplikację w postaci własnej siostry.

– On nigdzie nie wyjeżdża, Alice – powiedział. – Bądź cierpliwa.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mogę mieć ochotę wybrać się na plac budowy, bo mnie to po prostu interesuje?

– Wieża? Nie, muszę przyznać, że nigdy.

Jamie miał słusność. Natychmiast po przyjeździe Alice kupiła wszystkie żurnale, jakie udało jej się znaleźć, po czym wybrała się do krawcowej, gorseciarki, szewca i modystki i zamówiła halki, spódnice, suknie, gorsety, płaszcze i treny, a do tego kapelusze, trzewiki i pantofle. Teraz brakowało jej już tylko, jak ustawicznie skarżyła się Jamiemu, okazji, aby je nosić.

– Mamy przed sobą całe miesiące – odparł. – Będzie mnóstwo okazji.

Na balkonie Caitriony wiatr nieco ucichł, jakby coś na chwilę odwróciło jego uwagę. W stajniach na drugim końcu ogrodu zarżał koń, odpowiedział mu drugi. Niebo na wschodzie przybrało ołowianoszarą barwę, zwiastując nadciągającą burzę. Powietrze nad miastem zgęstniało i rozżłociło się niczym syrop.

Wstała i już miała wejść z powrotem do środka, kiedy spojrzała w dół i zobaczyła czarnego kota, który zeskoczył z bzu na murek, a stamtąd na klomb kwiatów. Poruszał się z takim wdziękiem i taką pewnością siebie, jakby doskonale wiedział, dokąd zmierza. Nad oczkiem z karpiami usiadł i po prostu patrzył, wychylając głowę do przodu i cofając ją w miarę śledzenia jaskrawopomarańczowej strzały pod powierzchnią wody. A potem pochwycił ją jednym płynnym ruchem łapy.

Zanim Cait narzuciła na siebie podomkę i zbiegła trzy piętra po schodach, kot zniknął, ryba zaś leżała bez ruchu na kamiennej płycie. Nie została pokiereszowana, ugryziona ani nawet draśnięta. Była zupełnie nienaruszona. A jednak oczy jej już zmętniały. Utonęła w słodkim ogrodowym powietrzu.

Nagle uświadomiła sobie czyjąś obecność i odwróciła się. W drzwiach wejściowych stała gospodyni, wpatrując się w nią z niepokojem. „Co ona wyprawia – wydawała się mówić jej twarz – stojąc w ogrodzie w podomce? Gdzie podziało się jej poczucie zwykłej przyzwoitości?”

– Pani Wallace! – rozległ się ze środka głos Alice. – Proszę przyjść zobaczyć.

Nadeszła przesyłka od krawcowej. Zapomniawszy o lekcji francuskiego, Alice stała w holu, trzymając w ramionach świeżo uszytą suknię wieczorową.

– Czy nie jest boska? – zapytała. I wtedy zobaczyła wyraz twarzy Cait. – Pani uważa, że jest okropna!

– Nie, wcale nie.

Suknia była mocno przymarszczona, a jej stanik gęsto naszywany paciorkami. Uszyto ją z jedwabnego brokatu w kolorze bursztynu. Identycznym jak zdechły karp.

Gdy Gustaw Eiffel przebywał akurat w Paryżu, wprowadzał się do mieszkania koło placu Gwiazdy. Stracił żonę przed ponad dziesięciu laty, ale nigdy nie ożenił się ponownie. Zamiast tego znalazł lokum w pobliżu mieszkania swojej córki Claire i jej męża Adolfa, pracującego w jego przedsiębiorstwie. Pozostała piątka jego dzieci dorosła lub wyprowadziła się z domu, najmłodszy syn uczył się w szkole z internatem. Paryski apartament był przestronny, a jego umeblowanie gustowne, a przy tym zupełnie nienaznaczone indywidualnością osoby, która je wybrała. Podobnie jak Emil, Eiffel prawie tu nie bywał. Przez kilka ostatnich dekad większość czasu spędzał na podróżowaniu po całym świecie, był w obu Amerykach, Europie i na Dalekim Wschodzie, odwiedzając klientów, przedstawiając propozycje kolejnych projektów i pracując na placach budów.

Od chwili podjęcia pracy dla Eiffela Emil podziwiał jego ogromną konsekwencję i skoncentrowanie na wytyczonym celu. Nie chodziło tylko o pieniądze – było ich aż nadto – lecz o absolutną wiarę we własne przekonania. Przejawiało się to w wyborze materiałów i podejściu do budowy mostów, w odwadze podważania wszystkiego – od ustalonego porządku do podstawowych praw natury. Nouguiet pamiętał dzień, w którym robotnik zajmujący się nitowaniem spadł do wody z wiaduktu Garabit. Eiffel bez wahania skoczył do Garonny, żeby go ratować.

Nie cechował się jednak skromnością. W chwili budowy most nad rzeką Duero miał większą rozpiętość przęsła niż jakikolwiek inny wzniesiony kiedykolwiek most. Ale jak zauważał z upodobaniem Eiffel, lekkość jego sylwetki z kutego żelaza gwarantowała, że nie zepsuje widoku. Most był nie tylko wystarczająco mocny, by wytrzymać huraganowe wiatry, ale i niezaprzecalnie elegancki. Eiffel był przy tym rzutkim biznesmenem. Zjednywał sobie dziennikarzy i przekonywał ich do pisania artykułów stawiających jego i jego pracę w korzystnym świetle. Wygłaszał wykłady. Drukował ulotki i rozdawał je. Dzięki rosnącej sławie zapraszany był do współpracy przy projektach w tak odległych rejonach świata jak Chile, Budapeszt czy Nowy Jork. A teraz, aby pracować przy wieży, która miała stanowić centralny punkt wystawy światowej, wrócił do swego rodzinnego Paryża.

Rysunki wieży zostały sporządzone przez Nouguiera i Maurice'a Koechlina wiele lat wcześniej, ostateczny szlif nadał im architekt Stephen Sauvestre. Wieża Eiffla została wybrana przez komisję wystawy mimo konkurencji w postaci projektu trzystumetrowej wieży zbudowanej z granitu, z wielkim elektrycznym piecem łukowym na szczycie. Ze swojego budżetu Paryż miał przeznaczyć na pokrycie kosztów budowy półtora miliona franków, a Eiffel kolejne pięć milionów, w zamian za co miał otrzymywać wszystkie przychody z eksploatacji wieży przez

kolejne dwadzieścia lat. Koechlinowi, Nouguirowi i Sauvestre'owi miał się dostać procent z zysków, w razie gdyby jakiegokolwiek się pojawiły. Dla Eiffela było to ogromne ryzyko finansowe. Istniało spore prawdopodobieństwo, że budowlą nikt się nie zainteresuje, już nie wspominając o płaceniu za możliwość wspięcia się na nią.

Stojący w holu Emil słyszał śmiechy i krzątanie pomywaczek w kuchni, płacz dziecka i wybijające się ponad to wszystko wyższe tony szczebiotania parki trzymany w klatce ptaków. Znalazł Gustawa na tyłach domu, pracującego przy stole na tarasie. Siedziały przy nim dwie jego córki, Claire i Valentine, każda karmiła kwilące dziecko. Hałas wydawał się zupełnie nie przeszkadzać Eiffelowi. Przed nim leżało rozłożonych mnóstwo rysunków technicznych.

– Pracuje pan w niedzielę? – zapytał Emil.

– Nic poważnego – odparł Gustaw Eiffel i wstał, by go powitać. – Plany linii metra i tunelu wiodącego pod kanałem La Manche. – To było w jego stylu. Często pracował nad kilkoma projektami jednocześnie, przy czym każdy stanowił większe wyzwanie techniczne od poprzedniego. Jeśli projekt był zbyt prosty, Eiffel szybko tracił do niego serce. – Ponadto słyszałem, że mogę otrzymać propozycję złożenia oferty na Kanał Panamski.

Emil zmarszczył brwi.

– Jest pan pewien, że powinniśmy się w to angażować?

– To samo powiedziałyśmy – wtrąciła się córka Eiffela, Claire.

Francuską spółkę, która przed sześciu laty podjęła się budowy Kanału Panamskiego, nękały problemy od chwili zawiązania spółki. Tysiące robotników zginęły na placu budowy wskutek wypadków, malarii i żółtej febry. Mówiono, że panują tam potworne warunki pracy. Wykonawca, Ferdynand de Lesseps, mężczyzna, który zbudował Kanał Sueski, wydał już miliony zgromadzone od francuskich inwestorów.

– Lesseps porzucił ostatecznie koncepcję zbudowania kanału na poziomie morza – odparł Eiffel. – Chyba wreszcie zaakceptowali mój tok myślenia. Jedyńm sposobem na to, aby ta budowa zakończyła się pomyślnie, jest zastosowanie szeregu metalowych śluz, tak jak mu od początku mówiłem. Z twoimi i moimi umiejętnościami, Emilu, moglibyśmy tego dokonać. Czy mógłbyś rzucić okiem na rysunki, zanim je wyślę?

Eiffel nigdy nie przestawał pracować i tego samego oczekiwał od swoich ludzi. Podobnie jak on pracowali latem po dwanaście godzin dziennie, a zimą od świtu do zmierzchu. Emilowi huczało w głowie od łoskotu wiertarek i młotów; słyszał go nawet w snach. Kiedy nie odpowiedział, Eiffel odłożył ołówek.

– Claire? – zawołał. – Valentine? Czy mogłybyście na chwilę zostawić nas samych?

Dwie młode kobiety zerknęły na siebie, po czym zabrały dzieci i przeniosły

się w miejsce bardziej ocienione i położone nieco dalej na tarasie.

– Czy coś cię niepokoi? – zapytał Eiffel.

Przez chwilę Emil milczał.

– No dobrze. Jestem zaniepokojony – przyznał. – Chodzi o budowę wieży.

Gustaw uniósł brwi i mrugnął, raz, swoimi bladoniebieskimi oczami.

– Jeśli tylko każdy otwór na nit zostanie wywiercony z dokładnością do jednej dziesiątej milimetra – powiedział – wszystko będzie dobrze.

Emil wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł sobie czoło. Powietrze było ciężkie, chmury wisiały nisko nad miastem. Nitów było dwa i pół miliona. Do jego obowiązków należało dopilnowanie, by każdy co do jednego otwór został idealnie wywiercony w oznaczonym miejscu. A jeśli nie? Na placu budowy żelazne belki ważące do trzech ton każda umieszczano w odpowiednich miejscach. Jeśli otwory się nie spotkają, elementy nie będą do siebie pasowały. I żadnej wieży nie będzie.

Oczy wciąż jeszcze piekły go od czarnego pyłu unoszącego się w fabryce. Włosy, ubrania i skóra nosiły zapach spiekanego metalu i płonącego węgla, którego żadna ilość mydła nie była w stanie całkowicie usunąć. Czasem wydawało mu się, że wzięli na siebie zadanie niemożliwe do wykonania. Budować naprzód, spać brzegi doliny, postawić most albo wiadukt to jedno, lecz wznosić, budować coś tak wysokiego, wyższego niż cokolwiek wcześniej, wydawało się próbą uchwycenia treści snu. Chociaż sam zaprojektował tę wieżę, z trudem przychodziło mu wyobrażenie sobie setek metrów metalowych rozpór pod stopami i widoku, który dane mu było wcześniej podziwiać jedynie z gondoli balonu.

– Czy chodzi o chłopaka Arrolów? – zapytał Eiffel.

Emil sapnął z irytacji.

– To też! Jest beznadziejny.

Powierzył Szkotowi nadzór nad drobnym obszarem produkcji. Na trzeci dzień sprawdził, jak sobie radzi. Arrol zastosował otrzymany szablon, ale do góry nogami, w efekcie czego wszystkie otwory wywiercono w niewłaściwych miejscach. Prawie wszystkie belki nadawały się tylko do wyrzucenia. Emil próbował nie okazywać złości, starał się stłumić frustrację, ale ile wadliwych elementów umknęło jego uwadze? Ile to spowoduje kłopotów na dalszych etapach budowy? Tymczasem Jamie Arrol nie okazał odrobiny skruchy.

– W Szkocji większość otworów wiercimy na miejscu.

– Może i tak – odparł Emil. – Ale w tym projekcie zdecydowaliśmy się wywiercić przynajmniej sześćdziesiąt procent otworów na nity w fabryce. Nie tylko szybciej, ale i bezpieczniej będzie można zmontować konstrukcję na miejscu. Musimy ukończyć tę budowę na czas.

Jamie Arrol ziewnął i usiadł na stole warsztatowym.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Nougier.

– Zwykle zmęczenie. Jak to mówią, prowadzę wyczerpujący tryb życia.

Po tym zdarzeniu Emil poprosił kierownika robót, by ten dwukrotnie sprawdzał wykonanie elementów nadzorowanych przez Arrola i składał mu regularnie sprawozdania.

– Czy zostałem właśnie zdegradowany? – zapytał Jamie. – O to chodzi?

Zdecydowanie był to jakiś pomysł. Pomysł, który nagle spodobał się Emilowi.

– Przesunięty – odpowiedział mu. – Przyjdź zobaczyć się ze mną w moim biurze w poniedziałek. Mam dla ciebie inne zadanie.

Kłamał. Nie miał bladego pojęcia, co z nim zrobić.

– Zwolnij go – podsunął Eiffel – skoro jest beznadziejny.

Skinął głową. Rozwiązanie samo się narzucało.

Jedno z wnucząt Eiffela, dziewczynka może czteroletnia, przybiegło i wdrapało się na kolana Emila.

– Przyniósł mi pan czekoladki, monsieur Nougquier?

– Tak, Geneviève, ale twój dziadek wszystkie zjadł!

Wlepiła wzrok w Gustawa, który udał skruchę.

– Ale przyniosłem ci coś innego – dodał Emil.

– Co?

– Łaskotki! – odparł i poruszył gwałtownie palcami.

Dziecko pisnęło radośnie i pospiesznie zgramoliło mu się z kolan.

– Proszę o nich nie zapomnieć następnym razem – powiedziała, znalazłszy się już poza jego zasięgiem. – I nie pozwolić dziadkowi ich zjeść.

– Nie pozwolę. Obiecuję.

– Geneviève! – zawołała jej matka. – Co ty tam robisz?

– Nic – odpowiedziała mała.

– Chodź tutaj i przestań zawracać głowę dorosłym.

Obaj patrzyli, jak dziewczynka biegnie z powrotem do matki.

– Dzieci cię lubią – powiedział Gustaw.

– Z wzajemnością – odparł Emil.

Ale nawet dziecko nie zdołało rozproszyć jego wyraźnego niepokoju.

– Więc tak jak mówiliśmy – ciągnął Gustaw – pozbędziesz się tego beznadziejnego Szkota. Jutro.

– Nie chodzi o to, że...

– Masz prawo – powiedział Eiffel cicho. – Daję ci to prawo!

Emil potrząsnął głową.

– Chodzi o wieżę... Nigdy wcześniej tego nie robiono.

– Ale to nie znaczy, że się przewróci – odparł Gustaw. – W Paryżu wiatry nigdy nie wiały z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę, a jednak taką właśnie liczbę przyjęliśmy w obliczeniach konstrukcyjnych.

– Tak – przyznał Emil. – Rzeczywiście.

– Prawdziwą siłą wieży są jej puste przestrzenie – ciągnął Eiffel. – Wiatr dosłownie nie będzie miał na czym się zatrzymać. Po prostu przez nią przeleci. Wiesz o tym.

– Budynek bez skóry. – Inżynier skinął głową.

– Lekki jak zwykła kamienica.

– A jeśli pominęliśmy coś, czego sobie nawet nie uświadamiamy? – wybuchnął nagle Emil. – Co wtedy?

Pojawiła się służąca z dzbankiem wody z lodem i dwiema szklankami na tacy. Eiffel nalał.

– A więc kochasz dzieci. Dlaczego więc się nie ożenisz, żeby mieć własne? – zapytał, wręczając swojemu gościowi szklankę.

– Z całym szacunkiem, co to ma do rzeczy?

– Nie mam nic przeciwko kochankom, ale związki bez odpowiednich podstaw... Ujmując to w kategoriach konstrukcyjnych: są niestabilne. Zwłaszcza gdy rzeczona kochanka jest już zamężna.

Emil nigdy nie rozmawiał z Gustawem o swoich sprawach osobistych. Czy on mówił o Gabrielle? A jeśli tak, to skąd, na miłość boską, o niej wiedział?

– Sam próbowałem pięciokrotnie – ciągnął Eiffel. – Zostałem odrzucony czterokrotnie, przez cztery różne kobiety. Moja rodzina nie pochodziła z odpowiedniej klasy, byliśmy zbyt nowobogacy. W końcu znalazłem Marie. Zabiegałem o jej względy, nie pozostawiając nic przypadkowi. Wyliczyłem wszystkie możliwe kombinacje, wszystkie czynniki ryzyka. Postawiłem ją sobie za cel, zdecydowany nie porzucić go za żadną cenę. W końcu przyjęła moje oświadczenia.

Emil pamiętał Marie. Zawsze otaczały ją dzieci. Jej śmierć była dla wszystkich wstrząsem. Była taka młoda, taka pełna energii.

– I wówczas nauczyłem się czegoś, czego się zupełnie nie spodziewałem – mówił dalej Gustaw. – Kiedy się ożeniłem, zrozumiałem, że każdego dnia wkraczamy na nowe terytoria, wcześniej nieopisane i niepoddające się zawczasu obliczeniom. Niektóre łatwo pokonać, inne nie. Któż może się domyślać, co to za uczucie, trzymać na rękach własne nowo narodzone dziecko? Któż potrafi sobie wyobrazić, że przerośnie go własny syn? Że jego córka będzie płakać rozpaczliwie, a on będzie wiedział, że nie istnieją słowa, które mogłyby ją pocieszyć?

Co próbował mu powiedzieć? Że tu wcale nie chodziło o wieżę? Emil milczał przez chwilę, po czym wychylił szklankę do dna.

– Ale znam się na mostach – ciągnął Gustaw. – I to jest zwykły most, tylko odmiennego kształtu.

Emil zamknął oczy i roześmiał się. Właśnie za to kochał Gustawa. Nigdy nie wiedział, co za chwilę od niego usłyszy.

– Czy ma pan dla mnie jeszcze jakieś światłe rady?

– Słyszałem, że dziewczyna Arrolów jest niezamężna – rzucił wyzywająco Eiffel. – Jej brat może i jest do niczego, ale siostra może się okazać zdatniejsza. Z tego, co mi wiadomo, jest też majątna.

Emil odstawił pustą szklankę na stół.

– No więc? – zapytał Gustaw.

– Chce pan, żebym jego zwolnił, a ją poślubił?

– To może być jakiś pomysł.

– Powinienem już wracać do fabryki.

– Tylko nie zabaw zbyt długo.

– Fabryka zamyka się dopiero o zachodzie słońca.

– Wiesz, że nie to miałem na myśli.

Emil wziął dorożkę na Place d'Anvers na Montmartrze i wspiał się na zbocze. Wąskie uliczki wypełniały zgiełk, zaduch i brzęk butelek rozłukiwanych na bruku. Pary obściskowały się po bramach lub potykały na klatkach schodowych nieosłoniętych przed żywiołami. Zza otwartego okna, gdzieś wysoko nad jego głową, dobiegło go plaśnięcie dłoni o skórę, a po nim westchnienie bólu. A może rozkoszy?

Pastreczka wciąż czekała w bramie, jakby nigdy jej nie opuszczała. Dostrzegła go i rozciągnęła wargi w lekkim uśmiechu.

– Trochę spóźniłeś się na zajęcia.

Podszedł do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie przyszedłem tu na zajęcia.

Zaśmiała się kokieteryjnie, płytko i urywanie.

– Czemu nie przyjdiesz do mojej pracowni? – zapytała. – Pracuję w plenerze.

– O ile tylko obiecasz nie wspominać o Poussinie.

Pastreczka oparła się o chłodne kamienie opactwa i uniosła spódnicę. Pod spodem była naga. Przesunął dłońmi po jej udach.

– Odwróć się.

Zakonnice śpiewały, światła miasta migotały w gęstniejącym mroku, a on nagle przypomniał sobie imię Szkotki.

– Caitriona – wyszeptał.

– Mam na imię Jeanne – odszepnęła pasterka. – No dalej. Czekam.

Emil zamrugał dwukrotnie i obraz przed jego oczami jakby się zmienił. Wilgotny mur, smród latryny, kurz pod stopami, a nad tym wszystkim cienki, tęskny lament zakonnice. Co on wyprawiał? Obciągnął kobiecie sukienkę i wyciągnął banknot z portfela.

– Proszę. Wystarczy?

Odwróciła się i ściągnęła brwi.

– Biorę więcej. Za takie sztuki.

Kiedy wyciągnęła rękę po kolejny banknot, którego pojawienia się była pewna, w jego oczach jej twarz przybrała inne rysy: rysy Gabrielle.

Cofnął się o krok.

– Potrzebujesz lekarza, nie modelki – powiedziała kobieta, wsuwając sobie pieniądze za pasek. – A co do Poussina... Z niego to był prawdziwy mężczyzna.

Był czternasty lipca, koniec sezonu. W powietrzu unosił się jasny kurz i pył z końskich kasztanów; miękka zielona mgiełka osiadała na wszystkim, pokrywając posągi i ławki parkowe, płyty nagrobne i kawiarniane krzeselka. Nikomu to nie przeszkadzało i nikt tego nie czyścił – w końcu był już prawie sierpień, kiedy to Paryż zamykał się na głucho, zaciągając na każdym oknie papierowe rolety, które marszczyły się i żółkły w żarze najgorętszego letniego słońca.

Według „Le Figaro” motywem przewodnim obchodów Dnia Bastyllii miała być w tym roku Wenecja. Na Sekwanę miały wypłynąć gondole, przewidziano też dwie maskarady na świeżym powietrzu, jedną pod Bourse, a drugą przed gmachem Opery. Wszystkie mosty miały zostać udekorowane wstążkami, flagami i kwiatami. Po zapadnięciu zmroku między Polami Elizejskimi a placem Zgody rozblyszły tysiące dodatkowych lamp, a w Trocadéro odbędzie się wielki pokaz fajerwerków. Jednakże nie wszyscy będą świętowali rocznicę rewolucji francuskiej. Trzecia Republika, obecny rząd, wciąż nazywana była przez monarchistów *la gueuse*, ulicznicą. Tradycyjnie zatrzaszywali okiennice i spędzali czternastego lipca od świtu do zmierzchu w ciemnicy, trzymając się od uroczystości tak daleko, jak to tylko było możliwe.

Jamie dostał wolne i wylegiwał się w łóżku do dziesiątej rano. Przy śniadaniu uzgodnili plany na ten dzień: parada, a potem być może bal maskowy.

– Wreszcie – powiedziała Alice. – Okazja! Pozostaje mieć nadzieję, że lepsza niż ta ostatnia.

– Nie protestowałaś – odparł Jamie. – Poza tym sądziłem, że lubisz balet.

– Nie wydaje mi się, by kogokolwiek przyciągnął tam taniec, Jamie – odparła. – A już na pewno nie ciebie. Pamiętasz?

Przed dwoma tygodniami wybrali się na przedstawienie w urządzonych z przepychem operze Garnier. Natychmiast po przyjściu do teatru zrozumieli, że spektakl rozpoczął się na długo przed podniesieniem kurtyny. Młode kobiety w wykwintnych sukniach wieczorowych, skrojonych do noszenia z najciaśniejszymi gorsetami, obnosiły klejnoty rozbliskujące w świetle ogromnych kandelabrow rozświetlających wspaniałe schody, pozornie nie zwracając uwagi na grupki młodych mężczyzn gromadzących się przy drzwiach prowadzących na parter. Mężczyźni zaś przeciwnie, popychali się i potracali, śmiali się i żartowali. Przy tym wszystkim rzucano wiele powłóczystych spojrzeń, znacząco spuszczano wzrok, uśmiechano się lekko i unoszono brwi: sekretny język przyzwolenia i flirtu lub też odmowy i udawanego braku zainteresowania.

Cait przystanąła na stopniach, by chłonąć wzrokiem całe to złoto i marmury, jedwabie i satynę, wdychać zapach lawendowej pomady i perfum Guerlaina. Alice, której nowa suknia została skrojona nieco zbyt wąsko, a buty miały obcas odrobinę

wyższy od tego, który zwykła była nosić, sprawiała wrażenie spiętej, gdy wchodzili po marmurowych stopniach do loży na pierwszym balkonie. Kiedy czekali w kolejce, aż bileter zaprowadzi ich na miejsca, zerknęła z zazdrością na pozostałe młode kobiety. Sprawiały wrażenie tak rozluźnionych, tak znakomicie czujących się we własnej skórze, tak bez wysiłku eleganckich.

Drzwi do loży osadzono w zaokrąglonej ścianie i otwierało się je specjalnym kluczem. Kiedy już zamknęło się je od środka, gładka ściana nie pozwalała nikomu wejść. Loża była prywatna, lecz jednocześnie odsłonięta. Choć niby to scena skupiała na sobie uwagę widzów, gdy tylko zasiedli na miejscach, zostali im wszystkim zaprezentowani. „Jak biżuteria w witrynie sklepowej” – pomyślała Cait.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała Alice odrobinę zbyt głośno, przyglądając się uważnie osobom zajmującym pozostałe loże i rytmicznie poruszając wachlarzem.

Na parterze, gdzie między kolejnymi rzędami było zbyt mało miejsca, by mogła się tam zmieścić kobieca suknia, kilku dżentelmenów obróciło się i spojrzęło na nich z dołu. Jeden z nich zawołał po angielsku:

– Ja tu jestem. Czy to nie wystarczy?

W tym jednak momencie światła na widowni przygasły i kurtyna hałaśliwie poszła w górę, zagłuszając parsknięcia śmiechu mężczyzn i ukrywając zażenowanie Alice.

– Czy my go znamy? – wyszeptała do Jamiego.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział jej brat. – Nikogo nie znamy.

Kiedy orkiestra zaczęła grać i tancerze wyszli na scenę, siedzący niżej mężczyzna raz i drugi zerknął w górę.

– On się gapi – wyszeptała Alice. – Co powinnam zrobić?

– Odwróć wzrok – poleciła Cait.

– Łatwo pani mówić.

W antrakcie Cait spojrzęła na mężczyznę siedzącego na parterze, na jego szeroką, przystojną twarz. Teraz, kiedy światła na widowni znów rozbłysły, nie sposób było nie dostrzec kosztownego fasonu jego ubrań i aroganckiego uniesienia kształtnego podbródka. Gdy scenografia została zmieniona i dysze lamp gazowych pod sceną otwarto szerzej, podniósł na nią spojrzenie i oczy mu rozbłysły.

– Widzi pani? – wyszeptała Alice. – Sama pani widzi!

Zadzwonił dzwonek i publiczność wróciła na widownię. Gdy światła przygasły, uwaga mężczyzny na powrót skupiła się na scenie. I nie tylko jego. Nawet Jamie znieruchomiał, kiedy ukazała się primabalerina: drobna, czarnowłosa tancerka w srebrnym tiulu. Alice przeniosła wzrok z brata na scenę.

– Och. A więc dlatego tutaj jesteśmy.

Uparła się, żeby opuścili lożę przed końcem bisów. Pospiesznie zeszła po szerokich marmurowych schodach do foyer, oglądając się przez ramię na drzwi

wiodące na parter widowni, po czym wysłała Jamiego, żeby znalazł ich powóz. Dużo później, już dobrze po wyjściu pozostałych widzów, wolnym krokiem przeszedł obok nich mężczyzna z parteru.

– Nie patrz – wyszeptała Cait.

Ale Alice spojrzała.

– Mademoiselle? – Mężczyzna uchylił kapelusza.

Alice napotkała jego spojrzenie i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Dobranoc – powiedział po angielsku, po czym wyszedł głównym wejściem.

Nie było sensu jej łąać. Wątpliwe, by jeszcze kiedykolwiek natknęły się na tego człowieka. Dla Alice ten incydent miał jednak znaczenie: w końcu udało jej się zrobić na kimś wrażenie.

Dzień Bastylli był jasny i bezchmurny i już od wczesnego rana rozbrzmiewał odległym trąbieniem orkiestry dętej. Powietrze pachniało uroczyście krochmalem, świeżo upraną bielizną, czekoladą i rozgrzaną skórą. Gospodyni przygotowała im śniadanie, po czym wyszła spędzić dzień ze swoją siostrą w Fontainebleau. Pod jej nieobecność panująca w domu atmosfera stała się jakby mniej napięta. Wietrzyk poruszył zasłoną i na podłogę opadło kilka płatków z ustawionego na stoliku w holu bukietu.

– Widzę je oczyma duszy – powiedział Jamie. – Siedzą z siostrą, obie przyobleczone w czerń od stóp do głów, marszczą się w upale i jedzą ślimaki szpilką.

– Jesteś okrutny – zganiła go Alice. – Co ona ci zrobiła?

– Nic. Po prostu jej nie lubię! Tego, jak na mnie patrzy. Ona nas wszystkich po prostu nienawidzi.

– Może „nienawiść” to zbyt mocne słowo – wtrąciła Cait.

– Więc może właściwsza będzie „odraza”? – zaproponował Jamie. – Albo „pogarda”?

– Robi ni mniej, ni więcej tylko to, czego się od niej oczekuje – powiedziała Cait. – Za to jej płacimy.

– Za to płaci jej wuj – poprawił ją Jamie.

Wszyscy na moment zamilkli.

– Czy on tam będzie? – zapytała Alice. – W Lasku?

– Ale kto? – zdziwił się Jamie.

– Inżynier.

Jej brat westchnął i wziął gazetę.

– No więc? Tak czy nie?

– Tak!

– Skąd wiesz? Powiedział ci?

– Nie, kochana siostrzyczko. Nie powiedział mi i prawdę mówiąc, nie mam

pojęcia, co zamierza. Ale zażądałaś odpowiedzi i udzieliłem ci takiej, jaką uznałem za najbardziej przez siebie pożądaną.

Jamie podniósł wzrok znad gazety i uchwycił spojrzenie Cait. Odwróciła wzrok.

– Czy w ogóle kiedykolwiek o mnie wspomniał? – drażzyła Alice.

– Oczywiście, że tak, moja piękna Alice. Jesteś głównym przedmiotem naszych rozmów.

– Jamie! – rzuciła ostrzegawczo Caitriona.

– Na twoim miejscu – ciągnął – nie czytałbym tego. To może cię na całe życie zniechęcić do Francuzów!

Wszystkie gazety trąbiły o procesie Pranziniego. Oskarżony Henryk Pranzini, przystojny, inteligentny, dowcipny i mówiący biegle w ośmiu językach, okazał się oszustem, wiarołomcą, złodziejem, hazardzistą i kobieciarzem. Po zabiciu swej kochanki, jej służącej i małego dziecka owej służącej, zagrabieniu obligacji i biżuterii o równowartości tysięcy funtów w gotówce zamierzał, jak utrzymywano, zbiec do Ameryki z kolejną młodą kobietą, którą uwiódł, korzystając z fortuny zrabowanej zamordowanej kochance.

Alice obrzuciła spojrzeniem artykuł wręczony jej przez Jamiego.

– Jak, na miłość boską, kobieta może zakochać się w kimś takim? Przecież chyba musiała coś podejrzewać? Pani Wallace, jak pani sądzi?

– Może miał nieodparty urok.

– Ale mimo wszystko. Pani by się zorientowała, prawda?

Cait wzięła na łyżeczkę kostkę cukru i wrzuciła ją do filiżanki, dodała drugą, po niej trzecią i czwartą. Alice i Jamie wbili w nią pytające spojrzenia.

– Czy ma nam pani coś do zakomunikowania? – zapytał Jamie.

Cait przestała mieszać herbatę i utkwiała w nim wzrok. Skąd wiedział? Przecież nikt nie wiedział.

– Cztery kostki cukru w herbacie! – powiedział Jamie.

Przełknęła ślinę. Miał rację.

– Ale przecież te kostki są mniejsze, prawda?

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia.

– Dobrze się pani czuje, pani Wallace? – zapytała Alice.

– Tak, doskonale.

– Zwykle pani nie słodzi.

– Odrobina słodczy – odparła Caitriona – nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Zapadło krótkie, ciężkie milczenie.

– Tu napisano, że była *demi-mondaine* – rzuciła Alice. – Co to znaczy?

– To znaczy, że była damą z półświatka – wyjaśnił jej Jamie. – Dziwką.

Kurwą.

Alice pociągnęła łyk herbaty, jakby chcąc splukać smak tych słów.

– Co się z nim stanie, jeśli dowiodą jego winy? – zapytała.

Brat przesunął kantem dłoni po szyi.

– Och. To potworne.

– Tak właśnie postępują we Francji. Obcinają ludziom głowy, a potem świętują to przez sto lat.

Cait wychyliła zawartość swojej filiżanki i wstała od stołu.

– Lepiej chodźmy, jeśli chcemy cokolwiek zobaczyć. Gotowa, Alice?

Alice, oczywiście, nie była gotowa.

Spóźnili się tak bardzo, że nie udało im się dopchnąć w pobliże parady. Kiedy dotarli wreszcie do Lasku Bulońskiego, kłębiły się tam tłumy, jakich nie widzieli nigdy wcześniej. Rodziny rozkładały koce na spalonej słońcem letniej trawie lub siadały na ławkach w pstrokatym cieniu drzew. Mijał ich w pędzie potok land, fiaków i wiktorii zdążających w kierunku toru wyścigów konnych, a dziesiątki jeźdźców i amazonek galopowały drogami przeznaczonymi do jazdy konnej.

W pierwszej chwili podążyli za tłumem, idąc niespiesznie zwirowymi ścieżkami biegnącymi wzdłuż alei Acacias i Poteaux. Po godzinie Alice zaczęła skarżyć się na upał, tłumy i zbyt ciasne buty, więc Jamie zaproponował, że przewiezie je łódką po jednym z jeziorek.

– Na wodzie będzie chłodniej – zauważył. – I nie będzie takiego tłumu.

Dwa jeziora, Lac Inférieur i Lac Supérieur, znajdowały się tuż obok siebie. Tylko na tym pierwszym wypożyczano łodzie wiosłowe. Alice oparła się na poduszce na dziobie łodzi, zamknęła oczy i pozwoliła dłoni ślizgać się po wodzie. Z dala od głównych alei Lasek był taki cichy, taki spokojny. Choć od paryskiego śródmieścia nie dzieliły ich nawet dwa kilometry, wokół panowała niemal zupełna cisza, jeśli nie liczyć chlupotu wiosł, odzywającego się co pewien czas ptasiego świergotu i krótkich wybuchów głośniego śmiechu dolatujących z pobliskich zagajników. Cait usiadła pod parasolką i obserwowała pluskolce prześlizgujące się po powierzchni wody. Czarna czapla stała bez ruchu na płyciźnie, po czym rozpostarła ogromne skrzydła, wzniosła się w powietrze i odfrunęła między drzewami. Do łodzi podpłynął łabędź i zerkał teraz na nich, z ciekawości lub wypatrując chleba.

– Jamie! – zapiszczała Alice. – Wiosłuj szybciej!

– Nie zrobi nam krzywdy – powiedziała Cait.

W pobliżu rozległ się głos przedrzeźniający falsetem: „Jamie, wiosłuj szybciej!”. Od strony przeciwległego brzegu zbliżała się szybko druga łódź: dwóch młodych mężczyzn wiosłowało, kolejnych trzech robiło za balast. Minęła ich w ciszy, robiąc taką falę, że w efekcie ich własna łódź zaczęła się kołysać w tył i w przód. Jamie uchylił kapelusza, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Kiedy nie można już było ich dosłyszeć, jeden z mężczyzn coś powiedział, a pozostali

wybuchli gromkim śmiechem.

– Idioci! – powiedział Jamie, a potem zerknął na Alice. Jej twarz zastygła w wyrazie dojmującego cierpienia.

W porze lunchu postanowili przycumować łódź na jednej z wysp. Na największej znajdowała się restauracja wyglądająca jak alpejska chatka, do której można było dojść z brzegu po pomoście.

– Domek był podarunkiem dla cesarzowej Eugonii od męża, Napoleona III – przeczytała Cait w przewodniku. – Zobaczyła taki domek w Szwajcarii i była nim tak zachwycona, że Napoleon go rozebrał i odbudował tutaj, w Lasku.

– Chciałabym, żeby ktoś kiedyś zrobił coś takiego dla mnie – rozmarzyła się Alice. – Idziemy?

– Wygląda na bardzo ekskluzywną – powiedział ostrzegawczo Jamie.

– Wygląda idealnie – odparła Alice.

Kiedy już zaprowadzono ich do stolika i wręczono im menu, wyciągnęła z podręcznej torebki rozmówki. Jamie złapał je, otworzył na przypadkowej stronie i zaczął czytać.

– Posłuchajcie tylko: „Miałam lekki atak podagry, który przez dwa tygodnie nie pozwolił mi opuścić pokoju”.

– Oddaj mi to – poprosiła Alice cicho.

– A to jeszcze lepsze: „Łatwo zapadam na zdrowiu”. Mam nadzieję, że nigdy nam się to nie przyda. Albo to: „Pragnę diamentu, który znakomicie się prezentuje i jest przy tym niedrogi”. Czyż nie wszyscy tego pragniemy?

– Pani Wallace! – powiedziała błagalnie Alice. – Proszę coś zrobić!

– Jamie! – skarciła go Cait.

Popchnął książkę po blacie w kierunku siostry.

– Mam nadzieję, że zamówisz flaki – rzekł, gdy wciskała rozmówki z powrotem do torebki. – Przez pomyłkę.

Alice nagle otworzyła szerzej oczy.

– Co? – zapytała Cait.

– To on! – wyszeptała Alice. – Mężczyzna z przedstawienia baletowego!

Przy sąsiednim stoliku w towarzystwie kobiety mocno już posuniętej w latach i starszego dżentelmena siedział młody mężczyzna, który tamtego wieczoru w operze Garnier zajmował jedno z miejsc na parterze. Powoli zjadał z talerza ostrygi.

– Skończyłeś już, Clément? – zapytała kobieta po francusku, połykając końcówki wyrazów. – Człowiek zapomina, jak nieznośne jest to miasto w lipcu.

– Nie, matko – odparł. – Jeszcze nie.

– Matko – wyartykułowała bezgłośnie Alice.

Kiedy młody człowiek wydłubał nożem kolejną ostrygę, zamoczył ją w soku cytrynowym, uniósł do ust, odchylił głowę i przełknął, starszy pan rozejrzał się po

restauracji z nieskrywanym obrzydzeniem. Cait omiotła spojrzeniem odzienie starszej pary, ich buty i biżuterię. Mankiety mieli wytarte, a jedwabna kamizelka starszego mężczyzny upstrzona była tłustymi plamami. Należeli do klasy społecznej, której przedstawiciele nauczyła się już rozpoznawać: *le gratin*, co dosłownie oznaczało elitę, posiadaczy tytułów arystokratycznych. Choć ubierali się nędznie i słynęli ze skąpstwa, wielu zamieszkiwało ogromne posiadłości w Faubourg Saint-Germain. Odwróciła wzrok, kiedy młodzieniec obrócił się na krzesło i unióś dłoń, przywołując kelnera.

– *Garçon!* – zawołał. – Rachunek.

Kelner natychmiast rzucił się w ich stronę.

– Naturalnie, hrabio.

– Hrabia – wyszeptała Alice.

Mężczyzna z opery albo ich nie widział, albo udawał, że nie widzi. Jego ojciec zapłacił, wkładając na nos okulary i układając banknoty i monety w małych kupkach. Potem hrabia pomógł matce włożyć narzutkę, przyniósł jej laskę i powoli wszyscy ruszyli do drzwi. Kilka sekund później mężczyzna powrócił z kelnerem, zaglądając pod krzesło w poszukiwaniu zagubionego szalika. Mimochodem cofnął się o krok w kierunku ich stolika, by kelner mógł wysunąć wszystkie krzesła. Obracał coś w palcach, coś białego, co upuścił na kolana Alice tak, że nikt, z wyjątkiem Cait, tego nie zauważył. Bładoróżowa twarzyczka panny Arrol spłonila się tak bardzo, że przybrała kolor niemal brązowy. To był liścik.

– Czy to ten? – zapytał kelner, trzymając w ręku biały jedwabny szal, który podniósł z podłogi.

– Ten!

Kiedy znów wyszedł z restauracji, Alice pod stołem zaczęła rozwijać liścik.

– Co robisz? – zapytał Jamie.

– Nic – odpowiedziała, ale on był szybszy. Przechylił się przez stół, wyrwał jej liścik z ręki i prędko na niego zerknął, po czym unióś go nad stojącą na stole świecą i spalił.

– Jamie! – krzyknęła Alice. – To było moje!

– Droga siostrzyczko, przecież nawet ty musisz być już teraz świadoma, że mężczyźni jego pokroju zrujniają ci życie od pierwszego wejrzenia. Czy nie mam racji, pani Wallace?

Spojrzał na nią, oczekując stosownej odpowiedzi.

– Bez wątplenia było to zachowanie nieco zbyt śmiałe – odparła.

– Wydawał się absolutnie godny szacunku. Jest hrabią, na miłość boską!

– Jeszcze jeden powód, żeby trzymać się od niego z daleka.

– Ale dlaczego, na Boga?

Jamie wychylił się do przodu w swoim krzesle.

– Bo, ujmując to najprostszymi słowy, nie należymy do jego sfery. A może

ci to umknęło?

– O jakiej sferze mówisz?

Jamie pokręcił głową i parsknął z irytacji.

– Czy zapomniałaś już, że jesteśmy z Glasgow? Z Glasgow w Szkocji?

– Ale przecież nie jesteśmy szczególnie biedni, prawda? A poza tym sądziłam, że chcesz mnie wydać za pierwszego odpowiedniego mężczyznę, jaki się nadarzy. Co jest nie tak z tym?

– Wszystko – odparł Jamie.

Alice prawie nie tknęła lunchu. Wstała i przeprosiwszy ich, odeszła od stolika.

– Ona może mieć rację – powiedziała Cait. – Mógł mieć absolutnie uczciwe zamiary.

Jamie nie odpowiedział, dopóki kelner nie skończył sprzątać z ich stołu.

– Wydawał się przy tym dość uprzejmy – ciągnęła Cait.

Kelner, balansując talerzami trzymanymi w jednej dłoni, drugą zmiotł okruchy z obrusa.

– Czy pani zdaniem, pani Wallace, trafnie ocenia pani ludzi? – zapytał Jamie, kiedy tamten skończył.

– To zależy od ludzi. Niektórych łatwiej odczytać niż innych.

– Z całym szacunkiem, co dokładnie było nie tak z panem Rolandem Sinclairem?

Chociaż w sali restauracyjnej było ciepło, Caitriona nagle poczuła chłód. Odchyliła się na oparcie swojego fotela.

– Nic – odpowiedziała. – Nie miałam mu nic do zarzucenia.

Kelner znów podszedł, niosąc trzy małe kawy, każdą doprawioną odrobiną cytryny.

– Mój wuj nie był gotów wesprzeć finansowo planu mojego samodzielnego przyjazdu tutaj. Potem jednak zaproponował, żeby pojechała pani ze mną. I żebyśmy wzięli ze sobą Alice.

– To prawda. Tylko pod tym warunkiem zdecydował się zezwolić na twój powrót do Paryża.

Jamie ujął filiżankę kawy, ale nie wypił ani łyka.

– A zatem powinienem zapewne podziękować pani za ten akt samopoświęcenia.

– Nie trzeba.

– Z czystej ciekawości zapytam: wyszłaby pani za niego?

– Z całym szacunkiem, Jamie, nie sądzę, żeby zadawanie przez ciebie tego rodzaju pytań można było uznać za stosowne.

Obdarzyła go lekkim uśmiechem sugerującym jakieś wciąż niezagojone, dokuczające czasem ranki.

– Chyba panią lubił. Powiedziałbym nawet, że bardzo – ciągnął niezrażony Jamie. – Czy to pani nie wystarczało?

Najwyraźniej nie zamierzał porzucić tematu. Czują, że twarz zaczyna ją palić.

– Nie należy decydować się pochopnie na zawarcie małżeństwa. A samo bycie przedmiotem męskiego uwielbienia nie jest, przynajmniej moim zdaniem, wystarczającym ku temu powodem. Poza tym występują też inne czynniki, których nie jesteś świadom.

Spojrzał na nią i unióś lewą brew. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Jej irytacja zaczęła słabnąć. Jamie Arrol był młody. Nigdy nie czuł dławienia w gardle pojawiającego się w środku nocy wraz ze świadomością, że popełniło się niewybaczalny błąd.

– No cóż, zapewne jest i taka możliwość. Jeśli tutaj się nie ułoży, zawsze może pani odkurzyć temat Sinclaira.

– Może i tak.

– Musimy tylko dołożyć starań, by nie dać plamy – dodał cicho. – Przez wzgląd na nas wszystkich. No dobrze, ale gdzie podziała się Alice?

– Na pewno niedługo wróci.

– Jest tu tylko ciężarem!

– Jest po prostu naiwna.

– Gdyby tylko udało się wydać ją za męża – powiedział Jamie – wszystko by się ułożyło.

Cait podniosła leżącą na spodeczku łyżeczkę i włożyła ją sobie do ust. Metal był chłodny i pokryty skorupką cukru. Nagle Jamie wychylił się do przodu i pokiwał palcem wskazującym.

– Wiem – powiedział. – Wiem, co zrobimy.

Następnie uczynił teatralną pauzę.

– Co?

– Zaprosimy pana Nouguiera na herbatę. – Czajniczek darjeelinga, talerz ciasteczek, kilka tostów i pasta Gentleman's Relish u Arrolów. Czy mogłaby pani pełnić honory domu? Przecież mi pani nie odmówi.

Niewielkie było prawdopodobieństwo, żeby Nougier znalazł czas na herbatę. Z opowieści Jamiego wynikało, że pracował po dwanaście, trzynaście, czternaście godzin dziennie.

– No więc? – nie ustępował Jamie.

– Przykro mi – odrzekła Cait, odkładając łyżeczkę na spodeczek – ale nie jestem pewna, czy w ogóle będzie mnie jeszcze pamiętał.

Westchnął przeciągle.

– Cóż, więc sprawa zamknięta.

Grupka ludzi przy sąsiednim stole roześmiała się gromko z jakiegoś żartu.

– To dość niesprawiedliwe – powiedział Jamie, gdy śmiechy przycichły. – Ja mogę to odłożyć na kolejne, powiedzmy, dziesięć lat, nie spieszy mi się. Ale z kobietami jest inaczej. Nie chcielibyśmy, żeby Alice została starą panną. Albo wyszła za człowieka wypiekającego ciastka.

– We Francji mówi się na nie inaczej – powiedziała Alice, siadając przy stoliku, najwyraźniej odzyskawszy dobry nastrój. – Tarty! A skoro już o tym mowa, czy ktoś zamówił deser? Musimy się wzmocnić przed dzisiejszym balem.

Emil usiadł w łóżku i zrzucił poduszkę na podłogę. W pokoju panowała nieznośna duchota. Mimo szeroko otwartego okna nie było najlżejszego choćby przewiewu, niczego, co pozwoliłoby odegnać lepkość sierpniowego upału. Pościel była zbyt zmięta, materac był za miękki; metalowe sprężyny zaczęły przebijać się przez filc, końskie włosie i bawełniane pokrycie, trafiając go prosto w żebra. Opadł z powrotem na materac, tym razem już bez poduszki pod głową, przekręcił się na jedną stronę, potem na drugą, próbując znaleźć sobie wygodną pozycję, jakieś miejsce, które byłoby jeszcze chłodne. Zegar na ścianie ledwie wybił drugą. Powinien spać. Za cztery godziny będzie musiał wstać do pracy. Im bardziej jednak czuł się zmęczony, tym bardziej pobudzony wydawał się jego umysł. Gdy tylko Emil zamykał oczy, w głowie dudniły mu na wpół zapomniane słowa, zaczynał go dręczyć jakiś nieokreślony niepokój, serce podchodziło mu do gardła i zapierało dech w piersiach.

Dzień wcześniej, na placu budowy na Polu Marsowym, dźwig miał właśnie opuścić belkę. Kierownik robót krzyknął ostrzegawczo. Wszyscy usunęli się z drogi – wszyscy z wyjątkiem Jamiego Arrola, który stał i machał do kogoś, kompletnie nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje.

– Arrol, uważaj! – zawołał Emil po angielsku.

Ale Szkot go nie słyszał. Zamiast się odsunąć, zdjął kapelusz i zaczął przyglądać sobie włosy. Emil oczyma duszy ujrzał go leżącego na ziemi, zmiażdżonego żelazem. Belka zaczęła się przechylać.

– Ej!! – wrzasnął znów Nougquier. – Zejdź z drogi!

Rzucił się biegiem, odpychając ludzi na bok, ślizgając się w błocie i brnąc w piachu przez rozkopany plac budowy. Nie zdąży.

– Arrol! – krzyknął. – Odsuń się!

Jamie usłyszał swoje nazwisko, odwrócił się, twarz skurczyła mu się nagle w panice, bo z drugiej strony rzucił się na niego młody robotnik i obalił go na ziemię. Metalowa belka upadła z potężnym łoskotem za nimi, mijając Jamiego o kilka cali i miażdżąc chłopakowi stopę.

Kiedy już było po wszystkim, a robotnicy rzucili się koledze na pomoc, próbując unieść belkę, by go spod niej wydobyć, Emil chwycił Szkota za kołnierz i nawrzeszczał na niego po francusku. Powiedział mu, że jest głupcem i nie ma czego szukać na placu budowy, jeśli nie potrafi na siebie uważać. Arrol wytrzeszczył oczy, niczego nie pojmując, po czym – a to już było dla Emila niewybaczalne – obejrzał się przez ramię. Nougquier puścił go i rozejrzał się. Za ogrodzeniem placu budowy stała kobieta. Zamachała niepewnie. Wyobrażał sobie przez chwilę, że to kobieta z balonu, i serce mimowolnie zabiło mu mocniej. Lecz wtedy dostrzegł, że się pomylił: była za niska, za szczupła, za sztywna w swej

sukni.

– Twoja? – zapytał po angielsku.

– Znam ją, jeśli o to pan pyta – odparł Jamie. – Ale nie wiem, co tutaj robi.

Inżynier głęboko wciągnął powietrze. Nie powinien tracić panowania nad sobą na oczach pracowników. Belkę uniesiono, oswobadzając młodego robotnika; twarz miał białą jak płótno, a spojrzenie nieprzytomne z bólu. Ktoś owinał go kocem, kogoś posłano po lekarza.

– Kiedy tu jesteś – powiedział Emil Jamiemu po angielsku, powoli, drżącym głosem – pracujesz. Kiedy masz wolne, bawisz się. Zrozumiano?

Arrol nonszalancko wzruszył ramionami, ale twarz mu poczerwieniała.

Lekarz powiedział, że chłopak miał szczęście; błoto i piach wyłumiły impet uderzenia belki. Lewą nogę miał złamaną w kostce, ale kość się zrośnie. Później, kiedy Emil stał w kolejce do kantyny po miskę zupy, podsłuchał mężczyzn rozmawiających o przyjaciółce Arrola.

– Czy to nie jedna z dziewcząt z Le Chabanais? – zapytał jeden z inżynierów.

Le Chabanais było zwykłym domem publicznym, ale miało reputację najbardziej luksusowego burdelu w Paryżu. Na parterze znajdowało się kasyno, a na pierwszym piętrze były prywatne pokoje.

– Wątpię – odparł drugi. – Madame nie wypuszcza ich w ciągu dnia.

– To trochę jak nas – zadrwił ktoś.

Śmiali się, dopóki jeden z nich się nie odwrócił i nie dostrzegł stojącego za nimi Emila.

– Przepraszam, szefie – powiedział. – Bez urazy.

Nouguier odstawił pustą miskę na ustawiony na kozłach stół; stracił apetyt.

Po pracy zapytał kierownika robót o adres zamieszkania rannego chłopaka.

– Zabiorę tam pana – zaproponował kierownik.

Robotnik mieszkał w trzynastej dzielnicy, w umeblowanym mieszkaniu, w kamienicy czynszowej. Kiedyś okolica ta była zamożna, słynęła z obszernych apartamentów, teraz zrobiła się nędzna i zatłoczona. Minęli tawernę z rodzaju tych, w których metalowe sztuce i talerze do podawania jedzenia przymocowywano łańcuchami do stołów. Żaden z budynków nie miał kanalizacji, więc fetor szamba, zawilgłej słomy i gnijącego jedzenia zapychającego rynsztoki był tak silny, że Emil musiał zasłonić usta chusteczką.

– To tutaj – powiedział kierownik robót i zatrzymał się przed bramą budynku.

Okna położonych niżej pomieszczeń zamalowano białą farbą zastępującą zasłony. Kamienicznik podzielił salony i urządzone niegdyś z przepychem sypialnie antresolami, uzyskując dodatkowe poziomy. Na drugim piętrze Emilowi wskazano drewnianą drabinkę. Na jej szczycie otworzyły się drzwi wiodące do

labiryntu pokoi otaczającego wielki żyrandol; najniższe kryształki zwieszały się zaledwie kilka centymetrów nad podłogą. Nie sposób było całkowicie się wyprostować i Emil musiał się pochylić. Robotnik leżał w łóżku w pokoju na tyłach; brudną zasłoną zaciągnięto górną połowę tego, co było niegdyś oknem salonu. W pomieszczeniu unosił się okropny smród niepranych ubrań i nieopróżnianych nocników. Czy w takim właśnie mieszkaniu żyła niegdyś Gabrielle? Już gorzej chyba nie mogło to wyglądać.

W nogach łóżka siedziała młoda kobieta, przesuając w dłoni paciorki różańca. Nie mogła mieć wiele więcej niż piętnaście lat, ale była już w zaawansowanej ciąży.

– Jak on się czuje? – zapytał ją.

Skinęła głową, lecz nie odpowiedziała. Chłopak spał z nogą uniesioną na wypchanym worku. Emil wyciągnął banknot, a potem jeszcze jeden, i wręczył go dziewczynie.

– Chodźmy – powiedział kierownik robót. – Nie chcielibyśmy go obudzić.

– Będiesz mu nadal płacił, prawda? – zapytał później kierownika.

Wydawało się, jakby ten nie usłyszał jego pytania, w każdym razie nie odpowiedział. Nic dziwnego, że Emil nie mógł teraz spać. Nie potrafił zlekceważyć tego, co się wydarzyło, uznać za nieszczęśliwy wypadek. Co tydzień będzie posyłał chłopakowi wypłatę z własnej kieszeni. Dopilnuje, żeby on i jego rodzina zostali zabezpieczeni. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Nie potrafił wyciągnąć ich z dzielnicy nędzy, ale mógł zrobić, co w jego mocy.

Noc była ciemna choć oko wykol. Dobiegło go miauczenie dwóch parzących się kotów, parskania, syki i piski. Po chwili zapadła cisza, ale ten koszmarny dźwięk, odgłos gorączkowego pożądania, obijał mu się po głowie jak echo. A przecież nie było się czym martwić. Budowa postępowała prawidłowo, wszystkie cztery podstawy wieży rosły. Ostatnie pomiary wskazały trzydzieści metrów; śruby dźwigarów wyjęto i zastąpiono zgrzewanymi na gorąco nitami. W ciągu tygodnia dźwigi nożycowe zostaną zdemontowane, a ich miejsce zajmą żurawie i drewniane rusztowania w kształcie piramidy. Niebawem dotrą do pierwszej platformy. Konstrukcja była prosta i budowa przebiegała zgodnie z planem. To, co Jamie Arrol robił w wolnym czasie, było jego prywatną sprawą. A chłopak wyzdrowieje, tak przecież powiedział lekarz. Więc dlaczego Emil nadal nie potrafił się odprężyć?

Odpowiedź była tak prosta, tak klarowna, że kłuła go jak ostra szpilka na skórze. Arrol nie będzie szczęśliwy, ale na pewno sobie poradzi. Emil powie mu, że popełnił błąd, że ze względu na brak czasu nie może odpowiednio nadzorować jego praktyki, że może Arrol mógłby zdobyć ją kiedy indziej, przy innym projekcie. Tak, obieca mu wszystko, byle się go pozbyć.

Nareszcie ogarnął go spokój. To było jedyne wyjście. Otworzył okno

i nasłuchiwał zbliżających się kroków zamiataczy ulic i odgłosów ich mioteł przepychających rynsztokami wodę z hydrantów. Ciągnięty przez konia wózek z uchyloną skrzynią wkrótce pozbiera sterty śmieci wyrzucanych co wieczór na ulicę. Gabrielle powtarzała mu, że w Paryżu nigdy nie powinien spać przy otwartych oknach, ale nie o niej chciał myśleć. Nie teraz. W końcu porzucił myśl o zaśnięciu. Wstał z łóżka, zaparzył sobie kawy, zapalił papierosa i zapatrzył się w powoli rozjaśniające się bladą żółcią i błękitem niebo na wschodzie.

Sierpień był w Paryżu martwym miesiącem. Większość piekarni, kawiarni, kwaciarni, a nawet niektóre wielkie pawilony Les Halles zamykano na głucho. Wszyscy, których było na to stać, wyjeżdżali z miasta. Pozostawali w nim ubodzy robotnicy, turyści i ci, którzy wznosili wieżę. Albo nie – jak w przypadku Arrola.

Nakładając marynarkę, Emil Nouguiet dostrzegł na podłodze pod drzwiami białą kopertę. To był list, przekierowany z jego biura. Zastanowił się, od jak dawna tam leży. Rozdarł kopertę i rozłożył kartkę grubego białego papieru. Wiadomość skreślono zwartym, eleganckim, staroświeckim charakterem pisma. Był proszony na herbatę do pana Jamiego Arrola, panny Alice Arrol i autorki listu, której podpis był całkiem nieczytelny, w niedzielę o piątej po południu. Natychmiast podjął decyzję: wymówi się z żalem. Niedziela była jego jedynym dniem wolnym. Potem jednak zmienił zdanie: może przy tej sposobności mógłby bez ogródek rozmówić się z Arrolem i szybciej mieć to za sobą.

W niedzielę Emil tuż przed piątą stanął pod drzwiami wejściowymi domu, w którym zamieszkali Arrolowie, i zadzwonił wielkim mosiężnym dzwonkiem. Niemal natychmiast stanęła w nich gospodyni, co kazało mu się zastanowić, czy czasem za nimi nie warowała. Biorąc od niego płaszcz i wprowadzając go do salonu, nie starała się ukryć swojej opinii o szkockich lokatorach; łatwo ją było odczytać z uniesienia jej brody i brwi i lekkiego zaciśnięcia ust.

– Nie ma za co – powiedziała, po czym odwróciła się i mocniej, niż było trzeba, zamknęła za sobą drzwi. Choć odpowiednie słowo miał już na końcu języka, tak naprawdę wcale jej jeszcze nie podziękował.

Usłyszał dobiegające z piętra wyżej poszeptywania i lekkie skrzypienie podłogi pod stopami. Podszedł do okna, zdjął kapelusz i wyjrzał na niewielki ogród z oczkiem wodnym pośrodku. Słońce załśniło na powierzchni wody, a podmuch wiatru strząsnął z drzew chmurę liści. Emil był tak zapracowany, że prawie przeoczył zmianę aury. Lato chyliło się ku końcowi; za kilka tygodni nadejdzie jesień.

Kilkakrotnie przeciwiczył sobie to, co zamierzał powiedzieć Jamiemu Arrolowi. Zdecydowanie, ale uprzejmie poinformuje go, że jego udział w projekcie nie jest już konieczny. Chłopak będzie przygnębiony, z pewnością, ale cóż na to poradzić? A sprawa będzie wreszcie załatwiona.

– Monsieur Nouguiet? – zabrzmiał głos za jego plecami. – Tak się cieszymy,

że udało się panu do nas dotrzeć.

Odwrócił się. W drzwiach stała kobieta w szarej jedwabnej sukni. Patrzyła mu prosto w oczy z bezpośredniością, którą natychmiast rozpoznał.

– Mieliliśmy okazję się poznać – zaczęła. – Zanim...

– Owszem – przytaknął.

– Wydaje się pan zaskoczony.

– Bo jestem!

Otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Pamiętam też, jak masz na imię. – Miał je na końcu języka, wibrowało mu w uszach jak akord molowy, wypowiedziane głośno, nim zdołał je powstrzymać. – Caitriona.

Przełknęła ślinę i spuściła wzrok. Zwrócił się do niej jej imieniem, w drugiej osobie.

– Przywykłam, by zwracano się do mnie „pani Wallace”.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, przyjmując na powrót bardziej oficjalny ton.

Uprzytomnił sobie, że się na nią gapi, więc szybko przyoblekł twarz w bardziej akceptowalny wyraz.

– Mam pani fotografię, zrobioną tamtego dnia w balonie. Od tego czasu musiało już minąć dobre kilka miesięcy.

– Naprawdę? Nie wiedziałam...

– To było ujęcie próbne. Natknąłem się na nią przypadkowo dosłownie wczoraj. I oto dziś wpadam na panią.

Wygładziła spódnicę, choć wcale nie było to potrzebne.

– Chciałabym ją zobaczyć. Któregoś dnia.

– Chciałabym ją pani podarować.

Uśmiechnęła się, ale nic nie odpowiedziała. Ktoś się zbliżał. Młoda kobieta ubrana w wykwintną suknię z bladobłękitnego brokatu weszła do pokoju, po czym wyszła na jego środek, obróciła głowę lekko w lewo i zastygła, sprawiając wrażenie, jakby przygotowywała się do postawienia pierwszych kroków w tańcu.

– Monsieur Nougier – powiedziała pani Wallace. – Domyślam się, że pamięta pan również pannę Arrol, prawda?

– Naturalnie.

Młoda kobieta nie patrzyła wprost na niego. Prześliznęła się wzrokiem po jego butach, mankietach, włosach, a potem utkwiała spojrzenie w punkcie znajdującym się tuż nad jego głową.

– Czy chciałby pan spożyć filiżankę kawy? – zapytała bardzo kiepską francuszczyzną. – A może wolałby pan herbatę? Assam czy darjeeling? Mamy jedną i drugą – dodała po angielsku – choć muszę przyznać, że z trudem je od siebie odróżniam.

– Wszystko jedno.

Pojawiła się gospodyni z tacą. Nad filiżanką assama panna Arrol wyznała mu, że uczy się francuskiego, i dokonała kolejnej prezentacji swoich umiejętności. A potem zapytała go o wieżę.

– Słyszałam, że się przewróci. I że w ogóle to wszystko jest niebezpieczne.

Emil potrząsnął głową.

– Nie sędzę, żeby miała się przewrócić.

– To znaczy, że nie jest pan pewien – dociekała nieco zaniepokojona.

– Benjamin Franklin twierdził, że w życiu tylko dwie rzeczy są pewne: śmierć i podatki. Ale nie, jestem pewien, że będzie całkiem bezpieczna.

Przez chwilę w pokoju słyhać było jedynie cichy brzęk jego łyżeczki trącającej o porcelanę filiżanki. Rozmowa zabrnęła w ślepy zaułek.

– Czy Paryż był pani przychylny? Czy wzięła pani udział w balu wydawanym w Dniu Bastylji?

Usta Alice drgnęły.

– Nie udało nam się dostać biletów – odpowiedziała i wbiła wzrok w drzwi.

– Przykro mi. Rzeczywiście trudno je zdobyć.

– Czy zna pan ludzi? – zapytała Alice nieoczekiwanie.

– Ludzi?

Wreszcie spojrzała mu w oczy, ale tylko na ułamek sekundy.

– Tak, no wie pan, ludzi ze świata kultury, socjetę, arystokrację, tego rodzaju ludzi.

Wrażenie było takie, jakby całe powietrze wyssano z pokoju przez komin. Emil zakaszał i wyciągnął chusteczkę. Samo zadanie tego rodzaju pytania było potwierdzeniem nikłego prawdopodobieństwa, że Alice Arrol kiedykolwiek poznała pożądany gatunek ludzi.

– Placek, bardzo proszę – powiedziała pani Wallace, zanim zdołał sformułować stosowną odpowiedź. – I konfitura do herbaty, jeśli pan woli.

– Z przyjemnością – odpowiedział, ochoczo zmieniając temat. – W Rosji piliśmy herbatę z konfiturą. Z tego, co pamiętam, było to całkiem smaczne.

Panna Arrol gapiła się nań otwarcie, wlepiając w niego spojrzenie, w którym czaiła się niechęć.

– No więc zna pan czy nie? – ponowiła pytanie.

Emil zamieszał łyżeczkę konfitury w herbacie. Nie odpuści. Nie pojęła aluzji. Było gorzej, znacznie gorzej, niż mógł to sobie wyobrazić. Dziewczyna była równie beznadziejna jak jej brat.

– Panno Arrol, jestem inżynierem – powiedział, wzruszając ramionami – a nie bywalcem salonów.

Nozdrza drgnęły jej niemal niezauważalnie. Nouguiet pociągnął łyk herbaty, potem kolejny. Jeśli wychyli filiżankę do dna, może będzie mógł wyjść wcześniej.

– Jeszcze herbaty? – zapytała dziewczyna. – Wolę herbatę, którą pijemy w domu. Ta tutaj to nie to samo. A do tego jaka droga!

Alice Arrol uśmiechnęła się i nagle wydała mu się znacznie młodsza, jak dziecko ubrane w dorosłą sukienkę. Ile ona mogła mieć lat? Przecież na pewno więcej niż szesnaście? Ale chyba nie więcej niż dwadzieścia?

– Mój brat mówi na nią „woda z kałuży”, prawda, pani Wallace?

Uznał to za sygnał, że może spojrzeć w jej stronę. Caitriona, pani Wallace, siedziała z rękoma złożonymi na kolanach. Uśmiechnęła się, ale nie podniosła oczu.

– Gdzie on się właściwie podział? – zapytała Alice. – Nie, proszę nie wstawać, ja pójdę. Jamie!

Wyszła pospiesznie, szeleszcząc suknią jak papierem. Przez moment w pokoju panowała całkowita cisza, jeśli nie liczyć miarowego, odległego stukotu kroków panny Arrol na schodach.

– Wszyscy zaczęliśmy pić kawę – wypaliła nagle pani Wallace. – Teraz wolę ją od herbaty.

– Jesteśmy narodem kawoszy z aspiracjami do herbaty – odparł. – Proszę posłuchać... – Przeszedł nagle na francuski. – Nie miałem pojęcia...

Spojrzała na niego otwarcie, a jej szare oczy zaśniły niczym jasne szkło w padającym z ogrodu świetle.

– Nie miałem pojęcia – ciągnął – że jest pani tu, w Paryżu.

Odchyliła się lekko na oparcie i rozchyliła usta.

– Ja też nie miałam pojęcia, że wrócimy. Lecz oto jesteśmy.

Uśmiechnęła się, a kilka kosmyków sfrunęło jej na twarz. Chyba tego nie zauważyła; przez moment wydawało się, jakby była gdzie indziej. Wzdrygnęła się, kiedy nagły przeciąg trzasnął drzwiami, a potem jakby ogromnym wysiłkiem woli wyprostowała się, pociągnęła kolejny łyk herbaty i zdecydowanym gestem odstawiła filiżankę na spodek.

– Panie Nougier – powiedziała. – Podoba mi się koncepcja tej wieży. Ale proszę mi powiedzieć, jaki to ma cel? Czy to ma być na pokaz? Ku uciesze tłumów?

Czas jakby zwolnił, co było niemożliwe, a przecież niewątpliwe. Wydawało się, że pytanie wymaga czegoś więcej niż logicznego uzasadnienia.

– To lekkość i przestrzeń – odparł. – Całkowite wystawienie na działanie żywiołów.

– A zatem to nic poważnego? Coś w rodzaju ogromnej zabawki?

Zmarszczył brwi. Co właściwie sugerowała?

– Jeśli tak chce pani na to spojrzeć – zgodził się. – Ale faktem jest, że nie próbuje udawać niczego, czym nie jest. Niczego nie ukrywa, lecz działa to również w drugą stronę: nic w mieście nie może się przed nią ukryć. W pogodny dzień z jej

szczytu będzie można zobaczyć wszystko. Wszystko stanie się wspaniale transparentne.

– Tego właśnie pragniemy, prawda? Przejrzystości. Tak rzadko można się z nią spotkać.

– A pani jej nie pragnie?

– Nie.

Jak miał to rozumieć? Szarpnął kołnierzyk. W pokoju było duszno. Bez słowa podniosła się i zrobiła trzy niewielkie kroki w stronę okna. Kiedy mocowała się z zasuwką, odstawił filiżankę wraz ze spodkiem i wstał. Chciał jej pomóc, to wszystko, sam siebie o tym przekonywał, pomóc jej otworzyć okno. Ale zanim zdążył do niej podejść, odwróciła się; jej głowa i górna część ciała zarysowały się ciemno na tle zgaszonych barw ogrodu, przywodząc na myśl zdjęcie zrobione pod światło.

– Powinien pan wiedzieć, panie Nougier – powiedziała po francusku – że mój pracodawca, pan Arrol, żywi dla pana i pana pracy najgłębszy szacunek.

– Z wza... – Odchrząknął. – Z wzajemnością.

– I chciałby zacieśnić więzy – ciągnęła.

Przebiegł oczami po jej twarzy, próbując odczytać jej intencje.

– Rozumiem.

– Jak Jamiemu idzie w pracy?

Emil nie od razu się odezwał. Co miał jej powiedzieć? Przecież chciał go właśnie zwolnić, zrezygnować z jego usług.

– Dobrze – skłamał.

– Dobrze?

– Potrzebuje nadzoru. Ale pracujemy nad tym.

Chyba przyniosło jej to ulgę, bo odwróciła się i otworzyła okno. Na gałęzi za oknem rozśpiewał się kos.

– Od śmierci mojego męża przed ośmioma laty życie było niełatwe... – Urwała i zaczęła jeszcze raz: – Pan William Arrol był dla mnie bardzo dobry. Jeszcze dziś o wszystkim mu napiszę.

Emil odniósł wrażenie, że podobnie jak on zdradziła więcej, niż zamierzała, nie tylko słowami, lecz również sposobem, w jaki je wypowiedziała.

– Proszę – powiedziała po angielsku. – Proszę usiąść. I poczęstować się plackiem. To Alice go wybrała.

Ciasto zrobiono z makaroników i malin – był to prześliczny wyrób sztuki cukierniczej uwieńczony watą cukrową. Emil nabrał porcję na widelec i uniósł ją do ust, ale nie mógł się zmusić do jedzenia. Stracił apetyt.

– Wyszedł! – obwieściła panna Arrol po powrocie. – A mówiłam mu, że pan przychodzi! Musiał zapomnieć. Obawiam się więc, że zostałam tylko ja.

Niebo zaciągnęło się i nagle lunęły z niego potoki letniego deszczu.

– Dlaczego siedzicie po ciemku? I kto otworzył okno? – ciągnęła Alice. –
Cóż za koszmarny przeciąg!

Zapalono lampę i na powrót zamknięto okno. Inżynier rozmawiał z Alice o pogodzie i Paryżu, ale jego spojrzenie raz za razem przyciągała kobieta, którą spotkał w balonie.

– Czy słyszał pan o artystach określanych mianem impresjonistów? –
zapytała go panna Arrol.

– Oczywiście.

– Czy ich obrazy są tak wstrząsające, jak wszyscy twierdzą?

– Część z nich dość mi się podoba.

– Widział je pan!

– Każdy może je zobaczyć. Organizowane są wystawy.

– Gdzie? Kiedy?

– Wiem o jednej, która zostanie otwarta dla zwiedzających jesienią. Nie
zostaną na niej zaprezentowani tak znani malarze jak Monet czy Renoir, lecz kilku
nieco mniej znanych.

Panna Arrol odwróciła się do pani Wallace, a potem na powrót do Emila.

– Naprawdę? – zapytała.

I wtedy sobie uprzytomnił, że zapędził się w kozi róg, z którego jedynym
wyjściem było wystosowanie zaproszenia.

– To była zwykła strata czasu – powiedziała Alice, kiedy już inżynier sobie poszedł. – Nawet nie tknął swojego ciasta. Czyż to nie jest nieuprzejme? – Po czym uniosła sukienkę i ruszyła do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Cait przystanęła, nasłuchując odgłosów domu: poirytowanego walenia garnkami w kuchni i bębnienia kropel o dach. Nagle samotne tkwienie w korytarzu wydało jej się bardzo odpowiednie, stanowiło idealną metaforę jej sytuacji – oto ugrzęzła między piętrami, między pokojami, między młodością a starością, stała się osobą pozbawioną statusu, męża i przyszłości. Czy to było życie, czy tylko czekanie na to, co nieuniknione?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi wejściowych. Gospodyni była zajęta na dole, więc otworzyła Cait. Na schodach stał Emil Nougier, a woda spływała mu po włosach, twarzy i ramionach.

– Bardzo przepraszam, że znów zakłócam spokój, ale chyba zostawiłem kapelusz.

Wnęka na płaszcze znajdowała się tuż obok drzwi wejściowych. Przez szybę docierało do niej światło bijące z korytarza. Cait powtarzała sobie, że to tylko wyczuwalny w powietrzu chłód sprawia, że drżą jej ręce, gdy przetrząsała stertę kapeluszy na wieszaku, meloników i kanotierów; to pewnie przez to bębnienie deszczu drżała, odrzucając słomkowe kapelusze i szapokłaki pozostawione przez poprzednich lokatorów.

– Jaki to był kapelusz? – zapytała. – Czy to ten?

Wyciągnęła cylinder. Inżynier wszedł do wnęki za nią i przyjrzał mu się uważnie.

– Pozwoli pani, że przymierzę.

Kapelusz okazał się jednak za mały.

– Może ten? – zapytał, wskazując inny.

Zdjęła kapelusz z haczyka i wyciągnęła go w stronę mężczyzny. Sięgnął po niego obiema rękami i przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Oboje usłyszeli drewniaki gospodyni postukujące na schodach, po czym światło w korytarzu zgasło, pozostawiając ich w półmroku.

– Ten? – powtórzył cicho, przyciągając ku sobie kapelusz i ją.

Stała tak blisko niego, że wyczuwała zapach jego mydła, tak blisko, że czuła jego gorący oddech na swojej skórze, gdy unosił i pochylał twarz wzdłuż łuku jej szyi. „Czy to się liczy, skoro go nie widzę? – zadała sobie w duchu pytanie. – Czy to cokolwiek znaczy, skoro mnie nie dotyka?”

– Pani Wallace! – krzyknęła Alice z salonu.

Usłyszeli, jak otwiera drzwi na korytarz i wychodzi. Snop światła wpadł przez szybę do wnęki. W powietrzu nad ich głowami niczym maleńkie płatki

srebrnego śniegu zatańczyły drobiny kurzu. Cait otworzyła usta, by odpowiedzieć, inżynier nieznacznie pokręcił głową. Może miał rację? Jak mogłaby to wyjaśnić? Co miałyby powiedzieć, gdyby panna Arrol znalazła ją tutaj, we wnęce, sam na sam z inżynierem? Alice zawołała jeszcze raz, a potem, ku uldze Caitriony, hałaśliwie weszła po schodach.

Po jej odejściu Cait uzmysłowiła sobie, że stoją zaledwie kilka centymetrów od siebie, oddzieleni wyłącznie kapeluszem, a Emil Nougquier patrzy jej prosto w oczy. Wiedziała, że najwłaściwiej byłoby udawać, że nigdy nie zawiązały spisku milczenia; wiedziała, że musi dać temu spokój. Lecz mimo to pozwoliła chwili trwać, dopóki niepodobna było jej już przedłużyć.

– Ten? – zapytała i puściła kapelusz.

Emil przełknął ślinę, po czym nasunął kapelusz na głowę.

– Ładny – wyszeptał. – Ale niestety ten również nie należy do mnie.

Zaczęła przyglądać się uważnie wieszakom, przetrząsać płaszcze, marynarki, szaliki i etole, wszystkie ubrania pozostawione przez właścicieli domu, zaglądając w miejsca, w których cylinder na pewno by się nie zmieścił. Wołała jednak to niż się odwrócić.

– No cóż – rzekła w końcu. – Innego nie widzę.

Kiedy wyszli z wnęki, w domu panowała całkowita cisza. W drzwiach wejściowych Emil jeszcze raz się z nią pożegnał. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Bardzo mi przykro z powodu tego kapelusza – powiedziała cicho.

Wychylił się naprzód, by wyszeptać jej do ucha:

– Właśnie sobie przypomniałem. Przyszedłem z gołą głową.

Powóz zatrzymał się przed ogromną rezydencją przy ulicy Berri. Już z dala słyhać było gwar rozmów i ciche pobrzękiwanie sztućców i szkła.

– Niedługo tu zabawimy – powiedział Eiffel. – Bez wątpienia będzie to bardzo nużące.

– Jestem zaskoczony, że zgodził się pan przyjsć – rzekł Emil.

– Jestem zaskoczony, że baronowa mnie zaprosiła.

– Monsieur Eiffel? – zawołał kobiecy głos, kiedy oddawali płaszcze angielskiemu kamerdynerowi. – Gdzie się pan podziewał? Jest pan spóźniony!

Baronowa stała na schodach, jakby na nich czekała.

– Droga pani – odparł, kłaniając się – czy mogę prosić o wybaczenie?

– No myślę – zachnęła się, schodząc po schodach, żeby go przywitać. – Lepiej, żeby pan miał dobrą wymówkę.

– Niezawodną.

– Nie wątpię. – Roześmiała się.

– W pierwszej kolejności jednak: czy mógłbym przedstawić mojego wielce szacownego współpracownika, pana Emila Nouguiera?

Odwróciła się, jakby dopiero teraz go dostrzegając, po czym uniosła brodę, uśmiechnęła się i podała mu dłoń na przywitanie. Za przykładem Gustawa Emil pochylił się i złożył lekki, powierzchowny pocałunek na jej dłoni. Była chłodna, sucha i pachniała mydłem Pears.

– Wszyscy umierają z niecierpliwości, by pana poznać! – powiedziała baronowa do Eiffela, ujmując go pod ramię i prowadząc po schodach. – Jest pan gwiazdą naszego dzisiejszego niewielkiego przyjęcia.

Baronowa nie obnosiła się ze swoim majątkiem, który – sądząc po wyglądzie jej rezydencji – był niebagatelny. Jak wielu przedstawicieli jej klasy rzadko pojawiała się na mieście, lecz mogła pozwolić sobie na to, by sprowadzić miasto do siebie. Zaproszenie na spotkanie w jej salonie było wysoko cenione. Pomijając znakomite jedzenie i wyborne wino, oznaczało to, że zostało się dostrzeżonym, że posiadało się pewną wartość na rynku kulturalnym.

Korytarz, którym ich poprowadziła, rozświetlały świece. Na ścianach między zwierciadłami wisiał rząd ogromnych portretów. Namalowane w zeszłym stuleciu, przedstawiały kobiety i mężczyzn, których pewność siebie i ubiór uchwycono na płótnie tak doskonale, jakby odbijali się w lustrze.

– Przodkowie mojego męża – powiedziała gospodyni, machnąwszy ku nim dłonią. – Wszyscy moi są w Luwrze.

W sali balowej trzy młode kobiety siedziały malowniczo na otomanie, przywodząc na myśl kompozycję kwiatową stawianą na środku stołu. Zdecydowanie ustępowały liczebnie mężczyznom, którzy przysiedli na krzesłach

lub przystanąli niezgrabnie pod ścianami. Niektórzy obnosili kosztowne jedwabne kamizelki i stojące kołnierzyki z wywiniętymi rogami, w dłoniach dzierżąc laski i monokle, inni natomiast mieli na sobie zakurzone garnitury i buty pochłapane farbą lub poplamione fraki i trzewiki wsunięte na gołe stopy. W sumie sprawiali wrażenie grupy nieznajomych zgromadzonych przypadkowo na peronie. Wszyscy wyglądali tak, jakby czekali, aż coś się wreszcie wydarzy, aż zacznie się wieczór, skończą się błahe pogaduszki i ktoś wreszcie powie coś interesującego.

Długi stół ciągnący się wzdłuż jednej ze ścian sali zastawiono misami winogron, orzechów i fig. Koreczki niemal zbyt piękne, by wsunąć je do ust – zwinięte kawałeczki wędzonego łososia i pomidorków koktajlowych, lśniący kawior z Morza Czarnego i przepiórcze jaja w auszpiku – ułożono na wielkich, porcelanowych talerzach.

– Częstujcie się, proszę – zakomenderowała baronowa, ale nikt się nie wysunął, nikt nie śmiał być pierwszy.

– Ona jest prawnuczką Napoleona – wyszeptał Gustaw, biorąc z tacy dwa kieliszki szampana. – Jej mąż był bankierem. Nienawidziła go i mówi się, że była zakochana do szaleństwa w swoim przyrodnim bracie. Bez wzajemności.

Obaj zerknęli na baronową. Miała na sobie satynową suknię w kolorze lila, a do tego perłowe kolczyki, perłowe bransolety i sznury pereł na szyi. Jakby czując na sobie ich badawcze spojrzenia, odwróciła się i obdarzyła Gustawa uśmiechem. Miała nietypowy, jak zauważył Emil, kolor oczu: ciemny, lecz nie tyle brązowy, ile fiołkowy.

– Chyba jest panu bardzo przychylna – powiedział Emil.

– Kolekcjonuje ludzi – wyjaśnił Gustaw. – Malarzy, muzyków, architektów.

– Nie – odparł Emil. – Miałem na myśli coś więcej.

Gustaw pokręcił głową.

– Nigdy do tego nie dojdzie – powiedział z prostotą.

– Co chce pan przez to powiedzieć? Dlaczego nie?

– Drogi chłopcze – odparł Eiffel, pociągając łyk szampana z kieliszka. – Może i potrafimy łączyć brzegi przepastnych wąwozów za pomocą żelaza, ale we Francji ludzie tacy jak my, zawodowcy, choćby nie wiadomo jak zamożni, i tak nie mogą pokonać przepaści dzielącej klasy społeczne. Możemy jednak ożenić się z młodą kobietą posiadającą stosowny majątek. W gruncie rzeczy musimy poślubić jakąś młodkę, żeby rozpocząć z czystym kontem, że tak powiem.

– W pana ustach zawarcie związku małżeńskiego przypomina zakup papeterii – roześmiał się Emil.

– To nie jest złe porównanie.

– Ale przecież to musi się zmieniać.

– Może i tak – zgodził się Gustaw – ale nie dość szybko dla nas. Albo dla niego, choć jest za głupi, żeby zdawać sobie z tego sprawę.

Uwagę Gustawa przyciągnęły drzwi wejściowe do salonu, a Emil odwrócił się, podążając za jego spojrzeniem. Do środka wmaszerował młody mężczyzna ze szpicrutą w jednej dłoni i z cylindrem w drugiej. Kobiety przerwały rozmowę i przynajmniej dwie z nich oblały się rumieńcem. Nie pozdrawiając nikogo, mężczyzna uniósł kieliszek szampana, wypił go jednym haustem, po czym ruszył prosto do stołu i zaczął sobie nakładać na talerz, nabierając pełne łyżki lśniącej galarety i istne kopce ikry.

– Brat? – zapytał Emil.

– We własnej osobie – odparł Gustaw.

– A młode kobiety?

– Domyślam się, że to odpowiednie partie. Przyjrzyj się. Czy któraś wpadła ci w oko?

Emil uśmiechnął się, ale nie spojrzał.

– Coś podobnego! – zdumiał się Gustaw Eiffel. – Czy mam z tego rozumieć, że wreszcie podjąłeś życiową decyzję?

Emil roześmiał się.

– Jest ktoś – przyznał. – Ale zobaczymy, jak się sprawy potoczą.

Eiffel obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Moim zdaniem im bardziej wyczerpujący pościg, tym cenniejsza nagroda.

– Clément! – zawołała baronowa, ale jej brat, mając pełne usta, nie mógł odwzajemnić pozdrowienia. Kiedy przełknął, ucałowała go w oba policzki i wyszeptała mu coś do ucha. Skinął głową, po czym odwrócił się, by nałożyć sobie jeszcze więcej jedzenia.

– Jeździł konno w Lasku – wyjaśniła baronowa, patrząc na poczynione na stole spustoszenie. – Na świeżym powietrzu człowiek nabiera apetytu.

W tej rodzinie urody najwyraźniej nie rozdzielono sprawiedliwie. Baronowa była nie tyle piękna, ile przystojna, natomiast jej młodszy brat miał pełne wargi i wielkie, okolone długimi dziewczęcymi rzęsami oczy.

– Czym on się zajmuje? – zapytał Emil.

Gustaw wlepił spojrzenie w swego rozmówcę i dwukrotnie zamrugał oczami.

– Zajmuje? Jest arystokratą. Hula za pieniądze rodziców. I pieprzy w Paryżu wszystko, co się rusza.

– Sądziłem, że się ich wszystkich pozbyliśmy.

Ostatnie zdanie Emil wypowiedział szeptem. Baronowa i jej brat właśnie się do nich zbliżali.

– Czy mogłabym panom przedstawić... – zaczęła.

– A więc to pan jest mężczyzną, który psuje mi widok – powiedział młody człowiek, nie czekając, aż jego siostra skończy. Uśmiechnął się szeroko, ale nie było do końca pewne, czy żartuje, czy mówi serio.

– Może zmieni pan zdanie, kiedy wieża zostanie ukończona – powiedział Eiffel.

– Wątpię. Słyszałem, że wkrótce będzie widoczna ze wszystkich zakątków Paryża. Moim zdaniem to katastrofa.

– Tak pan sądzi?

– Owszem. Gdyby to ode mnie zależało, jutro kazałbym ją zburzyć.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza. Wszyscy w pokoju zamilkli, przysłuchując się tej wymianie zdań.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi – powiedziała baronowa, próbując załagodzić niezręczną sytuację. – Mój młodszy brat jest konserwatystą. Nie podoba mu się nic, co nie ma przynajmniej stu lat.

– Poza kobietami, oczywiście – dodał ten i zerknął na otomanę. – Więc jak ona się nazywa, ta wieża? Zapewne patronuje jej jakiś święty.

Gustaw odstawił kieliszek.

– Tak naprawdę nazywana jest wieżą Eiffla – powiedział cicho.

– Kim lub czym, na litość boską, jest Eiffel?

– To ja. To ja nazywam się Eiffel. Monsieur Gustaw Eiffel.

Hrabia wbił w niego spojrzenie.

– No proszę. Czy to legalne?

– Tak. Jesteśmy republiką. I zapewne wszyscy zgromadzeni w tym pokoju zgodzą się ze mną, że żyjemy w epoce człowieka.

To był znak, na który czekali goście. Jak jeden mąż zwrócili się ku swoim sąsiadom, by dyskutować idee Augusta Comte'a i Karola Marksa. Baronowa odetchnęła z ledwie dostrzegalną ulgą. Wieczór wreszcie się zaczął.

Później, znacznie później, kiedy resztki koreczków stężały i zamiast wina zaczęto rozlewać kawę ze srebrnych dzbanów, Emil dostrzegł zamieszanie przy drzwiach wejściowych. Zwracało uwagę nie tylko swą donośnością, lecz także tym, że nikt inny zdawał się go nie dostrzegać.

– Nie wyjdę! – krzyczał jakiś mężczyzna. – Nie wyjdę, dopóki nie zobaczę się z tym człowiekiem. Gdzie on jest, skoro go tutaj nie ma?

Ale Clément, jak wszyscy w salonie wiedzieli, wyszedł wiele godzin wcześniej, nie żegnając się i nie opowiadając.

– Jak ktoś tak urodziwy może być tak wewnętrznie paskudny? – zauważył Gustaw Eiffel, kiedy wkładali płaszcze przy wyjściu.

Cait szła przez park Monceau, mijając rabatki kwiatowe i egzotyczne drzewa sprowadzone z Dalekiego Wschodu, które miały kwitnąć aż do pierwszych mrozów. Przychodziła do parku, kiedy Alice zajęta była lekcjami francuskiego lub przymiarkami kolejnych sukien. Przechadzała się godzinami po żwirowych alejkach, okrążając piramidy egipskie i oczka wodne, na których unosiły się lilie, albo przystawała przy karuzelach, by patrzeć na dzieci siedzące na drewnianych malowanych koniach obracających się powoli w rytm melodii katarynki.

Zaproszenie od inżyniera przyszło dosłownie przed chwilą. Jeśli tylko panie dysponują czasem, powóz zabierze je na wernisaż w przyszłym tygodniu. A ponieważ Emil pracuje do późna, spotka się z nimi już na miejscu.

Promienie słońca rozświetliły korony drzew. Liście, przywodząc na myśl maźnięcia pędzlem, przybrały barwę kasztanową, żółcieni kadmowej i umbry palonej. Cait wciągnęła woń tego miejsca w płuca, oddychając aromatem pieczonych maronów ze stoiska ulicznego handlarza i słodkim zapachem perszeronów, koni pociągowych ciągnących dwupiętrowe omnibusy bulwarem Courcelles. Spod tego wszystkiego nadal jednak wyczierała aksamitna czerń wnętrza na płaszcze i odurzające wspomnienie bliskości inżyniera.

Przystanąła przy rabatce, by podziwiać krzewinki obsypane kwiatami o płatkach czerwonych i purpurowych, niebiesko żyłkowanych, przypominających swym kolorem siniaki. Może Emil widział w niej tylko kobietę, którą można posiąść, wykorzystać i porzucić? Jak mogłaby zaryzykować posadę u Arrolów, stawiając na tak niepewną kartę? Zerwała kwiat i zgmiotła płatki, by uwolnić jego zapach. Alice – młoda, bogata i podatna na wpływy – byłaby dla inżyniera dobrą partią, lecz nie wydawało się, aby przypadli sobie do gustu. Arrol chętnie zobaczyłby w nim męża dla swej bratanicy, ale istniały granice tego, co Cait mogła osiągnąć.

Ruszyła w kierunku podwójnych wrót prowadzących z parku na ulicę. Na chodnikach roiło się od ludzi spieszących do domu lub do pracy, na spotkania z żonami, kochankami i dziećmi. Usunęła się na bok, przepuszczając niankę pchającą wielki dziecięcy wózek, ale kobieta spojrzała na nią z lęklwym zdumieniem, jakby Cait nie miała prawa spacerować po tym konkretnym chodniku o tej konkretnej porze. Może wyglądała inaczej, obco? Może zawsze tak wyglądała? Może było coś szczególnego w jej krwi, pochodzeniu, przeszłości?

Jej ojciec był kapelanem wojskowym stacjonującym w Indiach, a od żon oczekiwano towarzyszenia mężom na placówkach. Czy w pamięci Cait zapisało się wspomnienie jej rodziców? Zapach kulek naftaliny i chininy, miękkość kaszmirowego szala matki przesuwanego między palcami, dziwny, niedający spokoju dźwięk słów – słów, których nie słyszała nigdy wcześniej, jak *bandana*

czy *dharma*. Oboje zmarli podczas wielkiej epidemii cholery w 1863 roku.

Cait i Anne wychowywali głównie dziadkowie. Dziadek był sędzią, człowiekiem posługującym się łaciną i greką, często cytującym Wergiliusza, by dowieść przy kolacji słuszności głoszonych poglądów. Nie widział sensu w lekcjach tańca i koronczarstwa, będąc zwolennikiem gruntownego kształcenia zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Ponieważ nie wierzył, aby ktokolwiek mógł się tym kompetentnie zająć, wziął na siebie zadanie edukowania obu dziewcząt. Podczas gdy inne młode kobiety w ich wieku uczyły się polki i wyszywały wyprawę, Cait i Anne uczyły się – z różnymi rezultatami – francuskiego, filozofii, matematyki i języków klasycznych. Dziadek żartował, że prawie je to zabiło, póki sam nie umarł dość nieoczekiwanie na atak serca, przygotowując się do lekcji na temat Kanta. Na jego płycie nagrobnej wyryto wizerunek otwartej księgi i napis „LECNICA DUSZY” – słowa, które wypisano nad biblioteką w starożytnych Tebach.

W wieku dziewiętnastu lat Cait była niecierpliwa, zbyt dobrze wykształcona, wyostrzona – teraz dopiero widziała to wyraźnie – jak nowiutki ołówek. I chociaż jej uroda przyciągała uwagę, cięty język szybko ją odwracał. Choć miała wysokie kości policzkowe i wielkie, okolone długimi rzęsami oczy, były w niej jakaś powaga i napięcie, które nie pozwalały jej prowadzić lekkich rozmów salonowych i wymieniać zwyczajowych uprzejmości. Cóż jednak poza małżeństwem mogło czekać młode kobiety z ich klasy społecznej?

Jej siostra Anne poznała George’a Wallace’a na herbatce urządzonej przez jej nauczyciela gry na pianinie. Był przystojny, zabawny i wspólnie ze swym bratem Saulem prowadził kancelarię adwokacką w Park Circus. George nie miał talentu do pianina, Anne również nie, ale oboje uwielbiali Bacha, zwłaszcza łatwiejsze utwory. Odwiedził ją następnego wieczoru i kolejnego i nie minął tydzień, jak rozpoczął oficjalne starania o jej rękę; jej babka pełniła funkcję przyzwoitki.

Caitrionę przedstawiono Saulowi dwa tygodnie później. Za radą Anne rzadko się odzywała. Saul również nie mówił wiele, ale na odchodnym wręczył jej prezent – tomik poezji romantycznej. Był – jak wyznała później Cait siostrze – wysoki, cichy i nieskończenie czarujący. Saul miał dwadzieścia osiem lat, jego brat trzydzieści dwa, obaj byli w odpowiednim wieku do ożenku, ale to młodszy pierwszy wziął sprawy w swoje ręce. Po okresie narzeczeństwa tak krótkim, że ledwie starczyło czasu na zapowiedzi, Caitriona Rose McCann poślubiła Saula Angusa Wallace’a w kościele St. Andrew’s in the Square. Cait przysięgła, że będzie go kochać, szanować i będzie mu posłuszna, przed Bogiem, dwudziestoma świadkami i małym czarnym psem, który usiadł z tyłu i obserwował całą ceremonię, dopóki ktoś się nie zorientował, że to bezpański kundel, i nie wygonił go z kościoła. W ciągu trzech miesięcy od pierwszego spotkania, dwa miesiące

przed Anne i George'em, nabyli porcelanową zastawę, kufer bielizny, wystarczająco dużo sztućców, by podać posiłek prawie sześćdziesięciu gościom, a do tego mały, świeżo zbudowany domek w Pollokshields. Było w nim mnóstwo miejsca dla rozwijającej się rodziny.

Dlaczego zawarli małżeństwo tak szybko? Skąd ten pośpiech? Czy i pana młodego, i pannę młodą trawił ten sam lęk przed zdemaskowaniem się, ujawnieniem? Bo przecież żadne z nich nie było tym, kim udawało, że jest. Saul, kiedy ją już zdobył, jakby zupełnie stracił nią zainteresowanie, a Cait wbrew swoim oczekiwaniom odkryła, że małżeństwo znacznie trudniej zrozumieć niż pentametr jambiczny sonetu. Miłości nie dawało się nagiąć na wzór słów do pożądanego kształtu. Milczenie, które wcześniej wydawało jej się tak tajemnicze, teraz zaczęło ją uwierać. Próbowwała go wciągnąć w rozmowę, w dyskusje o powieściach Trollope'a albo Dickensa lub przewadze artystycznej Beethovena nad Brahmssem. Pewnego dnia Saul przyznał, że nie obchodzi go ani muzyka, ani sztuka, ani nawet poezja romantyczna. Tak naprawdę jej ciągle trajkotanie działało mu na nerwy.

Wiedziała, że nie jest idealną żoną. Była odczytana i popędliwa, o czym nie omieszkał jej prawie codziennie przypominać. Stwierdził, że tak naprawdę doprowadzała go do szału. Zaczęła gryźć się w język, wycofywać z dyskusji, powstrzymywać od zadawania trudnych pytań. Przez chwilę zdawało się, że jej małżeństwu wychodzi to na dobre. Cait czekała. Czekala, aż zauważy ją w jej nowych sukniach, które właśnie sobie uszyła, w ubraniach, które zupełnie nie uwzględniały temperatury ani pory roku. Czekala, aż przyjdzie do niej w nocy. Czekala, aż ją pokocha. I kochał ją, była tego pewna, przynajmniej przez krótką chwilę. Pamiętała błysk w jego oczach i czułość, z jaką jego usta musnęły czubek jej głowy w dniu ich ślubu, wspominała delikatną pieszczotę jego dłoni i twardość ciała wciskającego się w jej ciało – i nabierała przekonania, że wina musi leżeć po jej stronie.

Jednak po kilku miesiącach stało się jasne, że fizyczna strona ich małżeństwa nie rozegra się tak, jak miała na to nadzieję. W przeciwieństwie do swojej młodszej siostry, która poczęła niemal natychmiast, Cait nie udawało się zajść w ciążę. I stopniowo, w miarę jak czas płynął, a liczne pokoje ich willi pozostawały puste, powolne kapanie frustracji, rozpacz, przygnębienia i poczucia winy zaczęło przeżerać jej serce jak rdza. Niejednokrotnie zadawała sobie pytanie, czy można dojść do siebie, mając tak skorodowane serce. A jeśli tak, to skąd człowiek może wiedzieć, że znowu jest zdrow?

Alice uparła się, by ubrać się na wernisaż w suknię balową ze złotej tafty. Na głowę nałożyła pasujący do niej kapelusik, a na przejazd długą czarną pelerynę.

– To wystawa – wyjaśniła. – Ludzie się stroją. Nawet ja to wiem!

Kiedy czekały na powóz, Cait nagle ogarnęły obawy. Jak to będzie znów

zobaczyć Emila? Czy zrozumie, jak często o nim myślała od czasu pamiętnej sceny we wnętrzu? Czy ona, Cait, aby przypadkiem się nie zdradzi?

Około czwartej zaczęło padać i zanim powóz przyjechał, ulice już płynęły.

– Gdzie on powiedział, że ta wystawa jest organizowana? – zapytała Alice, wyglądając przez okno.

– Nie powiedział – odparła Cait.

Im dalej jechały na północ, tym miasto stawało się ciemniejsze; jedynym źródłem światła były stojące w oknach świece. W końcu zajęły pod Restaurant du Chalet na bulwarze Clichy, miejsce, które błyszczało jaśniej niż jakikolwiek inny lokal na tej ulicy.

– Musiała być jakaś pomyłka – powiedziała Alice. – To nawet nie jest galeria.

Woźnica jednak potwierdził, że przyjechali we właściwe miejsce. Nawet z wnętrza powozu damy słyszały podniesione głosy i śmiechy, dźwięki akordeonu i dobiegające z restauracji śpiewy.

– Nie mogę tam wejść – powiedziała Alice. – Absolutnie nie sprawia to wrażenia przyzwoitego miejsca.

– Jestem pewna, że wewnątrz jest całkowicie przyzwoite. To wystawa – zaproponowała Caitriona.

– Kiepskiego autoramentu.

Drzwi do restauracji otworzyły się na oścież. Wytoczył się z nich młody mężczyzna, zgiął się wpół i po krótkiej chwili z wymiotował do rynsztoka. Alice zamrużyła i odchyliła się na siedzenie.

– Czy mam jeszcze coś dodać?

– Nie możemy tak po prostu wrócić, przejechawszy całą tę drogę. Nie po tym, jak monsieur Nougier wysłał powóz. To byłoby bardzo niegrzeczne.

– Stopa moja tam nie zostanie, to moje ostatnie słowo. Będzie pani musiała sama tam pójść. Proszę wymyślić jakąś wymówkę. Powiedzieć mu, że źle się poczułam czy coś.

– Ale to ciebie zaprosił.

– Proszę – powiedziała błagalnie Alice. – I czy mogłaby mu pani ode mnie podziękować?

Cait odsunęła grubą czerwoną aksamitną zasłonę wiszącą w drzwiach wejściowych do restauracji i wkroczyła do środka. W sali zgromadziło się około setki osób, plotkujących i popijających wino z kieliszków; niektórzy byli dobrze ubrani, inni nie. W przeciwległym rogu sali Emil Nougier rozmawiał z jakimś mężczyzną noszącym bródkę w szpic. Co takiego było w zarysie jego ramion i zuchwy, że natychmiast przyciągnęło to wzrok Caitriony? Odwrócił się, dostrzegł ją i uśmiechnął się, a jej cała twarz zapłonęła, jakby po dłuższym pobycie na zimnie stanęła przy huczącym ogniu.

– Pani Wallace. Przyszła pani. Czy mogę pani przedstawić Georges'a Seurata?

– *Enchanté* – powiedział Seurat z ukłonem.

– Właśnie go pytałem, co zamierza teraz namalować – wyjaśnił Emil.

– Namaluję twoją wieżę. Jeśli kiedykolwiek ją skończycie.

– Ależ skończymy – odparł Nougier. – Nie mamy wyjścia. Czym innym moglibyśmy uświetnić otwarcie wystawy światowej? Powinieneś wpaść i rzucić okiem na plac budowy.

– Już to zrobiłem! Przypomina dwie pary nóg: kobiecych i szeroko rozłożonych.

Emil zerknął szybko na Cait, by sprawdzić, czy się nie obraziła. Udała, że nie słyszała. Artysta zakołysał się na obcasach, a potem dostrzegł w tłumie kogoś, z kim koniecznie chciał porozmawiać, i pożegnał się z obojgiem.

– Przepraszam za to – powiedział Emil.

– Niepotrzebnie. Czy to znany malarz?

– Niezbyt. Poznaliśmy się na wystawie. Kupiłem jeden z jego obrazów, tak naprawdę studium. Gdzie jest panna Arrol?

– Panna Arrol zdecydowała się poczekać w powozie. Obawiam się, że w podróży dopadł ją ból głowy.

– Szkoda. Może udałoby się jej przyjechać innego dnia, gdy poczuje się lepiej?

– Naturalnie podsunę jej taką myśl.

Chwila zaczęła się przeciągać. Cait uświadomiła sobie nagle intensywność wbitego w nią spojrzenia Emila.

– No cóż – zaczęła – dziękuję za zaproszenie. Alice i ja ogromnie je doceniamy, ale naprawdę powinnam już wracać...

– Teraz jest pani tutaj. Pozwoli pani, że ją oprowadzę.

– To bardzo miło z pana strony, ale...

– To nie zabierze dużo czasu. Nalegam.

Poprowadził ją do głównego salonu i pokierował ku pierwszemu obrazowi.

– Wystawę zorganizował holenderski artysta o imieniu Vincent van Gogh – wyjaśnił. – Stworzył nieformalną grupę, którą określił mianem „impresjonistów małego bulwaru”. Są młodszy niż dobrze znani impresjoniści. Może pani o nich słyszała? Toulouse-Lautrec? Signac? Bernard?

– Nie słyszałam – przyznała.

Obrazy przedstawiały bary i ulice miasta, niektóre wymalowane kropkami w jaskrawych barwach, inne zarysowane płynnymi liniami. Nie przypominały niczego, co widziała wcześniej, były niczym obrazy świata rozszczępionego jej migreną, lecz bez elementu bólu.

– A więc? Co pani sądzi?

– Wydają się poruszać w oczach. Skrzą się i migoczą. Efekt końcowy jest całkiem ładny.

– Właśnie! Wiedziałem, że się pani spodoba!]

Cait zerknęła na stojący za oknem powóz. Ile czasu tu spędziła? Pięć minut? Dziesięć?

– To zupełnie odmienny sposób widzenia rzeczywistości – ciągnął Emil. – Te płótna wydobywają zmienną naturę światła, promienie słoneczne padają pod najmniej oczekiwanym kątem i ożywiają fragmenty świata tak, że te wyglądają jak coś nigdy wcześniej niewidzianego. Łamią wszystkie zasady.

– Czy tak wolno?

Roześmiał się.

– Czy w życiu reguły służą aby na pewno tylko jednemu celowi?

Spojrzenie Emila pilnie wypatrywało jej reakcji, zaglądało jej w twarz, jakby potrafiło się jej domyślić. I wtedy spadła na nich z przeciwległej strony pomieszczenia lawina podniesionych głosów, towarzysząca wybuchającej sprzeczce. Jakaś butelka roztrzaskała się na podłodze, jakaś kobieta zaczęła krzyczeć, jakiś pies się rozszczękał.

– Muszę iść – powiedziała Caitriona. – Alice na mnie czeka...

– Niech czeka – odparł cicho.

Trzasnęły drzwi i galeria znów przycichła; ktoś w drugim pomieszczeniu zaczął grać na pianinie. Serce waliło jej nierówno. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Skupiła wzrok na krzywiźnie jego kołnierzyka, węźle krawata, granacie wyłogów fraka.

– Nougier! – krzyknął jakiś głos. – A więc tu cię przywiało? Słyszałem, że chcesz dokonać zakupu.

Dzientelmen, kupiec, jak przypuszczała, pojawił się u boku Emila z notatnikiem i ołówkiem w dłoni.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, dostrzegłszy Cait. – Wrócę później.

– Właśnie zbierałam się do wyjścia.

W końcu ośmieliła się podnieść wzrok na Emila. Teraz nic jej już nie groziło. Ocaliły ją wymogi grzeczności.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność – powiedziała.

– Cieszę się – odparł. – Czy mogę panią odprowadzić do powozu?

Cait potrząsnęła głową.

– Stoi tuż pod drzwiami.

– A zatem proszę przekazać ukłony panie Arrol. Czy mogę jej życzyć szybkiego powrotu do zdrowia?

Przez moment czuła się zaskoczona. O czym on, na litość boską, mówił?

– Ból głowy. – Przypomniat jej.

– Naturalnie.

– Nic pani nie jest? – wykrzyknęła Alice, kiedy Cait wsiadła do powozu. – Myślałam, że panią porwali! Bardzo długo pani nie było. Czy to było naprawdę koszarne?

– Nie, było miło.

– To nie brzmi jak miło.

– Warto zobaczyć te obrazy. Któregoś dnia powinniśmy tu wrócić.

Z wyrazu twarzy Alice Caitriona wywnioskowała jednak, że nie ma na to najmniejszych szans. Kiedy jechały do domu bulwarem Clichy, jej podopieczna zsunęła buty i oparła głowę na jej ramieniu, po czym ukołysana bujaniem kół na kocich łbach zapadła w drzemkę. Wuj dał Alice i Jamiemu wszystko, najlepszy życiowy start. Nie uświadamiali sobie, jakie mają szczęście. A teraz oczekiwał, że Alice dobrze wyjdzie za męża. Gdyby to tylko tak działało! Gdyby tylko byli figurami na szachownicy, a nie omylnymi, nieprzewidywalnymi i niedoskonałymi istotami ludzkimi.

Lało jak z cebra. Cait zapatrzyła się na puste ulice. Nagle zapragnęła znaleźć się na zewnątrz, przemoczona do nitki, ociekająca wodą, z twarzą, oczami, ustami rozmazanymi deszczem.

– Myślę, że będę musiała rozczarować wuja Williama – powiedziała Alice cicho. Ostatecznie wcale nie spała. – Nie sądzę, bym kiedykolwiek mogła zostać madame Emilową Nougquierową, niezależnie od tego, jak bardzo by sobie tego życzył.

– Jestem pewna, że twój wuj chciałby, żebyś wyszła za człowieka, którego to ty sama sobie wybierzesz – odparła Cait. – Nie on.

– Chyba pani w to nie wierzy?

Konie zwolniły i powóz zatrzymał się przed ich domem. Woźnica zgramolił się z kozła i otworzył drzwiczki, trzymając wysoko w górze parasolkę. Kiedy czekał, aż Alice z powrotem wsunie buty na stopy, minął ich chwiejnie mężczyzna na rowerze; pruł przez kałuże, rozchlapując wodę, a z ronda kapelusza ściekała mu woda. Zatrzymał się gwałtownie metr czy dwa od nich i zsiadł z siodełka. To był Jamie.

– Mój brat kupił rower – powiedziała Alice. – Co za kretyn!

– Dobry wieczór! – wykrzyknął, kiedy je zobaczył. – Macie ochotę wybrać się kiedyś na przejażdżkę?

– Chyba żartujesz! – oburzyła się Alice.

– Nie wiem – dodała Cait. – Mówią, że niedługo wszyscy będą jeździć rowerami, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Powinniśmy spróbować.

Alice nie udało się ukryć rozbawienia. Najwyraźniej prześmieszna wydała jej się sama myśl, że jej szaparon mogłaby poruszać się na rowerze.

– Naprawdę gotowa byłaby pani spróbować?

– Oczywiście! Może byśmy przeznaczyły na to któreś popołudnie?

– Wiem! Mogłaby pani poprosić pana Nougiera – powiedziała Alice. –
Ostatnia próba, ze względu na mojego wuja?

Woźnica czekał. Cait złożyła pled i wygładziła spódnice.

– Na pewno będzie zbyt zajęty – odparła, wstając.

– Najdroższa Cait – rzekła Alice, ujmując jej rękę i przytrzymując ją. – Tak się cieszę, że jesteś z nami tu, w Paryżu. Może go po prostu zapytasz i sprawdzisz?

Powietrze pachniało palonymi liśćmi i grzybami leśnymi. Kiedy pędzili przez las, Emil uchwycił kątem oka grupki zbieraczy szukających na wilgotnej ziemi kurek i borowików. Jamie Arrol mocno ich teraz wyprzedził, koła kręciły się z zawrotną szybkością, gdy pedałowal ze wszystkich sił. Nie ścigali się, choć Jamie zachowywał się, jakby tak właśnie było. Od czasu do czasu, kiedy wpadali na wybój albo zjeżdżali ze ścieżki konnej na skraj trawnika, jego siostra wydawała przerażony okrzyk.

– Uważaj! Patrz, gdzie jedziesz!

Panna Arrol nie chciała się uczyć jeździć na rowerze, więc wzięli tandemy. Teraz kuliła się na siodełku przed swoim bratem, podczas gdy Cait Wallace siedziała przed Emilem, ściskając rączki kierownicy po obu stronach. Jej list dotarł do niego dzień po wystawie; zawierał dwie linijki: w jednej mu dziękowała, w drugiej życzyła wszystkiego najlepszego i proponowała, by spotkali się w niedzielne popołudnie i wybrali wspólnie na przejażdżkę rowerową.

Początkowo dwa tandemy wlokły się jeden obok drugiego, po czym jeden z nich wystrzelił do przodu, a drugi został z tyłu; chwilę później role się odwróciły. Kobiety się śmiały, mężczyźni sapali z wysiłku. A potem droga się zwężyła, przybierając postać ścieżki, i Jamie wysforował się na czoło.

– Czy nie za szybko jedziemy? – zawołał Emil.

Cait przecząco pokręciła głową.

Emil musiał przyznać, że jazda na rowerze jest w istocie cudowna: wiatr we włosach, przyspieszony puls, odrobina ryzyka. W ciągu ostatnich dwudziestu lat rowery zostały radykalnie udoskonalone. Teraz istniały już pojazdy określane mianem „bezpiecznych rowerów”: oba koła były tej samej wielkości, siodełko znajdowało się niżej, a tylne koło napędzał łańcuch. Po raz pierwszy Nougier zastanowił się, czy sobie takiego nie kupić. Ale bez wątpienia pedałowanie wymagało sporego wysiłku: opony były cienkie i wystarczył byle kamyk na drodze, by cała rama się trzęsła. Nic dziwnego, że kiedyś nazywano je „wytrząsaczami kości”.

Mimo wysokiego kołnierza Caitriony widział jej kark. Miała na sobie ciemnoniebieską wełnianą suknię – poważną, elegancką, idealnie kontrastującą ze świetlistością jej bladej skóry. Kiedy łapał oddech, wydało mu się, że poczuł bardzo delikatną smużkę perfum, którymi pachniały jej włosy, splecione i upięte pod słomkowym kapeluszem. Musiał się powstrzymać, by się nie pochylić i nie wciągnąć tego zapachu w płuca.

Studium, które kupił od Seurata, leżało nadal na stoliku w korytarzu jego mieszkania, owinięte w szary papier. Był to mały obraz przedstawiający modelkę w ujęciu od tyłu. Głowę miała lekko pochyloną, a skóra od ramion do lędźwi

została uchwycona tak perfekcyjnie, że miał poczucie, iż gdyby dotknął zamalowanej olejną farbą deski, okazałaby się ciepła. Jednak podobieństwa między studium Seurata a kobietą siedzącą przed nim na rowerze kończyły się na pozie; jedna z modelek była całkowicie ubrana, druga naga. Lecz kiedy tak jechał ścieżką, uprzytomnił sobie nagle, że chyba zakochał się w nich obu.

Dojechali do rozwidlenia dróg i zwolnili.

– Którędy? – zapytała.

Inżynier nie znał tego parku. Spojrzał na błoto i zobaczył, że ślady opon Jamiego wiodą w prawo.

– W lewo – oznajmił.

Ścieżka prowadziła ich coraz głębiej w las, po czym – podejrzewał, że tak się stanie – po prostu się urwała. Jakiś ptak poderwał się z drzewa i ze świergotem uniósł się w powietrze. Słońce stało nisko na niebie i ścieżka pogrążona była w cieniu. Emil zatrzymał się i zsiadł z siodełka, by utrzymać rower w równowadze. Cait nadal mocno ścisnęła rączki kierownicy.

– To nie może być tędy.

– Ma pani rację. Powinniśmy zawrócić.

Nie poruszył się jednak.

– Żałuję, że w ogóle spróbowałam – powiedziała Cait cicho. – Mówię o jeździe na rowerze.

– Dlaczego? – zapytał. – Nie spodobało się pani?

– Ależ tak. Problem w tym, że chodzenie będzie mi się teraz wydawać nędzną namiastką.

Roześmiał się. W końcu puściła rączki kierownicy. Obserwował, jak jej ramiona unoszą się i opadają delikatnie, kiedy wdycha i wydycha powietrze. A potem odchyliła się, ledwie odrobinę, aż czubek jej głowy znalazł się zaledwie kilka centymetrów od jego ust. Czy robiła to świadomie? Czy zdawała sobie sprawę z tego, jakie sprawia na nim wrażenie?

Zaczęła rozwiązywać wstążki kapelusza, ale zaplątał się w nie kosmyk włosów.

– Pani pozwoli. – Skupił się na brązowych włosach i niebieskiej aksamitnej wstążce, grubym i cienkim, błyszczącym i matowym, splątanim i swobodnym. Kilka minut później, kiedy już udało mu się uwolnić jej włosy od wstążki, zaczesła je z powrotem na miejsce, a pasma przesunęły się między jej palcami, gładkie i śliskie jak morwowy jedwab.

– Dziękuję – powiedziała.

Opuścił dłoń, po czym w przybliżeniu uczucia pozwolił jej ostrożnie spocząć na ramieniu Cait. Nie zaprotestowała. Nie odezwała się ani słowem. Na chwilę oboje znieruchomieli. W przeciwieństwie do modelki z malowidła Seurata Caitriona rzeczywiście była ciepła.

Chłopak musiał obserwować ich przez dłuższą chwilę, zanim go dostrzegli. Koszyk miał pełen grzybów, a policzki zarumienione z zimna. Cait wzdrygnęła się, kiedy go spostrzegła, nasunęła kapelusz na włosy i zaczęła na powrót wiązać wstążki.

– Czy tędy prowadzi droga do zamku? – zawołał Emil.

Chłopak pokręcił głową i pokazał w stronę, z której przyjechali.

Nie mogli pozostać w tyle za Alice i Jamiem dłużej niż dwadzieścia minut. Nie było potrzeby niczego tłumaczyć, w końcu Nougier był starszy i miał prawo jechać wolniej, a i czasu na wyjaśnienia nie zostało wiele, jako że dzień chylił się już ku końcowi i musieli się pospieszyć, żeby zwrócić rowery. W drodze powrotnej na bulwar uznano, że chociaż jazda na rowerze jest przyjemna, w Glasgow nigdy się nie przyjmie: za wiele wzgórz.

Wiele godzin później Emil ciągle czuł turkotanie ziemi pod kołami i wysiłek pedałowania w kolanach. Ale wiele dni później, kiedy te wrażenia wreszcie ostatecznie zniknęły, wyobrażał sobie, że czuje nadal zapach jej włosów i ciepło jej łopatki przez ciemnoniebieską wełnę, a tembr jej głosu wibruje w jego klatce piersiowej. Wspomnienie o niej obracało się w nim jak koło na osi, raz za razem, bez żadnych oznak zwalniania.

Cait usiadła przy ogniu z otwartą książką na kolanach. W angielskiej księgarni Galignani w Paryżu kupiła cienki tomik poezji Shelleya, powieść Flauberta po francusku i książkę na temat filozofii autorstwa Johna Stuarta Milla. Choć trzymając przed oczami prozę Flauberta, podążała wzrokiem od lewej do prawej, nie docierało do niej ani jedno słowo. Straciła nie tyle znajomość francuskiego, ile zdolność koncentracji. Zaczęła jeszcze raz od początku strony.

Alice siedziała po drugiej stronie kominka, gapiąc się przez okno na deszcz, który ogałacał drzewa w ogrodzie z nielicznych pozostałych im jeszcze liści, czyniąc z nich szkielety. Od czasu do czasu ocierała nos bawełnianą chusteczką.

– Może zagrasz nam na pianinie? – podsunęła Cait.

Dziewczyna przecząco potrząsnęła głową.

– To może poczytasz książkę? Może filiżankę herbaty? Jest już pewnie prawie czwarta?

Alice westchnęła.

Cait wróciła do swej powieści. Podsunęła wszystkie posiadane tomy Alice, ale dziewczyny nie interesowało nic poza żurnalami.

– Mój wuj pojęcia nie ma o Francji – powiedziała wreszcie panna Arrol. – Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zaproponował mi przyjazd tutaj. – Zamrugła i odwróciła głowę. Kąciki jej ust opadły, jakby się miała zaraz rozpląkać. Podmuch wiatru załomotał oknami, ogień zahuczał w palenisku, świeczka na gzymsie kominka zamigotała żółto. – Czy to się kiedyś wreszcie skończy?

Deszcz lał strumieniami, w niesłabnącej ulewie powierzchnia ozdobnego oczka wodnego utraciła swoją zwykłą przejrzystość. Cait poczuła gdzieś w głębi piersi ciężar. Co by się stało, gdyby nie powiedziała Williamowi Arrołowi o oświadczeniach Sinclaira? Gdzie byłaby Alice w tym konkretnym momencie?

– A może coś ci przeczytam? Wiersz? Coś Shelleya?

Alice wzruszyła ramionami.

– *Odeszła ode mnie bez słowa* – przeczytała Cait.

Gdy księżyc przestał wędrować

Nieba lazurem stromym

I niczym albatros uśpiony,

Bujając na skrzydłach blasku,

W purpurze nocy zastygł,

*Nim ruszył ku swej ostoi
W morzu zachodnich pokoi.
Zostałem, samotny i smutny,
Rozpamiętując wciąż nuty,
Które nieznane dla ucha,
Sercu kazały słuchać,
Jak tony, co gasną i cichną,
Lecz w echu gór nadal żyją...*

– Proszę przestać! Nie jestem w stanie dalej tego słuchać. To takie przygnębiające.

– To wiersz miłosny.

– Do kogo?

– Do Jane Williams. Ale Shelley nie mógł jej posiąść. Była już mężatką.

– Czy wszystkie przygody miłosne muszą się tak fatalnie kończyć?

– Alice...

– Bo moje tak – powiedziała i wypadła z pokoju.

Cait nasłuchiwała przez chwilę jej kroków dudniących na schodach. W oddali trzasnęły drzwi.

List nadszedł niedługo później, wilgotny od deszczu. Pan Nougier zapytywał, czy zechcą mu towarzyszyć w kolejną niedzielę. Wbiła wzrok w wypisane przez niego słowa. To musiało się skończyć. To nie było w porządku. W stosunku do Emila. Do Alice. Do Williama Arrola. Nie mogła ignorować awansów Emila, choćby wydawały się zupełnie nieznaczące. Zatrwożyła się... Przeraziła, że poczuje pokusę, by je odwzajemnić.

Usiadła przy sekretarzyku z arkuszem świeżego papieru, piórem i buteleczką atramentu.

„Drogi panie Nougier – napisała. – Ostatnia wycieczka sprawiła nam ogromną przyjemność. Niestety, ze względu na sprawy natury osobistej nie będziemy mogli...”.

Cait zapatrzyła się we własne słowa. W głowie wciąż rozbrzmiewały jej strofy Shelleya – proste, piękne, prawdziwe. Poeta utonął w zatoce Lericci zaledwie kilka miesięcy po skreśleniu tych wersów. Podarła list i rzuciła go w ogień.

„Drogi Emilu – napisała. – Połowa mnie jest lekkością, wysokością i pędem powietrza. Drugą połowę obciążają wyrzuty sumienia, wstyd i zakłopotanie. Wybacz mi, jeśli przemawiam zbyt otwarcie, niż przystało damie, ale żadne z nas nie jest już młode i oboje mamy świadomość...”.

Urwała. Świadomość czego? Co próbowała mu przekazać? Wiedziała, że nigdy tego listu nie wyśle, lecz mimo to nie znajdowała właściwych słów. Odłożyła pióro i zamknęła oczy. Wróciła myślami do dnia, w którym wybrali się na przejażdżkę rowerową, do szybkości maszyny, którą toczyli się po parku, do chwili, w której źle skręcili i znaleźli się nagle sami. Przywołała wspomnienie dłoni spoczywającej na jej barku i gorącego oddechu na szyi. Przypomniała sobie, jak później w prowadzącej do parku bramie spotkali przyjaciela Emila, mężczyznę z żoną i dwójką dzieci, które jak na komendę podbiegły do Emila i tak długo czepiały się jego nóg, aż podniósł oboje i dopóty obracał się z nimi, dopóki nie zakręciło im się w głowach ze śmiechu. Pamiętała to.

„Drogi panie Nougier – napisała. – Jak pan zapewne wie, zostałam wynajęta jako opiekunka Alice Arrol. Muszę podkreślić, że jest to wspaniała dziewczyna, pod wieloma względami bardzo utalentowana. Jak mógł pan zauważyć, jest niezwykle...”.

– Co pani pisze?

Alice weszła do pokoju niezauważona przez Cait i wlepiła teraz spojrzenie w list. Caitriona przesunęła dłonią po papierze.

– Zwykły list do siostry.

– Rozmazała pani atrament.

– To był tylko brudnopis – powiedziała Cait, zwijając arkusik w kulkę.

– W każdym razie – powiedziała Alice, jakby kontynuowały wcześniejszą rozmowę – przestało padać, więc może byśmy wyszły z domu.

– Na spacer?

– Nie do końca.

Nawet wczesnym czwartkowym wieczorem w domu handlowym Bon Marché panował tłok. Pod ogromnym przeszklonym sklepieniem centralne atrium wysokości trzech pięter rozświetlały szklane kule na słupkach przypominające wielkie odwrócone wiśnie. Na stoiskach znajdujących się na parterze sprzedawano kapelusze, rękawiczki, guziki i torby. Na wyższych piętrach znajdowały się działy strojów wieczorowych, ubranek dziecięcych, obuwia i gorsetów. To było królestwo szkła i polerowanego mosiądzu, imponujących schodów i balkonów, subiektów i chłopców na posyłki. Jednak mimo obecności tak wielu osób dom towarowy wydawał się przytłumiony. Ludzie rozmawiali szeptem, jak gdyby byli w kościele.

Kiedy już wysiadły z powozu i weszły do środka, Alice zatrzymała się w progu i głęboko wciągnęła powietrze.

– Czyż to nie jest idealne miejsce?

Przeszły się po stoiskach z perfumami, po czym weszły po schodach na pierwsze piętro, do działu odzieży damskiej. Na podwyższeniu wystawiono suknię ślubną, jedwab w kolorze kości słoniowej, pokryty haftem. Alice zatrzymała się tak nagle, że morze ludzi idących za nią musiało się rozstać i opłynąć ją z obu stron.

– Oto ona, pani Wallace.

U boku Alice pojawiła się ekspedientka, po czym mimo protestów Cait błyskawicznie zaprowadziła dziewczynę do salonu na przeciwległym końcu, gdzie kilka dziewcząt wraz z matkami siedziało na sofach i wachlowało się gazetami. Dziesięć minut później Alice stała na środku salonu w sukni, kremowych pantofelkach i jedwabnym welonie do ziemi, a sprzedawczynie rozpościerała za nią koronkowy tren. O niczym nie zapomniano; znalazła się nawet para kremowych rękawiczek i woskowa korona z kwiatów pomarańczy na włosy.

– Jak wyglądam? – zapytała Alice.

Cait skinęła głową.

– Uroczo – rzekła – ale nie potrafię dostrzec sensu...

– Prosiakowaty się oświadczył – wypaliła. – Listownie. – Alice zamrugła dwukrotnie i jej oczy napęłniły się łzami.

– Czy tego właśnie chcesz? – zapytała Cait cicho.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła Alice. – Ale kto inny mnie zechce? – Strząsnęła buty ze stóp i zaczęła ściągać welon i woskową koronę z włosów, zanim dwie sprzedawczynie zdążyły do niej przyskoczyć i przejąć inicjatywę. – Wie pani, że nie mogę wrócić do Glasgow bez męża. I absolutnie nie zamierzam.

Miasto ścięły wczesne przymrozki, szkląc chodniki i pokrywając szyby i cieplarnie cienką warstewką szronu. Emil wiedział, że żelazne belki wieży będą się kurczyć na zimnie i zmniejszać odrobinę swoją objętość podczas mrozów. Uwzględnili to w obliczeniach i miało to pozostać bez wpływu na sztywność konstrukcji. Plac budowy na Polu Marsowym wciąż kłuł w oczy, stanowiąc chaos pionowych i poziomych linii, drewna, żelaza i ziemi porytej dziurami pokrytymi teraz lodem. Z oddali wieża wyglądała jak wystający z ziemi metalowy szpon. Nie sposób było wyobrazić sobie, czym się stanie, jakim sposobem te okropne metalowe podpory krzywiące się do środka, pochylające się tak, jakby miały się zaraz przewrócić, stworzą w końcu cztery eleganckie nogi. Nic dziwnego, że przechodzący obok ludzie wciąż sprawiali wrażenie tak przerażonych. Starsi mogli mieć nadal w pamięci wielkie wyburzenia barona Haussmanna i następujące po nich lata kurzu i bałaganu, kiedy to równano z ziemią przeludnione dzielnice nędzy starego Paryża, żeby zrobić miejsce dla nowych bulwarów i rozległych, otwartych przestrzeni.

Było już prawie południe, a mgła okrywająca miasto wciąż jeszcze się nie podniosła. Emil czuł chłód pod nogami przebijający przez podeszwy jego butów. Palce dłoni i stóp zdążyły mu już zdrętwieć. Zimno nie chwyciło ani nie ścisnęło, jego oddziaływanie było znacznie subtelniejsze: zmuszało do kulenia się, odbierało czucie w palcach, wreszcie zupełnie znieczulało.

Po przejażdżce rowerowej napisał do Cait Wallace i zaproponował kolejną wycieczkę. Odpisała, że niestety, są zajęte. Nie podała żadnych powodów, nie robiła mu fałszywych nadziei, nie siliła się na słowa zachęty. A przecież wiedział, że zdawała sobie sprawę z jego nieszczerości. To Alice Arrol była stosowną kandydatką na żonę – taką, jaką wybrałaby dla niego matka. Cait była tylko szaperon, wynajętą służącą.

Choć przykazał sobie zapomnieć o pani Wallace, wymazać jej twarz, jej głos, jej obraz z pamięci, nadal przychodziła do niego w snach. W jednym z nich rozbierał ją, sznurówka po sznurówce, uwalniając z rusztowania poważnych ubrań, które ją krępowały. W innym całował ją we wnęce na płaszcze. W kolejnym zabierał do domu i przedstawiał matce, lecz w połowie kolacji ta obwieszczała mu, że Cait jest nieodpowiednia pod każdym względem. Potem odwracał się i odkrywał, że Cait przeobraziła się w Alice Arrol, którą poślubił przez pomyłkę.

Tydzień wcześniej na wyścigach w Longchamps obserwował, jak piękny szary wałach, na którego postawił dziesięć franków – koń, za którego płacili dwieście do jednego – wyprzedza wszystkie pozostałe, przekraczając linię mety tak radosnym susem, że kusiło go, żeby zgotować mu owację.

– Wygrał! – zawołał.

– Zgubił jeźdźca trzy okrążenia temu – powiedział Gustaw. – Nie liczy się. Obawiam się, że straciłeś pieniądze.

– Nie zauważyłem.

– Następnym razem postaw na jednego z faworytów – poradził mu Eiffel. – Niezależnie od tego, co podpowiada ci serce, postępuj wedle wskazań rozumu.

Ale nigdy tak nie postępował. Nie miał tego we krwi.

Dym z palonego węgla i smoły zaczął go drapać w gardle. Nieodmiennie wyczuwał plac budowy, jeszcze zanim go dostrzegł. Powietrze rozbrzmiewało muzyką pracujących wysoko nitownic, melodią metalu uderzającego o metal, której tło stanowiły ryk kotłów i trzaskanie płomieni. Nim wspiał się po drewnianym rusztowaniu na poziom, na którym młoty robotnicze krzesły spadające iskry, oczy łzawiły mu już od dymu. Podczas pracy mężczyźni balansowali na niewyobrażalnie wąskich pomostach. Wydawało się, że wysokość nic dla nich nie znaczy. Jeden nawet odwrócił się, uchylił kapelusza i życzył mu dobrego dnia.

– Ile jeszcze wyżej? – zapytał kierownika robót.

– Jeszcze dwadzieścia metrów i dotrzemy do pierwszej platformy.

– Dobrze to idzie. Wbrew wszelkim przewidywaniom.

– Co po prostu dowodzi – powiedział kierownik – że trzeba ryzykować, żeby cokolwiek w tym życiu osiągnąć.

Emil spojrzał na leżące poniżej miasto. Gdzieś tam była Cait, czesząca włosy lub czytająca książkę, spacerująca po pustych parkach lub przyglądająca się rosnącej wieży. Arrolowie pozostaną w Paryżu tak długo, jak długo zajmie ukończenie budowy. Napisze kolejny list, zaproponuje kolejną wystawę, zaprosi na kolejną wycieczkę.

– Czy mogę spróbować? – zapytał kierownika robót.

Robotnikowi polecono podać mu narzędzie. Rozgrzany do czerwoności nit został umieszczony w otworze za pomocą obcęgow i Emil uderzył raz, dwa, trzy razy, aż wreszcie nit wszedł równo.

Lód na Cercle des Patineurs w Lasku Bulońskim wyglądał tak, jakby zrobiono go z cukru. Sznury papierowych lampionów kołysały się na wieczornym wietrze, rzucając barwne cętki czerwieni, zieleni, żółci i błękitu na krystalicznie czystą taflę. Pawilon na przeciwległym krańcu ślizgawki rozświetlało światło elektryczne. Napływający z jego wnętrza zapach kawy, gorącej czekolady i grzanego wina mieszał się z ostrą, niemal mineralną wonią lodu i głębokimi, mrocznymi aromatami otaczającego lasu.

– No właśnie – powiedziała Alice. – Tutaj przychodzą odpowiedni ludzie.

Orkiestra stroiła instrumenty w niewielkiej altanie. Na lodowisku około pięćdziesięciu łyżwiarzy jeździło w kółko w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, podczas gdy dwóch mężczyzn z miotłami jeździło w drugą stronę, zmiatając niezwiązany śnieg, rękawiczki nie do pary, wyrzucone karnety i zgubione guziki. Niektórzy łyżwiarze trzymali się za ręce lub tworzyli trójki, inni popychali swoich partnerów na saniach lodowych, których przednie płozy wyrzeźbiono na kształt łabędzich szyj. Mężczyzna z sutym wąsem śmignął obok nich, zakręcił ostro, po czym stracił równowagę, jego ciało zawisło na moment poziomo w powietrzu, po czym huknęło ciężko na powierzchnię lodu.

Orkiestra zaczęła grać *Walc łyżwiarzy* Waldteufła. Dzwonki u sań i delikatną, zabawną melodię tego walca można było usłyszeć tej zimy w całym mieście. Łyżwiarstwo było w modzie, a ślizgawka była najlepszym miejscem, by zaprezentować fason nowych ubrań, szczupłość pęciny albo własną zwinność na łyżwach. Panna Arrol miała na sobie nową sukienkę do jazdy na łyżwach, skrojoną z purpurowego aksamitu, z kołnierzem z baranka astrachańskiego i pasującą do niego mufką. Kapelusz, również zrobiony do kompletu, zawiązała pod brodą ogromną satynową kokardą. Kiedy nałożyła go po raz pierwszy, wydawał się nieco zbyt wymyślny, ale tutaj, w Lasku, w porównaniu z wszystkimi innymi młodymi kobietami wyglądała niemal skromnie.

– Czyż to nie jest urocze miejsce? – zapytała Alice. – Dlaczego nikt wcześniej nam o nim nie powiedział?

Cait przyznała, że wszystko to rzeczywiście przypominało scenę z dziecięcej książki z obrazkami.

– Kto ci o nim powiedział? – zapytała.

Lecz Alice nie zwróciła uwagi na jej słowa, zajęta wciąganiem butów i sprawdzaniem, czy ostrza łyżew są do nich odpowiednio przymocowane.

– Kto? – powtórzyła Cait.^[SEP] – Naprawdę nie pamiętam. Chodźmy.

Na skraju lodowiska Alice zawahała się jednak.

– Nie jestem w tym zbyt dobra. Czy ktoś mógłby mnie pouczyć?

Jamie nie wysunął swojej kandydatury. Gdy tylko przymocował ostrza

własnych łyżew, ruszył na lód, lawirując między innymi łyżwiarzami i zatrzymując się tak gwałtownie przed grupką młodych kobiet, że ostrą krawędzią wzbili w powietrze chmurę kryształków lodu, która osiadła na rąbkach ich spódnic. Alice chwyciła się jedną ręką bandy, a drugą złapała Cait pod ramię i zaczęła nie tyle jechać, ile iść po lodzie. Dwukrotnie pośliznęła się i upadła. Za pierwszym razem się roześmiała. Za drugim prychnęła z irytacją.

– Peszy mnie pani. Chciałabym przez chwilę popróbować sama.

– Jesteś pewna? – zapytała Cait.

– Tak! Niech pani jedzie, proszę.

Minęły lata, odkąd Caitriona ostatni raz włożyła łyżwy. Przeniosła cały ciężar ciała na prawą stopę i odepchnęła się czubkiem lewej łyżwy. Wystarczyło kilka chwil, by wszystko sobie przypomniała: rozkoszny zgrzyt lodu pod stalowym ostrzem, powiew wiatru na twarzy i łagodny łuk toru jej jazdy, gdy frunęła po lodowisku.

„Czy Emil kiedykolwiek się tutaj pojawiał?” – pomyślała. Z pewnością rozbawiliby go ci wszyscy ludzie i to, z jakim skupieniem jeżdżą w kółko bez końca. Gdyby tu był, zapewne śmiałyby się z niej. Nie wiedział, bo i skąd mógłby wiedzieć, że czytała jego listy wciąż od nowa. Zaprosił je obie na kolejną wystawę. Jeszcze nie odpowiedziała, ale odpowie jak zawsze, tymi samymi słowami: „Zalem informuję pana, że...”. Co by się stało, gdyby tym razem mu nie odmówiła?

Przyspieszyła, kostki ją bolały, policzki płonęły. Raz minęła o włos płożę sań, które zatrzymały się gwałtownie tuż przed nią. Nie zwolniła, przeciwnie, ślizgała się coraz szybciej, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, jedno okrażenie za drugim, a w głowie wirowały jej bezwładnie obrazy i scenariusze, sytuacje i możliwe rozmowy.

Zmusiła się więc, aby pomyśleć o niewielkim jeziorku Bingham's Pond, tuż przy Great Western Road, gdzie nauczyła się jeździć na łyżwach. Co roku lód był zamiatany i polerowany z myślą o meczach curlingu i zapewnieniu amatorom miejsca do ślizgania. Razem z siostrą jeździły na łyżwach całą zimę, dopóki lód nie zaczynał pękać i tajać po odwilży. Pamiętała, jak z chorobliwą fascynacją obserwowały zalecających się do siebie dorosłych. To wszystko wydawało się trwać tak krótko, ich pociąg fizyczny był tylko przelotną przypadłością. Kiedy mężczyźni się żenili, zaczynali pojawiać się sami, żeby palić i grać w curling, a łyżwy odkładali na półkę, umieszczając je być może obok pudełek ołowianych żołnierzyków i skakanek. Żony stawały się nagle jakby zbyt kruche, co uniemożliwiało im jazdę na łyżwach, a w gruncie rzeczy jakąkolwiek aktywność fizyczną; jak gdyby skutek małżeństwa stały się cenniejsze od kobiet niezamężnych, niczym najwykwintniejsza porcelana, której nie należy używać, lecz którą tylko trzeba odkurzać.

Cait postanowiła wówczas, że małżeństwo nigdy nie powstrzyma jej od jazdy na łyżwach. Ale powstrzymało. A ona zapomniała, jak bardzo to kochała.

Kiedy samotnie przemierzała ślizgawkę, kilku mężczyzn uśmiechnęło się do niej, a jeden zaoferował jej swoje ramię. Grzecznie odmówiła; jazda na łyżwach była wyzwalająca, uskrzydlająca, niczym taniec, do którego nie trzeba partnera. Łyżwiarze ślizgający się w takt muzyki wygrywanej przez orkiestrę tworzyli ławicę – osobni, a jednak stanowiący element tego wszystkiego: nocy, muzyki, całego tego pięknego spektaklu.

Cait nie znalazła Alice w miejscu, w którym ją zostawiła, ale przecież dziewczyna nie mogła odejść daleko; nie zdołałyby przejść o własnych siłach więcej niż metra czy dwóch. Dzwony w kościele na placu Wiktora Hugo wybiły dziewiątą. Cait jeszcze raz okrążyła lodowisko, okrążyła je znowu, szybciej niż za pierwszym razem, ale po jej podopiecznej nie było nawet śladu.

Jamie ślizgał się tyłem przed dwiema młodymi kobietami, które ze wszystkich sił starały się nie zwracać na niego uwagi.

– Gdzieś mi się zgubiła Alice.

Jamie wzruszył ramionami, uchwycił spojrzenie jednej z dziewcząt, a potem zakręcił się na jednej nodze i odjechał, ślizgając się z nonszalancją kogoś, kto wie, że jest obserwowany.

– Czy mógłbyś mi pomóc jej szukać? – zapytała Cait, dogoniwszy go.

– Znajdzie się w kawiarni – odparł. – A jeśli nie, na pewno w końcu się tam pojawi.

Kilka minut później Alice rzeczywiście się pojawiła, zarumieniona, z błyszczącymi oczami.

– Gdzie ty się podziewałaś? – zapytała Cait.

– Podziewałam? – powtórzyła Alice. – Nigdzie.

– Alice, szukam cię od godziny.

Ale ta ledwie raczyła ją zaszczycić lekkim, chłodnym uśmiechem.

– Zimno mi – powiedziała. – Myślę, że czas na filiżankę czekolady.

– Skąd znasz to miejsce? – zapytał Jamie siostrę, gdy usiedli przy jedynym wolnym stoliku.

– Kiedyś to był prywatny klub – odparła. – Należał do rodziny królewskiej, póki ta nie zbiegła do Belgii.

– No to raczej nie wrócą – powiedział Jamie. – Z tego, co zdołałem się zorientować, monarchia raczej nie doczeka się restauracji. Ale gdzie ty o tym wszystkim mogłaś słyszeć?

Spojrzenie Alice powędrowało jednak za młodą kobietą w zieleni, która przeszła od drzwi do dużej ławy stojącej pod rosnącą w donicy palmą, i dziewczyna nic nie odpowiedziała.

– Może powinnam nosić szmaragdy – zastanowiła się głośno.

Jamie skinął na kelnera i złożył zamówienie. Trzy filiżanki czekolady przyniesiono niemal natychmiast wraz z talerzykiem ciasteczek.

– Ile płacę? – zapytał Jamie.

– Na czyje zaproszenie? – zapytał kelner.

– Słucham?

Kelner zamrugął i rozejrzał się. Przy sąsiednich stolikach zapadła cisza.

– Kto państwa tutaj zaprosił?

Jamie zmarszczył brwi. Alice otworzyła usta, zamknęła je, po czym oblała się rumieńcem. Nie musieli odpowiadać. Nagle stało się jasne, że nie mają zaproszenia.

– *C'est privé* – powiedział kelner, co nie wymagało tłumaczenia. – Tym razem gratis.

Kobieta przy sąsiednim stole odchrząknęła. Jej mąż zakurzył fajkę.

– *Vive la révolution!* – powiedział Jamie odrobinę za głośno. – Pijcie.

Wyjście w tym momencie byłoby gorsze, znacznie gorsze niż wymknięcie się ukradkiem po dziesięciu minutach, więc popijali w milczeniu gorącą czekoladę. Żadne nie tknęło ciastek.

Kiedy ruszyli z powrotem ścieżką wiodącą przez las do głównego bulwaru, Cait odwróciła się, by ostatni raz spojrzeć na lodowisko. Opadła lekka mgła, rozmazując kolorowe światła i tworząc barwną poświatę wokół pawilonu. Orkiestra już się spakowała i teraz słychać było turkot powozów na głównej drodze wiodącej przez park oraz krzyki nocnych ptaków.

– Zapomniałam muffinów – powiedziała nagle Alice. – Muszę wrócić.

– Mam pójść z tobą? – zapytała Cait.

– Nie, proszę poczekać, za minutkę będę z powrotem.

Minęło jednak dziesięć minut, a Alice wciąż nie wracała. Jamie, który zaczynał tracić cierpliwość, zaproponował, że pójdzie poszukać ich powozu. Cait zaczęła iść z powrotem drogą, którą przyszli, z nadzieją napotkania dziewczyny po drodze. Ślizgawka prawie całkiem opustoszała. Kilku młodych mężczyzn na ugiętych kolanach, z ciałem podanym do przodu, ścigało się wzdłuż bandy. W samym środku lodowiska, ze złączonymi piętami, obracała się powoli młoda panienka, mniej więcej czternastoletnia. Kawiarnia już się zamykała, krzesła poustawiano jedno na drugim, a drzwi otwarto, by zimne powietrze wygoniło nielicznych pozostałych klientów. Caitriona obrzuciła spojrzeniem ławki – były całkiem puste, jeśli nie liczyć pary w podeszłym wieku; przynajmniej jedno z nich wypilo za dużo.

W pobliżu dał się słyszeć dźwięk przypominający śmiech Alice. I znów wybuch cichutkiego, urywanego śmiechu. Cait podeszła do kawiarni, lecz Alice nie było w środku. Dźwięki musiały dobiegać z tyłu, gdzie docierało niewiele światła, gdzie ustawiano kosze na śmieci wypełnione zmieloną kawą i fusami

herbacianymi, gdzie w drewnianych skrzyniach piętrzyły się puste butelki po winie i puszki, z których wysypywał się popiół z setek papierosów. Wbiła spojrzenie w mrok. Pod markizą stali mężczyzna i kobieta. Choć widziała zaledwie tył głowy kobiety, mężczyzna uderzająco przypominał dżentelmena z opery, mężczyznę, którego widzieli w restauracji na wyspie, hrabiego. Pochylił się do ucha kobiety, jakby chciał coś do niego wyszeptać, lecz zamiast tego pocałował ją. Cait cofnęła się o krok. Czyżby to była Alice? A jeśli tak? Rozejdą się plotki, ludzie zaczną gadać i panna Arrol zostanie zhańbiona, zbrukana, pozbawiona szans na zamążpójście.

Obejdzie lodowisko dokoła. Znajdzie ją. Jej obawy muszą przecież okazać się nieuzasadnione. Słodka, niewinna Alice, której jedyną zbrodnią było to, że zapomniała mufki. Zanim pani Wallace obeszała całe lodowisko, para z ławki zniknęła. Jakiś mężczyzna stał na drabinie i gasił jeden po drugim papierowe lampiony. Ciemność lasu wydawała się nadciągać nad ślizgawkę, aż wreszcie lód był już tylko słabą luną opalizującą w mroku nocy. Alice tam nie było. Kiedy jednak Cait odwróciła się, żeby pójść z powrotem do kawiarni, zobaczyła młodą kobietę biegnącą ścieżką w jej stronę.

– To na nic, nie mogłam jej znaleźć – powiedziała Alice. – Rano będę musiała tu wrócić i zapytać.

W milczeniu wracali powozem do domu. Dwukrotnie Cait spojrzała Alice w twarz, szukając w niej jakiejś zmiany, ale nic nie dostrzegła. Czy umówiła się na spotkanie z hrabią na lodowisku, czy też spotkanie to było przypadkowe? Czy naraziła swoją reputację na szwank? Nie sprawiała takiego wrażenia. Przeciwnie, wyglądała na zadowoloną z siebie. Może ona też powinna się cieszyć? Może Jamie mylił się co do hrabiego? Może był to początek zalotów mężczyzny idealnie nadającego się na męża? William Arrol dostanie, czego chciał – jego bratanica wyjdzie za kogoś majątnego, jej przyszłość zostanie zabezpieczona.

– Spójrzcie – powiedziała Alice nagle. – Pękło mi ostrze łyżwy.

Uniosła żelazne ostrze i rzeczywiście, było pęknięte na pół.

– Miałaś szczęście – powiedział Jamie. – Mogłabyś dać niezłą plamę!

Następnego ranka, w poniedziałek, Lasek świecił pustkami, a lodowisko było zamknięte. Alice powiedziała, że mufka spadła jej chyba pod ławkę przy zmienianiu butów, i rzeczywiście, była tam. Astrachańskiego baranka pokrywała warstewka szronu, kędzierzawe futro przesiąkło zapachem nocy. Unosząc mufkę, Cait usłyszała podniesione głosy dobiegające z lasu za jej plecami. Na dźwięk dwóch donośnych wystrzałów z okolicznych drzew poderwała się chmara ptaków. Rozszczękał się jakiś pies.

Na polance tuż przy głównej drodze leżał na śniegu młody mężczyzna. Drugi stał sześć metrów dalej, w prawej ręce trzymał luźno pistolet. Podniósł wzrok i dostrzegł ją, przyglądającą mu się zza gałęzi. Ich spojrzenia na moment się

spotkały. Wyglądał znajomo. Czy to był hrabia? Stała zbyt daleko, żeby mieć pewność. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć, ale zanim zdążył wyrzec cokolwiek, przez gałęzie przedarła się kobieta, rzuciła się na leżące na ziemi ciało i rozszlochała się rozpaczliwie.

– Marcel! Marcel... Marcel!

List leżał na stoliku w korytarzu jego mieszkania. Przesunął palcem po literach tworzących jej imię, szukając być może jej odbicia w porządku znaków i krzywiznach pisma odręcznego. Zastanawiał się, jakie naprawdę nosiła nazwisko – nazwisko panięskie, otrzymane od rodziców, a nie od nieżyjącego męża. Uzmysłowił sobie, że prawie nic o niej nie wie.

Napisał list tydzień wcześniej, zmieniając jego treść nieskończoną ilość razy, próbując trącić właściwą strunę. Nadal nie miał pewności, czy mu się udało. Tak naprawdę wciąż nie miał pewności nawet co do tego, czy wie, co w ogóle chciałby jej przekazać. Słowa wydawały się zbyt ciężkie, zbyt niezgrabne, zbyt łatwo stapiające się w pozbawione elegancji kształty. Chciał ją tylko znowu zobaczyć. Nie miał poza tym żadnych wielkich planów, nie realizował żadnego epokowego projektu. Ale była Alice, jej podopieczna, i były jego zobowiązania, a jedno i drugie sprzysięgło się, by coś tak prostego uczynić niemal niemożliwym. Więc list pozostał na stoliku w korytarzu – niewysłany.

Na placu budowy zatrzymał się pod drabinami prowadzącymi na rusztowania i spojrzał w górę. Wieża zaczęła się wznosić ponad dachy miasta, metalowe belki przebiły się przez spowijające je chmury, przez co rozmach planów Haussmanna, jego ambitne bulwary i place gwiazdziste, wydał się nagle mniejszy. W przeciwieństwie do Sacré Coeur, której powstanie budziło takie kontrowersje, a budowa przebiegała tak wolno, że miasto już jej nie zauważało, wieża nadal prowokowała do reakcji: mimowolnego wciągnięcia powietrza, przyspieszonego tętna, wskazania palcem – „patrzcie”. Była wyższa, niż ludzie to sobie wcześniej wyobrażali, delikatniejsza, bardziej ażurowa. I chociaż nadal trafiali się tacy, którzy nudzili o jej bezwzględnej brzydocie, wielu zmieniło zdanie.

– Panie Nouguier? – dobiegł go głos z góry. – Potrzebujemy pana.

Od tej chwili niewiele go zaprzętało poza tym, jak rozwiązać liczne problemy logistyczne, których w miarę upływu godzin pojawiało się coraz więcej. Budowla była niewiarygodnie skomplikowana i konstruowana kawałek po kawałku. W jakiej kolejności jej poszczególne elementy powinny być montowane i gdzie należy umieścić kolejne nity? Czy wytrzymają fundamenty znajdujące się bliżej rzeki, gdzie ziemia była bardziej miękka i gliniasta? Jeśli osiadną choćby kilka centymetrów, wieża się przechyli. A co z wiatrem? Co się stanie, jeśli miasto będzie musiało stawić czoła wiatrom wiejącym z prędkościami znacznie przekraczającymi założone przez nich w obliczeniach? Choć przyjęto, że wiatr po prostu przeleci przez konstrukcję lub odchyli ją w dowolną stronę o nie więcej niż piętnaście centymetrów względem stanu wyjściowego, co się stanie, kiedy zakołysze nią tak mocno, że ta w końcu się przewróci? Z drugiej jednak strony, choć nigdy wcześniej nie zbudowano z żelaza wieży tej wysokości, wyliczenia

matematyczne były poprawne. Wieża będzie stabilna i wytrzyma niezależnie od wszystkiego.

Na szczycie rusztowania pojawił się zdyszany chłopak. Chwilę mu zajęło, nim zdołał wykrztusić z siebie jakiegokolwiek słowa, i w tym krótkim czasie Emil przebiegł myślami wszystkie koszmarnie scenariusze, które mogły się urzeczywistnić. Ale wiadomość, jaką w końcu wyjąkał chłopiec, była tą, której najbardziej się obawiał.

– Pana matka – powiedział. – Przyszła pilna wiadomość od jej konsjerżki. Musi pan do niej jechać. Szybko.

Tym razem w mieszkaniu było niemal kompletnie ciemno. Gospodyni czekała przy drzwiach, by wziąć od niego płaszcz i kapelusz. Nie podniosła na niego wzroku.

– Jest u niej lekarz – powiedziała. – Bardzo źle spała.

– Powinna pani była zadzwonić do mnie wcześniej.

– Nie chciała pana niepokoić.

Przez szpary w okiennicach wlewało się do sypialni matki dzienne światło, kładąc się długimi paskami na podłodze. Chwilę zajęło mu jej umiejscowienie – twarz miała niemal tak białą jak pościel. Louise Nougquier uniosła na jego powitanie bladą, szczupłą dłoń. Lekarz czekał przy łóżku ze spuszczoną głową.

– Mój kochany chłopcze, tak mi przykro – powiedziała.

– *Maman*. Co się dzieje?

Rozejrzała się, szukając wzrokiem lekarza, ale ten milczał.

– No cóż – zaczęła. – Nie chciałam nic mówić... Byłeś tak zajęty pracą, ale ostatnio nie czułam się zbyt dobrze. Pan Fauré, mój znakomity lekarz, sądzi, że mogę mieć...

Przez chwilę błędziła wzrokiem, szukając odpowiedniego słowa. Lekarz zaczął więc mówić o chronicznym podrażnieniu, komórkach i węzłach chłonnych. Trudno było cokolwiek z tego zrozumieć.

– Mam guza – obwieściła jego matka.

Emil starał się coś pojąć z tych słów. Spojrzał na doktora, szukając potwierdzenia.

– Ale może go pan usunąć. Może pan, prawda?

Lekarz odchrząknął. Louise poprosiła o łyk wody.

– Podoba ci się to lustro? – zapytała, kiedy już przełknęła. – To nad kominkiem? Trzeba je wypolerować, tu i ówdzie uzupełnić złocenia na ramie. Twój ojciec kupił je w Wenecji.

Kiedy już Emil znalazł kapelusz lekarza, uściśnął mu dłoń i odprowadził go do drzwi, zaczął się zastanawiać, co ten tak naprawdę sądzi o nim i jego matce, o pokojach z zatrzaśniętymi okiennicami, o zapachu perfum gryzącym się z wonią preparatów medycznych na trawienie.

– Ma skłonność do przesady – powiedział z uśmiechem.

Mężczyzna jednak spojrział na niego tak, jakby Nouguiet opowiedział mu dowcip w bardzo złym guście.

– Obawiam się, że tym razem nie musi. Ma raka. Piersi. W dość zaawansowanym stadium.

– Ale z pewnością zabieg chirurgiczny...

– Szanse na sukces są niewielkie. Odradzałbym ze względu na wiek pańskiej matki i jej stan zdrowia.

– A więc co pan radzi, doktorze? Jaką zaleca pan kurację?

Lekarz westchnął i lekko potrząsnął głową.

– Bardzo mi przykro.

Emilowi krew załomotała w uszach, ryk potopu uniemożliwił zrozumienie słów doktora. Od tak dawna matka znajdowała się gdzieś na obrzeżach jego pola widzenia, była mu kamykiem w bucie, drzazgą pod skórą, jej głos był niczym bzyczenie osy w uchu. Jak to możliwe, że odejdzie, zniknie, umilknie? Wydawało się niemożliwe, by świat mógł dalej istnieć bez niej. Wzdrygnął się, wracając do siebie. Lekarz położył mu rękę na ramieniu.

– Panie Nouguiet – rzekł Fauré cicho. – Na pana miejscu wziąłbym sobie wolne na resztę dnia.

– Ile jej jeszcze zostało?

– Powiedziałbym, że kilka miesięcy. Najwyżej rok.

– Czy ona wie?

Doktor nie odzywał się przez chwilę.

– Myślę, że we właściwym momencie może jej pan powiedzieć.

Z balkonu w sypialni jego matki rozciągał się widok na cały Paryż. Okno wychodziło na południe, a słońce wlewało się do środka przez cały dzień ku utrapieniu gospodyni, która twierdziła, że w takich warunkach dywany płowieją. Właśnie to skłoniło jego ojca do zakupu tego mieszkania całe lata temu: widok. Siedząc w nogach łóżka matki, zaczął się zastanawiać, czy widać stąd miejsce budowy wieży. A może leżało trochę zbyt daleko na wschód?

– Nie musisz ze mną siedzieć cały dzień – powiedziała mu matka. – Wiem, że jesteś zajęty.

– Mam czas.

– Nigdy wcześniej go nie miałeś. Czy coś się stało? Takie właśnie są utrapienia pracy dla kogoś innego. Nie tylko ktoś inny zgarnia wszystkie zyski, ale i może cię z dnia na dzień zwolnić.

– Nie zostałem zwolniony. Nie dojdzie do tego.

– Nie byłabym taka pewna.

Tylko matka wiedziała, jak wytrącić go z równowagi zaledwie kilkoma słowami. Już czuł, jak jeży się z irytacji.

– Czy masz jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, co budujemy? To będzie wspaniałe, przełomowe, monumentalne.

– Wieżę – powiedziała głosem bez wyrazu.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Wiesz, co zwykł powtarzać twój ojciec? „W pięknym szkłe możesz zobaczyć tchnienie człowieka, który je wydmuchał”, a oddychał on tym samym powietrzem co pierwsi dmuchacze szkła w Syrii tysiące lat temu. Był dumny z tego, że kontynuuje tak starożytną tradycję.

– Mamo...

– Niewiele inwestując, mógłbyś zmodernizować fabrykę. Siedziba rodowa wymaga odrobiny pracy, ale nie tak znów wiele. Byłoby miło, gdybyś mógł wychowywać swoje dzieci na wsi, a nie w mieście.

Pozwolił jej mówić dalej, snuć plany i obmyślać projekty.

– Mogłabym z tobą zamieszkać. Twoje dzieci przychodziłyby i siadywały przy mnie, a ja karmiłabym je cukierkami.

Przełknął gulę, która urosła mu w gardle. Jak miał jej powiedzieć? Jak mógł jej nie mówić? Nic nie rzekł, zamiast tego pocałował ją lekko w rękę.

– Jutro znów cię odwiedzę.

– Tylko jeśli znajdziesz chwilę – powiedziała, wodząc wodnistymi oczami w mroku pokoju. – Może cię zaskoczę i to ja cię odwiedzę? Zbyt ciężko pracujesz. I po co?

Gdyby mogła zobaczyć ukończoną wieżę, wiedziałaby po co. Zrozumiałaby, że dokonał właściwych wyborów, obrał słuszną drogę. Kiedy szedł z powrotem na Pole Marsowe, uzmysłowił sobie, że może nie zdążyć z jej ukończeniem. Postanowił więc przesunąć wszystkie terminy i skłonić ludzi do szybszej, bardziej wytężonej pracy. Przynajmniej tyle był jej winien – szansę przekonania się na własne oczy, jak wyrafinowany był zaprojektowany przez niego układ belek i nitów. Jego projekt był śmiały i genialny. Był sztuką.

Śnieg padał od wielu godzin. Cait szła spiesznie ulicą, a płatki wpadały jej do oczu, tworzyły warstewkę na rondzie kapelusza i dostawały się między fałdy jej szala. Skręciła w Quai d’Orsay i oto wyrósł przed nią czarny gąszcz wieży. Hałas placu budowy słyszalny był z odległości kilku przecznic, stuk żelaza o żelazo, nawoływania mężczyzn z wysoka. Zapach roztopionego metalu i cierpka woń palonego drewna dławili w piersiach. Zerknęła w dół ku rzece. Chociaż nie mogła ich zobaczyć, słyszała odgłosy rozładunku flotyli barek i widziała chmurę pyłu zabarwiającego śnieg szarością.

– Szukam pana Arrola – powiedziała przy wejściu na plac. – Czy zastałam go na miejscu?

Strażnik przecząco pokręcił głową.

– A zatem pan Nougier. Czy zastałam go może?

Posłano chłopca, a jej kazano czekać. Palce miała zdrętwiałe, stopy jej przemokły, choć odczuwany przez nią ból był niczym w porównaniu z cierpieniem, które trawiło ją od środka. W końcu pojawił się Emil Nougier. Wydawał się zaskoczony jej widokiem.

– Przepraszam za kłopot – zaczęła, ale była tak zmarznięta, że z trudem wypowiadała słowa.

– Co się stało?

– Myślałam... – Przełknęła ślinę. – Myślałam, że zastanę tu pana Arrola.

Jedno słowo, wystarczyłoby jedno słowo, potwierdzenie, że jej wątpliwości są bezpodstawne. Powoli pokręcił głową.

– W tym tygodniu nie – powiedział. – W zeszłym również nie.

Miała wrażenie, jakby nagle zabrakło jej tchu.

– Ale pan mi powiedział... Powiedział mi pan, że wszystko układa się dobrze!

Skłamał. Jak mógłby zaprzeczyć? Nie odpowiadając, lekko wzruszył ramionami.

– A ja panu uwierzyłam. – Otarła twarz grzbietem dłoni.

– Przykro mi. Ostatnio miałem wiele na głowie.

U boku inżyniera pojawił się robotnik i wyszeptał mu coś do ucha.

– Jest pan zajęty. Powinam już pójść. Miłego dnia.

– Może przynajmniej poproszę kogoś, by zawołał pani dorożkę?

Cait próbowała odzyskać panowanie nad sobą i sądziła, że udało jej się sprawić wrażenie, jakby to zrobiła.

– Dziękuję. Wolę jednak pójść pieszo.

Na ulicy przed nią śnieg leżał wciąż nietknięty, jeśli nie liczyć wąskiego śladu kół rowerowych i tropów kota. Z bocznej uliczki dołączyły odciski stóp

mężczyzny i dziecka idących ramię w ramię. Kroki mężczyzny były dłuższe i cięższe, odciski stópek dziecka lekkie, wielkości dłoni Cait, idealny zapis małej stopy, kierunku i kroku, który wkrótce zostanie zdeptany innymi stopami lub rozpuści się w topniejącym śniegu.

Znalazłszy się za rogiem, poza zasięgiem wzroku osób pracujących na budowie, zatrzymała się i wyciągnęła rachunek, który znalazła tego ranka na podłodze garderoby. Atrament był rozmazany, lecz słowa wciąż były czytelne: „M. Arrol winien jest 1670 franków za szampana, posiłki i obsługę”. Zaadresowany na ulicę Chabanais numer dwanaście, w pobliżu Luwru. Tysiąc franków było kwotą przewyższającą sumę, jaką Jamie posiadał lub mógłby zarobić w ciągu roku. Wynajęcie domu kosztowało pięćset franków miesięcznie. Co on zrobił?

Podczas ich podróży po Europie rok wcześniej łatwo było nie tracić go z oka. Nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej niż kilka tygodni, co pozostawiało mu czas jedynie na bardzo przelotne przygody. Pokojowa w Delft, tancerka w Genewie, modelka artystów we Florencji, o nich w każdym razie wiedziała. Ale tu, w Paryżu, wymknął jej się spod kontroli. Dopóki nie znalazła rachunku, nie miała pojęcia, gdzie spędza czas i z kim.

Ślady stóp wiodły do pasażu handlowego. Jeśli nie liczyć światła lamp gazowych, w wąskim przejściu panowały ciemności – warstwa śniegu przykryła szklany dach – ale po drugiej stronie, gdzie drzwi wychodziły na następną ulicę, rysował się prostokąt światła. Nie było jednak śladu mężczyzny ani dziecka. W pasażu mieściły się liczne sklepy sprzedające kapelusze, tabakę, zabawki dziecięce i drogie herbaty. Po chwili Cait podniosła wzrok i uchwyciła spojrzenie sprzedawczyni ze sklepu z kapeluszami.

– Czym mogę służyć? – zapytała dziewczyna po angielsku.

Po raz kolejny od pierwszego rzutu oka dało się w niej rozpoznać cudzoziemkę, choć nawet nie była tego świadoma. Ubrania miała przemoczone, włosy spadały jej w strąkach na twarz. Podczas opadów deszczu lub śniegu paryżanie zostawali w domach, a jeśli już musieli z nich wyjść, brali ze sobą parasolki. Cait potrząsnęła głową i ruszyła z powrotem na ulicę. Doznawała mniejszego bólu, gdy nie mogła się zagrzać i odtajać. Wiedziała, co powinna zrobić: powinna wysłać rachunek Williamowi Arrolowi i przyznać, że poniosła spektakularną klęskę. Arrol poleci im natychmiast wrócić do domu, a oni nie będą mieli innego wyboru, jak zastosować się do jego żądania.

Zeszła z chodnika, lecz potężny wrzask kazał jej z powrotem na niego wskoczyć. Ciągnięty przez konie omnibus przeleciał zaledwie kilka centymetrów od niej, jego żelazo i mosiądz, szkło i malunki upstrzone błotem, jego zapach – konia i mokrej skóry – tak rozkosznie rozgrzany. „Jak łatwo byłoby – pomyślała – zignorować ostrzeżenie, pójść dalej tam, gdzie brudny śnieg był już rozjeżdżony, a powietrze ciężkie od oddechów zwierząt”.

Ulica opustoszała. Cait uniosła spódnicę i szła ostrożnie w rozmięklej brei. Co mogła zrobić? Zmierzyć się z Jamiem? Zażądać, by wyjaśnił jej, co zamierza dalej? Ale jak zdoła kiedykolwiek spłacić samodzielnie taką sumę? Była to, krótko rzecz ujmując, katastrofa.

Dwukołowa dorożka zatrzymała się przed nią przy krawężniku. Otworzyły się drzwi i na chodnik wysiadł jakiś mężczyzna. Cait chwilę zajęło rozpoznanie go. To był Emil Nougier. Co on tu robił, na litość boską? Przez chwilę stał na śniegu, przyglądając się jej.

– Szybko pani chodzi. Jest pani już w połowie drogi do domu.

– Śledził mnie pan?

– Taki miałem zamiar, ale chyba mi się pani wymknęła. Byłem już bliski zawrócenia na plac budowy, kiedy wreszcie panią dostrzegliśmy. Może wolałaby pani podjechać zamiast iść?

– Nie, dziękuję – odparła. Samotna kobieta, nawet owdowiała, nie jeździła bez towarzystwa z samotnym mężczyzną. Nie było to przyjęte. A on nie powinien był pytać.

– Wygląda pani na zmarzniętą.

– Jest mi absolutnie ciepło. – Ale w chwili gdy wypowiadała te słowa, na rzęsach osiadł jej płatek śniegu i mimowolnie zadrżała. Była kompletnie przemoczona. I znów zaczął padać gęsty śnieg, czego zupełnie nie zauważyła.

– Proszę – powiedział cicho. Prośba była tak delikatna, że Cait szybko obejrzała się przez ramię. Nikt ich nie usłyszał. Nie było tu nikogo poza nimi. Śnieg padał tak gęsty, że nie widziała już przeciwległej strony ulicy. Otoczył ich kokon, reszta świata zdryfowała w biel. Kto ją zobaczy, wsiadającą do dorożki? Nikt się nigdy nie dowie. A poza tym – jakie to miało znaczenie? Żadnego.

– Na chwilę – zastrzegła. – Tylko dopóki śnieg nie przestanie padać.

Pomógł jej wsiąść do powozu, a potem, dawszy znak woźnicy, usiadł obok niej. Ruszyli, dobiegło ich przytłumione postukiwanie kopyt po bruku. Emil Nougier przesunął się na siedzeniu, by zachować między nimi stosowny dystans. Nawet bez miarki wiedziała, że będzie to dokładnie piętnaście centymetrów – nie mniej i nie więcej. A jednak koc podróżny, który zarzucił jej na kolana, był już ciepły. Siedzenie również. Odchyliła się na oparcie i wciągnęła powietrze, w którym unosiła się woń impregnowanej wełny i starego drewna, a także bardzo delikatny zapach migdałów.

– Lepiej? – zapytał.

– Odrobinę.

Przełknęła ślinę i poczuła jego spojrzenie na swojej twarzy i szyi. Czowała jego ciężar na siedzeniu obok; była świadoma każdego jego ruchu, każdego uniesienia klatki piersiowej, najdrobniejszego drgnięcia powiek. Dlaczego musiała udawać, wypierać się samej siebie, podczas gdy wszyscy pozostali robili, co chcieli? Miasto

za oknem zostało wymazane, unicestwione mgiełką ich oddechów. Była niemal gotowa wmówić sobie, że już go tam nie ma. Zerknęła szybko na inżyniera, na Emila Nougiera.

– Pan Arrol nie jest najłatwiejszym podopiecznym – zauważył.

Wspomnienie tego nazwiska przywołało ją z powrotem do terażniejszości, do Jamiego i jego trudnego położenia. Alice nie była dużo lepsza. Jak Cait miała utrzymać ich w ryzach, kiedy nie chcieli być w nich utrzymani? Milczeli przez moment. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Jest pani kompletnie przemoczona – powiedział nagle Emil. – Czy w Szkocji nie używacie parasoli?

Zmienił temat, szybko i zgrabnie. Roześmiała się, nie wiadomo skąd napłynęła fala ulgi – czystej i niczym niezmaconej.

– Oczywiście, że tak – odpowiedziała, odsuwając z twarzy kosmyk mokrych włosów. – Rzadko trafiają się takie dni, żeby nie trzeba było ich wyciągać... Ale śnieg... jest zbyt piękny. Ma się uczucie, że opada tak łagodnie jak płatki kwiatów wiśni.

– Pięknie powiedziane.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Jamie, śnieg, rachunek, wieża, wszystko to wydawało się odpływać. Pozostało to, tu, teraz – darowany czas.

A potem, bez ostrzeżenia, powóz nagle się zatrzymał.

– Wypadek! – zawołał woźnica.

Emil przetarł szybę rękawem i Cait wyjrzała na zewnątrz. Śnieg przestał padać. Stanęli zaledwie kilka przecznic od domu Arrolów. Policzki jej poczerwieniały. Zerknęła na Nougiera. Co on naprawdę o niej myślał? Jaką rolę mogłaby odgrywać w jego życiu? Nagle wychyliła się na siedzeniu i zawołała do woźnicy:

– Dalej pójde pieszo.

– Mogę panią dowieźć do domu – powiedział Emil.

Powstrzymała go gestem.

– Nie ma takiej potrzeby.

Szybkim ruchem nadgarstka otworzyła drzwi powozu i zeszła po schodkach. Gdzieś ze środka, z miejsca, na które nie potrafiła już spojrzeć wprost, inżynier skłonił głowę.

Tłum ludzi, wyprzęgnięty koń leżący na boku, jego spanikowane spojrzenie i najwyraźniej złamana noga. I przypomniała sobie inną scenę: krew na śniegu, obłoczki wydychanego przez nią powietrza, posmak żalu zmieszanego z dojmującym poczuciem wstydu.

Tej nocy śnieg pokryła warstwa szreni i teraz chrząścił, i kruszył się pod stopami. Po pracy Emil jakby mimo woli pojechał na północ, do parku Monceau, i po przechadzce przez park, piękny i surowy w świetle księżycy, zatrzymał się na końcu ulicy, przy której mieszkali Arrolowie. Paliły się wszystkie światła w domu, szczeliny w listewkach okiennic wyglądały jak złote szwy. Wyobraził sobie panią Wallace siedzącą w plamie światła, ciemne włosy okalające jej twarz i szare zwilgotniałe oczy.

Kiedy zmierzał już do siebie, zatrzymał się, by przepuścić kobietę przechodzącą przez ulicę. Odwróciła się i spojrzała na niego, jej postać odcięła się wyraźnie na tle żółtej, migoczącej poświaty lampy gazowej.

– Emil – powiedziała kobieta. – Czy to ty?

Przystanął jak rażony gromem. To była Gabrielle. Dwukrotnie przełknął ślinę.

– Co robisz w tej dzielnicy? – zapytał tak lekko i niezobowiązująco, jak tylko potrafił.

Podeszła do niego i spojrzała mu w twarz.

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie.

Przebiegała spojrzeniem po jego twarzy, szukając w jego oczach, w wyrazie ust choćby śladu, jak się domyślał, wyrzutów sumienia.

– Wyszedłem na spacer. Potrzebowałem odrobiny świeżego powietrza. Ale teraz już zmierzam do domu. Jestem dość zmęczony.

– Mój najukochańszy Emilu – powiedziała Gabrielle z napięciem w głosie. – Przecież wiem, że nie to chciałeś powiedzieć.

Zatrzymali się w znanej jej kawiarni, miejscu, w którym roiło się od artystów, pisarzy i cudzoziemców. Usiedli w boksie i Gabrielle zamówiła butelkę burgunda. Pod płaszczem miała suknię, której nigdy wcześniej nie widział, wieczorową kreację z czarnego aksamitu, z dwoma wąskimi ramiączkami. Wydawała się pochłaniać światło jak kocie futro.

Nie czekając na jego pytanie, kobieta zaczęła opowiadać mu o wszystkim tym, co się jej przydarzyło od czasu ich ostatniego spotkania, jak wsiadła do pociągu jadącego na wybrzeże, jak spędzała dni, spacerując wzdłuż długich pustych plaż, patrząc poprzez morze ku brzegom Anglii i zastanawiając się, czy powinna się rzucić w fale. A potem powiedziała mu, jak spotkała mężczyznę, pisarza, w Grand Hotelu w Cabourgu, jak zafascynowała go do tego stopnia, że przyrzekł uczynić ją jedną z postaci w pisanej przez siebie książce.

Emil nalał kieliszek wina, potem kolejny i pozwolił, by opływały go jej słowa. Wydawało się, jakby czegoś od niego chciała, ale w tym momencie nie miał pewności, co to mogło być. Wino szumiało mu w głowie, wsączając się we

wszystkie nieproszone myśli o matce, fabryce szkła i Cait, aż wreszcie nic z nich nie zostało.

– Tylko sobie wyobraź! – powiedziała.

Nie był pewien, co właściwie ma sobie wyobrazić, więc wzniosł toast i wychylił kieliszek do dna. Zamówił koniak, potem następny, a potem, idąc do toalety, potknął się i prawie upadł.

– Powinam cię zabrać do domu – wyszeptała Gabrielle, kiedy wrócił.

Było już późno, gdy dotarli do jego mieszkania. Kiedy powoli wjeżdżali na jego piętro małą windą, stała tak blisko, że mimowolnie wciągnął w nozdrza jej woń starych róż i świeżego potu. Jej zapach, tak znajomy, przyciągnął go z siłą, jakiej się nie spodziewał, przyciągnął go z powrotem ku mężczyźnie, jakim był wcześniej. W należących do niego pokojach panowała ciemność, okiennice były zamknięte, lampy niepozapalane, łóżko było niepościelone. Żadne z nich ani przez moment się nie zawahało. Rozsznurowywał ją, czując, jak z każdym pociągnięciem tasiemki wzrasta jego apetyt. Pocałował ją w ramię, a potem przesunął policzkiem po jej łopatkę.

– Pozwól mi się najpierw rozebrać do końca – wyszeptała.

Czarny aksamit spadł na podłogę. Wysuwała się z kolejnych warstw, aż wreszcie nie miała na sobie nic z wyjątkiem bladego lśnienia własnej skóry.

– Chodź tutaj – powiedziała.

Lecz mimo to, gdy leżała pod nim, kiedy czuł chłodną rozłożystość jej ud, krągłość jej piersi, nie mógł się pozbyć uczucia, że wcale nie obnażyła się całkowicie. Jej twarz była nadal ubrana, biegle ustrojona w wyraz współsprawstwa. Zaczął pokrywać pocałunkami jej usta, oczy, policzki, szukając jakiejś odsłaniającej ją szczeliny, ale jej twarz pozostała gładka jak porcelana. I wtedy przypomniał sobie Cait.

– Chcesz? – zapytała, rozpinając jego koszulę. – Czy może zbyt dużo wypiteś?

Sposób, w jaki Gabrielle mówiła i poruszała się, był zbyt wyrazisty, zbyt przerysowany. Brandy wciąż buzowała mu w piersiach, napełniając go złościwością.

– Pobierzmy się – powiedział nagle.

Zamrugnęła zdumiona, ale szybko ukryła zaskoczenie.

– Dobrze.

– Rozwiódź się z mężem – ciągnął. – Przenieśmy się do La Villette. Przejmę zarządzanie fabryką szkła i za kilka lat moglibyśmy już mieć gromadkę dzieci i przeprowadzić się do mojej siedziby rodowej.

– Moglibyśmy zasadzić kwiaty – podsunęła. – Zbudować letni dom.

Pokój zaczął się obracać, przyprawiające o mdłości wirowanie sennie rozmyło kontury rzeczywistości. A jeśli to wcale nie był taki zły pomysł? Wciąż

była jeszcze na tyle młoda, że mogła mieć kolejne dzieci. Kogo obchodziło, co pomyślą inni? To będzie transakcja biznesowa, nic więcej. Jego matka dostanie to, czego chciała. Ale co z kalekim mężem? Co z dzieckiem? Czy będzie musiał ich spłacić? Poczł chłód rozpełzającego mu się w trzewiach wstydu. Co z niego za człowiek?

– Emil? – zapytała.

Usiadł i zaczął na powrót zapinać koszulę.

– Nie powinienes żartować na temat takich spraw. Mogę potraktować to poważnie. – I zaśmiała się, aby udowodnić mu, że tego nie zrobiła. – Wracaj do łóżka.

– Co tu robisz? – zapytał ostrzej, niż zamierzał. – Czego potrzebujesz? Pieniędzy? Ile?

– To bardzo nieuprzejmie z twojej strony – powiedziała cicho. – Chciałam cię zobaczyć, to wszystko, Emilu. Nie mogłam cię tak po prostu zapomnieć.

– Nie kłam, na miłość boską! Znam cię, pamiętasz?

Przez chwilę panowała cisza, gęsta i mroczna.

– Jest ktoś inny – odezwała się półgłosem. – Jest, prawda?

Przez sekundę czuł wściekłość. Co za oskarżenie, i to jeszcze z jej strony! Odwrócił się, gotów zaprzeczyć. Ale po co? Jeśli kiedykolwiek wzbudzała w nim jakąś czułość, ta zawsze podszyta była litością.

– To nie o to chodzi – odparł.

Usiadła, odwróciła się i opuściła obie stopy na podłogę. Ale nie wstała, lecz pochyliła się, zakrywając twarz dłońmi.

– Tak bardzo mnie unieszczęśliwiasz. Wiem, że uważasz, że nie jestem dla ciebie wystarczająco dobra.

Nagle wytrzeźwiał, brandy w jego krwi zamieniła się w destylat lepkiego smutku.

– Nie. Nigdy tak nie pomyślałem.

– A ja nigdy nie przejmowałam się małżeństwem ani konwenansami. Należysz do bohemy, Emilu, tak jak ja.

Spojrzała na niego i broda jej zadrżała.

– Przytul mnie – poprosiła. – Tak jak kiedyś.

Przytulił ją. Co jeszcze mógł zrobić?

– Nadal należysz do mnie – wyszeptała.

– Nie. Nie, nie, nie. Nie należę.

Ale nawet gdy wymawiał te słowa, jego ciało zbliżało się już do jej ciała z inną, zgoła przeciwną odpowiedzią.

Spał głęboko i tak długo, że kiedy się obudził, było już jasno. Chwilę czy dwie zajęło mu przypomnienie sobie wszystkiego. A potem usłyszał Gabrielle w łazience. Śpiewała.

Zanim wróciła, był już całkowicie ubrany.

– Zaskoczyłeś mnie. Muszę się pospieszyć, w południe mam wizytę u krawcowej. O której się później zobaczymy? Między czwartą a piątą? Zdołasz się wyrwać? Masz może dwadzieścia franków na dorożkę?

Stanął i odwrócił się do niej twarzą.

– Co? – zapytała Gabrielle. A potem się roześmiała. – Wieża się przewróciła czy co?

Powoli spojrzał na nią. W jej oczach błysnęła panika.

– Gabrielle. Przepraszam. Miałaś rację. Poznałem kogoś.

Rumieniec wypłynął jej na twarz. Oddychając szybciej, podeszła do stojącego obok łóżka krzesła i zaczęła się ubierać.

– Może pomogę?

– Zostaw.

Przy drzwiach wyciągnął dwadzieścia franków. Zastygła na moment, po czym wzięła je. W końcu odwzajemniła jego spojrzenie, patrząc na niego długo i twardo. Zrozumiał teraz, że nie była wcale smutna. Była wściekła.

– Jest młoda, prawda? I bogata?

– Gabrielle – zaczął – zostań i przynajmniej wypij kawę.

Zaśmiała się, ale już nie była śliczna.

– Myliłam się co do ciebie, Emilu. Wcale nie należysz do bohemy. Jesteś zwykłym drobnomieszczaninem.

Otworzył usta, by coś odparować, ale przyjechała winda i Gabrielle bez słowa, nie zamykając nawet za sobą drzwi, wsiadła do środka, zaciągnęła drzwi klatki i zaczęła zjeżdżać.

Ekspres z wybrzeża się spóźniał. Cait stała na peronie i obserwowała, jak łukowate sklepienie stacji powoli staje się znów widoczne zza chmury dymu i pary odjeżdżającego pociągu. Spodziewała się kufra z prezentami urodzinowymi, a do tego pudełka szkockich smakołyków, nie do dostania w Paryżu: placka owsianego pieczonego na blasze, ciasteczek maślanych i puddingu śliwkowego. Część odda gospodyni, próbując osłodzić jej kwaśne usposobienie. Wątpiła jednak, by przyniosło to jakiegokolwiek efekty. Jeśli jeszcze raz Jamie obudzi ją w środku nocy, zapomniawszy klucza, ta wręczy jej wymówienie, Cait była tego pewna. Obecnie prowadzili wojnę na wyczerpanie. Cait podejrzewała, że gospodynię powstrzymuje tylko pewność, iż potrafi ich przetrzymać.

Choć była już prawie dziesiąta rano, dzień jakby zapadł w drzemkę. Skończył się poranny pośpiech, a nie nadeszło jeszcze ożywienie wczesnego popołudnia. Kiedy na stacji wysiadła z powozu, uderzył ją delikatny, ale niedwuznaczny zapach biedy. Na skraju chodnika piętrzyła się sterta brudnych koców. Spod brudnego czepka wyglądała twarz starej kobiety.

– Madame, zechce pani rzucić parę groszy na miskę zupy? Jestem wdową. Czymże sobie zasłużyłam na taki los?

Caitronę ogarnęło współczucie. Szanowaną kobietę od osunięcia się w nędzę dzieliło mniej, niż ludzie zwykli byli sądzić. A przecież czyż sama nie zasłużyła sobie na los po stokroć gorszy? Był taki czas, gdy życzyła swemu mężowi śmierci. Potem sama zaczęła o niej marzyć: usunąć się, zejść z wdziękiem ze sceny, łagodnie odpłynąć ku temu, co potem. Co ją powstrzymało? Tylko myśl o tym, że Saul ostatecznie okazałby się zwycięzcą.

– Niech Bóg cię błogosławi – powiedziała kobieta, gdy Cait położyła jej na otwartej dłoni kilka monet.

Podmuch wiatru poderwał z peronu gazetę i rzucił ją w rozpostarte ramiona rzędu pustych wózków. Nagle ujrzała się w jakimś równoległym życiu, z twarzą w oknie domu Rolanda Sinclaira przy esplanadzie, jakby przywiana tam jakąś nieżyczliwą bryzą. Odwróciła się i przeszła na koniec peronu. Porozmawia z Jamiem, dowie się, co można zrobić. A jeśli chodzi o Alice, nie spuści jej już z oka. William Arrol zaufał jej i ocalił ją; zawdzięczała mu wszystko, co miała. A co z Emilem Nouguiem? Przypomniła sobie jedną z ulubionych myśli Arystotelesa cytowanych przez jej dziadka: „Prawdopodobna niemożliwość jest zawsze lepsza od nieprawdopodobnej możliwości”.

Na stację wjechał pociąg z wybrzeża, z którego został wyniesiony wielki kufer, większy nawet, niż ostrzegał ją William Arrol, z wypisanym na nim jej nazwiskiem. Kiedy tragarz wtoczył go na krawężnik, Caitronę dopadła nagła chęć natychmiastowego rozpakowania tutaj, na peronie, całego tego jedzenia, prezentów

i słodkości i rozdania wszystkiego; część podarowałyby starej kobiecie. Lecz kiedy doszła do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą piętrzyły się brudne koce, kobiety już tam nie było, a jej miejsce zajął kolejny włóczęga, mężczyzna z psem.

Święta nadeszły i minęły. Matka Emila była zbyt chora, żeby wziąć udział w pasterce, i nie czuła się na tyle dobrze, by zjeść gęś przygotowaną przez gospodynię. Odwiedzał ją prawie codziennie, ale wydawała się permanentnie rozczarowana; wzdychała, zerkając przez całą długość dzielącego ich pustego stołu, i wzruszała ramionami, gdy proponował przechadzkę po parku lub przejażdżkę wokół Lasku.

– Będzie tłoczno – mówiła. – Z wszystkimi tymi rodzinami, wózkami dla niemowląt i dziadkami.

Siedział przy swoim biurku w warsztacie, kiedy kościelny dzwon zaczął wybijać godziny: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem. Wszyscy już poszli do domu. Był szósty stycznia: Objawienie Pańskie, święto Trzech Króli. Czasem żałował, że nie wierzy, nie potrafi uwierzyć, że jego życie ma jakiś kierunek, że jedno wydarzenie prowadzi do kolejnego jak dobrze opracowana fabuła. W pracy istniała pewność: były kąty, nachylenia i dokładne miary. A jednak nawet tu skomplikował sobie zadanie. Pojawiły się problemy.

– Dlaczego kazał pan tak wygiąć kątowniki? – zapytał Emila jeden z kreślarzy. – Dlaczego nie zrobić boków prostych, tak żeby wieża przypominała wydłużoną piramidę? Jak mamy w tym wszystkim zmieścić windy?

Sądził, że przyświecające mu powody są oczywiste. Chciał uzyskać linie, które nawet z daleka zapraszałyby oko do prześliźnięcia się po nich jak po wcięciu w tali. Inaczej wieża byłaby zbyt brzydka, zbyt prosta, nieelegancka; nie taką ją zaprojektował. Wykreślając ołówkiem stopień nachylenia i obliczając kąty, Nougier pozwolił myślom odpłynąć ku najsłodszej rzeczy będącej ich przedmiotem, ku obrazowi, który starał się zachować w pamięci: twarzy Cait w przymglonym oświetleniu jego powozu, z rumieńcem na policzkach, mokrymi włosami i skórą tak gładką jak piasek na płyciźnie. Wciąż pamiętał jej zapach, śnieg, rześkie powietrze i nutę suszonej lawendy, której woreczek musiał wisieć w jej szafie. Wciąż pamiętał, jak miękko wybrzmiał jej akcent, gdy powiedziała: „Dalej pójde pieszko”.

Paryżanka nigdy, niezależnie od pogody, nie wsiadłaby do dwukółki z mężczyzną. Ale znów paryżanka nie wysiadłaby z niej przy tak fatalnej pogodzie zagrażającej jej toalecie. Cait tak bardzo różniła się od Francuzek jak żelazo od kamienia. Jej oczy, jej spojrzenie – wcale nie kokietyjne, w najmniejszym nawet stopniu nie. Rozmawiając z nim, patrzyła mu prosto w oczy, jakby starając się go odszukać, odczytać wszystko, czym kiedykolwiek był i czym kiedykolwiek zdoła się stać.

Gdy wrócił do arkusza, nad którym pracował, dostrzegł, że dwukrotnie wyrysował ten sam przekrój. Obiema rękami przedarł kartkę na pół. Będzie musiał

zacząć od początku. Liczyło się tylko jedno: wieża. Wszystko inne było ulotne, nieznane i niepewne. Któż mógł wiedzieć, jakie sekrety kryła w sobie Cait Wallace? Wieża zostanie wybudowana tak, by zdołała przetrwać dwadzieścia lat. Emil wiedział aż za dobrze, że nie można było liczyć na podobną wytrzymałość ludzkiego serca.

W poszukiwaniu kątomierza otworzył szufladę biurka i przypadkiem natrafił na fotografię. Obiecał Cait, że podaruje jej odbitkę. Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, napisał krótki liścik, wsunął go do koperty, po czym wrzucił do firmowej skrzynki pocztowej.

Ktoś załomotał do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołał.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

Do jego biura wszedł Jamie Arrol.

Emil wziął głęboki wdech, pilnując bacznie, by nie przerodził się on w westchnienie.

– Nie. Zupełnie nie. Proszę wejść.

Arrol cicho zamknął za sobą drzwi.

– Jestem panu winien przeprosiny.

Emil ściągnął brwi i czekał na ciąg dalszy.

– Wiem, że nie byłem zbyt dobrym czeladnikiem. Moja punktualność pozostawiała wiele do życzenia, a moją obecność należałoby uznać za co najmniej nieregularną.

Emil odłożył ołówek i otworzył szufladę, by wyciągnąć z niej butelkę brandy i dwa kieliszki. Nareszcie ten Szkot zamierzał złożyć rezygnację. Wystarczający powód, żeby się napić.

– I... – ciągnął Jamie.

I? Ręka Emila zawisła w powietrzu.

– Czy zechciałby pan może rzucić okiem na kilka zrobionych przeze mnie rysunków? To dla przyjaciela. Kiedy się z tym uporam, będę mógł w pełni poświęcić się pracy przy wieży!

Nouguier westchnął nieskrywanie, po czym zamknął szufladę.

– Nie chciałem panu przeszkadzać. Wybrałem zły moment?

Inżynier obracał w ustach słowa, które chodziły mu po głowie, ale nie zdobył się na to, by wymówić je głośno. Chciałby powiedzieć Jamiemu Arrolowi, że jest źle wychowanym młodym mężczyzną, który potrafi zmarnować każdą podsuniętą mu pod nos okazję i roztrwonić dobrą wolę innych. Przypomniał sobie roztrzęsoną Cait i poczuł ogarniającą go wściekłość.

– Dobrze. Proszę pozwolić mi rzucić na nie okiem.

– Mam je przy sobie – powiedział Jamie, wyciągając brudną tubę papieru i rozwijając go.

To nie był budynek, w gruncie rzeczy nie miało to żadnego związku z architekturą. Rysunek przedstawiał w szczególności nieduży pokój z wielkim ekranem obrotowym ustawionym za łóżem z baldachimem.

– Mój przyjaciel pracuje w teatrze – rzekł Jamie tytułem wyjaśnienia.

– Dekoracje? Ale co to w takim razie za sztuka?

– Taka, w której jest łóżko. – Jamie wzruszył ramionami.

Trudno było to uznać za wyjaśnienie.

– Ekran będzie się obracał, a łóżko będzie się unosić – powiedział Arrol.

– Unosić gdzie?

Szkot zaczerwienił się i potarł nos.

– Wznosić się w górę wieży. To iluzja optyczna.

– A więc ten pokój jest...

– Windą, tak.

– Ale w żadnej z naszych wind nie będzie żadnych łóżek. Dlaczego, na miłość boską, ktoś miałby chcieć wstawiać łóżko do windy?

Jamie ryknął śmiechem.

– No cóż, ludzie mają najdziwniejsze zachcianki.

Emil przyjrzał się rysunkom. Kreska była niechlujna, a obliczenia zawierały błędy.

– Ten kąt jest do niczego. O ile nie ustawi się tutaj jakiejś konstrukcji wspierającej, ekran się przewróci. Nie chciałbyś przyczynić się do śmierci aktorów.

Ujął ołówek i zaczął rysować.

– No – rzekł wreszcie. – Tak lepiej.

Arrol obejrzał poprawione rysunki i skinął głową.

– Dziękuję – powiedział. – Bardzo to doceniam.

– Więc kiedy mógłbym się pojawić i ją zobaczyć?

Jamie sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Zobaczyć co?

– Sztukę.

Jamie uniósł brwi i zakolysał się na piętach.

– Hm. Kiedy mówiłem o sztuce, nie miałem tak naprawdę na myśli sztuki.

– A zatem co miał pan na myśli? Tak naprawdę?

Jamie przełknął ślinę.

– Czy mogę usiąść?

Opowiedział mu o wszystkim, bez żenady rozczulając się nad sobą. Grał na pieniądze, upijał się, wydawał więcej, niż powinien.

– Może zadaje pan sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego byłem takim głupcem?

Choć Emil przecząco pokręcił głową, właśnie takie pytanie sobie zadawał. Jamie wyciągnął mały dagerotyp, wizerunek młodej dziewczyny.

– Zapłaciłem za zrobienie tego zdjęcia – wyjaśnił. – W atelier fotograficznym przy ulicy du Barry. Ma na imię Delphine.

Emil obrzucił zdjęcie przelotnym spojrzeniem i oddał je Jamiemu.

– Jest bardzo ładna. Czy jest aktorką?

Jamie udał, że nie usłyszał pytania.

– Sęk w tym, że jestem winien prawie tysiąc franków. W Le Chabanais.

To... to...

– To burdel – dokończył Emil.

Przez chwilę obaj milczeli.

– Czy ma pan coś do picia?

Nouguier otworzył szufladę i tym razem wyjął wreszcie brandy. Nalał hojnie do obu szklanek. Parowiec płynący kanałem wydał długi, przeciągły gwizd.

– Czy prosi mnie pan o pożyczkę? – zapytał Emil.

– Nie, ależ nie! Madame chętnie przyjmie zamiast zapłaty nowy pokój.

– Nie rozumiem.

– Ma już pokój japoński i pokój w stylu Ludwika XVI – wyjaśnił Arrol. – Dlaczegoż nie miałyby zaproponować klientom repliki wnętrza tego, co wkrótce będzie jedną z najświetniejszych budowli Paryża?

– W celu...?

– Mniej więcej.

Emil zamrugał i pociągnął łyżeczek brandy. Nie wiedział, czy powinien czuć się wstrząśnięty, czy raczej rozbawiony.

– I budując to, spłaci pan swoje długi?

Tutaj Szkot nieco się zawahał.

– Nie wszystkie – przyznał. – Ale dużą ich część. Ale proszę nikomu nie mówić. Jeśli mój wuj się o tym dowie, natychmiast każe nam wracać do Szkocji.

Emil dolał sobie do szklanki. Nagle zabrakło mu tchu. To nie była jego sprawa ani jego problem, ale został w to wszystko mimowolnie wciągnięty. Znów przypomniał sobie twarz Cait Wallace siedzącej w jego powozie. Pamięć podsunęła mu wszystko to, co wówczas przeoczył: drobną, niespokojną zmarszczkę rysującą się na jej czole, niemal niedostrzegalny błysk paniki w oczach.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie? – zapytał. – O pana położeniu?

– Nie. – Jamie odchylił się na oparcie krzesła, a potem potrząsnął głową. – Nie. Oczywiście, że nie.

– Jest pan pewien? – zapytał Emil cicho.

Cait wyciągnęła ołówek i wlepiała wzrok w perforowany blankiet telegramu. Poczucie konieczności natychmiastowego podjęcia działania, które towarzyszyło jej jeszcze dzień wcześniej, pewność, że najlepiej będzie natychmiast wysłać telegram, gdzie się ulotniły. Jakimi posłużyć się słowami? Jak to wszystko wyjaśnić? To musiało być zwięzłe, rzeczowe, bezpośrednie. Zaczęła pisać. Do: „Williama Arrola, właściciela Dalmarnock Iron Works, Glasgow”. Wiadomość: „Alice i Jamie mają się dobrze”. Co dalej? Napisz mu prawdę. „Jamie jest poważnie zadłużony”. Czy powinna ujawnić, o jaką sumę chodzi? Przecież nie powinna dysponować taką informacją. „Wszystko potoczyło się niezgodnie z planem. Cała nasza trójka jest zgubiona”.

Szybko podarła kartkę i wyrzuciła ją do kosza na papiery. Co jej przyszło do głowy? Teraz będzie musiała znów odstać swoje w kolejce i poprosić o kolejny blankiet telegramu. Wczesnym wieczorem na poczcie kłębiły się tłumy ludzi. Paryżanie i cudzoziemcy ustawiali się w kolejkach, by słać listy, paczki i telegramy za granicę. Listy na wieczorne pociągi do Londynu, Berlina i Rzymu należało nadać przed siedemnastą trzydzieści lub też nadawca musiał się wybrać bezpośrednio na dworzec. Była już siedemnasta dwadzieścia pięć i w miarę wydłużania się kolejek w powietrzu coraz wyraźniej dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

Przed wszystkimi urzędami pocztowymi w Paryżu paliły się niebieskie lampy. Poczta główna przy ulicy de Louvre była z nich wszystkich największa. Pod półkolistym sklepieniem po obu stronach hali ciągnęły się rzędy okienek. Istniało coś w rodzaju kolejki, choć miejscowi wydawali się sądzić, że mają prawo do obsługi przed cudzoziemcami, więc przepychali się przed turystów, po czym ignorowali ich prośby, głośno obwieszczając: „*Je ne vous comprends pas*”. Był piątkowy wieczór i mieli ważniejsze rzeczy na głowie: należało potwierdzić plany, uzgodnić miejsca spotkań, zorganizować kolacje.

– Proszę mu napisać, że spotkam się z nim w Jockey Clubie o dziewiątej – dyktował jakiś mężczyzna telegrafście, naciągając kapelusz na głowę i szykując się do popędzenia w kierunku powozu. – A jeśli nie, to w Art Clubie przy ulicy Volney.

– Matka zmarła zeszłej nocy – odczytał następny w kolejce mężczyzna temu samemu urzędnikowi. – Wyślij pieniądze na pogrzeb.

Chociaż lampy gazowe odkręcono całkowicie, w emitowanym przez nie żółtym świetle urzędnicy wydawali się jeszcze bardziej zmęczeni, a ich otoczenie wyglądało na bardziej obskurne niż zwykle. Wyjąwszy te kilka osób, które za pośrednictwem urzędu pocztowego próbowały uporządkować swoje zwariowane życie towarzyskie, miejsce to wydawało się schronieniem desperatów, samotnych

i niedawno osamotnionych, co było niemal namacalne. Obok zapachu kleju i cierpkiej woni zbyt często przekładanego papieru czuć było smród skwaśniałego wina i ostry, niedający się z niczym pomylić fetor zdenerwowania.

Natomiast siedzący za kontuarem urzędnicy emanowali obojętnością, bijącą od nich zarówno wtedy, gdy przyjmowali intymne przesłania po francusku, jak i wówczas, gdy odbierali karty skreślone ręcznie w niezrozumiałych dla nich językach. Narodziny, zgony, małżeństwa czy – najczęściej – błagania o pieniądze: każdy z nich wypisywał te słowa niezliczoną ilość razy, a w efekcie wykształcił w sobie rutynowy, zauważalny wręcz brak zainteresowania.

Podczas gdy Cait czekała, wysoki młody mężczyzna z przodu kolejki kupił trzy karty do poczty pneumatycznej, po trzydzieści centymów każda; dostawało się je przymocowane już do ich własnej, specjalnej kapsuły. Najpierw obejrzał się przez ramię, aby się upewnić, że nikt nie patrzy, a potem ukradkiem wypisał trzy krótkie wiadomości, umieścił każdą z nich w kapsule i obserwował, jak urzędnik wsuwa je jedną po drugiej do rur ze sprężonym powietrzem, w które natychmiast zostają wessane. Do kogo pisał? Do kochanek? Wierzycieli? Rodziny? Wyobraziła sobie kapsuły grzechoczące w rurach pod Paryżem w drodze do trzech różnych miejsc przeznaczenia i informacje, które zawierały – dobre lub złe.

Kiedy wreszcie dotarła na przód kolejki, poprosiła urzędnika o następny blankiet, który za niewielką opłatą został jej niechętnie wręczony. Kolejny raz stanęła przy długim marmurowym kontuarze, próbując ułożyć telegram. Ponownie jej dłoń zawisła nad kartką. Nie mogła znaleźć słów, które musiała przecież napisać. Odkąd zobaczyła rachunek z burdelu, szukała w twarzy Jamiego jakichkolwiek oznak napięcia. Faktycznie, ostatnio wyglądał, jakby zupełnie stracił apetyt. Podczas posiłków pochłaniał łączywie łyżkę czy dwie potrawy, po czym wymawiał się, twierdząc, że jadł już na placu budowy. Któregoś ranka, kiedy mijali się na schodach, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Jak się miewasz, Jamie? – zapytała.

Wydawał się autentycznie zdumiony jej pytaniem.

– Dziękuję, dobrze – odparł.

Słowa miała już na końcu języka, była bliska powiedzenia mu, że wie. Zamrugła, starając się możliwie delikatnie sformułować oskarżenie. Uznał to za sygnał do odejścia.

– Na mnie już czas – powiedział, schodząc po schodach. – Będę dziś pracował do późna. Proszę przeprosić Alice ode mnie i powiedzieć jej, że nie wrócę na kolację.

Któż mógł wiedzieć, dokąd Jamie teraz naprawdę chadzał? Coraz mniej czasu spędzał w domu, a kiedy już wracał, oczy miał podbiegłe krwią z wyczerpania, a twarz bladą. A jednak nie był przygnębiony, co to, to nie. Wydawało się, że żywi się powietrzem, niepokojem, kawą i tytoniem. Widziała go

już wcześniej w takim stanie i szybko rozpoznała te objawy, ale nigdy dotąd nie trwało to dłużej niż dzień czy dwa; żadna kobieta dotychczas nie zdołała utrzymać jego zainteresowania. Cait domyślała się, że chodzi o coś innego.

Chciała się cieszyć jego szczęściem, pogratulować mu znalezienia kogoś, do kogo zapałał trwalszym uczuciem, ale wątpiła, czy kiedykolwiek się spotkają. Cait nie była naiwna. Wiedziała, że mężczyźni mają kochanki, kurwy, przyjaciółki z półświatka. Wiedziała również, że Jamie nie może sobie pozwolić na kochankę.

A co z Alice? Od tamtego wieczoru, który spędzili na lodowisku w Lasku Bulońskim, nie mogła sobie znaleźć miejsca; po krótkiej erupcji znakomitego nastroju wyraźnie skłęsa w sobie. Było oczywiste, że spodziewa się liściku, zaproszenia, jakiegokolwiek wiadomości. Niezależnie od tego, co się wydarzyło albo zostało obiecane na ślizgawce, żadna wiadomość nie nadeszła. Mimo to Alice wciąż trzy razy dziennie wypatrywała poczty, zrywała się na równe nogi na każde pukanie do drzwi lub turkotanie powozu na ulicy i nadal miała nadzieję, choć prawdopodobieństwo, że cokolwiek się zdarzy, wydawało się topnieć z dnia na dzień.

Cait znów wypisała nazwisko i adres Williama Arrola. Tak zdecydowana na stacji kolejowej, teraz zmieniła zdanie. Możliwie taktownie wyjaśni mu sytuację i poprosi go o wysłanie przekazu bankowego. Przyzna, że niestety poniosła porażkę. Jeden telegram i ich przyszłość zostanie zabezpieczona; spakują się i natychmiast wyjadą z Paryża. Po powrocie do Glasgow Alice poślubi Prosiakowatego, Jamie przyjmie nominalną posadę w hucie stali, a ona wróci do polerowania ławek i układania kwiatów w kościele, życia oszczędnego i gospodarnego. W ciemnej szybie okiennej uchwyciła swoje odbicie. Czy to wszystko było widać? Czy było to oczywiste w zarysie jej warg, w otchłani jej źrenic? Czy ktokolwiek dostrzeżał, jaką radość wzbudzała w niej sama myśl o jego twarzy, jego ustach, nazwisku, podpisie: „Emil Nougquier”?

List od niego przyszedł, w chwili gdy Cait wybierała się właśnie na swój codzienny spacer. Alice czekała na krawcową i przez godzinę czy dwie miała być zajęta. Napisał, że ma coś, co chciałby jej dać: fotografię. Zapytał, czy przyjdzie odebrać ją od jego konsjerżki, po czym zapisał jej adres: ulicę w piątej dzielnicy.

Przekonywała samą siebie, że nie ma żadnego ryzyka. Przecież on będzie w pracy. Kiedy jednak się pojawiła, konsjerżka oznajmiła jej, że nic dla niej nie ma, ale pan Nougquier przyszedł do domu dziesięć minut wcześniej, czy zatem chciałaby wejść na górę?

Wjechała windą na trzecie piętro, gdzie maszynieria zatrzymała się z westchnieniem. Cait zawahała się, nie potrafiąc się zdobyć na to, by odciągnąć metalową kratę. Czy powinna odwiedzać nieżonatego mężczyznę? Czy to było przyzwoite? Nie była jednak dziewczyną, tylko dorosłą kobietą, wdową. I przecież to nie był przypadkowy mężczyzna. To był Emil Nougquier. Wiedziała, że nie

powinna wysiadać z windy. Wiedziała, że powinna wrócić do holu. Wiedziała o tym, a mimo to nadal ścisnęła palcami metalową klamkę, nie potrafiąc jej puścić.

Nagle drzwi do mieszkania Emila otworzyły się na oścież i stanął w nich on, bez płaszcza i bez kapelusza, z kopertą w dłoni. Wzdrygnął się na jej widok.

– Właśnie o pani myślałem. Czy poradzi pani sobie z kratą?

Spojrzała na niego przez kraty, on po jednej ich stronie, ona po drugiej.

– Ja... – zaczęła. – Chyba tak.

Miała nadzieję, że nie dostrzegł rumieńca wypływającego jej na policzki, nie zobaczył drżenia jej dłoni. Krata zaskrzypiała, kiedy ją odciągnęła.

– Nie miała pani problemów, żeby trafić?

– Żadnych.

– Proszę. Proszę wejść.

Wziąwszy od niej płaszcz i kapelusz, poprowadził ją do salonu. Na ścianie wisi kilka obrazów, niewielkie studia w jaskrawych kolorach.

– Seurat?

– Owszem. Ma pani ochotę na kawę, wino albo wodę?

Potrząsnęła głową. W kościele Saint-Séverin zaczęły bić dzwony. Przez chwilę milczeli.

– Zdjęcie?

– Naturalnie – odparł, wręczając jej kopertę.

Białe niebo, czarna wiklina, cienkie nici sznurów balonu, smuga ruchu, a w samym środku tego wszystkiego idealnie ostra kobieta z zamkniętymi oczami.

– To było ujęcie próbne – powiedział.

Stanął u jej boku i spojrzał jej przez ramię na fotografię.

– Widzi pani tego mężczyznę, o tam – powiedział, wskazując na rozmazane ramię. – Ciągle przede mną przechodził. Musiał mi popsuć co najmniej sześć płytek.

Uśmiechnęła się.

– Dlaczego wyszłam tak ostro, skoro wszyscy inni są rozmazani?

– Stała pani kompletnie bez ruchu – rzekł cicho. – Wszyscy inni się poruszali.

Trzymała w ręku zdjęcie, lecz teraz potrafiła myśleć już tylko o jego obecności, jego oddechu zaledwie kilka centymetrów od jej ramienia.

– Dziękuję. Za to, że pan o mnie pomyślał.

– Cait – powiedział prawie szeptem. – Myślę o tobie nieustannie.

Ile szczelnie zamkniętych drzwi dzieliło ich tym razem od miasta? Troje? Czworo? Po raz pierwszy znaleźli się zupełnie sami. On też zdawał sobie z tego sprawę. Delikatnie wyjął jej odbitkę z dłoni. Powoli pochylił głowę ku łukowi jej szyi i pocałował ją.

– Czy mam przestać? – zapytał.

Tak, powinien przestać. „Pomyśl o konsekwencjach – nakazała sobie stanowczo – pomyśl, ile cię to będzie kosztowało”. Ale nie słuchała głosu rozsądku, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Obróciła głowę i pocałowała go w usta.

Stojąc na poczcie, Cait odłożyła pióro i zakryła twarz dłońmi. Co ona narobiła? To było haniebne, potworne, cudowne. Przypomniała sobie wszystko, co wydarzyło się później, ciepło jego dłoni, uczucie wyzwolenia, kiedy rozpinał ją, rozsznurowywał, oswobadzał, aż mogła znów oddychać, aż czuła każdym centymetrem skóry miękkość każdego centymetra jego ciała.

Musiała napisać ten telegram. Ale robiąc to, skazałaby całą ich trójkę na piekło życia, którego żadne z nich nie pragnęło. Poczta za chwilę zamkna. Telegram. Dzielili intymne chwile z człowiekiem, którego ledwo знаła, człowiekiem niebędącym jej mężem. Co on sobie o niej pomyśli? Co ona sama pomyśli o sobie? Już nie wiedziała. Ale czy to tak źle? Czyż zasady nie istniały po to, żeby je łamać?

Przekreśliła nazwisko Williama Arrola, po czym przedarła papier na dwoje, na czworo, na ośmioro, na szesnaścioro, aż wreszcie słowa stały się już tylko szeregiem drobnych pociągnięć pióra na skrawkach konfetti.

Emil oparł się z powrotem o drewniane rusztowanie i spojrzał przez żelazną kratownicę. Na wschodzie wstawało słońce. Robotnicy wspinający się po drabinach rzucali długie cienie, tworząc zmienną szkocką kratę światła i ciemności.

– Emil! – krzyknął jakiś głos. – Jak idzie?

Spojrzał przed siebie i na przeciwległym filarze zobaczył Gustawa Eiffela, bez kapelusza, otoczonego przez kilkunastu urzędników.

– Zgodnie z planem! – odkrzyknął. – Jesteśmy na pięćdziesiątym czwartym metrze. Zostały jeszcze tylko trzy! Przyniosłem aparat fotograficzny, by uwiecznić ten moment!

– Znakomicie – powiedział Eiffel. – A jak ty się miewasz?

– Dobrze! Powiedziałbym nawet, że znakomicie.

Lekki wiosenny wietrzyk cisnął w powietrze garścią rozkwitłych wcześniej kwiatów. Zamknął oczy i przypomniał sobie Cait śpiącą w zgięciu jego ramienia, z ciemnymi rozpuszczonymi włosami i skórą nieskazitelną jak mleko. Gdzieś w innym budynku, może na innej ulicy, ktoś grał na pianinie. Na stole pod oknem stał talerz pomarańczy. Lekka bryza delikatnie uniosła firankę, a potem pozwoliła jej opaść. Nie poruszając się, spuścił wzrok na jej głowę, na jej miarowo unoszące się i opadające piersi. Miała malutkie znamię na płątku lewego ucha. Czy o nim wiedziała? Przywilejem kochanka była znajomość ciała kochanki przewyższająca niemal tę wiedzę, jaką ona sama miała o sobie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze przez sen. Czekał na jej następny oddech, lecz wydawało się to trwać całe wieki. W końcu zaczerpnęła powietrza, a Emil na powrót się odprężył. „Jak cienka – pomyślał – jest linia dzieląca czuwanie od snu, życie od śmierci, miłość od fizyczności”. I wtedy otworzyła oczy i spojrzała na niego. Czy w ogóle spała?

– Wróciłaś – powiedział, uniósł jej dłoń do ust i pocałował ją. Odsunęła włosy z oczu, lecz widział, że zasłona zaczęła już opadać.

– Muszę iść.

Usiadła, a potem przechyliła się przez krawędź łóżka, by sięgnąć po swoją bieliznę. Najpierw wyłowiła krótką koszulkę na ramiączkach i włożyła ją na siebie, po czym obserwowana przez niego podniosła gorset i dopasowała go sobie w talii.

– Czy mogę cię zasznurować?

Cait zastygła, nagle sztywna i skrępowana.

– Poradzę sobie.

Patrzył, jak przewleka i pociąga, przewleka i pociąga – mocno, mocniej, aż utraciła miękkość i zeszywniała, z talią i biodrami skrępowanymi pasami fiszbinów, białą satyną i walansjenką. Dalej halka, gorsecik, potem tiurniura będącą niczym innym jak metalową klatką z kilkoma pasami bawełnianej taśmy.

Pod światło padające z okna jej bielizna wydawała się przezroczysta, a zarys sylwetki był wyraźnie widoczny. W końcu naciągnęła czarny aksamitny kubraczek z koronką wokół kołnierza i mankietów i spódnicę z fałdami, kokardami i frędzlami. Ani odrobina światła nie przedarłaby się przez wątek i osnowę jej sukni. Znow stała się nieprzenikniona.

– Przyjdź na plac budowy. Jest coś, co chciałbym, żebyś zobaczyła.

Zerknęła na niego, a jej szare oczy wypełniły się porannym światłem.

– Myślisz, że to dobry pomysł? – zapytała, naciągając rękawiczki.

– Wkrótce osiągniemy poziom pierwszej platformy. To chwila prawdy, moment, w którym przekonamy się, czy wszystko do siebie pasuje tak, jak powinno pasować.

– A czy są co do tego jakieś wątpliwości?

Wyciągnął rękę w jej stronę i ujął jej dłoń.

– Nie. Nie ma żadnych.

Od tamtej chwili miał poczucie, że życie powinno się zatrzymać, że powinna pojawić się w nim jakaś przerwa, moment, w którym wszystko zastygnie, zamilknie, rozumiejąc, co się między nimi dwojgiem wydarzyło. Zamiast tego, idąc na Pole Marsowe, widział parę wciąż buchającą z pociągów wjeżdżających na Gare Saint-Lazare i Gare du Nord, dym wzbijający się znad fabryk na odległych przedmieściach i chmury zaciągające niebo na zachodzie. Jakiś Francuz ogłosił ostatnio, że wynalazł tak zwany pistolet chronofotograficzny, zdolny do wykonywania dwunastu zdjęć na sekundę: teraz fotografia potrafiła oddać ruch. Wydawało się, że świat kręci się coraz szybciej, a czas przyspiesza. Ponad tym wszystkim wznosiła się zaś uparcie żelazna wieża, rosnąca niemal w oczach jak ekspansywny metalowy bambus.

Faktycznie jednak kilkakrotnie w ciągu paru ostatnich miesięcy prace nad wieżą zostały przerwane przez zarząd miasta. Artykuły w prasie przybierały historyczne tony, a niektóre gazety sugerowały, że wieża może się przewrócić i zmiażdżyć sąsiednie budynki. Eiffel zgodził się wypłacić odszkodowanie wszystkim mieszkańcom, którzy ucierpią w wyniku powstania budowli; na boku żartował, że nie obejmuje to bolesności oczu. Zgodził się również zapłacić za rozebranie wieży, gdyby okazała się niebezpieczna. Nie uciszyło to jednak dyskusji. Cytowano pewnego matematyka, który twierdził, że zgodnie z jego obliczeniami wieża na pewno się zawali. Inni utrzymywali, że powoli zapadnie się pod ziemię. Mniej obznajomieni z nauką byli przekonani, że cała wieża jest niczym innym jak tylko gigantycznym piorunochronem, który ściągnie nad Paryż więcej burz i porazi prądem ryby we wszystkich rzekach. Stało się to pretekstem do rozlicznych żarcików w biurze, dopóki nie zaczęło lać jak z cebra i pod drzwiami nie zjawili się robotnicy, chcąc się upewnić, czy czasem nie zostaną porażeni prądem.

Opinia publiczna nie zdawała sobie sprawy z tego, że kluczowym fragmentem konstrukcji były nie jej górne poziomy, lecz ta część, którą właśnie miano się zająć. Platforma na pierwszym piętrze, gdzie spotykały się cztery podpory, musiała być idealnie pozioma. Wystarczył milimetr odchylenia, aby wznoszona wyżej wieża się przechyliła. Eiffel opracował metodę podobną do tej, którą wykorzystywał przy konstrukcji mostów: za pomocą skrzynek piasku i podnośników hydraulicznych znajdujących się w głębi fundamentów mógł odrobinę unieść lub opuścić każdą podporę, dopóki ta nie znalazła się we właściwym miejscu.

Emil nieco ciaśniej zawiązał sobie szalik wokół szyi i wsunął obie dłonie pod pachy. Jego ludzie wykańczali ostatnie przekroje; nie pozostawało nic innego, jak czekać. Ale z miejsca, w którym stał, cała budowla była nadal tylko płataniną drewna i stali, śrub i metalowych obejm. Trudno było sobie mentalnie rozplątać to kłębowisko na to, co pozostanie, i to, co będzie ostatecznie usunięte. Cztery podpory były teraz tak wysokie, że trzeba było podeprzeć je wielkimi drewnianymi rusztowaniami w kształcie piramid. Poziomą kratownicę, stalową ramę szerokości ośmiu metrów, skręcano powyżej. Kiedy już zostanie przymocowana do podpór, zepnie je, pozwalając wieży stanąć samodzielnie.

– Gotowe! – krzyknął kierownik robót. – Czekamy na pana sygnał.

– Doskonale! – odkrzyknął Eiffel. – Czy możemy w takim razie zacząć? Przecież nie będziemy tu stać do wieczora.

Eiffel ostatnio rzadko pojawiał się na placu budowy. Mówiono, że częściej przychodzi nocą, by wspinać się na rusztowania i przy świetle latarni kontrolować wykonanie prac pod nieobecność robotników. Chociaż wieża była dla niego priorytetem, podpisano właśnie umowy na Kanał Panamski. Eiffel wysłał do Panamy dwa i pół tysiąca robotników, by rozpoczęli wykopy pod dziesięć śluz. Nie onieśmiało go nawet to, że projekt ten miał kosztować sto dwadzieścia pięć milionów franków; pieniądze te pochodziły z publicznej emisji obligacji rządowych. Natychmiast zdecydował się rozpocząć w Bretanii budowę śluz. Było to niezwykle ambitne podejście, które – jak miał nadzieję Emil ze względu na swojego pracodawcę – ostatecznie się opłaci.

Kiedy na sygnał kierownika robotnicy za pomocą lin opuścili wielką metalową ramę na miejsce, Emil nagle się zaniepokoił. Tutaj wszystko zależało od równowagi, od właściwego ekwilibrium. A jeśli popełnił błąd w obliczeniach lub przeoczył lekko skrzywiony nit? A jeśli różnica wysokości podpór była zbyt duża, by dało się ją zniwelować samym powietrzem i piaskiem? I wtedy kątem oka uchwycił kogoś, kto wchodził po jednej z drabin. Rożek niebieskiego jedwabiu i aksamitna fałdka, łuk fiszbinów i wstążka zasnurowana na stalowych haczykach, kobiecy śmiech wznoszący się zalotnie w mroźnym powietrzu. Znał ten głos, to ciało, rozpoznał sposób poruszania się tej kobiety. To była Gabrielle.

– Każ tym ludziom zejść! – wrzasnął do kierownika robót. – Żadnych nieupoważnionych osób na placu budowy. Szczególnie dziś!

Co ona tu robiła, na miłość boską? I to właśnie teraz? Wśród płataniny stali i drutu, podpór spowitych dymem dostrzegł jej twarzy, kiedy obróciła głowę i spojrzała w górę, po czym oparła się na ramieniu mężczyzny, mężczyzny o pokaźnej tuszy i sumiastych wąsach. Emil uchwycił wzrokiem jej oczy, usta, trójkąt odsłoniętego dekoltu, lecz cofnął się, zanim zdążyła go dostrzec.

– Ale to minister spraw wewnętrznych – powiedział kierownik robót. – Ma zezwolenie.

– Gotów! – krzyknął Eiffel. – Numer trzy musi być wyżej. Unieść o dwa milimetry! Emil? Jak to wygląda po waszej stronie?

Nouguier pochylił się, by skontrolować wysokość. Ale nie mógł się skupić, serce waliło mu jak młotem, dłonie zwilgotniały. Zamrugał oczami i świat zaczął się przechylać. Linie poziome i pionowe straciły sens, a jemu ziemia usunęła się spod nóg.

– Panie Nouguier!

Trzy ręce wystrzeliły jednocześnie, by odciągnąć go od krawędzi platformy, szarpnęły go w tył, kilkanaście palców boleśnie wbiło mu się w ramiona, a kilka dłoni pociągnęło go za kołnierz tak mocno, że puściły szwy.

– Nic mi nie jest – powtarzał, pocierając ramię. – Nic się nie stało.

I wtedy znów usłyszał jej śmiech – wysoki, słodki i okrutny.

– Proszę oczyścić plac budowy! – warknął. – To nie jest Notre Dame! Proszę wyprowadzić stąd tych ludzi!

Kierownik budowy zamrugał dwukrotnie. Spodziewał się, że zostanie poproszony najwyżej o wodę lub kawę.

– Naturalnie – odparł, po czym zaczął schodzić po najbliższej drabinie.

Rozległ się gwizdek. Wszystkie podpory osiągnęły właściwą wysokość, obniżane lub podnoszone do momentu ich idealnego wypoziomowania. Udało się. Robotnicy zaczęli klaskać. Wiedzieli, jak ważna była ta chwila. Wszystko było tak, jak być powinno. I wtedy Emil zobaczył dwie postaci rozmawiające z trzecią przy ogrodzeniu placu budowy. To byli Arrolowie i pani Wallace. Alice śmiała się z czegoś, co powiedział właśnie jej brat, ale twarz Cait pozostała spokojna, łagodna i piękna.

– Emil! – krzyknął Eiffel. – Zrób zdjęcie!

– Chwileczkę! – Majstrował chwilę przy skrzynce, upuścił aparat, złapał go, po czym znów upuścił. – Uwaga! – krzyknął, ale ciężkie czarne pudło razem z harmonijkowym obiektywem i ze szklaną płytką już spadało, obracając się w powietrzu, uderzając o metalowe elementy i objając się o wszystko po drodze, po czym wylądowało na ziemi, roztrzaskując się na kawałki i wzniesając niewielką chmurę kurzu.

Gabrielle podniosła wzrok i tym razem go dostrzegła. Emil mimowiednie zerknął na postaci stojące przy ogrodzeniu. Gabrielle podążyła za jego spojrzeniem ku Arrolom. Wiedział, że natychmiast zorientuje się, kim są: zamożnymi cudzoziemcami, do tego – przynajmniej w przypadku Alice – idealnie nadającymi się do zawarcia związku małżeńskiego.

W Luwrze, mimo znacznej liczby odwiedzających, panowała pełna szacunku cisza. Odmienne niż na spacerze ulicą Rivoli ludzie nie mówili, lecz szeptali, sunąc po parkietach galerii albo wchodząc po niewysokich kamiennych stopniach. A jednak większość z nich nie przyszła tu po to, by podziwiać sztukę – w każdym razie nie ten rodzaj sztuki. Było sobotnie popołudnie i padało. Cóż poza tym można było robić w Paryżu?

Galeria obrazów na pierwszym piętrze stała się promenadą, sceną ukradkowych spojrzeń do tyłu i smagnięć wachlarzy, tłumionego rozbawienia i lekkich prychnięć oburzenia. Okropności pojawiały się w innej formie niż na obrazach Eugène'a Delacroix: w postaci wulgarnego odcienia adamaszku lub zapachu taniej wody kolońskiej, tajemniczej malinki na szyi lub opadającego rąbka sukienki. W tej wielkiej, sklepionej przestrzeni plotki trzeszczały jak elektryczność: okrutne, drapieżne i rzadko prawdziwe. Ale na tym polegała ta zabawa, to łatwowieczne zbiorowe przetykanie śliny, które rujnowało reputacje i odbierało życiowe szanse. Jak *sama wiesz kto* mogła odwiedzić, *tylko nie patrz na niego*, po tym, jak zwrócono jej uwagę, że jej suknia jest *wiesz jaka*? I jak *on* mógł się nadal zalecać do *tej* młodej kobiety, kiedy już zauważono, że w pewnym świetle jej twarz wcale nie przypomina twarzy *jej ojca*, lecz ma rysy *stangreta*. Wystarczyła intonacja, lekkie zniżenie głosu, sugestia zapraszająca słuchacza, by nadstawił ucha, a potem puścił wodze wyobraźni. W otoczeniu nagich nimf i skąpo przyodzianych bohaterów greckiej mitologii wyobraźnia łatwo się rozpałała. Nic dziwnego, że tyle w tym było nieprawdy.

Odwiedzający, chcąc sprawiać wrażenie ludzi kulturalnych, którzy istotnie pojawili się tutaj, by rozwinąć swe umysły, a nie je upodlić, wyczuwali, że należy zatrzymać się od czasu do czasu przed jakimś dziełem sztuki i pogapić się na nie przez chwilę z wyrazem namysłu na twarzy. Przed najslynniejszymi obrazami rozstawili swoje sztalugi artyści wykonujący kopie, pracowicie odtwarzając paletę barw i pociągnięcia pędzlem Rafaela i Antoine-Jeana Grosa. Zapach ich farb olejnych zmieszany z ostrzejszą wonią wosku pszczelego do polerowania podłóg i pomady do włosów czynił powietrze ciężkim od aromatów buduarów i pracowni malarskich.

Koniec sezonu miał zostać uczczony balem dobroczynnym wydawanym w ostatnim tygodniu miesiąca. Temat przewodni brzmiał: „Starzy mistrzowie”. Z tego powodu tej właśnie wiosennej soboty wiele dam przywiodło do galerii swoje krawcowe. Zgromadziły się wokół *Amora i Psyche* Canovy, *Świętej Anny Samotrzeciej* Leonarda da Vinci i *Archaniola Rafała opuszczającego Tobiasza* Rembrandta, by omówić fason, tkaninę, kolor i stosowną fryzurę.

Alice była w okropnym nastroju, znudzona malowidłami, zmęczona

rzeźbami i znużona antykami. Miała na sobie bladożółtą aksamitną suknię spacerową. Ten kolor, co powiedziały jej nierzadkie zerknięcia innych kobiet, był zupełnie nieodpowiedni. Na deszczu rąbek sukienki przybrał barwę brudnej ochry.

– Czy możemy już iść?

Zadała to pytanie niejednokrotnie.

– Ależ dopiero co przyszliśmy – powiedziała Cait. – A zresztą przecież to ty nas tu przyprowadziłaś.

Zatrzymały się, aby zerknąć na ogromne płótno Tycjana.

– Co o tym myślisz?

– O czym? – zapytała Alice.

– O tym obrazie – odparła Caitriona. – *Jupiter i Antiope*.

– Najwyraźniej nie jestem na tyle obyta, by go zrozumieć.

– No cóż – zaczęła Cait. – Jupiter został tu przedstawiony pod postacią satyra...

– Dość! Proszę spojrzeć. To on.

Hrabia stał obok Rafaela, w samym środku grupki młodych mężczyzn i w samym środku długiej opowieści wywołującej krótkie, regularne wybuchy śmiechu. Kołnierzyk białej koszuli miał rozpięty i wyglądał na kogoś, kto nie miał jeszcze czasu położyć się do łóżka i chciał, by wszyscy o tym wiedzieli. Kiedy dotarł do puenty, jego spojrzenie spoczęło na Alice, po czym bez zwłoki przesunęło się dalej, prześlizgując się po jej twarzy i zatrzymując dłużej na damie stojącej metr dalej, kobiecie w bladoniebieskiej sukience i słomkowym kapeluszu. Potrząsnęła głową z udawaną dezaprobatą, pobudzając go do śmiechu dłuższego i głośniejszego niż czyjkolwiek inny.

– Czy chciałabyś zobaczyć jakąś rzeźbę? – zapytała Cait, lecz Alice już zniknęła.

Najpierw Cait przeszła całą długość galerii obrazów, potem rozejrzała się w Salon Carré i Galerii Apollona. Alice nie stała w westybulu, nie czekała też na schodach. Nie było po niej śladu. Cait skręciła w lewo do innych, mniejszych sal: zabytki z epoki brązu, meble, gobeliny, tkaniny z Dalekiego Wschodu, z każdej prowadziło przejście do kolejnej. Czy Alice mogła pójść w tę stronę? Było tu mniej ludzi niż w głównych galeriach, przede wszystkim starsze pary, prywatni nauczyciele ze swoimi uczniami i podstarzali kawalerowie, którzy przechodzili powoli od obrazu do obrazu, ale na dźwięk postukiwania damskich obcasików na marmurowej podłodze natychmiast tracili zainteresowanie sztuką.

W każdej kolejnej sali Cait napotykała coraz mniej zwiedzających. Spoczywające w szklanych gablotach egipskie sarkofagi i starożytną ceramikę pokrywała gruba warstwa kurzu. Podłogi zmatowiały, niepolerowane ludzkimi krokami. Przyspieszyła kroku, już niemal biegnąc. Alice mogła być wszędzie. Z ledwością porozumiewała się po francusku, rzadko miewała przy sobie

pieniądze. Może Cait powinna wrócić tą samą drogą, którą tu przyszła? Może powinna poczekać przy głównym wejściu? Zatrzymała się, by zorientować się, gdzie właściwie jest, i uzmysłowiła sobie, że pokonała całą galerię łączącą Stary Luwr z Tuileries, a teraz była w jednej z galerii otaczających ze wszystkich czterech stron dziedziniec pałacu. Jeśli będzie szła dalej, powinna chyba znaleźć się tam, skąd wyszła? Ruszyła więc dalej, skręcając w lewo, potem w prawo, potem znów w lewo. Sala mistrzów holenderskich. Czy nie była tu już wcześniej? Wszystkie ciężkie złote ramy wyglądały tak samo. Gdzieś w głębi muzeum zadźwięczał dzwonek; zbliżała się godzina zamknięcia. Cait skręciła za róg. Kolejne pomieszczenie obwieszone portretami: mężczyźni, kobiety, dzieci, niemowlęta. Szła szybciej, ale wciąż otaczało ją to samo, przechodziła z jednej sali do drugiej, odprowadzana niekończącą się procesją przodków, pokoleń, dynastii dziedzicznego bogactwa. Powietrze było stęchłe i nieruchome, jakby zamknięto tu i uwięziono sam czas.

W końcu znalazła otwarte okno. Zatrzymała się przy nim i zaczerpnęła chłodnego powietrza. Słońce za oknem wciąż świeciło, ptaki nadal śpiewały, wydłużały się cienie. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego czuje taki niepokój. Nie była przecież niańką. Przecież panna Arrol była wystarczająco dorosła, żeby nie zgubić się w galerii sztuki. Ale jeśli spotkała się z hrabią? Co wtedy? Jak szybko, jak łatwo było zrujnować reputację dziewczynie w jej wieku. I wtedy usłyszała dobiegający z niewielkiej odległości szmer rozmowy dwóch kobiet.

– Myślałam, że umrę! Nigdy wcześniej nie byłam na przyzwoitym balu.

Tego głosu nie sposób było pomylić z jakimkolwiek innym. Cait przebiegała kolejne sale, aż wreszcie dotarła do ostatniej, właśnie tej, z której kamienne schody prowadziły do znajdującej się poniżej galerii rzeźb greckich. I właśnie tam, na dole, na kamiennej ławie siedziała Alice Arrol w towarzystwie kobiety, którą Cait zauważyła już wcześniej, kobiety w bladoniebieskiej sukni i słomkowym kapeluszu.

– Tutaj pani jest, pani Wallace! – krzyknęła Alice na widok Caitriony. – Już naprawdę sądziłyśmy, że się nie doczekamy. Gdzie się pani podziewała?

Cait próbowała złapać oddech i zdławić wściekłość. Dziewczyna była bezpieczna i tylko to się liczyło, a nie to, że Cait omal nie oszalała z niepokoju, przewędrowawszy połowę muzeum, i nawet nie to, że Alice nie wydawała się nawet odrobinę skruszona.

– Szukałam cię – odparła Cait głosem tak opanowanym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. – Wszędzie, prawdę mówiąc.

– Byłam tutaj – odpowiedziała Alice, jakby opiekunka postradała rozum, po czym roześmiała się. – Gdzież indziej miałabym być? Na szczęście nie byłam sama.

– W Luwrze łatwo się zgubić – powiedziała po angielsku z lekkim

amerykańskim akcentem dama w słomkowym kapeluszu. – Jest wielu młodych mężczyzn bez skrupułów, gotowych wykorzystać młodą kobietę bez przyzwoitki.

– Jestem pani ogromnie wdzięczna – powiedziała Cait.

– Kiedy na panią czekałyśmy, pani podopieczna opowiedziała mi wszystko o tym, jak znaleźli się państwo w Paryżu. I jak bardzo pragnęłaby zostać sportretowana.

– Naprawdę? – zdziwiła się Cait. – Alice nigdy mi o tym nie wspominała.

– Mój mąż jest artystą – ciągnęła kobieta. – Może mogłabym sprawdzić, czy znalazłby miejsce w kalendarzu?

– Czyż ona nie jest elegancka? – zachwyciła się Alice po tym, jak kobieta odeszła. – Nauczyła się angielskiego od kochanka, chyba jakiegoś słynnego malarza. I była taka miła, że poczekała tu ze mną, kiedy pani wybrała się na swoją małą wycieczkę. Powiedziała, że każda młoda kobieta powinna zostać sportretowana dla potomności. Chyba zdobyłam pierwszą prawdziwą francuską przyjaciółkę.

Osoba z obsługi przytrzymała im otwarte drzwi. Przestało padać.

– A na imię ma – ciągnęła Alice – na imię ma Gabrielle.

Nadeszła jesień, najpiękniejsza pora roku w Paryżu. Pod stopami szeleściły opadłe liście, a poranne powietrze niesło ze sobą najdelikatniejszą zapowiedź przymrozków. W życiu towarzyskim był to czas przejściowy: socjeta wróciła do miasta, ale tylko na chwilę, przed wyjazdem na przyjęcia w zamkach nad Loarą lub Oise. Jednak przez kilkanaście dni w powietrzu unosił się zapach nowych kreacji i gorących żelazek, kiedy bogacze wkładali nową garderobę, kobiety toalety w szkocką kratę, a mężczyźni – meloniki i angielskie płaszcze.

Emil wiedział, że krawcowe, modystki i gorseciarki mają terminy zamówione na wiele tygodni naprzód, nigdzie bowiem nie sposób było zdobyć egzemplarza „Revue de la Mode”. Pamiętał, że jako chłopiec tęsknił za tym, aż jego rodzice wyjadą, z kuframi pełnymi nowych strojów, do małego rodzinnego *château* nad Loarą i pozwolą mu spokojnie wrócić do jego katolickiej szkoły z internatem. *Château* – przypominające raczej duży dom – było od wielu lat zamknięte na głucho, gdyż jego matka nie chciała samotnie wyjeżdżać na wakacje. Obiecał sobie, że pewnego dnia znajdzie czas, by tam wrócić, otworzyć okiennice i przewietrzyć pokoje. Do tego czasu co miesiąc płacił rachunek – dziesięcinę na rzecz spuścizny rodzinnej.

Obsesja miasta na punkcie strojów zawsze uderzała go jako zdecydowanie staroświecka, nie mówiąc już o tym, że droga. Wieś nie była co prawda Laskiem Bulońskim, a jednak odbywały się tam kolacje i potańcówki, przejażdżki rowerowe i polowania, ciągnące się tygodniami zajęcia wymagające co najmniej kilkakrotnej w ciągu dnia zmiany strojów. Emil miał nadzieję, że w przyszłości wszystkie te sztywne reguły zachowania, zasady dyktujące, co można na siebie włożyć i kiedy, pójdą w zapomnienie i nikt już nie będzie dbał o to, czy przy kolacji wymaga się rękawiczek i czy w restauracjach należy zdejmować kapelusze. Ludzie będą mieli do przemyślenia bardziej interesujące rzeczy. Lub bardziej interesujących ludzi.

Od ich pierwszego razu przed kilkoma miesiącami Cait Wallace spotykała się z nim od czasu do czasu, gdy tylko Alice była zajęta, a obecność jej samej niekonieczna. Ostatnim razem jednak przyszła na plac budowy po zakończeniu prac, tak jak ją poprosił. Było wczesne lato i chociaż pora była już późna, niebo wciąż jeszcze rozjaśniały resztki gasnącego światła dziennego. Zaprosił ją do jednego z pawilonów roboczych i zmiotł ze stołu wszystkie papiery, przyrządy, gazety i ołówki. Zerknęła na drzwi. Zamknął je. A potem były już tylko jej oddech wznoszący się pod przęsłem gorsetu, wypukłości jej guziczków, kiedy rozpinał je jeden po drugim, kawałek jasnej skóry ponad brzeżkiem pończoch.

Po wszystkim, gdy już zapięła na sobie ubranie, przekazała mu, że razem z panną Arrol wyjeżdżają z Paryża na letnie wakacje do Deauville na wybrzeżu.

Nagle urwała. Z zewnątrz dobiegł ich podniesiony głos jakiegoś mężczyzny. Odpowiedział mu śmiech drugiego. Ktoś się zbliżał. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Panie Nougier! – zawołał jakiś głos.

Cait spojrzała na niego, nie potrafiąc ukryć przerażenia. To był kierownik budowy.

– Czy mogę wejść? – zapytał, po czym spróbował nacisnąć klamkę.

Innych drzwi nie było. Emil wskazał Cait dłonią krzesło, a ona usiadła i wygładziła spódnice.

– Monsieur! – powiedział Nougier, otworzywszy drzwi. – Musi pan kazać naprawić te drzwi. Nie zamykają się, o ile nie przekręci się klucza w zamku.

Kierownik budowy wszedł do środka, po czym przeniósł wzrok z kobiety na Emila.

– Oczywiście, panie Nougier. Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Może przyjdę później?

Caitriona uznała to za sygnał i wstała.

– Tak naprawdę już skończyliśmy. Dziękuję panu za poświęcony mi czas. Przekażę pańskie opinie wujowi pana Arrola.

A potem wyszła, nie pozostawiając po sobie niczego z wyjątkiem zabłąkanego włosa na jego kołnierzyku i zapachu swojego ciała na jego wargach. Po tym wszystkim trudno było skupić się na tym, co kierownik robót miał mu do powiedzenia. Czy cokolwiek podejrzewał? Czy przyjął jego wyjaśnienia za dobrą monetę? Należało przyznać, że były co najmniej naciągane.

– Spróbuję zrobić porządek z tymi drzwiami – powiedział Emil, chwytając za śrubokręt. – Pewnie wystarczy je trochę podregulować.

Kierownik skinął głową.

– Na pewno wystarczy podregulować – powtórzył z kamienną twarzą.

Od tego czasu minęło już kilka tygodni, a on nie dostał żadnej wiadomości od Cait. I może dlatego zgodził się spotkać z Jamiem Arrolem w godzinach pracy na rogu ulicy w drugiej dzielnicy, tak jak chłopak o to poprosił. Dowie się przy okazji, kiedy panie wrócą z wybrzeża.

Arrol czekał na niego pod latarnią, na skrzyżowaniu alei de l’Opera i ulicy Danielle-Casanova. Emil wysiadł ze swojego powozu w chwili, w której Jamie zapalał kolejnego papierosa. Podniósł wzrok; wydawał się odrobinę zaskoczony jego widokiem.

– Jest pan – powiedział. – Sądziłem, że pan zapomniał.

– Spóźniłem się?

– Odrobinę. Stał to tylko kilka minut pieszko. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko?

– Proszę prowadzić.

Był już późny ranek i w alei roilo się od nianieek, dzieci, urzędników i bankowców z giełdy zmierzających na lunch. Pytanie dręczyło go jak świerzb, a jednak nie mógł go zadać wprost. Będzie musiał poczekać na odpowiedni moment.

– To właśnie tu – rzekł Arrol, kiedy skręcili w wąską uliczkę po lewej stronie.

Emil zerknął do góry. Znajdowali się na ulicy Chabanais. Zatrzymali się przy końcu, pod numerem dwanaście.

– Czy jest panu znany ten przybytek?

Emil roześmiał się i pokręcił głową.

– Wiem, co to za miejsce, ale nigdy nie miałem okazji zebrać doświadczeń z pierwszej ręki – odparł, lekko unosząc brwi.

– No cóż, proszę tędy – powiedział Jamie. – To naprawdę coś wyjątkowego.

Drzwi frontowe wiodące do Le Chabanais zostały zrobione tak, by wyglądały jak wejście do jaskini, jednak wkroczywszy do środka, wchodziło się po imponujących schodach do ponad dwudziestu pokoi. Emil wiedział, że był to jeden z najdroższych, najbardziej luksusowych burdeli w Paryżu – takich, które odpowiadają wszystkim gustom, zaspokajają wszystkie zachcianki, urzeczywistniają wszystkie fantazje. W tym domu schadzek były pokoje o ścianach i suficie całkowicie pokrytych lustrami, pokoje ze specjalnymi urządzeniami i z umeblowaniem zrobionym na zamówienie.

– To pokój Bertiego – powiedział Jamie, kiedy mijali drzwi. – Podobno jest tam specjalne krzesło, wielka miedziana wanna, a nad łóżkiem jego własny herb. Dałbym panu zajrzeć, ale go zamykają.

Wszyscy wiedzieli o tym, że książę Walii był tu stałym bywalcem, podobnie jak połowa członków Jockey Club de Paris. I rady ministrów. Ale o tej porze dnia w domu uciech panowała cisza, korytarze pustoszały. Madame Kelly, Irlandki szefującej temu przedsięwzięciu, nie było w domu. Mimo pootwieranych okien powietrze nadal było ciężkie; unosił się w nim zapach wypalonych świec, krochmalu do pościeli i czegoś jeszcze, czegoś zwierzęcego, co Nougquier wahał się dookreślić. Z pokoi na tyłach domu, gdzie mieszkały dziewczyny, dobiegały ledwie dosłyszalne śmiechy, a skądś przed nimi, z dalszej części korytarza – odgłosy rżnięcia piłą.

– No i jesteśmy – oświadczył Jamie, gdy dotarli do ostatniego pokoju.

Drzwi były otwarte na oścież. Przez chwilę Emil stał i mrugał niepewnie. Przed nim znajdowała się ogromna konstrukcja z drewna malowanego tak, by wyglądało jak metal. To był przekrój wieży, jego wieży. Wewnątrz znajdowało się wielkie łóżko. Jakiś robotnik tuż przy oknie piłował deski na jedną długość.

– Czy może nas pan na chwilę zostawić? – poprosił Arrol robotnika. – No to niech pan teraz patrzy – powiedział, kiedy mężczyzna wyszedł.

Za łóżkiem ustawiono rozwijany ekran, na którym wymalowano panoramę Paryża. Kiedy Jamie zakręcił dźwignią, łożo zaczęło się unosić, a malowana scena jęła opadać.

– Żeby zasymulować jazdę windą – wyjaśnił Jamie.

Emil skinął głową.

– A człowiek ma...?

– Właśnie – potwierdził Jamie.

– A co ma zrobić, kiedy już dotrze na samą górę?

– Zjechać z powrotem! – obwieścił Arrol. – Gdyby go naszła ochota, może jeździć w górę i w dół przez całą noc.

– Jest pan pewien, że to bezpieczne?

– Nie – zaśmiał się Jamie. – To znaczy owszem, oczywiście, taką mam właśnie nadzieję.

– A kto kręci dźwignią?

Jamie spochmurniał.

– O to właśnie chciałem pana zapytać. Ma pan jakieś sugestie?

– Może mechanizm podnośnika? – Emil wzruszył ramionami. – Hydraulicznego? Ale to byłoby zbyt głośne. Może w ramach alternatywy łożo mogłoby pozostać nieruchome, a poruszałby się tylko ekran?

– Nie, to nie wystarczy. Ktoś będzie musiał obsługiwać dźwignię. Przynajmniej dopóki nie znajdę jakiegoś prostego rozwiązania.

Przez moment patrzyli w milczeniu na łożo.

– No, w każdym razie moje gratulacje! – rzekł inżynier.

– Dziękuję. Za pomoc. I zrozumienie. Wszystko jest pod kontrolą. Stałem z powrotem na nogi, mniej lub bardziej.

– Miło mi to słyszeć.

– Był pan dla mnie hojniejszy, niż na to zasługiwałem. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mógł odwzajemnić przysługę.

Stanęli i przez chwilę wbijali wzrok w podłogę.

– Domyślam się – zaczął Emil – że pańska siostra wróciła już z wybrzeża?

Jakiś nieodgadniony wyraz przemknął po twarzy Jamiego.

– Przedwczoraj. Wszystko wskazuje na to, że dość się wynudziły.

Gdzieś w budynku trzasnęły drzwi. Koń zaprzężony do wozu przekłusował ciągnącą się dołem ulicą.

– No cóż – powiedział Emil. – Muszę wracać.

– Tak szybko? Przecież chyba raz może pan dać sobie pierwszeństwo przed tą przeklętą budowlą? Chciałbym panu kogoś przedstawić. Kwadransik, o nic więcej nie proszę.

– Nie sądzę...

– Ona nie jest dla pana, jeśli o tym pan myśli.

Drzwi, które otworzył, pokrywała z jednej strony złota farba, a z drugiej zwykle drewno. Prowadziły na wąskie kamienne schody.

– Delphine! – zawołał Jamie.

U szczytu schodów pojawiła się dziewczyna ubrana w wydekolowaną suknię. Policzki miała rumiane, oczy błyszczące, lecz skórę bladą jak kreda. Była okropnie śliczna i niezwykle młoda. Na oko mogła mieć siedemnaście lat.

– Jamie! – wykrzyknęła i wyciągnęła ku niemu rękę.

– To jest pan Nouguier – powiedział Jamie, objąwszy ją. – A to jest Delphine.

To była dziewczyna z dagerotypu, który Jamie pokazał mu kilka miesięcy wcześniej. Ta, która przyszła na plac budowy.

– Mademoiselle. – Emil skłonił się przed nią.

Z bliska spostrzegł, że to, co w pierwszej chwili wziął za zdrowe rumieńce, było tak naprawdę muśnięciem różu. Pod oczami miała głębokie cienie i była chuda, tak chuda, że widoczne w dekolcie sukni obojczyki niemal przebijały skórę.

– Powinieneś uprzedzać, kiedy zamierzasz mnie odwiedzić i przyprowadzić gościa – skarciła go. – Nie mam co podać na stół. Proszę, wejdźcie na górę.

Na podłodze w jej pokoju leżały nagie deski, w kącie stało zarwane łóżko. Stolik i dwa krzesła ustawiono pod mansardowym okienkiem. Delphine pospiesznie zdjęła sznurek z rozwieszoną bielizną i strzepnęła okruchy z siedzeń obu krzesel.

– Siadajcie, proszę! Siadajcie.

Choć drzwi były zamknięte, hałas dochodzący z pozostałej części budynku przebijał się przez podłogę – niemiłosierne fałszowanie jakiegoś mężczyzny, oburzony psi skowyt, plaskanie mokrego prania o cynową miskę.

– Wiem, co pan myśli – powiedział Jamie po angielsku. – Jak tylko uda mi się wystarczająco dużo zaoszczędzić, wykupię ją od madame Kelly.

Emil słyszał, że to możliwe, że dziewczęta można wykupić z burdelu za określoną kwotę, ale nigdy nie słyszał, by ktokolwiek się na to zdecydował. Zerknął na dziewczynę stojącą za krzesłem Jamiego. Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę, ujęła jego dłoń, uniosła ją do ust i pocałowała. Spojrzenie Jamiego wyrażało całkowite podporządkowanie. Pomimo, a może właśnie z powodu stawianych przed nimi przeszkód, ich miłość wydawała się idealnie czysta i całkowicie oderwana od rzeczywistości. Czy był to, jak Szekspir określił namiętność Romea i Julii, mądry rodzaj szaleństwa? Przeszłość wybaczona, przyszłość zapakowana i czekająca niczym prezent. To, że przekraczali granice klas i konwenansów, zdawało się tylko przydawać ich związkowi słodyczy. Emil uczył nagły podziw dla tego chłopaka. Był czymś więcej niż prostą sumą swoich cech.

Uśmiech Delphine zmienił się w grymas. Zakryła usta dłonią i odeszła ku drzwiom, gdzie bez powodzenia próbowała opanować napad kaszlu.

– Zawsze sypia przy otwartym oknie – zaśmiał się Jamie. – A ja powtarzam jej, że tak właśnie łapie się przeziębienie. Delphine! Już wystarczy.

Ale kaszel dziewczyny nie ustawał. Zgięła się niemal wpół, z trudem chwytając powietrze. Kiedy atak wreszcie ustąpił, na jej skroniach zaperliły się krople potu. Zacisnęła piąstkę na poplamionej szmatce. Emil zerknął na Jamiego. Ten sprawiał wrażenie, jakby zupełnie się tym nie przejął.

– Jeśli potrzebujesz pieniędzy na lekarza... – powiedział Nougquier cicho.

– Nic jej nie jest. – Jamie zbył go machnięciem dłoni.

Inżynier wbił spojrzenie w twarz młodego mężczyzny i dostrzegł w niej gładkość niewinności, której wcześniej nie zauważył. Czy on naprawdę nie zdawał sobie sprawy? To nie były objawy zwykłego przeziębienia. Jego dziewczynę trawiły suchoty.

– No cóż, obawiam się, że muszę wracać do pracy.

– Ale czy nie wypije pan z nami szklaneczki wina? – zapytała dziewczyna. – Pobiegnę do baru na rogu.

– To bardzo miło z pani strony – powiedział. – Ale niestety nie mogę. Bardzo miło było cię poznać, Delphine.

– Zatem innym razem? – zapytała.

– Taką mam nadzieję. – Schodząc jednak po spiralnych schodach, uznał to za bardzo mało prawdopodobne.

Na dole uścisnął dłoń Jamiego.

– Widzi pan, czasem nie mamy wpływu na to, w kim się zakochamy – powiedział Jamie.

Przyznał mu rację.

– Ponieważ oddał mi pan przysługę – ciągnął chłopak cicho – zrewanżuję się tym samym. Wybrał pan niewłaściwą.

Arrol podrapał się w nos. Emil poczuł ogarniającą go wściekłość.

– O czym pan mówi? – zapytał.

– Wie pan dokładnie, o czym mówię. Podregulował pan drzwi, tak?

Emil przełknął ślinę. Kierownik robót nie utrzymał języka za zębami. Powinien był się tego spodziewać.

– Proszę zapytać panią Wallace o jej ostatniego zalotnika. Najpierw go zwodziła, a potem odrzuciła jak zabawkę.

Emil nasunął na głowę kapelusz i poprawił kołnierz. Za kogo on się uważał, by opowiadać mu o przeszłości Cait?

– Jestem pewien, że miała swoje powody. Nie jest mądrze, moim zdaniem, wyciągać przedwczesne wnioski, nie zapoznawszy się ze wszystkimi faktami. Pańska przyjaciółka, dla przykładu, miała zapewne niejedną romantyczną przygodę, a przecież żadna z nich nie zaowocowała małżeństwem.

Chłopak sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Wyprostował się na pełną

wysokość.

– To wszystko się zmieni. Zamierzam ją poślubić jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Pracownia artysty znajdowała się na szóstym piętrze, na które prowadziły wąskie drewniane stopnie. Na kamienicy nadbudowano dodatkowe piętro, jednak wielkie drewniane belki pierwotnego dachu pozostały nietknięte i teraz dzieliły przestrzeń. Złapawszy oddech, panie zerknęły na przyszpilone do belek rysunki wykonane ołówkiem i węglem, przedstawiające mniej lub bardziej rozebrane kobiety. Na wielkich sztalugach na przeciwległym końcu poddasza znajdował się wstępny szkic kobiety ubranej wyłącznie w ogromny kapelusz. Cait zrobiła krok w jego stronę. Przedstawiał Gabrielle.

– Mam nadzieję, że on nie oczekuje... – zaczęła Caitriona.

– Będzie całkowicie ubrana, oczywiście – zapewniła ją Gabrielle. – Chyba że chce pozować nago.

– Och, nie! – wykrzyknęła Alice. – Nie!

– Żartowałam – powiedziała Gabrielle.

Alice roześmiała się, po czym wszystkie trzy kobiety zamilkły. Na drugim końcu pracowni skrzydło okienne załomotało na wietrze, wpuszczając do środka przeciąg. Pokój pachniał wilgotnym tynkiem i gotowanymi warzywami, brudną pościelą i olejem lnianym. Była czwarta po południu, właśnie o tej porze artysta zgodził się je przyjąć. Jakiś gołąb wiercił się w dachówkach nad ich głowami. W jednym z mieszkań poniżej jakaś kobieta otworzyła okno i zaczęła kasłać. Z odległego, lecz na tyle bliskiego, by dało się słyszeć, placu budowy dobiegł je rytmiczny odgłos urywanego walenia młotami.

– Czy spodziewa się naszej wizyty? – zapytała Cait.

– Oczywiście! – odparła Gabrielle. – Mój mąż będzie tu dosłownie za chwilę.

– Nie miałby nic przeciwko temu, żebym się rozejrzała?

Gabrielle wzruszyła ramionami. Cait obeszła rzuconą na podłogę czerwoną jedwabną narzutkę, stertę brudnych talerzy i kilka palet z zaschniętą farbą i podeszła do sterty płócien.

– Jest ogromnie wysoko ceniony – powiedziała Gabrielle. – Ale nie maluje w sposób, który można by określić mianem tradycyjnego.

Przerzucając płótna, Cait uzmysłowiła sobie, że artysta nie jest też szczególnie biegły w swej sztuce.

– Alice, moja droga, co sądzisz? – zapytała Gabrielle. – Na pewno masz oko do takich rzeczy.

– Och, tak – powiedziała Alice, obrzucając szybkim spojrzeniem kolejne szkice. – Podobają mi się. I to bardzo.

Caitriona przeszła na drugi koniec pracowni i zbliżyła się do zaciągniętej zasłony. Stało za nią duże niepościelone łóżko. Czy oni tu również spali?

Cait i Alice wróciły właśnie z długiego pobytu w hotelu w Deauville, poleconego im przez Gabrielle. Na wybrzeżu padało niemal codziennie. Pozostałe pokoje zajmowały wielkie rosyjskie rodziny i podstarzałe matrony.

– Może pomyliła to miejsce z jakimś innym? – Alice nieraz rozważała tę możliwość.

– Zawsze możemy wrócić do Paryża – zasugerowała Cait.

– W mieście będzie się roiło od turystów – powiedziała Alice. – Nikt nie zostaje na lato w Paryżu.

Któregoś dnia pojawił się z matką jakiś Anglik. Zerknął na nie pytająco.

– Proszę się nie odzywać – wyszeptała Alice. – Proszę nic nie mówić, inaczej się zorientują.

– Zorientują w czym?

– Że nie jesteśmy Francuzkami!

Spędzały więc dni w wymuszonym milczeniu, czytając książki lub gapiąc się na szare niebo i płynące po nim chmury, czekając, po prostu czekając, aż będą mogły wrócić do Paryża. W tym czasie jednak Alice stała się niezwykle płodną autorką listów. Któregoś ranka przy śniadaniu otworzyła list, który właśnie przyszedł, i przeczytała go w milczeniu.

– Najwyraźniej w Paryżu również pada – powiedziała.

Cait nie potrafiła już dłużej tłumić ciekawości.

– Co u Jamiego? – zapytała.

Alice złożyła list i spojrzała na nią.

– To nie od Jamiego. To od mojej przyjaciółki Gabrielle.

W drzwiach stanął Anglik. Alice pokręciła głową i nalała sobie kawy.

A więc to wszystko – wizyta w pracowni jej męża, dzień, godzina – zostało ustalone wiele tygodni naprzód. Cait czuła się odrobinę skrzywdzona. Panna Arrol wydawała się od niej odsuwać.

Ktoś wchodził po schodach do pracowni. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka niezgrabnie wszedł mężczyzna. Ubrania, które miał na sobie, nie pasowały ani do siebie, ani na niego; spodnie podtrzymywał na miejscu czarny sznurek, koszuli brakowało guzików, a kamizelkę zrobiono na drutach. Choć mężczyzna nie mógł mieć dużo więcej niż trzydzieści pięć lat, jego ciemne włosy były długie i przedwcześnie zacząłłysieć.

Nie zauważywszy przybyłych, ruszył w stronę zamontowanego w rogu zlewu. Patrząc na niego, nie sposób było nie zauważyć, że utyka na prawą nogę. Cait podejrzewała, że była zniekształcona w wyniku przebytego polio. Wszystkie panie się odwróciły, ale trudno było zignorować dźwięk oddawanego moczu.

– Sądziłam, że będzie nas oczekiwał – wyszeptała Alice.

Gabrielle uciszyła ją gestem dłoni.

– *Chéri!* – zawołała.

Artysta obrócił się, zmarszczył na moment brwi, po czym przeklął pod nosem i zapiął suwak.

– Bardzo przepraszam – powiedział po angielsku i wytarł ręce o spodnie. Ucałowałszy Gabrielle, podał dłoń Cait i Alice. Poczuły się zobowiązane ją uścisnąć. – Madame – rzekł. – Mademoiselle.

– Pozwól sobie przedstawić pannę Alice Arrol – powiedziała Gabrielle. – I jej służącą.

– Opiekunkę – poprawiła Cait.

Gabrielle skinęła głową mniej więcej w jej stronę, ale nie przedstawiła jej z imienia.

– Portret młodej damy – powiedział artysta. – Teraz sobie przypominam. Proszę dać mi minutkę na doprowadzenie się do porządku.

– Może byśmy usiadły? – zaproponowała Gabrielle, kiedy malarz pospieszył na drugi koniec pracowni i zaciągnął za sobą zasłonę. W pomieszczeniu stały jednak tylko dwa krzesła.

– Proszę nie czuć się zobligowaną do towarzyszenia nam – powiedziała Gabrielle do Cait z szerokim uśmiechem.

– Dam sobie radę – dodała Alice.

Tego dnia Gabrielle miała na sobie jedwabną suknię spacerową w kolorze głębokiej czerwieni, rękawiczki i niewielki kapelusik. Trudno było określić jej wiek, mogła mieć jakieś trzydzieści lat. Na jej twarzy niemal nie znać było zmarszczek, włosy miała gęste i ciemne, a zachowywała się z pewnością siebie kogoś, kto jest zadowolony z własnego wyglądu i przekonany, że uroda dostaje się tym, którzy na nią zasłużyli, co nie jest bynajmniej kwestią przypadku. A jednak poranne światło ujawniało w jej twarzy to, czego miękkie, wieczorne nie potrafiło: lekkie żółknięcie cery, drobną zmarszczkę między brwiami, upór malujący się w wyrazie ust; żadnej z tych cech nie potrafił ukryć używany przez nią lawendowy puder do twarzy.

– Z całym szacunkiem – powiedziała Cait – ale raczej zostanę.

Zapadło krótkie, niezręczne milczenie. Alice obrzuciła Gabrielle szybkim, przepaszającym spojrzeniem.

I wówczas wrócił artysta, zarzuciwszy na ubrania czarną zatłuszczoną marynarkę. Zaczął przyglądać się Alice i z przymrużonymi oczami dokonywać oceny jej twarzy. Wsunął jej palec pod brodę i obrócił jej głowę w jedną i w drugą stronę.

– Idealny profil – mruknął. – I cóż za cera! Prawdziwa piękność!

Panna Arrol splonęła się, ale wyraźnie schlebiała jej ta uwaga. Gabrielle przyglądała się swoim paznokciom.

– Mówiłam ci – powiedziała mężowi.

– Miałaś rację – odparł. – Malowanie jej będzie prawdziwą radością.

Całe to przedstawienie było ewidentnie na pokaz. Alice była ładna, to prawda, ale wcale nie tak oszałamiająca, jak sugerował artysta. W tym wszystkim musiał być jakiś haczyk.

– Ile pan bierze? – zapytała Cait. – Za portret?

Gabrielle poderwała głowę i spojrzała na nią ostro. Alice westchnęła cicho.

– Pani Wallace! Czy pani zawsze musi być taka przyziemna?

– Słusznie zapytała – powiedział artysta. – Dla przyjaciół gratis. Jeśli spodoba się paniom moja praca, ustalimy cenę później, a jeśli nie, no cóż!

– Czy to pani wystarczy? – zapytała Gabrielle.

Alice przenosiła wzrok to na jedną, to na drugą.

– Może pójdzie pani zwiedzić to muzeum, o którym tak często pani wspomina? – podsunęła.

– Jeśli służąca chce zostać – powiedziała Gabrielle – pozwólmy jej zostać.

– Opiekunka – sprostowała znów Cait.

Gabrielle zaczęła się śmiać.

– Co pani sobie wyobraża – zapytała – że mój mąż odbierze Alice cnotę w mojej obecności? Tak pani myśli? W takim razie czuję się doprawdy dość urażona.

– Nic takiego nie powiedziałam – odparła Cait.

– Pani Wallace – wtrąciła się Alice – naprawdę dam sobie radę.

– Nie, Alice...

– Służąca się rządzi. A to nowość!

– Proszę iść! – rozkazała Alice. – Proszę pamiętać, że pani płacimy. Żądam, by pani sobie poszła.

Twarz Caitriony zapłonęła. Zamrugnęła szybko. Alice nigdy wcześniej nie zwracała się do niej tym tonem. Gabrielle wymownie spojrzała na zegarek.

– Ja... – zaczęła Cait.

– Proszę iść – powtórzyła Alice.

Cóż mogła zrobić? Faktycznie, była wynajętą służącą. Alice była dorosła. Cait nie miała nad nią władzy.

– W porządku. Wrócę za godzinę.

– Lepiej za dwie. Przecież nigdzie stąd nie pójdę.

Kiedy Cait wróciła do pracowni, Gabrielle paliła papierosa. Wydawało się, że chce jak najszybciej wyjść – zgasiła niedopałek i niemal natychmiast ruszyła do drzwi.

– W przyszłym tygodniu o tej samej porze? – zawołała do męża. To nie było pytanie, lecz rozkaz. – I następnym razem nie każ nam czekać.

Cait nie pozwolono zobaczyć obrazu. Alice powiedziała, że nikomu nie wolno, dopóki dzieło nie zostanie skończone.

Artysta płukał swoje pędzle w zlewie.

- Jak pan sądzi, ile to zajmie czasu? – zapytała Cait.
- To zależy – powiedział przez ramię. – Od światła, od pogody. Od nastroju.
- Niech pani nie będzie taka szkocka – złajęła ją Alice. – Zajmie, ile zajmie.

W drodze do domu Alice milczała. Mimo panującego w atelier chłodu twarz miała rozpaloną. Kiedy wreszcie zwróciła twarz ku Cait, ta poczuła, jakby Alice wróciła właśnie z bardzo dalekiej podróży.

- Przepraszam, że tak się do pani odezwałam. Wybacz mi pani?

Cait nadal czuła się urażona tym, że ją odprawiono. Przez dwie godziny błąkała się po galerii, przesuwając po płótnach niewidzącym wzrokiem. Czego Gabrielle chciała od Alice? Musiało chodzić o coś więcej niż opłata za obraz, ale Caitriona nie miała pojęcia o co.

- Wybacz mi pani? – powtórzyła pytanie Alice.

- Oczywiście.

– Jestem wystarczająco duża, by wiedzieć, co robię – oświadczyła i zapatrzyła się w okno.

Jechały w milczeniu. Między nimi powstała przepaść. Czy Cait powinna się winić? Była nieuważna, nieobecna, zajęta własnymi myślami, tęsknotą, która zamiast zelżeć, z każdym dniem przybierała na sile.

– Wiesz, że nie musisz pozować do portretu – powiedziała Cait. – To znaczy, możesz zamiast tego kazać sobie zrobić dagerotyp.

Alice aż się skuliła i w wyrazie jej twarzy pojawił się jakiś rys Gabrielle.

– Dagerotypy są takie wulgarne! Jak pani może w ogóle wychodzić z taką propozycją?

Powóz zajechał przed dom w chwili, w której Jamie z niego wychodził. Z jego twarzy zupełnie zniknęło zmartwienie. Złożył im obu głęboki ukłon.

- Najdroższa siostrzyczka. I urocza pani Wallace.

- Co się z tobą dzieje? – zapytała Alice. – Nie powinienesz być w pracy?

- Właśnie tam zmierzam.

Wyglądał, jakby już miał jej coś powiedzieć, coś istotnego, ale przełknął tylko ślinę i zapiął płaszcz.

- Wszystko w porządku? – zapytała go Cait.

Spojrzał jej głęboko w oczy, jakby wyraz jej twarzy mógł zdradzić, jak dalece sięgała jej wiedza na temat jego interesów.

– Rzeczywiście, przechodziłem ciężki okres. – Skinął głową. – Ale to już za mną. A teraz, no cóż, można powiedzieć, że znów jestem na fali.

I uśmiechnął się tak szeroko i beztrąsko, że nie sposób było nie uwierzyć w jego słowa.

Emila obudziło cichutkie stukanie do drzwi. Otworzył je i ujrzał na progu Cait w czarnym płaszczu podróżnym. Pierś unosiła jej się gwałtownie, jakby wbiegła po schodach, nie czekając na windę.

– Dziewięć tygodni – powiedział bez tchu, chwytając ją w objęcia.
 – Dziesięć – sprostowała.
 – Która godzina? – wyszeptał jej we włosy.
 – Późna. Musiałam poczekać, aż Alice zaśnie. Inaczej nie mogłabym się wymknąć.

Ujął jej twarz w dłonie. Zamknęła oczy i oparła policzek na jego dłoni.

– Tęskniłem.

W odpowiedzi ucałowała jego nadgarstek.

– Chodź – powiedział. – Chodź do łóżka. Tam jest ciepło.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. W całym mieście powoli wybiły dzwony, ich serca uderzyły w miedź chórem rozmaitych nut i tonacji. Był już prawie ranek. Emil słyszał odległe turkotanie powozów zmierzających na rynek i plusk wody płynącej z ujęć wody do prania. Nie spał już od wielu godzin, godzin tak cennych, że nie mógł sobie pozwolić na tracenie na sen choćby jednej z nich. Wiedział, że ona też nie śpi. Kaligraficzny dotyk jej palców przechodził go dreszczem. Wyobraził sobie, jak się do niego przyzwyczajają, wyobraził sobie zapach jej włosów, ciepło, ciężar jej ciała na materacu pod nim, wyobraził sobie, jak śpi u jego boku w odległych, bardzo odległych miejscach, w Amerykach, Rosji, na Dalekim Wschodzie, w krajach, do których przywiódłaby go praca. Wyobraził sobie dzieci, dom, wspólne życie i ta myśl go odurzyła, oszołomiła nadzieją i świeżo odkrytą lekkomyślnością.

– Co się stanie – wyszeptał – gdy wieża zostanie ukończona?

Milczała. W ciemnościach nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy.

– Cait?

– Zapewne wrócę do domu.

– Mogłabyś tu zostać. Ze mną.

– To byłby prawdziwy skandal, monsieur Nougier – powiedziała cicho.

Roześmiał się i pocałował ją delikatnie w ramię. Miała rację. Nie mógł jej poślubić, dopóki żyła jego matka. Nigdy by się z tym nie pogodziła. Prawdę mówiąc, świadomość istnienia Caitriony mogłaby zgoła wpędzić ją do grobu. Będą musieli poczekać. Ale przecież jego matka się zmieniała, przychylniej przyglądała się teraz jego karierze. Przypomniał sobie, jak zainteresowała się projektem Kanału Panamskiego przy okazji jego ostatniej wizyty.

– Mówisz, że ludzie w niego zainwestowali? – zapytała. – Ilu?

– Tysiące – odparł. – A raczej setki tysięcy.

– A czy ich pieniądze są bezpieczne?
– Obligacje są gwarantowane przez państwo, więc wypadałoby sądzić, że tak. Przecież musiałaś, mamó, czytać o tym w gazetach?

Skinęła głową, po czym poprosiła, by nalał jej kawy.

– Zdawanie się na łut szczęścia nie ma w tym życiu sensu – dodała. –
Zwłaszcza gdy chodzi o małżeństwo.

Odstawił dzbanek z kawą.

– Sobie nie należesz? – zapytała.

– Nie dziś.

Siedzieli w milczeniu, gdy popijała kawę. Znowu zabrnęli w ślepy zaułek.

– Chciałabym tylko, żebyś się wreszcie ustatkował – powiedziała matka, kładąc dłoń na jego ręce. – Zanim odejdę.

Nadal czuł ciężar tej miękkiej jak papier dłoni. Nadal czuł mocniejsze bicie serca, kiedy się przeciw niej buntował. Niebo zaczęło się rozjaśniać, noc unosiła swój ciemny płaszcz. Cait przewróciła się na bok i spojrzała na niego.

– Gdzie byłeś?

Potrząsnął głową i uśmiechnął się.

– Byłem tutaj, z tobą.

– Nie. Nie było cię tu. Muszę już iść. Zanim moja nieobecność zostanie dostrzeżona.

Oczy miała srebrne jak rtęć. Zamrugła i wtedy dostrzegł, że płakała.

– O co chodzi?

Wzięła długi, głęboki wdech i wytarła twarz grzbietem dłoni.

– O nic – odparła.

Zaczęła się ubierać, mocując się i zapinając, zaciskając i wiążąc.

– Chciałbym cię częściej widywać.

– Nie jesteś mną zmęczony? – zapytała, narzucając płaszcz na suknię.

Ujął ją za rękę, przyciągnął do siebie i pocałował w czubek głowy.

– Najdroższa Cait – wyszeptał. – Nigdy się tobą nie zmęcę. Przyjdiesz znowu?

Próbował na nią nie czekać. Bezskutecznie. Jednak za każdym razem, gdy pojawiała się u jego drzwi po północy, mocno już spał i chociaż szczypał się, aby się obudzić, miał niejasne poczucie, że ona wcale nie jest prawdziwa, że jest tylko snem. To poczucie powoli mijało i Cait nabierała w jego oczach, uszach i ramionach kształtów. A potem leżeli razem, dopóki z ulicy nie napłynął zapach świeżej kawy i pieczonego chleba. Z wybiciem piątej ubierała się, całowała go na do widzenia i wychodziła, a on leżał bezsennie, wyobrażając sobie, jak zmierza do domu, wtapiając się w tłum sprzedawczyń, piekarzy, robotników i pomocy domowych.

Choć nie było nawet jeszcze szóstej rano, dozorca był już na nogach, zmiatając schody starą szczotką. Odsunął się na bok i otworzył jej drzwi na ulicę. Przy krawężniku czekał powóz.

– Proszę – powiedział, wskazując gestem w jego stronę.

Czy Emil zamówił dorożkę? Nie wspominał o tym. Wiedział poza tym, że Cait woli chodzić piechotą. Stangret otworzył drzwi i podał jej dłoń, pomagając wsiąść. W środku ktoś siedział.

– Proszę się nie obawiać – dobiegł ją z powozu kobiecy głos. – Proszę usiąść.

– Chyba musiała zająć jakąś pomyłka.

– Żadna pomyłka – odparła starsza kobieta. – Nazywam się Louise Nouguiet. Wydaje mi się, że utrzymuje pani znajomość z moim synem.

– Dokąd pani chodziła? – zapytała Alice przy śniadaniu.

Cait spojrzała na nią znad filiżanki kawy i zamrugła.

– Słucham?

– Słyszałam, jak wychodziła pani zeszłej nocy.

– Ja? – zdziwiła się, próbując sprawiać wrażenie nonszalanckiej. Nie przygotowała sobie żadnej odpowiedzi.

– Widziałam panią – ciągnęła Alice. – Wyszła pani bardzo szybko.

– Dlaczego, na miłość boską, miałabym wychodzić w środku nocy?

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym przecież.

Cait wzięła do ręki gazetę i zaczęła ją czytać. Ale panna Arrol nie zamierzała porzucić tematu.

– Usłyszałam kroki na schodach, a potem otwieranie drzwi wejściowych, a kiedy wyjrzałam na zewnątrz, zobaczyłam panią.

Odłożyła gazetę i spojrzała na dziewczynę. Może wypieranie się nie miało sensu.

– Tak naprawdę cierpię na bezsenność. Od wielu lat. Pomaga mi wyłącznie energiczny spacer na świeżym powietrzu.

Alice zmarszczyła brwi. Wyjaśnienie było tak nieprawdopodobne, że zabrzmiało prawdziwie.

– Ale czy to bezpieczne? Kobieta chodząca samotnie nocą po Paryżu!

Cait wzruszyła ramionami.

– A jakie mam wyjście? Krążyć po domu, zrywając wszystkich na nogi? Jeśli chcesz już znać prawdę, to bardzo kłopotliwa dla mnie przypadłość. Wolę o niej nie mówić.

Na twarz Alice wypłynął rumieniec.

– Bardzo przepraszam, pani Wallace. Sądziłam, że ma pani kochanka. –

Stłumiła rozbawione parsknięcie. – Co za nedorzeczny pomysł. Chciałam powiedzieć, że jest pani stanowczo za stara na takie bzdury.

I z nowym zapalem zaczęła pałaszować śniadanie. Caitriona naląła sobie trochę herbaty, ale nie piła.

– Czy coś się stało? – zapytała Alice chwilę później. – Sprawia pani dziwne wrażenie, pani Wallace, jakby coś panią trapiło.

Cait zamrugwała.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

Do pokoju weszła gospodyni z listem, który wręczyła Caitrionie. Alice obserwowała jej twarz, kiedy ta czytała.

– To nie są złe wieści, prawda?

Cait pokręciła głową i złożyła na powrót list.

– To od siostry. Przesyła mi życzenia urodzinowe.

Alice szeroko otworzyła oczy.

– Powinna była mi pani powiedzieć! Kiedy?

– Dziś.

Nie kłamała. Był dwudziesty szósty października, a ona kończyła równo trzydzieści trzy lata. Jak mogła się tak zestarzeć?

– Wyjdziemy na miasto: ja, pani i Jamie. Myślę, że może być już za późno, by zarezerwować stolik w Café de Paris albo Ciro, ale spróbuję!

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

Dziewczyna spojrzała na nią spode łba i potrząsnęła głową.

– Stać nas na to. Nie będzie pani musiała za to płacić ani nic.

Alice nie chciała. Nie chciała obrazić jej bezmyślną uwagą ani przypominać jej, gdzie jej miejsce.

Salę rozświetlało kilka migoczących lamp gazowych, których żarniki płonęły żółto w zadymionym półmroku. Przy barze skupiła się grupka mężczyzn w cylindrach, których wygięte stelaże pokrywał atlas lub wyszczotkowana bobrza skóra. Obok nich wyginały się i gestykulowały kobiety, których obleczone w rękawiczki ręce przywodziły na myśl czarne łabędzie szyje. Przez wrzawę rozmów i rytmiczne walenie w klawisze stojącego w rogu pianina przebijał się regularnie dźwięk odbijania korków od szampana i rozlewania pianistego trunku do kieliszków.

Panujące chłody uzasadniały już niemal noszenie futer. Spod zapachu cygar i mydła przebijał stęchły fetor lisa, niedźwiedzia i norek. Zarówno Alice, jak i Jamie zamówili po francusku. Alice miała na sobie niebieską suknię z aksamitu, której Cait nigdy wcześniej nie widziała. Na szyi zawiązała czarną aksamitną wstążkę. Jamie strzelał oczami po całej restauracji, wypatrując przyjaciół, znajomych i pięknych kobiet. Jak bardzo zmienili się od zeszłego roku.

– Powinna się pani cieszyć! – powiedziała Alice, kiedy wzniesli toast. – To

pani urodziny.

Ale Cait się nie cieszyła. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie szczęśliwa. Wychyliła się do przodu, by unieść kieliszek, ale potrąciła łokciem butelkę, która przewróciła się, potoczyła po stole, po czym roztrzaskała na kafelkach, tworząc musującą mozaikę zielonego szkła.

– Bardzo przepraszam! – Klęknęła, próbując pozbierać potłuczone kawałki.
– Bardzo przepraszam.

Odlamek szkła przeciął jej palec, który zaczął krwawić. Wielkie czerwone krople spadły na podłogę.

– Pani Wallace, naprawdę nic się nie stało.

Jamie posadził ją na krześle, owinał jej palec lnianą serwetką i próbował przekonać ją, że to żadna katastrofa.

– To tylko butelka – powiedział. – Kupię następną. To nie koniec świata. O ile tylko pani nic złego się nie stało.

Kiedy Jamie próbował uchwycić wzrokiem kelnera, spojrzenie Cait przyciągnął mężczyzna stojący przy barze, od tyłu do złudzenia podobny do Saula. Serce w niej zamarło.

Gdy w następstwie wypadku policja poprosiła o szczegółowy opis pana Saula Wallace'a, podała im następujący: wzrost sto siedemdziesiąt trzy centymetry, włosy krótkie, jasne, krótkie baczki i wąsy, ciemny tweedowy garnitur, biała koszula, czarny prążkowany surdut z czarnymi prążkowanymi guzikami i kamizelka z tego samego materiału, granatowy tweedowy płaszcz, czarny filcowy kapelusz, czarne, sznurowane, wysokie buty, szare wełniane skarpety, białe flanelowe kałesony, brązowy skórzany portfel, złoty zegarek i obrączka.

W styczniu i lutym zaczęto wydobywać ciała z rzeki Tay, niektóre podniesione z dna przez nurków, inne wyrzucone na brzeg nieopodal zniszczonej przeprawy lub bliżej ujścia, na wschód od Monifieth, albo w łososiowych sieciach na Tentsmuir, w pobliżu Leuchars. Ciała Saula nigdy nie odnaleziono.

Mężczyzna przy barze odwrócił się. To nie był Saul. Saul odszedł i nigdy nie wróci, była bezpieczna. Ale jego śmierć nie położyła kresu jej udręce. W miarę upływu czasu Cait zdała sobie sprawę, że zostawił jej w spadku coś więcej niż zerwany naszyjnik; zostawił jej coś znacznie gorszego, przeciwieństwo prezentu.

List, który otrzymała tego ranka, nie został wysłany przez jej siostrę. Został napisany przez lekarza, do którego udała się po wypadku.

„Z przykrością informuję panią – napisał – że tak jak powiedziałem wówczas pani mężowi oraz odpowiadając na pani zapytanie, byłoby to wysoce nieprawdopodobne”.

Następnego ranka, po sporządzeniu niezliczonych brudnopisów, list do Emila został napisany i zaklejony. Wyszła z domu i zdążyła go nadać pierwszą pocztą. Tak właśnie należało postąpić. Tak właśnie musiała postąpić. A mimo to

nie potrafiła oderwać dłoni od zimnego metalu skrzynki pocztowej, w której głębi spoczywała koperta, jakby w ten sposób mogła zatrzymać ją, i jego, jeszcze chwilę dłużej.

Emil stał w salonie rezydencji Arrolów i czekał. Panującą w domu ciszę przerywało jedynie przytłumione tykanie zegara. Wyczuwał niemal nacisk kroków stawianych znacznie, znacznie wyżej. Tym razem na stole postawiono dzbanek herbaty i talerz maleńkich ciasteczek, ale Cait nie wyszła, aby go powitać. Po około dziesięciu minutach usłyszał zbliżające się kroki, drzwi się otworzyły i do pokoju weszły obie kobiety: Alice w toalecie pokrytej taką obfitością spiętrzonych koronek, że sama przypominała bezę, i Cait w sukni koloru indygo. Skłonił się.

– Dość dawno się nie widzieliśmy... – zaczął.

– Owszem – odparła Alice Arrol. – Nie widziałyśmy pana od miesiący. Proszę usiąść. Pozwoli pan, że naleję mu filiżankę herbaty?

Podrapał się w brodę, ale nie odpowiedział. To było trudniejsze, niż się spodziewał. Przeniósł wzrok na Cait. Próbował uchwycić jej spojrzenie, ale ono nie dawało się uchwycić. Raz po raz obracał w głowie wszystkie słowa, jakie kiedykolwiek do niej skierował. Co mogło tak ją odrzucić? Co takiego zrobił, że stała się taka chłodna? Niewiedza była dla niego źródłem udręki. Od czasu otrzymania jej listu napisał do niej kilkanaście razy, ale zawsze odpowiadała mu krótko, uprzejmie i wymijająco. Zdecydował więc, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Jeśli chciał zobaczyć się z Cait, musiał udawać, że jest zainteresowany Alice.

– Herbaty? – zapytała ponownie.

Teraz, kiedy znalazł się w domu Arrolów, sam pomysł wydał mu się beznadziejnie nietrafiony. Pozostanie w tym pokoju choćby sekundę dłużej, prowadzenie uprzejmej konwersacji o niczym, zmuszanie się do picia herbaty i jedzenia ciasteczek zdało mu się nagle nie do zniesienia.

– Może byśmy się wybrali na przejażdżkę? – Myśl wymknęła mu się z ust, zanim zdążył ją zatrzymać. – Jest taki piękny zimowy dzień!

Alice wbiła w niego zdumione spojrzenie.

– Ale nie jestem ubrana stosownie na przejażdżkę!

Odwrócił się i spojrzał wymownie na Cait. Włosy miała ściągnięte do tyłu, a jej suknia była tak prosta, jak suknia Alice frymuśna. Wyglądała tak pięknie, że trudno mu było oderwać od niej wzrok.

– Pani Wallace? Jest niedziela, na miłość boską! Pozwoli pani, że zabiorę ją do parku w Saint-Cloud. Rozciąga się stamtąd widok na wiele kilometrów.

Dotarłszy na szczyt wzgórza, Emil zatrzymał się, by złapać oddech. Zgodnie z jego obietnicą rozciągał się stąd widok na cały Paryż, most Saint-Cloud poniżej, a dalej na Lasek Buloński. Nad Sacré Coeur unosił się balon na uwięzi. Widać stąd było wyraźnie na wpół ukończoną wieżę, czarny żelazny gryzmoł na tle bladego kamienia i przygaszonej złotej iskry Pałacu Inwalidów.

Daleko w dole, przy drodze, czekał jego powóz. W niższej części parku grała

orkiestra wojskowa i na wzgórzu co rusz docierały eksplozje instrumentów dętych i dźwięki werbli. Przychodził do tego parku jako dziecko, kiedy *château* jeszcze stało, zanim spłonęło w czasie wojny. Był tutaj nie tylko znakomity punkt widokowy, ale były i lasy, i fontanny, i słynna restauracja La Grande Cascade, i Jet Géant, ogromny strumień wody, który wystrzeliwał w powietrze. Nagle Emil przypomniał sobie, jak jego starszy brat tłumaczył mu prawa dynamiki Newtona za pomocą zawieszonych na sznurkach kasztanów, z których pierwszy z taką siłą uderzał w drugi, że puszczał w ruch trzeci.

Na ścieżce poniżej Cait zatrzymała się, by poczekać na Alice.

– Warto się tu wdrapać! – zawołał Nougier. – Widok jest spektakularny.

Alice oparła ręce na biodrach i potrząsnęła głową. A potem obróciła się na pięcie i ruszyła w dół.

– Proszę przyjść popatrzeć, pani Wallace. Tym razem może pani zostać na twardym gruncie.

Przez całe popołudnie Cait prawie się do niego nie odzywała. Dzielnica Saint-Cloud znajdowała się w odległości około dziesięciu kilometrów od centrum miasta. Po drodze Alice trajkotała niezmordowanie o Paryżu w niedzielę i o tym, co zwykle robią wtedy jego mieszkańcy. Emil z trudem skupiał się na tym, co mówiła, bo wręcz nie sposób było za nią nadażyć. Mimowolnie błędził spojrzeniem, zawieszając je na linii nadgarstka Cait rysującej się pod bladezielonym wełnianym mankietem, na puklu jej włosów, który wysunął się spod szpilki, na kształcie jej stopy zasznurowanej w trzewiku.

Caitriona dotarła do ścieżki i poprawiła rąbek sukienki Alice. Teraz nie mieli już szansy na choćby chwilę na osobności. Co więcej, Nougier uzmysłowił sobie, że Cait się wycofuje, usuwa, zostawiając mu wolne pole. A on jak głupiec daje się wmanewrować. Jak na komendę Alice odwróciła się, uniosła wzrok i zamachała, najpierw jedną ręką, a potem drugą.

W drodze do domu wszyscy milczeli. Muzyka orkiestry ciągle dźwięczała mu w uszach, a on uchwycił się jej, powtarzając sobie wesoły refren i próbując zagłuszyć przepelniający go smutniejszy ton. Kiedy dotarli do bramy Lasku, wiedział już, że w ciągu zaledwie kilku minut ich wycieczka się skończy i Cait zniknie.

– Co za piękny wieczór – zauważyła panna Arrol.

– Uroczy jak na tę porę roku.

– Chyba jeszcze zbyt wcześnie, by wracać do domu?

Alice wychyliła się do przodu i stuknęła woźnicę w ramię.

– Proszę skrócić w następną w lewo.

– Przez Lasek?

– Tak, przez Lasek.

Oparła się i spojrzała na Cait, a potem na Emila.

– Chyba nie macie nic przeciwko, prawda?

Była piąta trzydzieści, czas na przechadzkę przed aperitifem. A zatem zostaną dostrzeżeni. Ludzie, jak to ludzie, zaczną gadać. Wszyscy się dowiedzą, że on, Emil Nougier, spotyka się ze szkocką dziedziczką Alice Arrol. Wtoczyli się do Lasku, mijając szeregi powozów i pary przechadzające się po ścieżkach. Kilku mężczyzn uchyliło kapeluszy, ale większość po prostu patrzyła. Wcale tego nie zamierzając, właśnie zadeklarował się przed całym Paryżem.

– Panie Boże Wszechmogący! – zahuczał niski głos przy drzwiach wejściowych, czysty, donośny i zdecydowanie szkocki. Cait zebrała fałdy sukni i zbiegła po schodach. W holu stał William Arrol, a gospodyni gwałtownie protestowała po francusku.

– Nie rozumiem cię, kobieto – powiedział, wzruszając ramionami.

– Panie Arrol! – wykrzyknęła.

– Pani Wallace! Nareszcie. Zaczynałem już sądzić, że dotarliśmy do niewłaściwego domu. – Roześmiał się.

– Co pan tutaj robi? To znaczy... zupełnie się nie spodziewałam! – Wzięła od niego cylinder i zerknęła mu przez ramię na stojący na ulicy powóz, z którego wysiadała właśnie z pomocą stangreta jakaś kobieta.

– Napisałem do Alice z informacją o naszym przyjeździe.

– Naprawdę? Najwyraźniej zapomniała mi o tym wspomnieć – odparła Cait.
– Muszę przygotować pokój dla gości.

– Nie ma potrzeby. Zarezerwowaliśmy już hotel. Jesteśmy tu tylko przejazdem, niestety, zaledwie trzy dni. Miałem do załatwienia interesy w Londynie i pomyślałem, że zrobię sobie nieco dłuższą wycieczkę.

– W każdym razie bardzo miło będzie nam spędzić czas, choćby niedługo, z panem i pana żoną.

William Arrol, zanim przemówił, wziął głęboki wdech.

– Moja biedna żona nie czuła się na tyle dobrze, by odbyć taką podróż – powiedział, pochylając głowę.

Kobieta na ulicy odwróciła się, wygładziła spódnicę i poprawiła kapelusz.

– Ale moja kuzynka, panna Lamont, zgodziła się mi towarzyszyć. Czy miała pani okazję ją poznać?

Cait przecząco pokręciła głową.

– Panno Lamont, proszę przyjść poznać panią Wallace, kobietę, która dokonuje tu dla mnie w Paryżu prawdziwych cudów.

– Nie posuwałabym się do takich twierdzeń – zaprotestowała Caitriona.

Zbył ją machnięciem dłoni.

– Ależ to zbytek skromności. Jest pani idealną szaperon: ujmującą, lecz surową. Ale gdzie jest moja bratanica? Alice! – wykrzyknął.

– Nie ma jej w domu. Ma przymiarękę u krawcowej – wyjaśniła Cait. – Jestem z nią umówiona w południe.

– Nieważne. Ale proszę mi powiedzieć, bo to nieporównanie istotniejsze: gdzie w tym mieście można dostać filiżankę przyzwoitej herbaty?

Lucy Lamont była szczupłą, niewysoką i wyzywającą. Kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, przybierała nieco cierpki wyraz twarzy, ale rozmowę prowadziła

czujnie, pracowicie wydłubując z niej fakty i informacje niczym dzięcioł drążący pień drzewa w poszukiwaniu korników.

Po powrocie z przymiarki Alice nie potrafiła przypomnieć sobie żadnego listu, który jakoby otrzymała od wuja. Pospiesznie zorganizowano kolację w miejscu, które zaproponował sam Arrol – Leon, Place du Palais-Royal – i wysłano wiadomość do Jamiego na plac budowy. Tego wieczoru zasiedli przy stole w uroczystych nastrojach. Budowa mostu kolejowego Forth Rail Bridge przebiegała zgodnie z planem, a Arrol rozmawiał z kilkoma innymi firmami o nowych projektach.

– Domyślam się, że często tu bywacie – powiedział, rozglądając się po sali jadalnej.

Alice zmartwiła ze zgrozy. Serwowano tu kilka zestawów dań w określonych cenach i prawie wszyscy pozostali goście byli Brytyjczykami.

– Nie, nigdy – odpowiedziała i z trzaskiem zamknęła menu.

– Polecał je nam mężczyzna, którego poznaliśmy w pociągu jadącym z wybrzeża. „W Paryżu trzeba się pilnować – tak mi powiedział. – Jak tylko pana zobaczą, oskubią pana do imentu”.

– Jak tylko pana zobaczą – powtórzyła Lucy Lamont z naciskiem.

– Mają tu dania obiadowe za trzy franki na głowę. I kieliszek szampana do tego! Prawdziwa okazja!

– Okazja! – powtórzyła jak echo Lucy Lamont.

Alice rozejrzała się po sali. Cait domyślała się, o czym teraz myśli. Nikt ich nie zobaczy w miejscu takim jak to, w miejscu, w którym roіło się od skąpych cudzoziemców. I na szczęście nikt nie będzie świadkiem zachowania jej wuja. Któż w Paryżu mógł wiedzieć, że ma już żonę – żonę, którą rozum zawodził, lecz która daleka była jeszcze od zejścia z tego świata? Nikt nie dowie się o prawdziwym charakterze relacji łączącej go z kuzynką.

Czymże było małżeństwo, jeśli nie więzami, z których człowiek szukał wyzwolenia? Jaki miało cel, skoro służyło jedynie za przykrywkę męskiej niewierności? Cait zerknęła na Williama Arrola, który przysłuchiwał się Alice wyjaśniającej mu zawiłości paryskich sezonów, małego od grudnia do Wielkanocy, a potem dużego, od maja do sierpnia. Kiedy sobie uzmysłowił, że jego małżeństwo jest porażką? Kiedy dowiedział się, że żona nigdy nie da mu dzieci? Kiedy pogodził się z myślą, że mimo odniesionego sukcesu i ogromnego majątku osobistego będzie musiał opiekować się nią do końca jej życia? Biorąc to wszystko pod uwagę, znosił tę tragedię nadzwyczaj dobrze. Czy domyślał się jednak, że miłość, która kazała mu pobłażać bratankowi i bratanicy, nie zawsze była dla nich dobra?

Cait poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Odwróciła się i napotkała uporczywy wzrok Lucy Lamont.

– Jak się pani podoba Paryż, panno Lamont? – zapytała.

– Śmierdzi – odrzekła ta z obcesowością, która raziłaby nawet wśród szkockiej klasy średniej. – A stangreci spodziewają się napiwku za samo powożenie.

Podobnie jak jej kuzyn, William Arrol, Lucy Lamont na wiele sposobów zdradzała swoje niskie pochodzenie. Poprawiła sobie stanik, westchnęła potężnie, po czym zaczęła wachlować się serwetką.

– Za to mnóstwo tu do oglądania – zauważyła Cait.

– Jutro idziemy na wieżę. A teraz proszę mi powiedzieć: jaki jest ten inżynier, ten Nouguiet?

Lucy odwróciła się i spojrzała na nią wyczekująco. Cait wzięła łyk wody, po czym uprzytomniła sobie nagle, że im dłużej zwleka z odpowiedzią, tym bardziej staje się to podejrzane.

– Prawie go nie znam. Ale wydaje się przyzwoitym człowiekiem.

Lucy Lamont nie spuszczała z niej oka.

– Czy już się oświadczył?

Cait zmarszczyła brwi.

– Oświadczył? – zapytała. – Nie, jeszcze nie.

Za późno. Lucy zwęszyła w jej zachowaniu coś niestosownego.

– Lecz mimo to uważa pani, że to odpowiedni kandydat – ciągnęła miss Lamont. – Nie chodzi mu tylko o jej pieniądze. Chce mieć dzieci?

– Chce mieć dzieci – potwierdziła Caitriona. – Bardzo.

Lucy Lamont odchyliła się na oparcie. Skąd, na miłość boską, Cait mogła wiedzieć takie rzeczy?

– Podobno – dodała, ale za późno, o wiele za późno.

Rozmowa zeszała na pogodę i Cait zamilkła. Kiedy już wszyscy wybrali, co chcą zjeść, Lucy Lamont na powrót skupiła swoją uwagę na pani Wallace.

– Gorąco tu – powiedziała.

– Czy zamówić dla pani wodę, panno Lamont?

– Czy to mądre? – zapytała ta cicho.

– Czy co jest mądre? – odparła Cait, czując, że twarz zaczyna ją palić.

– Pić wodę – odparła Lucy wymownie. – Inaczej człowieka zaczyna dręczyć pragnienie. Ale jeśli zdarzy się to raz czy dwa, nie powinno mieć to żadnych dalekosiężnych skutków.

Lekkie drgnięcie ust Lucy Lamont, wymowne zamruganie oczami kazały przypuszczać, że zgadła, domyśliła się, iż Cait nawiązała niestosowną relację z mężczyzną, którego nie mogła mieć.

– O ile tylko nie wejdzie to komuś w krew – powiedziała Lucy. – Nie chcielibyśmy, żeby zapadła pani na jakąś dolegliwość, a jestem absolutnie przekonana, że William naprawdę nie chciałby zastępować pani kimś innym.

Podszedł kelner z pięcioma bardzo małymi kieliszkami szampana.

– Tylko spójrzcie na siebie – powiedział Arrol o Jamiem i Alice. – Pani Wallace miała rację. Paryż znakomicie wam służy. To była pokaźna inwestycja, ale na moje oko zwrot z niej był wart każdego wydanego pensa. Wznieśmy toast! Za Alice i Jamiego!

Szampan był kwaskowaty i mało musujący. Wychylono go na raz i zgodnie uznano za znakomity.

– A jak wieża? – zapytał Arrol Jamiego.

– Rośnie.

– Słyszałem, że szybciej niż kiedykolwiek. A jak się miewa nasz drogi przyjaciel, monsieur Nougier?

Jamie zerknął na siostrę.

– W końcu ustrzelony. Ale nie spieszył się.

– Dziewczyna taka jak Alice – powiedział Arrol z uznaniem. – Idealna partia. Ten Nougier prawdopodobnie właśnie w tym momencie wszystko organizuje.

Alice przelknęła ślinę i pociągnęła łyk z kieliszka, choć wszyscy widzieli, że nic w nim już nie ma.

– Wszystko, co naprawdę wartościowe, warte jest oczekiwania – powiedziała z bladym uśmiechem.

Jamie uniósł brwi i roześmiał się.

– Boże, siostrzyczko kochana. W twoich ustach brzmi to kapitalnie. A tak swoją drogą, czy on się z tym wreszcie uporał? Mówię o artyście. Skończył już ten portret?

– Nie całkiem. Ale rozumiem, że genialne dzieła nie powstają w ciągu jednej nocy.

– To znaczy, że do tej pory go nie widziałaś? – zapytał Arrol.

– Nie. Ale słyszałam, że dobrze się zapowiada.

Alice wstała i przeprosiwszy, udała się do toalety. Arrol zajął się swoim cygarem. Ale oczy Lucy Lamont, chłonącej wszystko chciwie, poruszały się niezmordowanie.

Roboty na Polu Marsowym doszły już do poziomu drugiej platformy i rozpoczęło się montowanie ostatniego odcinka wieży. Ponieważ duża część prac odbywała się na znacznej wysokości, kurz już nie gryzł tak w oczy i nie trzeba było przekrzykiwać zgiełku. Emil przywykł do wbiegania i zbiegania po metalowych stopniach we wschodnim filarze i zatrzymywał się już tylko na krótką chwilę na pierwszym piętrze dla złapania oddechu, gdzie sprawdzał, czy prace konstrukcyjne na galerii przebiegają prawidłowo, lub nalewał sobie kawy w kantynie robotniczej, po czym z łomotem wbiegał po krętych schodach na znajdującą się powyżej platformę drugiego piętra.

Spojrzał do góry przez żelazne szczeble. Dym z palenisk wbijających nity robotników wzbijał się białymi smugami, a kratownica żelaza odcinała się wyraźnie od głębokiego błękitu nieba. Powinien był wziąć ze sobą aparat. Takie dni staną się wkrótce rzadkością. Zima była tuż-tuż i aura stawała się coraz mniej miłosierna. Cieśle i nitownicy będą wkrótce pracować na wysokości ponad dwustu metrów w porywistym wietrze, śniegu i deszczu. Nic dziwnego, że zaczęli się skarżyć. Nic dziwnego, że tak wielu z nich zaczęło mamrotać o dokuczających im zawrotach głowy.

– A jakie to ma znaczenie? – powiedział im Eiffel. – Skręćcie kark jednakowo, czy spadniecie z czterdziestu metrów, czy z trzystu.

Na tym poziomie znajdzie się ostatecznie niewielkie bistro i piekarenka. Eiffelowi udało się również wynegocjować umowę z redaktorem „Le Figaro”; na czas trwania wystawy światowej powstanie tu drukarnia publikująca specjalne wydanie gazety. Znalazło się i miejsce na urząd pocztowy. Emil przypomniał sobie nagle o liście od Alice Arrol spoczywającym w jego kieszeni. Leżał tam już od pięciu dni, nie doczekawszy się odpowiedzi. Kilka tygodni wcześniej spotkał jej wuja, którego Jamie oprowadzał po placu budowy. Zgodnie z opisem Gustawa William Arrol okazał się człowiekiem miłym, otwartym, zajmującym i dowcipnym. Dłoń, którą uścisnął Emil, była szorstka w dotyku.

Natrafiał na zaciszny zakątek w pobliżu miejsca, w którym ostatecznie miały znaleźć się windy, wyciągnął list i szybko przebiegł go wzrokiem. Infantylnymi pętelkami i zawijasami Alice napisała, że ma nadzieję, iż Emil miewa się dobrze i wkrótce złoży jej wizytę. Ich wspólne wycieczki sprawiły jej ogromnie wiele radości. Złożył list i wsunął go z powrotem do kieszeni. Wiedział, że postępuje źle. Był słabym człowiekiem, kierowanym prymitywnymi popędami. Ale było warto, żeby przebywać w pobliżu Cait choćby godzinę czy dwie, nawet gdy znikło łączące ich porozumienie. Nougier stał się kolekcjonerem miniatur, drobiazgów uchwyconych kątem oka, przelotnych spojrzeń, obróconych nosków trzewików, zwróconego lekko profilu twarzy.

Obrzucił wzrokiem miasto, płynącą znacznie niżej rzekę, spiętą mostami i obrzeżoną soczystą zielenią niczym nadgarstek zieloną koronką. Właśnie dlatego wznoszono wieżę: żeby uczcić stulecie rewolucji francuskiej i podarować ludowi Paryża ideę miasta widoczną z każdego zakątka, z największej choćby dali. Tam, w dole, życie było chaotyczne, nonsensowne i frustrujące, ale tu, na górę, nie docierał ani fetor rynsztoka, ani słodki odór końskiego gnoju, tu, na górze, można było się wznieść ponad to wszystko; z góry można było dostrzec rozciągający się w dole świat, gdzie wszystko było na swoim miejscu i wszystko zostało ułożone tak, by miało jakiś sens.

Ostatni etap, pinakiel wieży, na którym wesprze się najwyższa, najmniejsza platforma, będzie konstrukcyjnie najprostszy, lecz najtrudniejszy do wykonania. Tym razem Eiffel zdecydował się na odrobinę odmienne podejście. W tym, co docelowo stanie się szybem środkowej windy, zostanie wzniesiona pionowa kolumna, w której będą pracować ludzie. Wykorzystanie maszyn budowlanych do podnoszenia elementów konstrukcji nie będzie już możliwe. Zamiast tego każdy element będzie wciągany za pomocą dwóch niewielkich żurawi przyśrubowanych do głównego szkieletu konstrukcji.

Na niższej platformie rozległ się gwizdek. Kilku pracujących wyżej mężczyźni zeskoczyło ze swoich stanowisk. Na palenisko chluśnięto wiadrem wody.

– Co się dzieje? – zapytał ich.

– Sześć franków dziennie! – odkrzyknął jeden z nich. – Sądzi pan, że to wystarczy?

– Nie tkniemy naszych narzędzi, póki nie dostaniemy więcej pieniędzy – powiedział drugi.

– To strajk, panie Nouguiet! – wyjaśnił inny. – Niech pan zejdzie z budowy na dzień czy dwa. Niech pan sobie przypomni, kim pan był, nim zaczęliśmy budować to monstrum.

– No nie! Znowu? Jak mamy w tym tempie zdążyć na czas?

Tego miesiąca jego matka była znacznie słabsza niż poprzedniego. Czy domyślała się, że już jej się nie polepszy? A jeśli umrze, zanim wieża zostanie ukończona? Cień jej zawodu prześladowałby go do końca życia.

– Ludzie! – zawołał. – Porozmawiajcie z Eiffelem. Wszyscy chcemy tego samego, prawda?

Eiffel odbywał właśnie naradę kryzysową z szefem robotników wożących taczki, głównym cieślą, nadzorcami prac murarskich i malarskich oraz kierownikiem robót. Próbując ich udobruchać, zgodził się już na ubezpieczenie od wypadków. Kontrakt przewidywał ukończenie wieży do kwietnia, co pozostawiało kilka miesięcy na wykończenie wnętrza przed inauguracją wystawy światowej. Nie mogli sobie pozwolić na kolejne opóźnienie. Nie sposób było jednak nic poradzić,

można było jedynie czekać na efekt negocjacji.

Dziwnie było przechadzać się po Paryżu w ciągu dnia, mijać szeregi uczniów gnanych po ulicach przez popędliwe zakonnice i przepychać się w tłumie dam na ulicy de la Paix. Zatrzymał się na aperitif przy Faubourg Saint-Honoré i przyglądał się kobietom biegającym od jednej modystki do drugiej w poszukiwaniu idealnego kapelusza.

– Jak mogłaś w ogóle go rozważać? – powiedziała jakaś młoda dama ze wzgardą. – Jest identyczny jak ten, który Marie Maussant nosiła w zeszłym sezonie.

Dziewczęta zamilkły, kiedy podjechał powóz i stangret pomógł wysiąść z niego jakiejś kobiecie. Emil wyciągnął pugilares z kieszeni i położył kilka monet na talerzyku.

– Monsieur Nougquier? Czy to pan? – Dama ubrana w czarne futro i biały aksamit stała przed nim z szerokim uśmiechem na twarzy. – To pan! Jest pan sam czy też może jest z panem ten zmyślny monsieur Eiffel?

To była baronowa prowadząca salon – ta zakochana w swoim łajdackim bracie przyrodnim. Emil podniósł się, ujął podaną mu dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Ma pani dobrą pamięć.

– Wiem. Zarówno do twarzy, jak i do imion. – Roześmiała się i zalotnie położyła mu dłoń na przedramieniu. – Ale prawdę mówiąc, niektóre zapadają mi w pamięć głębiej niż inne.

Zastanowił się, czy baronowa nie robi mu jakichś subtelnych awansów.

– Bardzo się cieszę z naszego spotkania – ciągnęła. – W następną niedzielę, wieczorem, urządzam w domu bal dobroczynny. Uczymy w ten sposób otwarcie *petite saison* i zbierzemy pieniądze na bezdomne sieroty. Proszę wyświadczyć mi tę uprzejmość. I proszę przyprowadzić tę Szkotkę, z którą, jak słyszałam, się pan spotyka. I jej brata.

– Obawiam się, że jestem niezwykle zajęty.

Wbiła w niego spojrzenie i wybuchła krótkim, obcesowym śmiechem.

– Jasne. Jak diabli – wyszeptała.

Cait siedziała z tyłu sali balowej, w rzędzie z innymi szaperon. Większość z nich, niezależnie od metryki, przywdziała okrycia licujące z wiekiem dojrzałym lub podeszłym, a niektóre poruszały się o lasce albo zerkały na świat zza porysowanych szkieł. Prawie wszystkie miały na sobie suknie z czarnej lub fioletowej krepy i pasujące do nich słomkowe bonety. Pod względem ubioru, wieku i stosunku do życia stanowiły przeciwieństwo dziewcząt, którymi się opiekowały. Cait uświadomiła sobie zapach unoszący się nad ich kolektywnym bytem, woń lawendy i zmatowiałego srebra, okruchów czerstwego ciasta i skwaśniałego mleka. Kobieta siedząca obok niej wyciągnęła robótkę; druty zaczęły stukać miarowo o siebie, zupełnie nie w takt muzyki dobiegającej od strony parkietu. Inna podśpiewywała sobie murmurando, fałszując niemiłosiernie.

Sala balowa była ogromna. Po obu stronach głównego wejścia stały dwie kolumny wymalowane tak, by do złudzenia przypominały marmur. Na przeciwległym końcu podwójne schody nakreślone z rozmachem dwiema eleganckimi krzywiznami prowadziły na balkon, na którym zasiadła niewielka orkiestra. Ściany zdobiły szerokie pozłacane lustra, lekko przechylone, by uchwycić światło kryształowych żyrandoli. Cait podniosła oczy na sufit. Na tle kłębiących się chmur i błękitnego nieba wymalowano bogów, psotne kupidyńki, złote rydwany i srebrne trąbki. Ktoś powiedział, że autorem jest Tiepolo. Kiedyś miała poczucie, że Merchant's Hall w Glasgow jest wspaniały. W porównaniu z tą salą wydawał się nędzny.

W jednym z pomieszczeń prowadzących do sali balowej długi stół ugiął się pod ciężarem półmisków z jedzeniem, ogromnych kompozycji kwiatnych i mis ponczu. Żadnej z szaperon nie zaproszono jednak, by cokolwiek zjadła czy wypila; od gości oddzielała je niewidzialna linia. Od czasu do czasu podchodziła do nich jedna z dziewcząt i wtedy jej opiekunka przytrzymywała jej kieliszek, podczas gdy ona sama upinała zabłąkany kosmyk włosów lub poprawiała sobie kreskę; czasem jakaś mężatka z zaskoczeniem rozpoznawała wśród opiekunek dawną znajomą, podchodziła i robiła zamieszanie. Ale to wszystko. Dobre maniery nakazywały obecność przyzwoitek, ale była ona nie tyle fizyczna, ile symboliczna. Któż wiedział, co mogło się dziać w mrocznych zakątkach starannie przystrzyżonych ogrodów lub za zamkniętymi drzwiami biblioteki? O ile nie było świadków, przymykano na to oko.

W ciągu dwóch godzin, które Cait tam przesiedziała, sala stopniowo traciła swój czar. Było zbyt gorąco, zbyt parno, zapach potu i skórzanego obuwia zaczynał dominować nad wszystkimi innymi woniami. Farba i złoto, kryształ i szkło stawały się równie nużące jak zapach białych lilii ułożonych zgrabnie w wazie na kominku. Czują, jak powoli gaśnie, kolorem sukni stapia się z wzorem tapety, którą miała za

plecami. Z braku powietrza zakręciło jej się w głowie. Spojrzała na zegar: było już po dziesiątej. Chyba tańce nie mogły trwać dłużej niż do północy?

Alice miała na sobie białą suknię z ogromnym wycięciem na plecach. Włosy zakręciła w loczki i pukle i udekorowała je białymi piórami, tworząc koafiurę, której upięcie wymagało kilku godzin. W pewnym momencie tuż obok Cait przesunął się Emil, który trzymając pannę Arrol w ramionach, tańczył z nią walca. Udała, że go nie widzi. To było zbyt okropne, zbyt upokarzające. Czowała się tak, jakby czekała nie na koniec wieczoru, lecz istnienia.

– Prędko się to nie skończy – powiedziała siedząca obok niej starsza dama. – Ludzie lubią się pokazać, gdy idzie o dobroczynność. Nikt nie będzie chciał wyjść pierwszy.

– Takie zabawy do rana mi nie przeszkadzają – odparła druga. – Przeszkadza mi za to takie ugorowanie. Jedną z bratanic opiekowałam się przez jedenaście sezonów. Już mi się zdawało, że nigdy jej nie wydam za męża, mówię wam, to wszystko przypominało niekończące się andrzejki. A potem poznała na wyścigach w Longchamps bogatego Żyda i to było to. Ale tę – wskazała dziewczynę tańczącą z żołnierzem – tę porwą, zanim skończy dwadzieścia lat. Wspomnicie moje słowa!

Dziewczyna zerknęła na swoją szaperon, jakby postyszała swoje imię, i uśmiechnęła się z nadzieją.

– I wtedy trochę odetchniemy – powiedziała opiekunka. – Dopóki nie przyjdzie kolej na następną.

Poklepała Caitrionę przyjaźnie po ramieniu. Cait spuściła wzrok na dłoń starej kobiety. Jej własna nie nosiła jeszcze śladów wieku; skóra nie stała się jeszcze cienka jak bibuła i nie przypominała spękanego wosku. Ale to nie potrwa już długo. Inne opiekunki zaczęły plotkować o tym, kto się do kogo zaleca, i o bogatej amerykańskiej dziedzicze polującej na utytułowanego męża.

– Wygląda jak żaba – stwierdziła jedna z kobiet. – Ale wiecie, przy odpowiednich pieniądzech nawet największa brzydula staje się przedmiotem pożądania.

– Nie wiem, kogo mi bardziej żal – odparła inna. – Dziedziczki czy tego nieszczęśnika, który jej przypadnie.

– Słyszałam, że brat baronowej ruszył w konkury.

– Clément? To on tu jest? Niemożliwe, żeby była aż tak głupia.

– Jest Amerykanką! – I wszystkie zaczęły się śmiać.

– Jedno zmartwienie mniej – podsumowała starsza opiekunka o pergaminowej skórze dłoni.

Cait widziała hrabiego. Nie tańczył, przesiadywał w mniejszych pokojach, palarni i barze. Miała nadzieję, że Alice wyrobiła już sobie zdanie na jego temat i odzyskała zdrowy rozsądek. Ale co to oznaczało? Jak długo Emil zamierzał to ciągnąć? Przecież nie mógł zalecać się do niej w nieskończoność.

Obserwując tańczących, poczuła padający na nią cień. Centrum jej pola widzenia zaczęło pulsować, po czym zasnęła je ciemność. Cait zamknęła oczy. „Dlaczego – zadała sobie pytanie – dlaczego te bóle głowy pojawiają się w najmniej stosownych momentach?”. A może to był właściwy moment, gdy siedziała tu, zupełnie ubezwłasnowolniona, z innymi na wpół chromymi przedstawicielkami wybranego przez nią zawodu. Po kilku chwilach ślepotą ustąpiła, a pulsowanie przeniosło się na obrzeża jej pola widzenia, umiejscawiając tam tęczowy łuk.

– Wyjdę zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedziała, podnosząc się.

Wymieniono spojrzenia, uniesiono brwi.

– Dokąd ona się wybiera? – zawołała z końca jakaś bardzo już leciwa dama.

Z gałęzi drzew w ogrodzie baronowej zwieszały się maleńkie chińskie lampiony. Pod stopami chrzęściła ścięta mrozem trawa. Okna sali balowej, sięgające od podłogi do sufitu, rzucały prostokąty złotego blasku na kamienny taras. Cait wzięła głęboki wdech i wydech, pozwalając nocnemu powietrzu napełnić jej płuca, głowę i usta. W ciągu kilku minut tęczowy łuk przybladł. Wiedziała, że wkrótce rozboli ją głowa, ale jak na razie cieszyła się klarownością umysłu i nadzwyczajną spostrzegawczością. Świat był brudną taflą szkła, którą właśnie wyczyszczono.

Nie docierała tu głośna muzyka, a gwar rozmów, śmiechów i odbijanych korków szampana mieszał się ze skomleniem lisów i z szelestem wiatru w koronach drzew. Był piękny grudniowy wieczór, niemal zbyt piękny, aby mógł być prawdziwy.

– Co takiego zrobiłem?

Odwrociła się. To był Emil.

– Nic.

– A więc dlaczego? Dlaczego... przestałaś przychodzić?

Potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie sędzę, by stosowne było zadawanie takiego pytania.

– A ja myślę, że jest niezwykle stosowne. Obawiam się, że twój list niczego mi nie wyjaśnił.

– Niczego nie obiecywałam, Emilu.

– Słowami być może nie.

Pachniał pieprzem i świeżą bryzą. Na wysokości oczu miała jego obojczyki i zdumiała się, doświadczając nagle uczucia przesuwania po nich wargami. Uzmysłowała sobie, że ciało zachowuje wspomnienia żywiej niż umysł.

– Widuję się z Alice Arrol tylko dlatego, by widywać się z tobą. Wiesz o tym.

– Więc musisz przestać!

Przełknął ślinę, po czym odwrócił się.

– Nie mogę.

Przez chwilę stali w milczeniu przy kamiennej balustradzie. Uświadamiała sobie jego obecność, każdy najlżejszy oddech, każde pojedyncze bicie serca, każdy ulotny impuls, bo przecież stanowiły odbicie jej własnych. Wzięła głęboki wdech i wypuściła biały obłoczek powietrza.

– Dlaczego? Przynajmniej powiedz mi dlaczego. Czy było tak źle?

Pokręciła głową. Spędziła przy boku Emila najrozkoszniejsze, najcudowniejsze godziny swojego życia.

– A więc? Czy to nic dla ciebie nie znaczyło?

Miał prawo domagać się wyjaśnień. Zza drzwi wylała się muzyka i odgłos setek stóp na wypolerowanym mahoniowym parkiecie odcisnął się w powietrzu jak interpunkcja.

– No więc? – ponowił pytanie.

– Życzę tobie i Alice dużo szczęścia.

– Nie chcę Alice.

Przełknęła ślinę, próbując skupić się na oddychaniu. Pomyślała o kościelnych ławkach i niedzielnych kazaniach.

– To nie miało przyszłości. Wiesz o tym.

– Zostań tu. W Paryżu.

– W roli twojej kochanki? Żebyś ty mógł sobie kogoś poślubić i mieć dzieci?

– Mogę je mieć z tobą.

Utwór dobiegł końca, lecz niemal natychmiast orkiestra zaczęła grać kolejny taniec, niespieszny walc. Jakaś para wysunęła się przez okno tarasowe, ruszyła na przechadzkę i zniknęła. Cait nagle nabrała pewności, że to już koniec, że po tej nocy już nigdy więcej nie będzie z nim sama.

– Zatańcz ze mną – powiedziała.

Byli teraz na tarasie sami. Wszyscy pozostali znajdowali się w środku, a światła świeciły tak jasno, że w ciemnościach stali się zupełnie niewidoczni. Pozwoliła się prowadzić, obracać powoli raz za razem dookoła, aż gwiazdy rozmazały się, jej umysł popadł w odrętwienie i utraciła świadomość wszystkiego poza ciepłem jego ciała tuż obok.

Drzwi tarasowe nagle otworzyły się na oścież.

– Tutaj pani jest! – zawołała Alice. – Jamie wziął i znów się zakochał.

Skierowali wzrok na Jamiego tańczącego ramię w ramię z baronową.

– Widzi pani?

I nagle Cait uświadomiła sobie, że Alice, odwróciwszy się, przenosi wzrok to na Emila, to na nią.

– Pani Wallace, nie powinna była pani wychodzić. Przeżył się pani na śmierć!

– Masz rację. Do widzenia, monsieur Nouguiet.

Światła w sali balowej były za jasne, o wiele za jasne. Cait z zimna piekły oczy, rozboleła ją głowa. Kiedy obchodziła wyglansowany parkiet sali balowej, zmierzając z powrotem ku swemu siedzeniu, muzyka przestała grać i krople deszczu zabębniły po szkle. „Jakie to dziwne – pomyślała – że zaczęło padać, przecież niebo było tak czyste”. I wtedy uzmysłowiła sobie, że to wcale nie deszcz, lecz oklaski.

- Brawo! – wołali goście jeden przez drugiego. – Gratulacje!
- Dlaczego oni klaszczą? – zapytała Cait jedną z przyzwoitek.
- Zaręczyny – odpowiedziała stara kobieta. – Proszę spojrzeć!

Cait odwróciła się, a tam, na szczycie schodów, pobłyskując diamentami i jedwabiem, stała baronowa. Po obu jej stronach, wyglądając na jej tle nieco mniej olśniewająco, stali hrabia i amerykańska dziedziczka. Alice wciąż stała w drzwiach wychodzących na taras. Szczęśliwym zrzędzeniem losu nikt na nią nie patrzył, nikt jej nie widział. Nie potrafiła ukryć ogromu malującej się na jej twarzy trwogi.

Nawałnica rozpętała się w środku nocy. Wiatr wył na bulwarach lewego brzegu, a gwałtowne porywy rozkołysały dzwony opactwa Saint-Germain-des-Prés.

Emil obudził się kompletnie spanikowany. Wiatr walił okiennicami i gwizdał w szparach okien. Z zewnątrz dobiegł go brzęk przewracanego roweru. Ubrał się pośpiesznie. Nie przypominał sobie, by w ciągu ostatnich lat w Paryżu szalała aż taka wichura. Musiał pójść na plac budowy, by upewnić się, że żurawie poruszające się w górę i w dół środkowego szybu są dobrze zabezpieczone. A jeśli jakiś nieprzymocowany drąg sfrunie i uderzy przypadkowego przechodnia? Co wtedy? I co z wieżą? Co się stanie, jeśli metalowe belki okażą się za słabe, a nity nie dość mocne, aby utrzymać całość konstrukcji? A jeżeli fundamenty się przesunęły? Wdziewając płaszcz, wyobraził sobie, że cała wieża zawala się jak dziecięca zabawka, rozpory składają się i zwijają, a śruby wylatują na wszystkie strony jak wybite zęby.

Ulice opustoszały. Na chodniku wały się śmieci, jakiś odpadnięty kawiarniany szyld pobrzękiwał i podskakiwał po ziemi, dopóki nie uderzył w podstawę pnia drzewa. Kiedy Emil biegł ulicą de l'Université, wiatr uderzył go prosto w twarz, spowolniając go jak dłoń przyłożona do czoła.

Odwiedzając ostatni raz matkę w jej mieszkaniu, powiedział jej prawdę. Miał dość kłamstw, złudzeń i półprawd. Czy nikt w tym mieście nie mógł być uczciwy? Czy nikt nie potrafił się przyznać do tego, kim właściwie był?

– Emilu – powiedziała jego matka. – Co za nieoczekiwana niespodzianka. Skoro już tutaj jesteś, czy mógłbyś podpisać kilka dokumentów? A kiedy następnym razem pojedziesz do La Villette, czy mógłbyś sprawdzić, czy piec działa poprawnie?

– *Maman* – odrzekł cicho. – Musisz zrozumieć. Nie mogę się tym zająć.

Złożyła ręce na podołku i spuściła wzrok. Łzy wezbrały w jej oczach.

– Chcę tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

– Nie mogę żyć po staremu! – zawołał. – Fabryka nic dla mnie nie znaczy! Nigdy nie znaczyła! Tylko mnie wiąże i krępuje. Jak łańcuch.

– Nie musisz krzyczeć – wyszeptała.

Ujął jej dłoń. Jego gniew zelżał. Nie mógł jej oskarżać. Nie tutaj, nie teraz.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Niezbyt dobrze. Ale lepiej, kiedy cię widzę.

– Powinnaś odpocząć.

– Posiedzisz ze mną chwilkę?

– Oczywiście.

Odchyliła się na oparcie, zamknęła oczy i chwilę później zasnęła.

Wiatr gwizdał w metalowej sieci i piał się po niej, ale wieża chwiała się ledwie dostrzegalnie. U jej podstawy, na samym środku, skąd, patrząc w górę, wciąż można było dostrzec mały krążek nocnego nieba, stała jakaś postać. Emil rozpoznał charakterystycznie rozstawione stopy mężczyzny i cylinder, przekrzywiony i mocno wciśnięty na głowę.

– Monsieur Eiffel?! – zawołał.

Kiedy podszedł, Gustaw Eiffel ściągnął brwi.

– Emil, to ty? – wykrzyknął. – Co za paskudna noc! Dlaczego nie leżysz w łóżku?

– Czy wszystko w porządku? – zapytał, zerkając w górę.

– Oczywiście. Nasze obliczenia przewidywały znacznie silniejsze wiatry, pamiętasz?

Jakby chcąc zaprzeczyć jego słowom, gwałtowny podmuch porwał mu kapelusz z głowy, zakreślił nim i cisnął w ciemności.

– Pański kapelusz! – krzyknął Emil.

– Mam inne – odparł Gustaw, machnąwszy dłonią.

Wieża skrzypiała, a gdzieś wysoko nad nimi jakaś lina trzaskała o elementy konstrukcji, jakby chcąc poskromić żywe zwierzę.

– Czasem odczuwam potrzebę przyjścia tu i przypomnienia sobie, że ona istnieje – powiedział Gustaw Eiffel – znalezienia potwierdzenia, że nie jest tylko wytworem mojej rozbuchanej wyobraźni. Czyż nie jest wspaniała? Prawdziwa sztuka, którą wszyscy mogą oglądać.

Latarnie uliczne, tak zwane świece Jabłoczkowa, zamrugały, po czym zgasły. Emil podniósł wzrok. W ciemnościach nie sposób było teraz rozróżnić kształtów wieży, jej platform i poprzecznych belek.

– Ale w porównaniu z Kanałem Panamskim jest drobnostką, ledwie kaprysem – ciągnął Gustaw. – Gdy kanał zostanie ukończony, liniowiec transatlantycki będzie w stanie w ciągu kilku dni przemieścić się z Atlantyku na Pacyfik. Czy potrafisz sobie wyobrazić, ile czasu, ile pieniędzy zostanie zaoszczędzonych? Cały świat przekona się, co to oznacza. Triumf inżynierii! Konkretnie francuskiej inżynierii.

Stali przez moment w milczeniu, nasłuchując wiatru wzbijającego tumany kurzu na placu budowy. Eiffel wysłał właśnie do Panamy kolejne cztery tysiące robotników do wykonywania prac ziemnych. W Bretanii konstrukcja dziesięciu śluz była już dobrze zaawansowana. Ostatnio jednak rozeszły się plotki, że de Lesseps zmarł i wartość udziałów znacznie spadła. Nic dziwnego, że nie tylko wiatr nie pozwalał Gustawowi zasnąć. A jednak wciąż tryskał pewnością siebie, jak zawsze. Nie potrafił sobie wyobrazić, by cokolwiek mogło pójść nie po jego myśli.

– A dotąd jak idzie? – zapytał Emil.

– Mieliśmy trochę problemów finansowych – przyznał Eiffel. – Ale de

Lesseps zwołał na przyszły tydzień spotkanie udziałowców i wszyscy będą mogli się przekonać, że ma się świetnie i nie zamierza umierać.

– A pieniądze inwestorów? Są bezpieczne?

– O tak, absolutnie bezpieczne.

Zaczął padać grad, drobinki lodu posypały się z nieba z taką siłą i w takiej ilości, że po chwili ziemia stała się całkiem biała. Eiffel zadrżał i postawił kołnierzy.

– Co za noc – powiedział. – Mam w biurze, tu zaraz, butelkę czegoś mocniejszego. Wstąpisz na kieliszek?

Biuro Eiffela było skromne, w gruncie rzeczy zwykła szopa na środku placu budowy. Aby dotrzeć do drzwi, należało przeleźć przez stertę żelaznych dźwigarów.

– Na razie zupełnie wystarczy – powiedział, otwierając drzwi. – Wkrótce, jak wiesz, będę miał kilka pokoi na szczycie wieży, na wysokości trzystu metrów. To moja drobna premia. Będziesz mógł korzystać z nich pod moją nieobecność, gdybyś miał ochotę.

– To bardzo szczerze z pana strony.

– Jestem hojnym człowiekiem.

Strzepnęli drobinki lodu z płaszczy, kołnierzy i włosów, Eiffel rozpalił w małym piecyku i wyjął z szuflady biurka butelkę koniaku i dwa kieliszki.

– A jak ty się miewasz, Emilu? Co cię sprowadza do pracy w środku nocy?

– Wiatr mnie zbudził. Musiałem się przejść.

Nie rozwodził się nad tym dłużej.

– No cóż, przynajmniej ja się cieszę, że tak się stało.

Piecyk był ciepły, koniak przyjemnie rozgrzewał piersi. Powoli obaj zaczęli tajać.

– A jak się mają sprawy z dziewczyną Arrolów? – zapytał Eiffel.

Emila momentalnie owionął chłód. Odstawił pusty kieliszek.

– To urocza dziewczyna. Ale...

– Ale? Nie ma nikogo innego, prawda?

Emilowi natychmiast stanęła przed oczami Cait z twarzą oświetloną księżycowym blaskiem zalewającym taras rezydencji baronowej.

– Mogę? – zapytał Emil, podnosząc ze stołu butelkę koniaku.

– Ależ proszę.

Emil nalał sobie kolejny, słuszniejszy kieliszek. Alkohol koił zamęt wywracający mu trzewia.

– Chodzi o to – zaczął – że prawie nam się udało, stworzyliśmy budowlę przewyższającą wszystkie inne, którą nie zachwieją nawet takie wiatry jak te, które uderzyły w Paryż tej nocy... A jednak...

Urwał.

– Mów dalej – przynaglił go Eiffel.

– A jednak nie da się wyliczyć wszystkiego za pomocą wzorów matematycznych.

– Ona cię nie chce – odpowiedział Eiffel cicho. – Zdarza się. Nic na to nie poradzisz.

Nouguier odwrócił się i spojrzał na Eiffela. Skąd mógł wiedzieć?

– Ale jeśli chodzi o tę drugą, dziewczynę Arrolów, możesz skalkulować ryzyko – ciągnął Eiffel. – A ja powiedziałbym, że to pewniak.

– Nie jestem graczem.

– Życie jest grą – odparował Eiffel. – I szczęśliwcy zgarniają wygraną.

Emil zamilkł na chwilę, po czym wychylił reszkę koniaku jednym haustem.

– W pana ustach to wydaje się takie łatwe.

– Jest łatwe, kiedy już postawisz. Ale zauważ, jakie problemy sprawia jej brat. Słyszałem, że uwikłał się w jakąś historię z kimś, z kim nie powinien był się wiązać, na tym balu dobroczynnym, w którym uczestniczyłeś. Doszły mnie też słuchy, że to on wymyślił to szkaradzieństwo w Le Chabanais.

– Jakie znów szkaradzieństwo? – zapytał Emil tak nonszalancko, jak tylko potrafił.

– Nie słyszałeś? To pokój, w którym możesz się pieprzyć w udawanej windzie, bardzo podobnej do jednej z tych, które zainstalowaliśmy w wieży.

Emil miał nadzieję, że Arrol dotrzymał słowa i nie zdradził stopnia jego zaangażowania w ten projekt.

– Podobno cieszy się ogromną popularnością. I konstrukcyjnie nie jest to takie złe. Chłopak musi być urodzonym inżynierem, mimo obrzydliwego zachowania. Powinniśmy dostawać od tego procent.

Eiffel zaśmiał się i ten donośny, głęboki śmiech wygładził mu rysy twarzy. Zerknął na zegarek, po czym zaczął na powrót wkładać płaszcz.

– Powinniśmy to częściej powtarzać, mój drogi Emilu – powiedział Gustaw.

– Ale następnym razem będziemy pili szampana tam, na szczycie, by uczcić to, co stanie się jednym z cudów współczesnego świata: Kanał Panamski! A potem wzniesiemy kolejny toast. Za twoje małżeństwo!

– Małżeństwo? – zdziwił się Emil. – A kto wspominał o małżeństwie?

Zaśmiał się, lecz twarz Eiffela pozostała poważna.

– Wierzę w ciebie. Wiem, że postąpisz słusznie.

Cait siedziała w drugiej ławce od końca i słuchała, jak zakonnice śpiewają mszę. Ich głosy, wysokie i czyste, wznosiły się pod sklepienie kościoła, gdzie zlewały się w jedno nad chórem i odbijały echem w nawie głównej. Był niedzielny poranek i kościół był nabity po brzegi. W powietrzu unosił się zapach kadzidła i świeżych kwiatów. Na końcach wszystkich ław zawieszono girlandy róż ciepłarnianych. Ich zapach przypominał Caitronie jej babcię; zatęskniła za nią nagle i tak gorąco, jak nie tęskniła od lat.

Był piękny, lecz zimny grudniowy dzień. Wcześniej ulice były niemal opustoszałe. Idąc, minęła kilku mężczyzn siedzących na ławkach, z szapokłakami w dłoniach i brodami opartymi na pięściach. Czy zgubili klucze, czy może złamali przyrzeczenia? Zdradzili czy zostali zdradzeni? Padające ukośnie promienie porannego słońca wydobywały każdą zmarszczkę, każde przebarwienie, każde ukłucie żalu, każdy bolesny skurcz.

Paryż z łatwością pozwalał człowiekowi całymi godzinami wędrować bez celu. Czyściciele ulic zlewali bruk strumieniami czystej wody, splukując do rynsztoków brudy poprzedniej nocy. Gdyby tylko strumieniem wody można było zmyć przeszłość. Gdyby tylko dawało się rozpuścić w niej rozpacz. Cait przystanąła w bramie, by otrzeć oczy, i usłyszała śpiew zakonnice.

Zgromadzenie uklękło do modlitwy, a ona razem z nimi, pochylając głowę i kryjąc twarz w dłoniach. Modliła się o siłę, która pozwoli jej przejść przez nadchodzące miesiące i da odejść – jemu. Nie powinna była ulegać pokusie; podjęła ryzyko i kilka złych decyzji, postąpiła pochopnie, nierozważnie, impulsywnie. Czyżby niczego się nie nauczyła? Wszystko wróciło, cały koszmar jej nieistniejącego już małżeństwa.

Zaczęło się niewinnie: jakieś szorstkie słowo, zatrzaśnięte drzwi, roztrzaskany kubek. Pokornie pozbierała odłamki, podnosząc potłuczoną porcelanę krwawiącymi palcami. Fatalny dzień w pracy, spóźniony pociąg, zbyt chłodna woda w kąpielni – wszystko potrafiło wzbudzić gniew Saula. Nigdy nie przeproszał, ostrzegał ją tylko, żeby go nie prowokowała. Ale któregoś dnia znalazła swój naszyjnik, jedną z niewielu rzeczy, które należały do jej matki, rozerwany, garść pereł zamiast pojedynczego sznura, wrzucone do aksamitnego woreczka.

Gdy zapytała Saula o przyczynę, niczego jej nie wyjaśnił. Zamiast tego uderzył ją tak mocno, że przez moment zastanawiała się, czy to niebo zważyło się jej na głowę. Po wszystkim uzmysłowiła sobie, że tak. Zadała sobie pytanie: „Kim był ten człowiek?”. A kim była jego żona? Dzieła klasyków, filozofów i matematyków nie podsuwały jej żadnych odpowiedzi. Później były łyzy, przeprosiny i szukanie winnych. Obiecała, że postara się go nie rozwścieczać. Obiecał, że zrobi, co w jego mocy. Ich pojednanie trwało do następnego ranka, gdy

cisnął talerzem tostów o podłogę, bo zapomniała przypomnieć służącej o kupnie marmolady.

A jednak ten fatalny czas przyniósł coś dobrego. W święta Bożego Narodzenia odkryła, że spodziewa się dziecka, poczętego w efekcie jednej z jej prowokacji. Lekarz potwierdził, że dziecko urodzi się latem. Przez kilka tygodni Saul był tak szczęśliwy jak nigdy. Starła się ze wszystkich sił nie odzywać się, nie patrzeć – jak długo się dało. Nic nie mogło przyćmić jej radości; nic nie mogło zostać niewłaściwie odebrane, wykorzystane przeciwko niej. Nie warto było ryzykować.

Ale pewnego ranka przypadkiem upuściła mleko. Butelka wysliznęła jej się z dłoni i rozbiła na podłodze w korytarzu. Jak żywa stanęła jej przed oczami biała wstęga rozwijająca się na wypolerowanej podłodze i tureckim chodniku. Tak wyraźnie zapamiętała krople mleka, które obryzgały najlepszy płaszcz Saula, jego buty i stojak na parasole. Tak ostro odcisnęła się w jej pamięci cisza, która na moment zawisała w powietrzu.

Padał wtedy śnieg. Zapamiętała jego smak w ustach. Zapamiętała chłód granitu pod policzkiem. Zapamiętała, jak wózek z mlekiem odjeżdża do Pollok Estate. Otworzyła oczy i obserwowała kołującą nad jej głową mewę. Czuła siniak wykwitający jej na ramieniu w miejscu, gdzie ją chwycił, a potem popchnął. Jak długo leżała u podnóża kamiennych schodów? Wystarczająco długo, by zapragnąć dwóch rzeczy. Tylko jedno życzenie się spełniło – i to dopiero rok później.

Jej obrażenia zrzucono na karb upadku. Złamała nadgarstek i miała pęknięte żebro. Straciła dziecko.

Wzdrygnęła się, czując na plecach lekki dotyk czyjejś dłoni. Podniosła się i oparła w ławce. Nabożeństwo się skończyło, kościół opustoszał. Nie miała pojęcia, jak długo mogła tak klęczeć. W bocznej nawie stał wikary, pytając, czy może w czymś pomóc. Miał tak sympatyczną twarz, że wydawało jej się, iż zaraz znów się rozplacze, ale potrząsnęła tylko głową, podziękowała mu, zebrała fałdy sukni i ruszyła ku drzwiom.

W drodze do domu uznała, że pozwoli sobie na rozmyślania jedynie o rzeczach praktycznych. Były rachunki do zapłacenia, spotkania do zaaranżowania, rezerwacje do dokonania i listy do wysłania. Emil przyjeżdżał po Alice o siódmej wieczorem. Miał bilety do opery. Kolejny raz ich trójka będzie podróżować ramię w ramię, z nią w środku. Cait zamknie oczy, odetnie się od wszystkich uczuć, nie odezwie się niepytana. Nie zdradzi jej wyraz twarzy, spojrzenie ani mowa ciała. Potrafiła to robić. Robiła to już wcześniej.

Lecz kiedy wyszła zza rogu ulicy de Rennes, przystanęła nagle. Wprost przed nią stała wieża. Wieża Emila. Choć jeszcze nieskończona, była już znacznie wyższa, znacznie przyjemniejsza dla oka, znacznie lepiej widoczna niż cokolwiek w promieniu wielu kilometrów.

W Levallois-Perret znów dawało się dostrzec podłogę fabryki. Prawie wszystkie metalowe elementy znajdowały się teraz na placu budowy, zostało tylko kilka stosów żelaznych prętów i kilka bezułek nitów. Było wczesne popołudnie, w warsztacie panował spokój. Większość pracujących dla przedsiębiorstwa inżynierów przeniosła się albo do Bretanii, by nadzorować budowę wielkich żelaznych śluz, albo do Panamy, by pracować na terenie dziesięciu wielkich placów, gdzie prowadzono roboty ziemne. Od wielu tygodni Emila nie widziano w jego biurze. Pojawił się dopiero na spotkaniu z Gustawem Eiffelem.

Pomimo zimowych nawałnic i pogłosek, jakoby miały one zdmuchnąć wieżę, zniszczenia były minimalne. Budowla rosła coraz szybciej i wyżej, stale się zwężając, jej szczyt był już niemal na wyciągnięcie ręki. Emil od wielu miesięcy pracował bez przerwy, zrywając się do pracy o świcie i przerywając ją o północy. Nie licząc okazjonalnych wyjść z Alice Arrol, widywał tylko swoją matkę. Wydawało się, że Louise całą energię skupiła na porządkowaniu dokumentów i zamykaniu swoich spraw. Czy już wiedziała?

Nouguier stracił na wadze, twarz miał wymizerowaną, a spodnie wisały mu luźno w pasie. Niedługo wszystko zostanie ukończone. I co potem? Jego matka zobaczy wieżę i wszystko zrozumie. Jeśli jednak nie zdecyduje się oświadczyć, Arrolowie wrócą do Szkocji i Cait zniknie z jego życia.

Malarze rozpoczęli już prace przy czterech nogach wieży, trzymając w rękach wiaderka ciemnorudej farby. Każdy kolejny poziom miał zostać wymalowany nieco jaśniejszym odcieniem niż piętra znajdujące się niżej, aby cała konstrukcja wydała się jeszcze wyższa. Przerwano jednak prace przy windach obsługujących niższe platformy; Eiffel uwikłał się w dyskusję z podwykonawcą na temat hamulców. Zamiast dążyć do kompromisu, firma, amerykańska zresztą, po prostu wstrzymała budowę. Eiffel był tym rozwścieczony. Emil, wspinając się po schodach do biura swojego pryncypała, słyszał, jak ten krzyczy do telefonu:

– Ma pan to zapisane w kontrakcie! Oczywiście, że panu nie zapłacę! Najpierw ma pan zakończyć prace!

Po pustych korytarzach rozniósł się dźwięk słuchawki rzucanej z powrotem na widełki. Po krótkiej ciszy rozległ się znów głos Eiffela.

– Dzień dobry. Proszę o połączenie z bankiem.

Emila doszły plotki, że projekt panamski znalazł się w finansowych tarapatkach. Mówiono o wybuchu zarazy w miejscach prowadzenia wykopów, pojawiały się insynuacje, jakoby zdefraudowano duże sumy. Gustaw starał się to bagatelizować – mówił, że w plotkach rzadko tkwi choćby ziarno prawdy – ale bez wątplenia chciał uniknąć skandalu. Presja, jaką odczuwał, dawała o sobie znać napadami złości i wyraźnie zaznaczała się świeżymi zmarszczkami na jego czole.

Biuro Emila wyglądało dokładnie tak, jak je zostawił: szerokie biurko, deska kreślarska ze stosami rysunków, drewniane pudełko, w którym kiedyś nosił aparat fotograficzny. Na podłodze spał jakiś mężczyzna. Emil ukląkł i odchylił okrywający go koc.

– Monsieur Arrol? – zapytał. – Co pan tu robi?

Jamie usiadł i potarł oczy.

– Nic złego się nie dzieje – odparł szybko. – Całą noc nie spałem, ale wreszcie mnie zmogło.

Wstał i ziewnął. Emil wyczuł bijącą od niego woń tytoniu i alkoholu.

– Życie jest piękne, nie sądzi pan? – zapytał, po czym opadł na jedyne krzesło. – Kiedy ma się kobietę.

Inżynier otworzył okno, choć na dworze było jeszcze zimno. Czy Arrol naprawdę przyszedł do jego biura po to, by mu o tym powiedzieć?

– Wiem. Urocza dziewczyna. Poznałem ją, pamięta pan?

Arrol z westchnieniem rozparł się na krześle i zapatrzył w sufit.

– Nie ona, o Boże, nie. Ta jest wspaniała, piękna, obyta, bogata, nieco starsza ode mnie, ale to bez znaczenia. I namiętna, mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, że mu o tym mówię, tak namiętna, że prawie nie daje mi zasnąć.

Emil usiadł na swoim biurku.

– Ale co z Delphine?

– No tak...

– A nie chciał pan jej przypadkiem wykupić? Ożenić się z nią przed świętami Bożego Narodzenia?

Arrol wstał i obciągnął surdut.

– W każdym razie przyszedłem tu po to, aby podziękować panu za pomoc i wsparcie, którego mi pan udzielił. Wiem, że nie pojawiałem się tutaj tak często, jak powinienem był. Chciałem pana wyciągnąć na miasto.

– Przepraszam, ale mam spotkanie z Gustawem Eiffelem.

– Nonsens – powiedział jakiś głos od drzwi.

W progu stał Gustaw Eiffel.

– Weź sobie dzień wolnego, Emilu. Właśnie to chciałem ci powiedzieć na spotkaniu.

– Nie ma takiej konieczności – powiedział Emil. – Poza tym sądziłem, że chciał pan porozmawiać o windach, czyż nie?

– Poradzę sobie z tym. To nie jest prośba, lecz polecenie. Idź, zobacz się ze swoją uroczą szkocką przyjaciółką. Prawie nie wzięłaś sobie wolnego na święta. Dobrze ci to zrobi.

– Niestety, nie wiem, gdzie ona teraz jest.

– Ja wiem – podsunął Arrol.

– Szczęśliwy traf – rzekł Eiffel. – A więc ustalone.

Pracownia artysty mieściła się w kamienicy stojącej w pobliżu torów kolejowych. Tę dzielnicę nazywano Batignolles, znajdowała się w połowie drogi między rezydencjami otaczającymi park Monceau a nędznymi chałupami Montmartre'u. Tory kolejowe przeorały cały ten obszar wzdłuż i wszerz, wskutek czego nabrał charakteru tymczasowego, ze wszystkimi swoimi hotelami i mieszkaniami wynajmowanymi na krótko, z nastroszonymi gołębiami i bezpiecznymi kotami. Jakiś stary człowiek sprzedawał z wózka marony. Na rogu ulicy żebrak, chłopiec może piętnastoletni, grał na skrzypkach. Arrol uznał, że poczekają w dorożce przed budynkiem, aż jego siostra skończy pozować artyście. Rozmowa kulała coraz bardziej. Emil podejrzewał, że Jamie chce go o coś prosić. I przypuszczał, że wie, o co może mu chodzić.

– Paryż – rzucił Arrol. – Cóż za cudowne miasto!

– Rzeczywiście, ma swoje dobre strony.

– Opuść je z bólem serca. Cóż za dylemat!

Rzucona przez niego uwaga zawisła na moment w powietrzu, ale Emil nie zamierzał podsuwać mu rozwiązania.

– Ile jeszcze będziemy musieli czekać? – zapytał.

– Już niezbyt długo – odparł Jamie. – Będzie zaskoczona, widząc nas.

– Hm. Kim właściwie jest ten artysta?

– Z pewnością pan o nim słyszał. Ma niesprawne nogi... polio. Najlepsze jest jednak to, że jeśli obraz nam się nie spodoba, nie musimy go kupować.

– Naprawdę? Jak się nazywa?

Jamie otworzył usta do odpowiedzi, lecz słowa utonęły w łoskocie przejeżdżającego pociągu.

– Przepraszam, nie usłyszałem.

Ale Arrol nie powtórzył, utkwivszy spojrzenie za oknem dorożki. Emil podążył za jego wzrokiem. Z drzwi wejściowych prowadzących do kamienicy wyszedł elegancko ubrany mężczyzna, w którym natychmiast rozpoznał brata baronowej, Clémenta. Mężczyzna przystanął przed żebrakiem i zaczął przetrząsać kieszenie. Chłopiec zagrał ze zdwojoną energią, patrząc na niego wyczekująco. Zamiast drobnych hrabia wyciągnął jednak fajkę, wetknął ją sobie w usta, zapalił, po czym odwrócił się i skinął komuś po przeciwległej stronie ulicy. Emil dostrzegł drugiego mężczyznę, czekającego pod markizą, który teraz zaczął kuśtykać przez ulicę, podpierając się laską. To był mąż Gabrielle, malarz. Wymienili kilka zdawkowych słów, z rąk do rąk przeszedł banknot, po czym hrabia odszedł niespiesznie, a kaleka wszedł do budynku, otwierając sobie drzwi kluczem.

– Co, u licha? – wyjąkał Arrol.

Nouguier milczał. „Nie – pomyślał – na pewno nie”. Alice Arrol miała przecież opiekunkę. Ale nie, oto zza rogu wyszła Cait. Mijając żebraka, wrzuciła mu do czapki monetę, po czym nacisnęła dzwonek i po chwili została wpuszczona

do środka.

Emil przypomniał sobie słowa Gustawa: „Pieprzy w Paryżu wszystko, co się rusza”. Jamie odwrócił się do inżyniera i przełknął ślinę, a w jego oczach odmalował się niepokój.

– Z pewnością można to jakoś wyjaśnić – powiedział z bladym uśmiechem.
– To na pewno nie to, co pan myśli.

Cait cerowała pończochy Alice w jej pokoju, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Po chwili zapukano ponownie, tym razem głośniej. Gdzie podziała się gospodyni? Cait wkuła igłę w jedwab, ale kiedy pukanie rozbrzmiało po raz trzeci, nie zdzierzyła. Zbiegła z dwóch pięter i otworzyła drzwi. W progu stała starannie ubrana kobieta w średnim wieku, której nigdy wcześniej nie widziała.

– Czy mogę rozmawiać z panem Jamiem Arrolem? – Mówiła z irlandzkim akcentem.

Zmrużyła oczy i zacisnęła usta, kiedy Cait powiedziała jej, że Jamie jest w pracy i ona sama pojęcia nie ma, kiedy wróci. Nieznajoma zerknęła Cait przez ramię, jakby przemyśliwała nad tym, czy by nie wdrzeć się do domu i nie przekonać się na własne oczy. Nie poruszyła się jednak. Ramiona jej unosiły się i opadały, unosiły i opadały.

– Czy mogłabym przekazać jakąś wiadomość? – zapytała Caitriona.

– A czy przekazała pani poprzednią? – odpowiedziała pytaniem kobieta, unosząc brwi.

Kilka tygodni wcześniej Cait zauważyła na ulicy przed domem młodą dziewczynę. Wyglądała, jakby stała tam od dłuższego czasu, krążąc w tę i z powrotem po chodniku. Od czasu do czasu przystawała, obserwując przejeżdżający powóz, lecz kiedy ten się nie zatrzymywał, odwracała się i podnosiła oczy na ich przysłonięte okiennicami okna. Cait otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Mademoiselle – zagadnęła. – Czy mogę w czymś pomóc?

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na nią tak śmiało, że graniczyło to z bezczelnością.

– Czy mieszka tu Jamie? Jamie Arrol?

Cait przyznała, że owszem.

– Dzięki Bogu. – Zamrugnęła nerwowo, próbując powstrzymać napływające łzy. – Czy dobrze się czuje? Czy nic mu się nie przytrafiło? Jak się miewa? Nigdy się nie zdarzyło, by tak długo nie dawał znaku życia. Obiecał, że się pojawi. Ale ta kobieta, pani gospodyni, kazała mi się stąd zabierać.

– Miewa się dobrze – odparła Cait. – Ale jest teraz w pracy. Czy była pani umówiona?

Nie zdążywszy odpowiedzieć, dziewczyna zaniósła się potwornym kaszlem, którego raptownego napadu nie dawało się opanować. W końcu atak minął, pozostawiając ją bladą i bez tchu.

– To tylko przeziębienie – powiedziała, ocierając usta chusteczką. – Jamie ciągle mi powtarza, że nie powinnam spać przy otwartym oknie.

– Może mogłabym podać pani szklankę wody? Może po prostu wejdzie pani do środka?

Młoda kobieta potrząsnęła głową, zadrżała, a potem owinęła się nieco ciaśniej płaszczem.

– Proszę mu tylko przekazać, że była tu Delphine. Czy jest pani jego siostrą?

– Damą do towarzystwa jego siostry.

– Nie miałyśmy okazji się poznać. Jestem jego narzeczoną. I... dziękuję pani.

Było już po północy, kiedy Jamie wrócił do domu, zrywając wszystkich ze snu potężnym trzaśnięciem drzwi wejściowych.

– Gdzie byłeś? – zapytała Alice, wychodząc na podest.

– Poza domem – odparł, idąc na górę po schodach.

Później, kiedy Alice wróciła już do swojego pokoju, Cait zapukała cicho do drzwi Jamiego.

– Była tu dziś dziewczyna, która cię szukała.

– Nie teraz – powiedział i przetarł oczy. – Czy to nie może poczekać do jutra?

Cait weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Powiedziała, że jest twoją narzeczoną. Czy to prawda?

Arrol odwrócił twarz.

– Co ty narobiłeś, Jamie? Coś ty jej naobiecował?

W końcu spojrzał na nią, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– Nic. Absolutnie nic. – Z tymi słowy odwrócił się do niej plecami i zabrał się do zdejmowania butów. – Wie pani, to nie o mnie powinna się pani martwić.

Słowa Jamiego wciąż odbijały się echem w jej głowie. Co on mógł mieć na myśli?

Irlandka nie odrywała od niej spojrzenia, czekając na odpowiedź.

– Tak, przekazałam ją – odpowiedziała wreszcie Caitriona.

Kobieta wypuściła powietrze przez nos i powiedziała coś, czego Cait nie dosłyszała.

– Czy mogłaby pani powtórzyć?

– Mam dla niego kolejną wiadomość. Delphine czekała. Czekala na niego do końca. Do samego końca. Proszę mu to powiedzieć.

A potem pokręciła głową, odwróciła się i zeszła po stopniach.

Chociaż windy już działały, Emil nadal wolał chodzić po schodach. Przystanął teraz, by popatrzeć, jak jedna z nich zaczyna wjeżdżać. Każdy wagon miał dwa poziomy, jak omnibus. Winda minęła go i zatrzymała się z potężnym zgrzytem na pierwszej platformie, tuż nad jego głową. Każdego dnia dziennikarze, oficjale, osoby z towarzystwa i artyści przychodzili, by przyjrzeć się wieży. Choć jej szczyt nie został jeszcze zmontowany, było mnóstwo innych rzeczy do oglądania: restauracje, tarasy widokowe i rozciągająca się z nich panorama. A Eiffel często bywał teraz obecny; witał gości i rozplýwał się w zachwytach.

– Monsieur Nougier! – huknął z góry męski głos. – Nareszcie.

Na schodach, tuż poniżej pierwszej platformy, siedział Jamie Arrol. W Emilu serce zamarło – czego on znowu chciał? Natychmiast spostrzegł jednak, że stało się coś okropnego. Nie była to tylko sprawa jego brudnych ubrań i nieogolonej twarzy, lecz malującego się na niej wyrazu na wpeł uświadomionego przerażenia.

– O co chodzi? Co się stało?

Arrol wbił spojrzenie w żelazną kratownicę pod stopami, a Emil poczuł wzbierającą w nim panikę.

– Czy chodzi o Cait?

– Panią Wallace? Nie, u niej wszystko w porządku, wręcz nie mogłoby być lepiej.

– A więc o pana siostrę?

Arrol pokręcił przecząco głową, po czym przełknął ślinę, jakby zbierając się, by coś powiedzieć. A kiedy wreszcie przemówił, słowa popłynęły wezbranym, niepowstrzymanym strumieniem.

– Pochowali ją, zanim zdążyłem tam dotrzeć... Oczywiście zapłaciłem rachunek, był raczej skromny, ale przynajmniej tyle, przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Nougier nagle zrozumiał. Pokój Delphine, zapadnięte, poplamione łóżko, kwaśny odór śmierci, jakby słowa Arrola przywołały okropny obraz takiej nędzy i beznadziei, że doznał złudzenia, jakby widział ją na własne oczy.

– Przykro mi.

Jamie przygryzł wargę i nagle wydał mu się taki młody, w gruncie rzeczy jeszcze chłopiec, że Emil wyciągnął obie ręce i objął go. Arrol załkał mu w ramię, wstrząsany szlochem z żalu, którego nie dawało się wytłumaczyć, zrozumieć ani wyrazić słowami.

Zaledwie kilka metrów wyżej przy barierce zgromadził się tłum ludzi, którzy podziwiali widok i wskazywali sobie Sacré Coeur i plac Gwiazdy.

– Mówiłam mężowi, że to bezpieczne, ale i tak nie chciał przyjść – powiedziała jedna z kobiet.

– Boże mój... – rzekł jakiś mężczyzna, dostrzegłszy stojących niżej Arrola i Emila.

W końcu Jamie odsunął się i otarł twarz rękawem.

– Robię z siebie głupca – powiedział, po czym ruszył w dół po spiralnych schodach, coraz niżej i niżej. Emil postąpił jego śladem, doganiając go tuż powyżej kasy biletowej na niewielkim podeście, kilka metrów nad ziemią. Milczeli przez chwilę. Poniżej jakiś mężczyzna biegł do omnibusu, jakieś dziecko krzychało: „Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie!”, jakaś kobieta się śmiała.

– Rozumie pan, kochałem ją. Znacznie bardziej niż wszystkie inne.

– Nic pan nie mógł zrobić.

Na moment zapadło milczenie. Emil przypomniał sobie nagle niedawną euforię Arrola.

– Czy widział się pan ostatnio z baronową? – zapytał.

Jamie zaśmiał się gorzko i urywanie.

– A jak pan sądzi?

Powiał silny, zimny wiatr. Zaczęło padać.

– Nie mogę tu zostać, ale i nie mogę wrócić do domu. – A potem odwrócił się i spojrzał inżynierowi prosto w oczy. – Emilu, pomożesz mi? Niech Eiffel wyśle mnie do Panamy. Do pracy przy kanale. Muszę stąd uciec.

Emil wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z płuc. Wiedział, jak to jest, kiedy na moment straci się piłkę z oczu, bo człowiek pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Łatwo było się łudzić, pomijać niewygodne fakty, sądzić, że ludzi i okoliczności można urabiać wedle naszych pragnień, gdy tak naprawdę było zupełnie odwrotnie. Przypomniał sobie ten dzień sprzed kilku tygodni – dzień, w którym Arrol zabrał go do pracowni artysty. Cait była uprzejma, lecz zdystansowana.

– Czy mogę zobaczyć obraz? – zapytał, gdy niezręczna cisza stała się nieznośna.

– Jeszcze nie – powiedział malarz znad zlewu, myjąc swoje pędzle. – Nie jest jeszcze skończony.

Ale Emil nie usłuchał, nie zamierzał. Ściągnął białą płachtę ze sztalug, o które oparto rzekomo niewykończone płótno. Było zupełnie czyste. Artysta zachnął się i zbeształ go, mamrocząc coś o szkicach i pracach wstępnych i jednocześnie zakrywając płótno, zanim ktokolwiek jeszcze zdążył je zobaczyć.

– Czy to ciężka praca? – zapytał Emil pannę Arrol, gdy była już gotowa do wyjścia. – Pozowanie do portretu?

Przytaknęła, że owszem, i uśmiechnęła się. Zwiodła Cait, ale nie jego.

– Ale jest w tym też pewna przyjemność – ciągnęła. – I niemało bólu.

Ześliznął się spojrzeniem na bok jej sukni zapinanej na rząd guziczków z masy perłowej. Zapięto je krzywo: przeoczono jedną dziurkę na samej górze,

przez co guziczek na samym dole pozostał niezapięty.

– On jest tak zręczny – ciągnęła – tak doskonale rozumie ludzkie ciało. Można powiedzieć, że jest prawdziwym specjalistą.

– Dziwne, że nie jest szerzej znany – zauważył Emil.

– Ależ jest! – odparowała Alice nieco zbyt gwałtownie. – W środowisku artystycznym.

Jakiś mężczyzna wykrzyknął coś z wyższego poziomu wieży. W łoscocie zgrzytającego metalu, w syku wody winda zaczęła zjeżdżać z pierwszego piętra. Gdy przejeżdżała obok, Emil zauważył, że jeśli nie liczyć operatora, jest całkiem pusta.

– Pomożesz mi? – zapytał znów Arrol. – Słyszałem, że statek odpływa pojutrze. Mógłbym złapać dyliżans pocztowy. Zapytasz Eiffela?

Policzki mu pałały, oczy miał zaczerwienione.

– Dobrze – odparł Emil. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Jamie przełknął ślinę i uśmiechnął się blado.

– Chciałbym wielu rzeczy – powiedział cicho. – Tylko część z nich może się spełnić. Przynajmniej w tym życiu.

Kilka chwil później winda minęła ich po raz kolejny, tym razem nabita mężczyznami w cylindrach z bobrowej skóry i kobietami w płaszczech podróżnych. Na moment ich spojrzenia zatrzymały się na kołyszących się metalowych łańcuchach, kontrastujących ze sztywnymi żelaznymi podporami stanowiącymi nogi konstrukcji, po czym winda stanęła ze zgrzytem wysoko nad ich głowami.

Cait przesunęła palcem po kalendarzu ze spotkaniami Alice: przymiarki u krawcowej, lekcje francuskiego, pozowanie do portretu, wizyty u fryzjera. Tego popołudnia przychodziła wreszcie uchodząca za najlepszą w mieście gorseciarka, do której kolejki ustawiały się na wiele miesięcy naprzód. Cait zbłądziła wzrokiem na miesiąc i rok. Czy to możliwe, że jest już 1889? Czas prześliznął się jej przez palce jak jedwabna nitka. Jeszcze tylko niecałe trzy miesiące, a ich czas w Paryżu dobiegnie końca i o ile nie zdarzy się coś zupełnie nieoczekiwanego, wyjadą do domu. Cait zaoszczędziła większość pieniędzy, jakie zapłacił jej William Arrol, i miała w banku około siedemdziesięciu funtów, które wystarczą jej przynajmniej na podróż. Samotne kobiety, owdowiałe lub niezamężne, przyjmowano regularnie, jak słyszała, do pracy misyjnej w Johannesburgu, Basuto, Natalu czy Kaffrarii. Nie wróci do Szkocji. W każdym razie nie na dłużej niż to konieczne.

Unikała patrzenia na siebie w lustrze. Niezależnie od pogody każdego ranka wychodziła na spacer. Pomagało jej to uporządkować myśli, utrzymać się w ryzach. Bo była smutna, smutniejsza niż kiedykolwiek, a wiedziała, że nie ma do tego prawa, absolutnie żadnego prawa. Miała nadzieję, że tego nie widać, że ton jej głosu i przygarbione plecy nie zdradzają mroku, który w sobie nosiła. Na wszelki wypadek mówiła radośniej, stawała prościej, udawała. Kiedy jednak to wszystko zaczynało ją przerastać, wymawiała się, szła na górę do swojego pokoju i zwijała się na łóżku jak zdychające zwierzę. Powtarzała sobie, że pojedzie do Afryki i nigdy nie wróci.

Corsetière przyniosła ze sobą mnóstwo rozmaitych modeli. Żaden nie pasował. Alice stała w sypialni w białej bawełnianej koszulce. Cait objęła wzrokiem jej pełne piersi i zaokrąglony brzuch.

– Jem za dużo chleba – powiedziała Alice, kiedy gorseciarka otaksowała ją sceptycznym spojrzeniem.

– Kiedy? – zapytała Cait, gdy gorseciarka wreszcie sobie poszła.

Alice usiadła na łóżku.

– Kiedy miałaś ostatnie krwawienie?

– Nie pamiętam. Zawsze wylatuje mi to z głowy.

Jej twarz zastygła w wyrazie bolesnego znużenia. Cait wstała. Ogarnęła ją fala niepokoju. Nagle zrozumiała, że po raz kolejny poważnie pomyliła się w ocenie człowieka.

– Nie! Powiedz mi, że to nieprawda.

Alice zeszytywniała, słysząc panikę w głosie pani Wallace.

– To tylko chleb! – powtórzyła i odwróciła się.

Cait chwyciła Alice za nadgarstek i obróciła ją z powrotem.

– Nie kłam mi!

Po policzkach dziewczyny potoczyły się ogromne łzy.

– W Paryżu oni tak właśnie robią – odezwała się cichym głosem. – Gabrielle mi powiedziała.

– Kiedy? Jak? – Ale wszystko nagle ułożyło się w jedną całość i żadne wyjaśnienia nie były tu konieczne. Pozowanie w pracowni artysty.

Cait chwyciła Alice za ramiona. Miała chęć potrząsnąć nią, wbić jej trochę rozumu do głowy. Dziewczyna była taka naiwna, taka łatwowierna, a Gabrielle podała ją jak na talerzu.

– Jak mogłaś?

Alice skrzywiła się. I nic dziwnego. Cait usłyszała swój ton: cierpki i złośliwy.

– Proszę się tak nie wściekać – powiedziała Alice cicho. – Wszyscy mają swoje „od czwartej do piątej”. Tak to określiła. – I rozszłochała się, zrozpaczona i przejęta sobą jak dziecko. – Ale to się wcale nie miało tak skończyć! Dlaczego on postanowił poślubić tę brzydką, starą Amerykankę? Dlaczego, skoro kocha mnie?

– Chyba nie masz na myśli malarza, prawda?

– Męża Gabrielle? Oczywiście, że nie – powiedziała Alice, ocierając oczy rękawem. – Ale to był mój pomysł, nie jej.

– No więc od kiedy?

Alice przełknęła z trudem ślinę.

– Wie pani, że widziałam go na przedstawieniu baletowym, a potem w Lasku Bulońskim. A potem, kiedy przymierzałam tę suknię, suknię ślubną, podsłuchałam, jak jakieś kobiety rozmawiają o lodowisku. Widziały go tam.

– I tam się to wszystko zaczęło?

Alice pokręciła głową.

– Ledwie co go widziałam. W każdym razie wówczas. Dopiero w...

– Luwrze?

Alice skinęła głową.

– I podczas pozowania?

Alice pokręciła głową.

– Gabrielle to wszystko zaaranżowała – powiedziała cicho.

Cait wstała. Była tak wściekła, że nie wysiedziałyby ani chwili dłużej. Gabrielle zdradziła je obie, przekreśliła przyszłość Alice. Ale dlaczego?

– Co ja narobiłam? Jaka ja jestem głupia. Proszę na mnie nie krzyczeć, pani Wallace. Nie jestem taka jak pani. Nigdy nie będę. Dlaczego w ogóle tu przyjechaliśmy? Żałuję, że się zdecydowałam.

Jej głos był bezbarwny, ale z oczu płynęły strumienie łez. Przełknęła raz i drugi, próbując je powstrzymać. Jakby dopiero teraz dotarła do niej powaga sytuacji.

Cait zamknęła oczy. Kolejny raz modliła się o siłę.

– Alice – powiedziała, wyciągając ręce. – Chodź tutaj.

Siedziały w milczeniu w gasnącym świetle dnia.

– Powie pani Jamiemu? – wyszeptała Alice. – Już od tyłu dni go nie widziałam.

Nie powiedziała tego, o czym obie myślały. W którym łóżku spał? Która kobieta zasługiwała teraz na jego względy?

W pokoju Jamiego panował większy porządek, niż Cait się spodziewała. Łóżko było zaścielone, lecz drzwi szafy były otwarte na oścież. W środku nie wisało nic poza surdudem i kilkoma koszulami frakowymi. Szuflady komody też były puste. Pierścień w żołądku Caitriony zacisnął się mocno.

– Kiedy mówiłaś, że widziałas go ostatnio? – zapytała.

– Nie pamiętam – odpowiedziała Alice. – Ale wie pani, jaki on jest. Pewnie wraca do domu, jak już śpimy. I znów wychodzi. Szuka przygód. Mężczyźni mogą sobie na to pozwalać bez konsekwencji.

I w tym momencie jednocześnie dostrzegły liścik oparty na nocnym stoliku.

Kilka tygodni później runął projekt budowy Kanału Panamskiego. Budująca go spółka została oficjalnie rozwiązana i wyznaczono jej likwidatorów. Osiemset tysięcy inwestorów straciło całość włożonych w projekt pieniędzy. Emil znalazł Gustawa Eiffela siedzącego w płaszczu w swoim gabinecie w Levallois-Perret.

– Wciąż pan tu jest!

– Nie mogę pójść do domu – odparł Eiffel. – Widział pan gazety?

Według „Le Monde” straty wyniosły półtora miliarda franków. Emil skinął głową.

– Od jak dawna pan wiedział?

Eiffel wyprostował się i zapatrzył w przestrzeń.

– Krążyły pogłoski, ale nie sądziłem, że to możliwe. Myślałem, że rząd francuski do tego nie dopuści.

– A jednak.

– W rzeczy samej. Rozlokowali oddziały wokół terenów budowy w Panamie i wysłali okręty wojenne. Okręty wojenne! Co oni sobie wyobrażali? Że Francuzi przepłyną Atlantyk, chwycą za broń i zaatakują?

– Co pan zamierza?

– Będę pracował dalej. Mam tam sześć tysięcy ludzi. Większa część elementów stalowych została już wykonana i przetransportowana na miejsce. Spodziewają się, że teraz się wycofam? Za kogo oni mnie uważają?

Urwał, ale najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi.

– Nie przerwę prac konstrukcyjnych – ciągnął. – Rząd będzie musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. A na razie zamierzam trzymać się pierwotnego harmonogramu. Tu nie chodzi tylko o Gustawa Eiffela, tu chodzi o reputację całej Francji!

Wstał i wygładził płaszcz.

– Musimy działać, jakby nic się nie stało. Mam zaproszenie na dzisiejszy Salon. Wybiera się pan?

Nouguier się zawahał. Eiffel zmrużył oczy.

– Będzie muzyka. Wszyscy twierdzą, że pojawi się Debussy, ten kompozytor.

– Muszę pójść zobaczyć się z matką. Marnie się miewa.

– Mógłbyś odwiedzić ją rano. Przyjdiesz, Emilu? Proszę cię nie jako współpracownika, lecz jako przyjaciela.

Wystawa odbywała się w dużej posiadłości wychodzącej na rzekę. Claude Debussy, ciemnowłosy młody mężczyzna o nieco kpiącym wyrazie twarzy, rzeczywiście się tam pojawił i miał zagrać swoje nowe kompozycje. Jeśli nie liczyć zdawkowego powitania gospodyni, żony paryskiego bankiera, wszyscy omijali ich szerokim łukiem. Nikt z nimi nie rozmawiał, nikt nawet nie zerkał w ich stronę.

– Stałem się pariasem – powiedział Eiffel, biorąc dwa kieliszki szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. – Jak szybko można upaść w tym pięknym mieście. Napij się i nie żałuj sobie kolejnego. Powiedziałbym, że przynajmniej tyle możemy zrobić, żeby się zabawić.

Nie mając z kim porozmawiać z wyjątkiem Eiffela, Nouguiier przyjął rzucone przez niego wyzwanie. Szampan spływał mu gładko do gardła, szybko więc stracił rachubę wypitych kieliszków. Wracał właśnie z toalety, kiedy spostrzegł, że Gustaw rozmawia z jakąś kobietą.

– Emilu! – zawołał, zauważywszy go. – Ta młoda dama powiedziała mi właśnie, że się znacie.

Kobieta odwróciła się, a Emila przeszedł dreszcz. To nie była przypadkowa kobieta.

– Może powinieneś nas sobie przedstawić? – przynaglił go Eiffel.

– Sama mogę dokonać prezentacji – powiedziała kobieta, wyciągając rękę. – Mam na imię Gabrielle.

– Bardzo mi miło – odrzekł Eiffel.

Gabrielle odwróciła się na powrót do Emila.

– Mamy wspólnych znajomych – oświadczyła.

– Naprawdę?

– Alice Arrol. Urocza dziewczyna. – Wyraźnie czekała na jego reakcję. W co ona z nim grała? – Czy już się oświadczyłeś?

Gustaw gapił się na niego z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego ludzie ciągle mnie o to pytają? – Emil wzruszył ramionami. – Nie ma pośpiechu.

Uśmiechnęła się swoim całkiem uroczym uśmiechem, po czym wyciągnęła ostatnią kartę z rękawa: wnosząc z tonu jej głosu, prawdziwego asa.

– Ależ Emilu, słyszałam zupełnie co innego. A w takiej sytuacji czas ma kluczowe znaczenie, nieprawdaż?

– Zaczynają – wtrąciła się gospodyni. – Możecie sobie poplotkować po recitalu.

W sali balowej ustawiono wielki fortepian. Do Debussy'ego przysiadł się inny muzyk; to był utwór na cztery ręce. Emil próbował słuchać muzyki, skupić się na płataninie nut i melodii. Gabrielle stanęła po lewej stronie Eiffela, ale jej słowa wciąż paliły go jak żądło osy.

– Muszę się napić wody – wyszeptał do Eiffela, po czym przeprosił i odszedł.

Przeszedł przez cały dom, mijając służące zbierające puste kieliszki i parę starszych opiekunek, które w milczeniu robiły na drutach, po czym pokonawszy szeroki hol, w którym wyeksponowano gobeliny i sewską porcelaną, wyszedł do oranżerii. Było tam ciszej, chłodniej, pod szklanymi ścianami zwisały pióropusze

palm i juk. Próbował uporządkować myśli, zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazł, ale w głowie kręciło mu się jeszcze od szampana i kwaśnego smaku własnej konsternacji.

– Emilu – powiedział jakiś głos. Odwrócił się. To był Gustaw.

– Słyszał pan o tym? – zapytał Emil.

Eiffel skinął głową, po czym usiadł na wiklinowym krześle.

– Będzie z niej miła żonka – zauważył.

Emil był na granicy wytrzymałości nerwowej, pot spływał mu po ciele, a serce waliło jak młotem.

– Co pan powiedział?

– Wiesz, co sędzę. Małżeństwo, rodzina dobrze ci zrobią.

– To nie jest moje dziecko! – syknął Emil.

Eiffel uniósł brwi i odchylił się na oparcie krzesła. Zapalił cygaro i zaciągnął się głęboko.

– Zalecałeś się do niej. Publicznie!

– Ale nie spałem z nią.

– Musisz jednak postąpić jak dżentelmen i poślubić ją.

– A jeśli nie?

Gustaw Eiffel wziął głęboki wdech.

– Pracujesz dla mnie – odparł. – Cieszę się pewną reputacją. A w tym mieście reputacja jest wszystkim, wiesz o tym.

– Usłyszał pan, co powiedziałem?

Eiffel wstał.

– Moja firma ucierpiała już w wyniku niezawinionego przeze mnie skandalu – odpowiedział krótko. – Po prostu nie mogę sobie pozwolić na kolejny tuż przed otwarciem wieży. Nie mogę sobie na to pozwolić, Emilu.

– Czy to groźba?

Eiffel strzepnął popiół do stojącej w donicy palmy.

– Ożeń się z tą dziewczyną. I weź sobie kochankę.

Nouguier pokręcił głową.

– A jeśli nie mogę tego zrobić?

Eiffel położył dłoń na jego ramieniu.

– Porozmawiamy o tym rano. Uwierz mi, naprawdę nie chciałbym cię zwalniać.

Z sali balowej dobiegły ich oklaski. Eiffel pożegnał się z nim i ruszył z powrotem na przyjęcie.

Emil opadł na kamienną ławkę. Pragnął Cait, całe życie pragnął tylko Cait. Powinien był jej posłuchać. Powinien był zerwać kontakty z nią, kiedy go o to poprosiła. I wtedy pojawiła się kolejna myśl. Czy wiedziała? Czy miała w tym wszystkim swój udział? Czy celowo wepchnęła go w ramiona Alice? Ale wiedział,

wiedział bez cienia wątpliwości, że wszystko to było sprawką Gabrielle. Nie miał pojęcia jak ani kiedy, ale był tego pewien. To była jej zemsta, jej odpłata.

Nagle uświadomił sobie obecność mężczyzny stojącego obok niego w półmroku i palącego cygaro.

– Nie wiem doprawdy, o co tyle hałasu – powiedział mężczyzna. – Ten kompozytor, jak mu tam? – Hrabia spojrzał wprost na Emila, przystojna twarz przybrała zachęcający i pytający jednocześnie wyraz.

– Debussy.

– O, właśnie. Wolę balet. Przynajmniej jest na czym oko zawiesić, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Zaśmiał się – krótkie chłopiące parsknięcie podszyte wulgarnymi podtekstami. Emil zastanawiał się później, czy gdyby hrabia się nie zaśmiał, gdyby mówił dalej o tym, czy nie potrafi pokochać impresjonizmu w muzyce, wynik byłby całkowicie odmienny. Ale jego śmiech odbił się echem od szklanych ścian ogrodu zimowego i drwił z niego, przefiltrowany przez gładkie liście. Emil nie pamiętał dokładnie, jak się to wszystko potoczyło, nie potrafił sobie nawet przypomnieć, by podjął świadomą decyzję, ale zamiast przytaknąć, odkrył nagle, że trzyma w garści kołnierz hrabiego.

– Czy twoja rozpusta nie ma końca? – wyszeptał.

Hrabia gapił się na niego, mrugając zaskoczony.

– Nawet pana nie znam! – Zakaszłał.

Emil chwycił go mocniej, powodowany gniewem, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwał. W tym konkretnym momencie było dla niego absolutnie jasne, że ten ubrany w elegancką jedwabną koszulę mężczyzna o przystojnej twarzy i znakomitym pochodzeniu był winien wszystkich krzywd, nienawiści, bólu i udręk tego świata, całej tej nierówności, niesprawiedliwości i hipokryzji, utraty wszystkich, których Emil kiedykolwiek kochał. A przecież był niedostępny, nietykalny, obojętny na wyrządzane przez siebie szkody. Nouguier nigdy w życiu nie pragnął niczego tak mocno jak tego, by odpłacić mu pięknym za nadobne.

– Monsieur! – rozległ się jakiś głos za jego plecami. To była jedna z przypominających wrony opiekunek. W rękach wciąż trzymała robótkę, okulary zsunęła na czubek nosa.

Emil puścił kołnierz hrabiego i zatoczył się w tył, czując, jak gniew opada z niego jak liche rusztowanie. Kręciło mu się w głowie, jakby krew w żyłach musowała całym wypitym przez niego szampanem.

Tamten prawie się nie poruszył, zaczął tylko rozmasowywać sobie szyję, a jego twarz skurczyła się w wyrazie paniki.

– Ale o co właściwie mnie pan oskarża?

– Nazwać pana kurwą – powiedział Emil – byłoby obrazą tego zawodu. Nie, panie, pan jest zwykłym hrabiowskim chujem.

Ruszył do drzwi, potykając się na progu. Kompozytor wciąż grał, służące wciąż zbierały kieliszki – minęło zaledwie kilka minut – ale Emil wiedział, że osnowa jego świata została bezpowrotnie zerwana.

Było wcześniej, tak wcześniej, że całe miasto spowijała jeszcze delikatna mgiełka. Cait leżała z zamkniętymi oczyma, lecz kiedy zrozumiała, że sen odszedł i nie powróci, wstała i pchnęła okiennice. Pokój wypełnił się miękkim światłem, odbijającym się od lustra i oprawionych za szkłem, przedstawiających rośliny kwasorytów wiszących na ścianie. Ranek był nieporuszony jak staw, powietrze było rozrzedzone i czyste jak woda.

Bez Jamiego dom wydawał się pusty. Chociaż chłopak rzadko w nim bywał, w każdej chwili można się było go spodziewać. Cait uzmysłowiła sobie, że przywykła do nasłuchiwania jego kroków, notowania każdego skrzypnięcia podłogi, każdego trzaśnięcia drzwi, wyrobiła sobie szósty zmysł, ostrzejszy niż powonienie, którym potrafiła wyczuć jego obecność.

– Panama! – załkała Alice, gdy Cait odczytała jej wiadomość, po czym porwała ją z rąk swojej opiekunki i przeczytała jeszcze raz sama. – Jak on mógł? – szlochała.

Podczas posiłków stół nakrywano odtąd dla dwóch, nie dla trzech osób. Dom wydawał się zbyt cichy. Garderoba była na wpół opróżniona, płaszcze nie potrafiły wypełnić szaf. A nieobecność Jamiego wydawała się narastać, aż wreszcie wspomnienie o nim zaczęło zajmować więcej miejsca, niż kiedykolwiek zajmował on sam.

W kwestii Alice należało podjąć pewne decyzje, skonsultować się z lekarzami i zdobyć na wyznania, ale wszystko to było jeszcze zbyt okropne, zbyt świeże, by można się było z tym zmierzyć. Jak Cait miała powiedzieć Williamowi Arrolowi o stanie jego bratanicy? Jak miała wyznać, że jego bratanek uciekł do Ameryki Środkowej? Jeszcze przez jakiś czas, miesiąc czy dwa, mogły wypierać prawdę. Caitriona poszła więc za przykładem Alice i żyła tak, jakby nic się nie stało. Zrobi coś, ale jeszcze nie dziś.

Rozłożyła na łóżku swoje ubrania: pantalony i koszulkę, halkę, pończochy, tiurniurę i gorset. Wybrała ciemnozieloną suknię spacerową ze stójką, z wąskimi rękawami i niedużą tiurniurą, kupioną – niedrogo – w domu handlowym.

Kiedy zdejmowała krótką koszulkę na ramiączkach, którą wkładała do snu, kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze: długie, ciemne, rozpuszczone włosy, bosa stopy, nagie ciało. Powiodła dłońmi po piersiach, biodrach, udach... Tak widział ją Emil, nieskrępowaną gorsetem, niezapiętą, niewyszykowaną, niezasnurowaną, lecz zdolną oddychać długo i głęboko, wyciągać się i wyginać, rozpływać się i ulegać.

Odwróciła się od swego odbicia. Przez głowę przemknęła jej myśl, że jej biała skóra i miękkie piersi nie są już przeznaczone dla niczyich oczu z wyjątkiem jej własnych. Nikt już jej nigdy nie pozna. Szybko się ubrała: najpierw biała

bawełniana koszulka i pantalony, potem gorset, czarny, z fiszbinowymi i stalowymi usztywnieniami, którego tyrania łuków klepsydrowych nadawała jej ciału pożądany kształt. Zamocowała w talii drucianą tiurniurę – sterczącą z tyłu klatkę. Trzewiki sznurowane wysoko z przodu, pończochy, których zamocowanie do gorsetu wymagało nie lada zręczności, i wreszcie ostatnia warstwa, suknia spacerowa ze wszystkimi jej fałdami i zakładkami, z guzikami i wąskimi mankietami z zielonego adamaszku.

Przy drzwiach wejściowych upięła włosy i umocowała szpilkami toczek z filcu i aksamitu, naciągnęła rękawiczki i wzięła do ręki torebkę. Wreszcie wyszła na ulicę, starając się nie zwracać uwagi na ucisk gorsetu i szturchanie drutu, groźbę opadnięcia lewej pończochy, ciężar tkaniny, stali, koronki i fiszbinów – i pot, który zaczynała już czuć pod pachami. Poranna mgła się podniosła. Powietrze było gęste od dławiącego dymu tysięcy pieców węglowych. Służące spieszyły do pracy, mężczyźni wolnym krokiem podążali do swoich biur, a mali chłopcy ściskający torby książek pędzili co sił w nogach do szkoły. W ciągu dziesięciu minut Cait minęła sześć kobiet, a wszystkie trzymały głowy wysoko i w żaden sposób nie dawały po sobie poznać, że ich stroje kryją dodatkowe obciążenie, a bycie ubraną jest już samo w sobie udręką.

Znalazła w parku pustą ławkę i przysiadła na chwilę. Do wiosny było jeszcze daleko, ale w trawie już kwitły żółte i fioletowe krokusy. Szeroką ścieżką biegła kobieta, jakby kogoś szukając, tak to w każdym razie wyglądało. Kiedy podbiegła bliżej, Cait ją rozpoznała. To była ich gospodyni. I to jej szukała.

Krzyki Alice słychać było już od drzwi wejściowych. Leżała zwinięta w pościeli, przeszywana bólem. Chwyciła Cait za rękę i przytrzymała ją.

– Ja tu umrę – powiedziała.

Lekarz nie podzielił tej opinii. Zakrwawione prześcieradła zabrano i wygotowano, przepisano natomiast dwa miesiące odpoczynku w łóżku i lekkostrawną dietę. Nikt nie powiedział otwarcie, co się wydarzyło ani co to wszystko znaczy. To było błogosławieństwo z rodzaju zbyt koszmarnych, by się o nie modlić – niemniej błogosławieństwo.

Trzy dni później Alice zeszła na śniadanie. Była blada i miała zaczerwienione powieki.

– Powinnaś leżeć w łóżku – zauważyła Cait.

– Nie zdołam leżeć już ani chwili dłużej. Mam wrażenie, jakbym zamieniała się w skamielinę.

– Jak się czujesz?

Alice skinęła głową i wzięła sobie tost. Cairiona popijała herbatę z filiżanki. Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła łyzy skapujące po brodzie dziewczyny na porcelanowy talerz.

– Muszę się zobaczyć z Gabrielle. Nie odpowiada na moje listy i muszę się

dowiedzieć dlaczego.

Cait przez chwilę milczała. Czy ona nie zdawała sobie sprawy z tego, co zrobiła Gabrielle? Zawiodła ich zaufanie, pozwoliła hrabiemu wykorzystać Alice, zrujnowała jej życie.

– Alice... – zaczęła.

– Wiem, co pani zaraz powie. Ale nie, ona tylko próbowała mi pomóc. Jestem o tym przekonana. Coś musiało się jej stać. Nigdy nie poprosiłaby mnie o pieniądze, gdyby nie zamierzała ich zwracać.

– Dałaś jej pieniądze?

Alice zaszkliły się oczy. Skinęła głową.

– To była pożyczka, zwykła pożyczka. Dla przyjaciółki. Proszę jej nie oceniać, pani Wallace. Po prostu muszę z nią porozmawiać.

Alice wpatrywała się w nią błagalnie. Jak mogłaby jej odmówić?

– Gdzie ona mieszka?

– Dokładnie nie wiem.

– Ale przecież pisałaś do niej?

– Ma skrzynkę pocztową. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale wszystko mi wyjaśniła. Często się przeprowadza i tak jest jej wygodniej. Ale wiem, który urząd pocztowy ją obsługuje.

Dopiero trzeciego dnia, i to późno, kiedy Cait gotowa już była się poddać, Gabrielle pojawiła się na poczcie. Była ubrana na czarno, tiurniurę upięła w niską fałdę, kapelusz nasunęła na oczy. Cait wyszła z kawiarni, w której siedziała, i ruszyła za nią. Gabrielle szła szybko, nieomal biegła. Skręciła w prawo i skierowała się w stronę rzeki. Po dwudziestu minutach dotarła do chińskiej dzielnicy rozciągającej się wokół Gare de Lyon, a potem skręciła w uliczkę orientalnych sklepików.

Cait powoli przeszła wzdłuż rzędu straganów, na których sprzedawano warzywa, świeże ryby, kolorowe kimona i papierowe lampiony. W ostatnim sklepie, inaczej niż w pozostałych, witrynę zasłonięto roletą. Zerknęła przez drzwi, a te kilka chwil później otworzyły się na oścież i jakiś Chińczyk zaprosił ją do środka. Powietrze było gęste od zapachu tytoniu i czegoś jeszcze, czegoś słodkiego, jakby żywicy. Chińczyk wprowadził ją korytarzem do dużej sali bez okien. W ścianę wbudowano rząd alków z drewnianymi łóżami spowitymi zasłonami i cienkimi chustami. Kilku zajmujących je gości wdychało dym przez fajki. Gabrielle leżała na ostatnim łóżku po lewej, oczy miała zamknięte, ręka zwisała jej znad krawędzi materaca.

– Czy chce pani dymu? – zapytał Chińczyk. – Damy lubią dym.

Klucz gęsi leciał na południe ponad Île de la Grande Jatte tak nisko, że słyhać było, jak ptaki świergoczą cicho ze sobą; ich skrzydła wydawały się ubijać powietrze niczym masło w maselnicy. Niebo zasnuły chmury ciężkie od deszczu. Wszystkie krowy na polach za rzeką położyły się na ziemi. Emil przekroczył wąski żelazny most godzinę wcześniej, usiadł na jednej z ławek z widokiem na Sekwanę i jął czekać.

Dwa dni wcześniej ustawił swój nowy aparat fotograficzny na drugiej platformie, wychodzącej na południe w kierunku Montparnasse'u. Czternasta dzielnica zniknęła we mgle, zanurzyła się w bieli jak zbyt długo wywoływana odbitka. Emil uzmysłowił sobie, że ktoś stojący za nim oddycha ciężko. Był to młody mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widział. Mężczyzna wręczył mu list.

– Co to jest? – zapytał Emil.

– Proszę otworzyć – zasugerował młodzieniec.

Nadawcą listu był hrabia. Czytając go, Emil zaczął się śmiać.

– Czy to jakiś żart?

Mężczyzna pokręcił głową.

– A więc? Stawi się pan?

– A co się stanie, jeśli się nie stawię?

Tamten podrapał się za uchem. Najwyraźniej taki scenariusz nie przyszedł mu wcześniej do głowy.

– Czy jest pan człowiekiem honoru?

– Oczywiście!

– A więc znam już odpowiedź na swoje pytanie.

Miejsce spotkania wyznaczono w małym zagajniku na najwyższym brzegu wyspy. Pojedynki były nielegalne, wyspa była więc idealnym miejscem: dostępnym, a jednocześnie oddalonym od głównych traktów. Podczas weekendów chętnie wybierano się tutaj na spacer. Na swoich obrazach Seurat odmalował popołudniowy tłum, czekające psy, łkające dzieci i promienie zachodzącego słońca przeświecające przez gałęzie wierz. Teraz, we wczesny niedzielny poranek, nie było tutaj nikogo.

Emil spodziewał się, że dostaną pistolety, a potem każdy z nich odda jeden strzał „do śmierci albo do pierwszej krwi”. Nawet terminologia wydawała się staroświecka i teatralna. Bo przecież to była gra, popis zuchwałości w wykonaniu podstarzałych uczniów. Nagle zobaczył swoje życie jakby z oddali, jakby obracał się w kokonie, który sam stworzył, od jednej fatalnej decyzji do drugiej, od Gabrielle do Cait, od żalu do przejmującego smutku, w nieustannie zacieśniającym się splocie. Pomyślał, że może właśnie na to sobie zasłużył. Za wszystko, co

w życiu zrobił, za wszystkie występki i samolubne decyzje, za każdą złośliwość i nieczułość. Śmierć od pojedynczej metalowej kuli była stosownym końcem dla człowieka, który całymi dniami spinał świat za pomocą metalowych nitów.

Wstał, usłyszawszy odgłos stóp na żwirze. To był hrabia z tym samym młodym człowiekiem, który dostarczył list. Tym razem niósł duże drewniane pudło.

– Gdzie jest pański sekundant? – zapytał hrabia. Z ust czuć mu było alkohol, jego ubrania cuchnęły seksem.

– Nie mam sekundanta.

Mężczyźni odwrócili się i zaczęli się naradzać gwałtownym szeptem.

– Pańska strata – powiedział wreszcie hrabia.

Otwarto pudło. W środku leżały dwa pistolety. Emil wybrał jeden z nich. Był zimny i ciążył mu w dłoni.

– Mój sekundant nabije – powiedział hrabia.

– Z jakiej odległości będziemy strzelać?

Hrabia wlepił w niego spojrzenie i rozbawiony skrzywił usta.

– No proszę. Nowicjusz.

– Oznaczę dystans – powiedział młody człowiek. – I proszę pamiętać, by się nie cofać, inaczej pana przeciwnik może strzelić.

Emil patrzył, jak sekundant obcasem buta rysuje w żwirze krzyż. Następnie, zgodnie z poleceniem, zajął swoje miejsce.

– Być może hrabia przyjmie słowne przeprosiny – rzekł sekundant cicho. – Warto spróbować.

– Nie, dziękuję – odparł Emil.

Młody człowiek westchnął i szybko zerknął na hrabiego.

– Powinien pan wiedzieć, że on jest naprawdę dobry. Jego ostatni przeciwnik stracił ramię.

Emil z wysiłkiem usunął przed oczu obraz pustego rękawa płaszcza przyczepionego do boku szpilką. W ustach mu zaschło, w uszach zaszumiało. Marzył już tylko o tym, by mieć to wreszcie za sobą.

– Jestem gotów – powiedział. – Hrabia może strzelać pierwszy.

„To zupełnie surrealistyczne” – pomyślał, stojąc na swoim krzyżu i patrząc, jak ten drugi unosi broń i do niego celuje. Przynajmniej zginie, ocaliwszy honor. A przecież czuł w sercu lekkość, której nie powinno tam być. Utkwił wzrok w hrabim, pragnąc, by się dokonało. W ogrodzie zimowym dostrzegł w jego spojrzeniu ten sam wyraz. Hrabia się go bał.

– Pal! – krzyknął sekundant.

Z potężnym łoskotem, w chmurze dymu, pistolet hrabiego wypalił. Emil zamknął oczy. Usłyszał świst kuli i poczuł jakby ułucie w szyję, ale kiedy otworzył oczy, nadal stał prosto.

– Chybił pan – powiedział.

Przysłała jego kolej. Uniósł pistolet. Hrabia stał na swoim miejscu, uniósłszy arogancko brodę i wsadziwszy ręce do kieszeni.

– Gotów? – zapytał sekundant.

Emil skinął głową.

– Pal!

Skupił wzrok na piersi hrabiego, w której, wiedział to doskonale, serce waliło ponad dwa razy szybciej niż zwykle. Pomyślał o Alice w pracowni artysty. Wyobraził sobie, jak hrabia ją rozsznurowuje, brutalnie, pospiesznie, kradnąc jej zaufanie, jej reputację, jej cnotę tak bezceremonialnie, jakby rozsznurowywał sobie but.

– Pal! – krzyknął znów sekundant.

Pistolet zaciążył mu w dłoni. Tym razem obrał za cel głowę hrabiego. Był precyzyjny, dokładny, dokładność była istotą jego pracy. A jednak nigdy wcześniej nie strzelał z broni palnej i palec wskazujący zadrżał mu na spuście. Poczł w ustach zapach prochu i dymu.

– Proszę strzelać!

Na drzewie tuż nad rzeką zaczął śpiewać kos. Przed oczami stanął mu mimowolnie obraz ogrodu Arrolów wiosną. Uniósł pistolet i strzelił, nawet nie patrząc. Hrabia zatoczył się w tył i upadł. Krwawa plama wykwitła na jego lewym ramieniu. Trafiony.

Hrabia coś krzyknął, krzyknął też sekundant, coś innego. Emil odrzucił pistolet i zaczął iść z powrotem w stronę metalowego mostu, z powrotem ku głównej drodze, z powrotem ku życiu, z którego nie zrezygnował, jeszcze nie. Nie poślubi Alice Arrol. Nie będzie pracował dla Gustawa Eiffela. I dziś był odpowiedni dzień, by mu o tym powiedzieć.

Usłyszał odgłos przeładowywania. Rozległ się wystrzał i kula odbiła się rykoszetem od bariery mostu tuż obok niego. „Przyprowadzę tu kiedyś swoje dzieci – pomyślał – i poszukamy śladu kuli na żelaznej belce, i ten dzień będzie mi się wydawał bardzo, bardzo odległy”.

Na bulwarze Bourdon przywołał dorożkę.

– Na Pole Marsowe! – zawołał do woźnicy.

– Do wieży? Wygląda, jakby już ją prawie skończyli.

– Tak – odparł Emil. – Jest już prawie skończona.

– Co się panu stało?

Emil uniósł dłoń i dotknął szyi. Było bliżej, niż sądził. Kula hrabiego drasnęła go, pozostawiając na skórze przecięcie przypominające ogon małej komety.

Prywatna ceremonia otwarcia *la tour Eiffel* odbyła się trzydziestego pierwszego marca 1889 roku o piątej po południu. Tego samego wieczoru, po wciągnięciu flagi francuskiej na czubek wieży, miało się odbyć przyjęcie dla robotników, dygnitarzy, przyjaciół, entuzjastów, gwiazd i osób z towarzystwa. Wysoka na trzysta dwanaście metrów wieża stała się najwyższą budowlą świata, wyższą niż katedry w Rouen czy Kolonii, wyższą niż wieżowce Nowego Jorku i Chicago. Na pierwszym piętrze, gdzie zebrali się wszyscy goście, odbywała się mała konferencja prasowa.

- Kiedy skończyście? – padło pytanie.
- Wczoraj! – wykrzyknął Eiffel.
- I czy jest pan zadowolony? – zapytał ktoś inny, gdy już ucichły śmiechy.
- Niemożliwością byłoby nie odczuwać satysfakcji. Ona jest wspaniała, a widok ze szczytu nie ma sobie równych. Więc kto idzie na górę? Kto chce popatrzeć, jak wciągamy flagę Francji na maszt?

Na okoliczność otwarcia windy wyłączono, a ponieważ droga na górę była naprawdę długa, może dwadzieścia kilka osób postanowiło wspiąć się po spiralnych schodach aż na szczyt. Wieczne słońce przeświecało przez żelazną kratownicę, której najwyższe fragmenty były szczupłe jak kobiece kończyny. Wieża wyrosła ponad dachy Paryża jako uwieńczenie każdego bulwaru, masywna, a jednocześnie przejrzysta, elegancka, lecz jednak algebraiczna, widoczna niemal z każdego miejsca w całym mieście.

Alice i Cait stały w pobliżu bistro, próbując powstrzymać wiatr przed porwaniem im kapeluszy z głów. Poniżej znajdowały się tereny wystawy światowej, na których rozpoczęła się już budowa pawilonów, Galerii Maszyn, wiosek i parków. Nie wezmą udziału we wspaniałym otwarciu ekspozycji zaplanowanym na maj. Na następny dzień miały zarezerwowane bilety powrotne. Spakowane kufry już czekały.

Chociaż ostatnie dwa miesiące były trudne, Alice całkowicie doszła do siebie i wypatrywała już powrotu do domu. Znów nawiązała korespondencję z panem Hoggiem, który wciąż, jak się nietypowo dla siebie wyraził, miał w sercu miejsce zarezerwowane specjalnie dla niej. Przed wyjazdem zapragnęła jednak wziąć udział w ceremonii otwarcia wieży.

- Ze względu na Jamiego – powiedziała. – Żebyśmy mogły mu wszystko opowiedzieć, kiedy już wróci z Panamy. – Przywołała na twarz wymuszony uśmiech.

Nikt nie miał od niego żadnych wieści, rozeszły się za to plotki o kolejnej epidemii cholery. Wobec braku konkretnych informacji Alice i Cait założyły, że powodem milczenia Jamiego nie jest nic poważniejszego od jego wrodzonego

lenistwa połączonego z niedomaganiem systemu pocztowego.

Na pierwszym piętrze panował ścisk. Wśród szelestu sukien i lekkich powiewów wiosennego wiatru wibrowało niesłabnące podniecenie z gatunku tych przyprawiających o zawrót głowy. Tego konkretnego dnia w Paryżu właśnie w tym miejscu należało się pokazać, by oglądać i być oglądanym. Ludzie wskazywali palcami, wzdychali, uśmiechali się i próbowali stać tak nieruchomo, jak tylko się dało, przed obiektywami trzech fotografów uwieczniających to wydarzenie.

– Czy dobrze wyglądam? – zapytała Alice.

Miała na sobie białą suknię, a w ręku różową parasolkę. Wyglądała uroczo, świeżo i znów młodziej, niż wskazywałyby na to jej metryka.

– Wyglądasz bardzo ładnie – odparła Cait.

Alice zmrużyła oczy, patrząc pod słońce, po czym nachyliła się odrobinę bliżej.

– Ale czy sądzi pani, że ludzie wiedzą? Że się zorientowali?

Cait ujęła jej dłoń i przytrzymała ją.

– Nikt nie wie. I nikt się nigdy nie dowie. Obiecuję.

Emil Nouguiet stał od południowej strony, wbijając wzrok w przestrzeń. Cait ześliznęła się spojrzeniem z czubka jego głowy na ramię i dalej, ku palcom dłoni. Ludzie trzymali się od niego z daleka – po mieście krążyły dziesiątki wersji jego niegodnego zachowania. Cait podслуchała co najmniej kilka: postrzelił hrabiego, porzucił młodą dziewczynę, został zwolniony z pracy. A jednak pojawił się na otwarciu wieży, zupełnie nieskruszony.

– Pani Wallace! – zawołała Alice. – Proszę tu podejść.

Wkrótce po tym, jak Caitriona odkryła stan Alice, Emil zerwał wszelkie kontakty. Czy wyczuł, co się dzieje? Czy też w końcu pojął, że sprawa jest beznadziejna? Co by się stało, gdyby nadal zalecał się do Alice? Cait nie mogła tego tolerować w nieskończoność. A jeśli chodzi o hrabiego, Emil zrobił to, co zrobiłoby wielu mężczyzn, gdyby tylko nadarzyła im się sposobność. Najwyraźniej rana nie była śmiertelna.

Grupka dam wysunęła się naprzód, by popatrzeć przez barierkę, i zasłoniła Cait widok. Przekrzywiła głowę na bok, by móc dalej na niego patrzeć. Cofnął się, poprawił sobie kołnierz, a potem zaczął wchodzić po schodach na drugie piętro, coraz wyżej i wyżej, pnąc się spiralnie i coraz bardziej się od niej oddalając.

Cait uświadomiła sobie obecność Alice dopiero wtedy, kiedy ta chwyciła ją za ramiona i siłą odwróciła ku sobie.

– Pani Wallace! Wołam panią i wołam.

– Chwileczkę – powiedziała Caitriona, patrząc, jak Emil ostatecznie znika.

– Proszę na mnie spojrzeć – upierała się Alice.

Cait spojrzała wreszcie. Dziewczyna była purpurowa na twarzy. Wyglądało na to, że nagle, w mgnieniu oka, wszystko stało się dla niej jasne.

– To on. Cały czas chodziło o niego. Nie przychodził po to, by się do mnie zalecać, ale po to, by widywać się z panią.

Cait skłęsała w sobie, jakby nagle zabrakło jej tchu.

– Dlaczego? – zapytała Alice.

Cait pokręciła głową. Dlaczego? Dlaczego do tego doszło?

– Dlaczego mi pani nie powiedziała?

Cait zamknęła oczy. To już nie miało znaczenia. Emil odszedł.

– Bo – wyszeptała – nic nie można zrobić.

– O czym pani mówi?

Powiedziała to podniesionym głosem. Ludzie zaczęli się odwracać. Dwóch starszych mężczyzn z żonami ruszyło w kierunku baru angloamerykańskiego. Zamilkli, przechodząc obok Szkotek.

– Nie mogę dać mu tego, czego pragnie – powiedziała Caitriona cicho, kiedy minęły je obie pary.

– Nie rozumiem – przerwała Alice. – O czym pani mówi? Przyszedł panią zobaczyć!

– Zejdźmy na dół. Jutro wcześnie wyruszamy.

– Nie! Jestem dorosła. Ostatnie kilka miesięcy tego dowiodły. A poza tym jest pani nie tylko moją opiekunką, ale i moją przyjaciółką. Czego nie może mu pani dać?

Cait głęboko wciągnęła powietrze i powoli wypuściła je z płuc. Ciężar tego, co zrobiła, kim była, co uruchomiła, kłębił się w niej jak gęsta szara mgła.

– Mój mąż... – zaczęła.

– Zginął – dokończyła Alice. – Tragicznie.

Cait skinęła głową.

– Wcześniej... zepchnął mnie ze schodów – wyszeptała. – Spodziewałam się dziecka.

Kiedyś Caitrionę prześladowały myśli o dzieciach, o których posiadaniu marzyła. Ciężyły jej jak kamień. Ale ostatnio ten ciężar zelżał i myśli, jedna po drugiej, odpłynęły. Alice wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Przeszłam zabieg, zabieg medyczny, który powstrzymał krwawienie – ciągnęła Cait. – I teraz już nie mogę mieć dzieci.

– To na pewno nieprawda – zaprotestowała Alice. – Mogłaby pani spróbować...

Cait położyła dłoń na jej ramieniu.

– Pogodzić się z tym – powiedziała Cait – to porzucić nadzieję.

Przez chwilę stały w milczeniu i patrzyły na miasto rzucające coraz dłuższe cienie. Wkrótce wyjadą, ten czas dobiegnie końca. Niedługo Emil stanie się niczym więcej, jak tylko wspomnieniem, na wpeł zapomnianym przebłyskiem. Orkiestra zaczęła grać, jakiś mężczyzna zaintonował melodię. W powietrzu między nimi

zawisło wyznanie, zmaterializowane dzięki temu, że wypowiedziane. Spojrzenie Alice powędrowało z twarzy Cait ku górze, na wyższe poziomy.

– Wiesz co, idę tam – powiedziała nagle Cait.

Alice zamrugała, po czym ledwie zauważalnie kiwnęła głową.

– Poradzisz tu sobie? To nie zajmie mi długo.

– Oczywiście. Proszę się mną nie przejmować.

Wspinając się po metalowych stopniach, słyszała wysoko nad głową kroki innych ludzi. Im bliżej drugiego piętra, tym bardziej spiralne schody zakręcały do środka. Nie patrzyła przez barierkę, nie pozwoliła spojrzeniu błądzić, lecz skupiła je na stopniach tuż przed sobą. Miała wokół siebie tyle powietrza i tak mało elementów konstrukcyjnych, czuła wiatr we włosach i krople deszczu na twarzy, ukłucie powietrza w płucach i zimne smagnięcia pod spódnicą. Przypominało to lewitację, unoszenie się bez odpowiedniego wsparcia, wznoszenie się w niemożliwą przestrzeń.

Choć szybko rozbolały ją nogi i zabrakło jej tchu, choć jej gorset był za ciasny, a tiurniura utrudniała ruchy, Cait szła dalej, krok za krokiem, niestrudzenie. W końcu wyszła na drugą platformę, znajdującą się na wysokości ponad stu metrów. Łapiąc oddech, chwyciła się barierki tak mocno, że aż jej palce zbieleły. Udało się.

Ale Emila tutaj nie było. Cait dwukrotnie obeszła całą platformę. Pozostało tylko jedno miejsce, w które mógł się udać. Kolejne spiralne schody wiodące na poziom trzeci.

– Rusza pani na górę? – zapytał jakiś mężczyzna, kiedy zawahała się u podstawy schodów. – To tylko tysiąc sto trzydzieści stopni.

Zrobi to teraz, zaraz, zanim się rozmyśli.

– A zatem jest pani odważniejsza ode mnie. Jeśli się pani pospieszy, dotrze pani na czas, by popatrzeć, jak wciągają flagę.

Podjęła przerwana wspinaczkę, krok za krokiem, coraz wyżej i wyżej, coraz bardziej krętymi schodami, wokół osi zwieńczenia wieży, korkociągiem schodów na sam szczyt. Schody były węższe niż poprzednio i znacznie bardziej strome. Na pierwszym poziomie zaczęła grać orkiestra, ale Cait była już zbyt wysoko, by rozpoznać melodię.

W połowie drogi przystanąła, aby złapać oddech. Słońce już zachodziło i wieża rzucała długi, bardzo długi cień. Ziemia pod jej stopami jakby się nagle zbliżyła i wszystko zaczęło wirować, schody przemieszczać się, a horyzont zaginać. Opanował ją atak mdłości, a pot wystąpił jej na kark, twarz i skronie. Zmartwiła, zastygła z przerażenia, z jej ust wydarł się ledwie dosłyszalny jęk strachu. Nic nie wydawało się już stabilne ani bezpieczne. Chwyciła się środkowej kolumny schodów, otaczając ją ramionami i przyciskając twarz do czerwonej farby, ale to okazało się jeszcze gorsze. Kolumna była zbyt gruba, zbyt gładka, nie

było się czego złapać.

Cait podniosła oczy. Była już w połowie drogi. Skupiła się na tym, by odzyskać miarowy oddech – wdech, wydech, wdech, wydech – po czym wyciągnęła dłoń i musnąwszy opuszkami palców barierkę, schwyciła ją obiema rękami. Dłonie miała mokre, całe ciało złane potem. Spróbowała zmusić stopę, by zrobiła kolejny krok, jeden mały krok, ale kolana zaczęły jej drżeć, a noga jakby wrosła w ziemię. Nie potrafiła ruszyć się z miejsca. Czy wieża była naprawdę bezpieczna? Cait miała nieodparte wrażenie, jakby zaczęła się chwiać. Co ona tu robiła, tak wysoko, gdy tylko centymetry dzieliły ją od pewnej śmierci? Marzyła już tylko o tym, aby stanąć na twardym gruncie, na chodniku, trawie albo bruku. Jak miała wspiąć się jeszcze wyżej? To było fizycznie niemożliwe.

– Proszę – wyszeptała – tylko jeden kroczek.

Przełknęła gulę podchodzącą jej do gardła, otarła ramieniem pot z czoła. Nagle rozżłościła się na samą siebie. Była słaba i żałosna. Dlatego właśnie życie przywiodło ją tutaj, do tego miejsca, uwięziło w klatce z żelaza i powietrza wysoko, wysoko ponad dachami Paryża, niezdolną pójść ani kroku dalej.

Gdzieś z wysoka dobiegły ją ciche wiwaty. Odbito korek od butelki. Trójkolorowa flaga musiała zostać wciągnięta na maszt. Kiedy oklaski ucichły, Cait usłyszała miarowy rytm kroków na metalowych schodach gdzieś daleko w dół; ktoś jeszcze wchodził po spiralnych stopniach. Zostać tu znalezioną, zmartwiałą, przytuloną do barierki jak ofiara katastrofy morskiej... Nie potrafiła sobie wyobrazić nic gorszego. Oczyma duszy ujrzała Emila na górze, na samym szczycie. Już prawie tam była, to już niedaleko, całkiem niedaleko. Wyrzuciła z głowy wszystko poza myślą o nim i zrobiła mały krok, potem kolejny, a potem szła dalej, krok za krokiem, aż wreszcie zupełnie bez tchu wyszła na trzecią, najwyższą platformę.

Opadła na ławkę, zamknęła oczy i czekała, aż ustąpią zawroty głowy. Wyobraziła sobie, że znów jest w balonie, a Emil stoi tuż obok niej. Jeśli będzie się trzymać z dala od barierki, jeśli się skupi na ludziach, a nie na wysokości, zdoła nad sobą zapanować. Na powrót otworzyła oczy. Słońce już zaszło i Paryż stał się czarnym imponującym dywanem naszywanym małykami diamentami światła. Przed nią przepływały jakieś postaci, ciemne smugi na tle łuny światła. Kilkunastu mężczyzn, kilka kobiet, jakieś dziecko. Z dołu dobiegła ją seria głośnych wybuchów i świstów i na niebie zaczęły wykwiatać fajerwerki: czerwone, zielone i niebieskie. Z masztu spadł deszcz konfetti i opadł powoli na ziemię jak wielkie płatki śniegu.

Cait okrążyła środkową kolumnę dwukrotnie, a potem jeszcze raz. Nie było go. Zatrzymała się przy spiralnych schodkach prowadzących do prywatnych pokoi Eiffela. Mógł być tylko tam.

– Szukam pana Nougiera – zagadnęła eleganckiego mężczyznę idącego na

dół.

– Obawiam się, że go tutaj nie ma – odparł. – Przybiegł chłopak z pilną wiadomością, monsieur Nougier wyszedł dosłownie kilka chwil temu.

Story były zaciągnięte. W sypialni panowały całkowite ciemności, jeśli nie liczyć lampki na kominku. Emil zamknął drzwi prowadzące na korytarz tak cicho, jak potrafił.

– Kto tam? – zawołała.

– To ja. Emil.

Jego matka wydała ciche westchnienie – ulgi, jak się domyślał.

– Sądziłam, że już nigdy tu nie dotrzesz.

– Dotarłem. Przyszedłem, jak tylko dostałem wiadomość.

Leżała podparta kilkunastoma małymi poduszkami. Łóżko zaścieniały papiery, buteleczki pigułek i słoiczki maści.

– Jak się miewasz? – zapytał i ujął ją za rękę. Była chudziutka i drobna jak rączka dziecka.

– Lepiej – odparła.

Przełknął ślinę. Jak miał jej to powiedzieć? Jak miał jej nie mówić?

– Jest coś, o czym powinienem ci powiedzieć.

Matka cofnęła dłoń i założyła sobie kosmyk włosów za ucho.

– W spiżarni czeka na ciebie *crème caramel*. Wiem, jak go uwielbiasz.

– *Maman...* – zaczął.

– Wiem. Wiem od wielu miesięcy.

Z zewnątrz dobiegły ich uszu eksplozje i trzaski fajerwerków wystrzeliwanych w pobliżu wieży.

– Co się dzieje? – spytała. – Wydawało mi się, że przepędziliśmy Prusaków.

Uśmiechnął się, ale nie był wcale pewien, czy żartuje.

– Właściwie chciałbym ci coś pokazać.

Ale ona tylko mocniej chwyciła jego dłoń.

– Za chwilę. Emilu, wiem, że sądzisz, że nigdy cię nie słucham. Sądzisz, że moje poglądy są staroświeckie, niedzisiejsze.

– Wcale tak... – zaczął.

– Wysłuchaj mnie – powiedziała z większą mocą, niż się tego po niej spodziewał.

– W porządku.

– Słuchałam tego, o czym mi mówiłeś. Słyszałam, co powiedziałeś o fabryce, o rodzinie, o przyszłości. I postanowiłam to dla ciebie zrobić.

Chciał, by przestała mówić, by cofnęła wypowiedziane słowa. Nie chciał usłyszeć tego, co miało zostać powiedziane.

– Sprzedałam Maison Soucht. A właściwie ty je sprzedałeś, kiedy podpisałeś dokumenty.

– Jakie dokumenty?

– Dokumenty, które podsunęłam ci do podpisu przy okazji twojej ostatniej wizyty. Zainwestowałam te pieniądze. W przedsięwzięcie twojego pracodawcy. W Kanał Panamski.

Louise Nougier uśmiechnęła się i z jej twarzy zniknęło napięcie. Emil zamknął oczy.

– Wszystko?

– Do ostatniego centyma – potwierdziła. – Miałeś rację. Trzeba iść własną drogą. A pieniądze są całkiem bezpieczne, tak mnie przecież zapewniałeś. Emilu, nie zawiedziesz rodziny, wiem o tym, staniesz na wysokości zadania. W ten sposób zyskasz pieniądze, z którymi będziesz mógł zrobić, co zechcesz. Może założysz własną firmę?

Skinął głową. Najwyraźniej jego matka przestała czytać prasę. Może należało to uznać za błogosławieństwo? Nie dowie się, że jej inwestycja przepadła, a wraz z nią fortuna rodu Nougierów. Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Do środka wszedł lekarz.

– Jak się pani miewa? – zapytał.

– Lepiej, widząc swojego syna – odparła. – A teraz powiedz, Emilu, co chciałeś mi pokazać?

Z balkonu jego matki nic nie zasłaniało widoku na wieżę; choć znajdowała się prawie kilometr dalej, zdawała się tak bliska, że miał ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć po niej palcem. Na jego oczach ogromna chryzantema wielobarwnego światła rozprysnęła się na niebie, rozjaśniając noc.

– Jest skończona. Popatrz.

Louise zamrugnęła dwukrotnie.

– Wspaniała. Jestem z ciebie taka dumna.

Z pierwszej platformy widokowej rozległy się salwy: jedna, druga, trzecia. Na ulicy stado szpaków poderwało się cudowną chmarą z drzew. W zapadającym mroku latarnia na szczycie wieży zapaliła się migotliwie i zaczęła rozbłyskiwać światłem: czerwonym, białym i niebieskim. Teraz, dniem i nocą, wieża będzie widoczna z całego Paryża.

– Czy mógłbyś z powrotem zaciągnąć zasłony? – poprosiła matka. – Jest trochę chłodno.

Leżała z otwartymi oczami.

– Oczywiście – odparł. – Czy chciałabyś, żebym coś ci przyniósł? Czy zaczęłaś już czytać Zolę, którego ci podsunąłem?

– Och, tak. Ogromnie mi się podoba.

Położył książkę na łóżku obok niej i zapalił drugą lampkę przy jej wezłowie.

– Tak lepiej – powiedziała i rozłożyła książkę przed sobą.

– Łatwiej ci będzie czytać, gdy obrócisz ją właściwą stroną. Teraz trzymasz

ją do góry nogami.

Nie odwzajemniła jego uśmiechu. Wyglądała, jakby chciała mu coś powiedzieć, ale nie potrafiła się przełamać.

– Mamo? O co chodzi?

Jej twarz przybrała na powrót nieodgadniony wyraz.

– Właściwie jestem trochę zmęczona – powiedziała i zamknęła książkę. – Która godzina? Czy jest już późno?

Emil zerknął na stojący na kominku zegar podróżny. Była dokładnie dziewiąta wieczór.

– Nie widzisz zegara?

Zamrugła i spojrzała w jego stronę, a on dostrzegł w jej oczach bezbronność i jakiś brak, którego wcześniej nie zauważył. Zrobił krok w lewo, ale matka nie powiodła za nim spojrzeniem.

– Jaki zegar?

49

Przyjęcie z okazji otwarcia wieży dobiegało końca. Metalowe schody były zasłane papierowymi serpentynami i płatkami róż. Cait, schodzącej po schodach z drugiej platformy na pierwszą, wciąż kręciło się w głowie od wysokości i zimnego wiatru, którego podmuchy dawało się odczuć na najwyższym poziomie. Zrobiła to, pokonała swój lęk wysokości. Jednakże smak zwycięstwa zatruwał Caitrionie dojmujący żal. Nie mogła gorzej utrafić z czasem. Kiedy ona łapała oddech na szczycie, Emil musiał już schodzić po spiralnych schodach. Nigdy się nie dowie, jak niewiele brakowało, by ich drogi się przecięły.

Cait nie znalazła Alice tam, gdzie ją zostawiła. Jak dawno temu zniknęła? Godzinę? Dłużej? Przez dłuższą chwilę Cait czuła ogarniające ją znajome uczucie paniki.

– Pani Wallace! – zawołał jakiś głos. – Tutaj! – W drzwiach do angloamerykańskiego baru stała Alice Arrol. – Dzięki Bogu – powiedziała. – No i?

Cait pokręciła głową.

– Wyszedł.

Alice wyciągnęła rękę i ujęła jej dłoń. Niosło to odrobinę pocieszenia.

– W każdym razie nigdy pani nie zgadnie, kogo tu właśnie spotkałam.

Gabrielle siedziała przy niewielkim stoliku, otoczona ludźmi w strojach wieczorowych. Piękna, z roziskrzonym spojrzeniem, najwyraźniej była w swoim żywiole, a jej kryształowy głosik wybijał się ponad harmider prowadzonych rozmów.

– A więc powraca opiekunka – powiedziała na widok Caitriony. – Obawiam się, że pod pani nieobecność pani podopieczna została uwiedziona i porzucona.

Alice zbielała na twarzy, gdy wszyscy wybuchli śmiechem, a Gabrielle najgłośniejszym.

– Panno Arrol – ciągnęła – nie tknęła pani szampana. Byłoby zbrodnią wyjść, nie wychyliwszy kieliszka do dna. Chodź tutaj, moja droga, i wypij.

Cait odwróciła się do Alice.

– Jest późno. Nie musisz...

– Wszystko w porządku – wyszeptała Alice. – Proszę pozwolić mi zostać nieco dłużej. To mój ostatni wieczór w Paryżu. Cóż to może szkodzić?

– Alice... – zaczęła Cait.

– Wiem. Ale to nie była jej wina. Jej córka była chora. Dlatego przestała się odzywać.

Jak ona mogła w to wierzyć? Po tym wszystkim, co Gabrielle jej zrobiła?

– Wyjeżdżamy wcześniej – zauważyła Cait.

– Proszę. Nie zabawię długo.

Pani Wallace stanęła przy balustradzie i spojrzała na północ w kierunku Sacré Coeur. Cóż mogło być tak ważnego, żeby wywoływać Emila z ceremonii otwarcia? Wypadek? Czy coś się stało jego matce? Już nigdy się tego nie dowie.

Większość gości już wychodziła i Cait obserwowała, jak jeden po drugim odjeżdżają powozy czekające przy sąsiednich ulicach. Daleko w dole Sekwana pobłyskiwała srebrzyście w świetle księżyca, zakotwiczone w jej nurcie barki wydawały się czarne jak smoła. Jakaś kobieta stanęła na drodze i zamachała na dorożkę. Cait rozpoznała ją nawet z tej wysokości; to była Gabrielle. Kiedy woźnica pomógł jej wsiąść do środka, dorożka zawróciła i ruszyła w kierunku Gare de Lyon.

Alice siedziała w boksie z łysawym mężczyzną koło pięćdziesiątki. Śmiała się trochę zbyt głośno.

– Ależ pan jest zabawny – trajkotała. – Czy została jeszcze odrobina szampana?

Dolał jej do kieliszka.

– Pij. Dzisiaj na koszt firmy.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Cait. – Panno Arrol?

– Ten dżentelmen...

– Pan Pickering – podsunął.

– Pan Pickering opowiedział mi właśnie bardzo zabawną historię.

– Nie chce pani usłyszeć puenty? – zapytał. W spojrzeniu, którym obrzucił Alice, było coś lubieżnego, czego jednak ta wydawała się zupełnie nieświadoma.

– Innym razem – powiedziała Alice. – Cudownie było pana poznać.

Wstała i wyciągnęła dłoń. Pickering ujął ją i podniósł do ust. Alice otworzyła szerzej oczy.

– Panie Pickering, to chyba nadmierna poufałość.

– A czy będzie – spytał szeptem – ten inny raz?

Alice oblała się szkarłatnym rumieńcem, otworzyła usta, po czym zamknęła

je bez słowa.

– Tędy do schodów na dół – powiedziała Cait, ujmując dziewczynę pod ramię. – Dobranoc panu.

– To przyjaciel Gabrielle – wyszeptała Alice, gdy odchodziły. – Ale jak się go lepiej pozna, to nie jest wcale taki nudny. Podobno jego żona jest Francuzką.

Pan Pickering dogonił je przy drzwiach baru. Nie wydawał się już tak dobronudny jak wcześniej.

– Czy mogę na słówko? – odezwał się do Cait. – Na osobności?

– Czy to było za mało? – powiedział, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu panny Arrol.

– Słucham? Za mało czego?

– To absolutnie nieakceptowalne. Zawarliśmy umowę.

– Umowę? Jaką umowę?

– Na dziewczynę. Zapłaciłem za nią pani przyjaciółce dwadzieścia franków. Cait chwilę zajęło zrozumienie, o czym on właściwie mówi.

– Za miss Arrol?

– Dwadzieścia franków pani francuskiej przyjaciółce.

Cait popatrzyła na jego poczerwieniałą twarz i mięsiste paluchy. Odsunął z czoła kosmyk włosów. Po raz kolejny Gabrielle wystawiła ich wszystkich do wiatru.

– No cóż, będzie pan to musiał przedyskutować z nią.

– Albo z dziewczyną.

Odwrócił się i już miał maszerować prosto w stronę Alice, ale Cait wyciągnęła rękę i go powstrzymała.

– Nie – powiedziała. – Proszę tego nie robić.

Wyciągnęła portmonetkę z torebki zawieszanej przy pasku i otworzyła ją.

– Powiedział pan: dwadzieścia?

Kiedy schodziły po schodach do wyjścia, Cait otoczyła Alice ramieniem.

– A czego właściwie chciał pan Pickering? – zapytała dziewczyna. – Wydawał się dość poruszony.

– Chciał mi powiedzieć, jaką jesteś czarującą młodą damą – odpowiedziała Cait.

Alice uśmiechnęła się, po czym lekko posmutniała.

– Ciekawa jestem, dokąd poszła Gabrielle. Nawet się nie pożegnała.

Caitronie stanęła przed oczami kobieta leżąca na łożu w chińskiej dzielnicy. Czy leżała tam teraz, podczas gdy pieniądze Pickeringa spoczywały w kieszeni Chińczyka? Wyobraziła sobie gęsty opiumowy opar, wiotkie kończyny, zamknięte oczy i drobne, zgorzkniałe serce w piersi Gabrielle.

– Jestem taka zmęczona – powiedziała Alice. – Chcę już wrócić do domu.

Epilog

Edynburg, 1890

Pociąg królewski wtoczył się powoli na Forth Rail Bridge, a wiwaty tłumu wzniosły się na krótką chwilę ponad wycie wiatru. W okno uderzyła fala deszczu, a po niej przyszedł gwałtowny podmuch wiatru, lecz już po chwili po obu stronach pojawiły się bariery mostu, a jego czerwone ramiona rozciągnęły się w trzy potężne przęsła.

Emil powiódł spojrzeniem po szerokiej stalowoszarej rzece zmierzającej ku morzu, a para z silnika lokomotywy rozścieliła się za maszyną jak welon panny młodej. W następnym wagonie znajdował się książę Walii wraz z kilkoma innymi członkami rodziny królewskiej; w tym jechali inżynierowie. Było to miarą wzrostu ich statusu w ciągu roku od otwarcia wieży Eiffla. Jej twórcę ścigali teraz łowcy autografów i kobiety bez zobowiązań w pewnym wieku. Chociaż rząd zawiesił projekt Kanału Panamskiego, Eiffel zyskał sławę, reputację i możliwość podróżowania tym samym pociągiem co członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej.

Wieża okazała się – i była nadal – absolutnym sukcesem. W ciągu sześciu miesięcy 1889 roku, podczas trwania wystawy światowej, prawie dwa miliony ludzi stanęły w kolejce, by wspiąć się po schodach lub wsiąść do jednej z wind. Przyjechał Thomas Edison. I Buffalo Bill razem z całą ekipą swojego Wild West Show. Z samej sprzedaży biletów Eiffel niemal pokrył koszty budowy. Zdanie zmieniła nawet część tych, którzy kiedyś potępiali ten projekt. Miasto zalały suweniry: figurki, broszki, świeczki i butelki, wszystkie w kształcie wieży. Były też obrazy, piosenki, wiersze, walce i polki; nawet pokój Jamiego Arrola w Le Chabanais, ten przypominający windę w wieży Eiffla, był zarezerwowany na wiele miesięcy naprzód, takie w każdym razie dobiegły go słuchy. Zgodnie z obietnicą Eiffel zapewnił zarówno Emilowi, jak i Maurice'owi udział w zyskach. Nie była to fortuna, ale suma okazała się niemal równa tej, jaką straciła Louise Nougier.

– Emilu! – zawołał Gustaw Eiffel. – Chodź, usiądź obok mnie.

– Dziękuję, tutaj mi dobrze – odparł.

Od czasu otwarcia wieży trudno mu było porozumieć się z byłym pracodawcą. Pojechali do Londynu oddzielnie, a w pociągu do Edynburga usiedli w innych przedziałach. Tyle lat się przyjaźnili. I nie chodziło o pieniądze, które zainwestowała i straciła jego matka, wcale nie o to.

Pozostawały pewne kwestie, których nie można było zignorować ani wybaczyć, niezależnie od dobrych intencji wszystkich stron.

Kilka płynących tuż pod nimi parowców walczyło z naporem wiatru. Przejśniło się i słońce na krótko rozbłysło na wodzie, a jego promienie rozświetliły odległe wzgórza Szkocji. Kolory, choć nasiąknięte deszczem, wydawały się żywsze niż wszystko, co Emil widział do tej pory. Był pewien, że

w łagodności szarej mżawki i czystości światła rozpoznaje jakiś rys Cait.

Dzień wcześniej, wysiadłszy z pociągu na stacji Waverley w Edynburgu, zaczął szukać jej twarzy w tłumie oczekujących, jakby mógł ją tu ściągnąć samą siłą woli. Nie było jej. Oczywiście, że nie. Myśl o tym, co zdarzyło się rok wcześniej, kiedy wszystko się wreszcie wyjaśniło, wciąż przysparzała mu cierpienia.

Pamiętał, jak w tydzień po otwarciu wieży przesiedział całą noc przy matce, a czas jakby zapadał się w siebie, pozwalając mu już tylko czekać. Było tak cicho, że słyszał wyraźnie skolenie lisów w parku Monceau i bicie własnego serca. Siedział w niewielkiej plamie blasku świecy i pozwalał myślom dryfować, jakby unosił się na powierzchni ogromnego morza żalu. Oddech jego matki stał się urywany: zamierał, powracał i znów zamierał. W pewnym momencie otworzyła oczy i spojrzała wprost na niego.

– Jestem tutaj – wyszeptał i ujął jej dłoń.

Ale Louise wpatrywała się w przestrzeń za nim, jakby dostrzegła w pokoju kogoś jeszcze.

– Przyprowadziłeś ją.

– Nikogo tu poza nami nie ma – zaprzeczył. Lekarz powiedział mu, że tak się może zdarzyć, że morfina może wywołać u niej halucynacje.

– Rzeczywiście kochałaś mojego syna – powiedziała matka do urojenia w pokoju. – Zrobiłaś, o co cię prosiłam.

– Mamo – powiedział cicho. – Musisz odpocząć.

– Bo na tobie, Emilu, spoczywa odpowiedzialność. Ona wie, że nigdy nie mógłbyś poślubić kobiety takiej jak ona. Powiedziałam jej o tym w powozie.

– W jakim powozie? O czym ty mówisz?

Spojrzała na niego i zamrugała oczami.

– Ależ ona stoi tuż obok ciebie. Ta Szkotka.

Lokomotywa zagwizdała, gdy pędzili po torach w kierunku Inverkeithing. Stąd pociąg został skierowany na linię do Queensferry, gdzie powitała ich gwardia honorowa, a niewielka orkiestra odegrała na werblach i fletach *Boże, chroń królową*.

William Arrol czekał na peronie, by ich przywitać. Tego momentu Emil najbardziej się obawiał. Czy wiedział o tym, co się wydarzyło? Czy będzie rozgniewany, lekceważący lub nieuprzejmy? Przejmujący wschodni wiatr smagający Morze Północne poderwał kapelusze, wstążki i kilty, lecz orkiestra nie przestawała grać.

Jednak Arrol, zajęty księciem i jego świtą, ledwie rzucił okiem na wszystkich pozostałych. Poprowadził królewski orszak w kierunku niewielkiego parowca, który czekał, aby wypłynąć wraz z nimi na rzekę Forth, by mogli zobaczyć wspaniałą most od dołu. Nougier wysiadł z pociągu i przystanął na

chwilę, ze spoconą twarzą i raptownie drętwiejącymi dłońmi, mrugając w strugach deszczu, podczas gdy reszta jego grupy pobiegła do pomieszczenia u podstawy jednego z wielkich filarów.

– Monsieur Nougquier! – rozległ się jakiś głos. Emil odwrócił się i zobaczył podchodzącego do niego z wyciągniętą dłonią Jamiego Arrola. – Przyjechał pan!

– Za nic bym tego nie przegapił! Przy tej konstrukcji wieża wygląda jak zwykła zabawka.

– No, tego bym nie powiedział, ale o ile pana wieża jest najwyższą budowlą na świecie, o tyle nasz most jest przeprawą o najdłuższej rozpiętości jednego przęsła.

– Nasz?

– Owszem – przytaknął Arrol. – Po moim powrocie wuj mnie awansował. Jamie uśmiechnął się. Sprawiał teraz wrażenie starszego i jakby poważniejszego. Przybrał na wadze, zwolnił, dojrzał.

– Jak było w Panamie?

Odwrócił wzrok, a jego twarz nagle jakby się zapadła.

– Byłem tam przez miesiąc, zanim wstrzymano wszystkie prace konstrukcyjne. W ogóle nie pracowałem. Byłem zbyt chory. Gdyby mój wuj nie wysłał przekazem pocztowym pieniędzy na lekarza, prawdopodobnie bym umarł.

Zwrócił się twarzą do wiatru i strumienie deszczu popłynęły mu po policzkach.

– Teraz to wszystko wydaje się takie odległe. Pan. Wieża. Paryż.

Królewski orszak cumował do brzegu. Po zaledwie kilku chwilach na wodzie uznano, że jej powierzchnia jest zdecydowanie zbyt wzburzona. Teraz, zgodnie z wydrukowanym harmonogramem, wszyscy znów wsiądą do pociągu i wrócą na środek mostu, gdzie księżę wbije ostatni, złoty nit, specjalnie przygotowany na tę uroczystość, w północny dźwigar.

Lało jak z cebra, ale nikt się nie ruszył.

– Alice się zaręczyła – powiedział Jamie. – Z mężczyzną, którego poznała w pociągu. Lordem, niech pan sobie wyobrazi! Ma posiadłość w Perthshire i dom w Londynie. Przeróżająco szanowany człowiek. Mój wuj jest wniebowzięty.

– Cieszę się jej szczęściem. A co z panem?

– Zna mnie pan. Dzisiaj tu, jutro tam... W moim wieku nie ma sensu wiązać się na dłużej.

Twarz zastygła mu w uśmiechu. Emil przypomniał sobie nagle Delphine, jej rysy w świetle na wpół zagubionego w pamięci popołudnia.

– A pan? Ożenił się pan? – Jamie popatrzył na Emila wyczekująco.

– Słyszałem, że zrobiono go ze stali – powiedział Nougquier, zmieniając temat. – Jest znacznie mocniejsza od żelaza.

Arrol uśmiechnął się i podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Wytrzyma sto lat albo więcej, to pewne.

Zamilkli na chwilę, podziwiając most w potokach deszczu.

– No cóż, miło było pana znów zobaczyć – rzekł Emil. – Pojawi się pan na lunchu?

– Nie jestem na tyle ważną figurą, żeby mnie zaprosili.

Pożegnali się i Emil odwrócił się, by wsiąść z powrotem do pociągu, ale przystanął w pół kroku. To była jego ostatnia szansa, jedyna sposobność. Czy niczego się w życiu nie nauczył?

– A jak się miewa pani Wallace? – zapytał.

Arrol zdjął kapelusz i potrząsnął nim.

– Pojęcia nie mam. Ale słyszałem, że wyjechała z Glasgow, ze Szkocji... w ogóle z Europy.

Emil spochmurniał.

– Nie wiedziałem.

– No cóż, pobyt w Paryżu był dla nas wszystkich bardzo urozmaicony.

Rzekę zaczęła zasnuwać mgła napływająca znad morza.

– A czy ma pan jakiegokolwiek informacje o tym, dokąd się udała? – zapytał Emil.

– Chyba do Afryki. Praca na misji. Przykro mi.

Książę Walii nie mógł sobie poradzić z nitem. William Arrol przyszedł mu z pomocą i jednym zdecydowanym uderzeniem wbił go do dziury.

Afryka Zachodnia, 1891

Dzieci biegły, wyśpiewując: „Ktoś tu idzie, ktoś tu jest!”. Cait odsunęła moskitierę, wstała z łóżka i otworzyła okiennice. Na drewnianym moście przerzuconym przez rzekę nie powinna była dostrzec żadnej zbliżającej się postaci, a parowiec miał tu dopłynąć dopiero pod koniec miesiąca.

Ubrała się tak szybko, jak się dało. Żadnego gorsetu, żadnej tiurniury, żadnej koszulki, tylko zwykła sukienka z białej bawełny przewiązana w talii paskiem. Nadeszła pora sucha i już od wielu tygodni od Sahary wiał harmattan, wzbijając w powietrze tumany piasku i pyłu.

Kiedy przed dwoma laty dotarła tu z kufrem pełnym bielizny, czepków i sukni spacerowych, uzmysłowiła sobie, że nie przyda jej się tutaj nic z tego, co przywiozła, tak było gorąco. Cały dzień wiało i wszystkie warstwy jej starych ubrań, wszystkie plisy i fałdy, usztywnienia i watowania wypełniały się piaskiem, aż w końcu, dokądkolwiek się ruszyła, zostawiała po sobie jego małe czerwone kupki. Stopniowo zrezygnowała z tiurniury, wszelkich ozdóbek, wierzchnich sukni i wreszcie z gorsetu. Miejscowy krawiec uszył jej kilka nowych sukienek popołudniowych, a stare ubrania wykorzystwała jako źródło materiału dla nowych projektów krawieckich.

Kilka dziewczynek czekało już pod drzwiami. Kilka kolejnych przyszło ze szkoły i wzięło ją za ręce.

– Kto to? – zapytała.

– Niech pani przyjdzie i sama zobaczy.

Chociaż była w Gambii już dość długo, nadal uderzało ją to, jak ludzie jej dotykali; jeśli im tylko pozwoliła, trzymali ją za rękę, głaskali po twarzy i gładzili po włosach. To prawda, że w tej wiosce bardzo się zmieniła – mniej obchodził ją Bóg, a bardziej głoszenie kazań o korzyściach płynących ze szczepień, z gotowania wody i używania moskitier. Jej zadaniem było uczenie prawidłowych zasad higieny i korzystania z urządzeń sanitarnych, nie tyle głoszenie Ewangelii, ile wywołanie rewolucji medycznej i społecznej. Swoje dziewczynki uczyła też czytać, inaczej jako analfabetki zostałyby przez swoje rodziny wydane za mąż w wieku zaledwie dziesięciu lat. Jej dziadek byłby z niej dumny.

Jednak już od samego początku jej pomysł zbudowania szkoły spotkał się ze wzdargą zatrudniającej ją organizacji. Wioska była oddalona od wszystkiego o wiele kilometrów. Most na rzece, który prowadził do głównej drogi wiodącej do Georgetown, był tak zniszczony, że całe zaopatrzenie musiało być dostarczane łodzią. Cait podsłuchiwała kiedyś, jak jej poprzedniczka opisała to miejsce jako piekło nękanie plagą komarów; mówiła po francusku, sądząc, że Cait nie zrozumie.

Pieniądze, które zarobiła podczas pobytu w Paryżu z Arrolami, pokryły koszty jej podróży, ale większość środków na budowę szkoły pochodziła

z darowizn ze Szkocji. Jej siostra, Anne, niezmordowanie gromadziła fundusze, za co Cait była jej nieskończenie wdzięczna. William Arrol i świeżo poślubiony mąż Alice również okazali się niezwykle hojni. Teraz szkoła była już ukończona – jedyny murowany budynek w wiosce glinianych chat, posiadający jedną klasę i niewielką bibliotekę. Do szkoły zapisanych było dwudziestu uczniów, ale każdego tygodnia pojawiali się nowi; niektórzy przychodzili boso z odległych wiosek.

Cait pokochała Afrykę. Pokochała nie tylko ludzi, przyrodę i bezkresne niebo, ale i poczucie, że ma moc sprawczą, a to, co robi, naprawdę przynosi owoce. Dni spędzone w Paryżu, a wcześniej w Szkocji, wydawały się częścią jakiegoś innego, trudniejszego życia.

Na brzegu rzeki, w cieniu akacji, wpatrując się w rozchwiany drewniany most, stał biały mężczyzna. „Co teraz?” – pomyślała Caitriona. Diecezja zasugerowała ostatecznie, by zamknąć most dla ruchu pieszego, tym samym skazując rolników z wioski na wożenie swoich towarów na rynek łodzią.

– W czym mogłabym pomóc? – zapytała.

Mężczyzna odwrócił się. Cait odsunęła włosy z oczu. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobyła z nich głosu.

– Byłem w Senegalu, na wybrzeżu – powiedział Emil Nouguié. – Składamy ofertę na budowę nowego mostu pomiędzy Saint-Louis a Sor.

Rozejrzała się wokół. Wydawało się, że jest sam.

– Jak mnie znalazłeś?

– To nie było trudne. – Wzruszył ramionami. – Ludzie cię znają.

Wpatrywał się w nią, chłonał wzrokiem jej twarz rozjaśnioną porannym słońcem. Wyglądał na nieco starszego, skronie lekko mu posiwiały, ale było mu z tym do twarzy. Odwzajemniła spojrzenie. Nie będzie się wstydzić swojej prostej sukienki i potarganych włosów, nieokrytych niczym dłoni i piegowatej skóry. „Oto, jak teraz wyglądam – powiedziała sobie – oto, kim teraz jestem”.

– Jak się miewasz? – zapytał.

– Bardzo dobrze, dziękuję, że pytasz. A ty?

Zdjął kapelusz.

– Wiesz o tym, że zrezygnowałem z pracy w firmie Gustawa Eiffela? Założyłem własną.

– Nie, nie wiedziałam.

– Bo i skąd miałabyś wiedzieć? – Wyglądał, jakby zbierał się w sobie do czegoś trudnego. Zwilżył wargi, wziął głęboki oddech, zmiął kapelusz w dłoniach.

– Pojechałem do Edynburga na otwarcie mostu. Sądziłem, że może cię tam spotkam.

Cait pokręciła głową. Cóż mogła mu powiedzieć? Czy miała mu opisać, jak przyjechała do Glasgow i zanim jeszcze drzwi zamknęły się za nią na dobre,

zdecydowała się znów wyjechać? Ilu ludzi ostrzegało ją przed Afryką? A jednak tu przyjechała.

– Ja... – zaczęła.

Emil przekrzywił głowę, czekając na więcej. Powie mu to któregoś dnia, któregoś dnia opowie mu całą tę historię, bo teraz była to już tylko historia. Ale nie dziś.

– Dobrze wyglądasz – powiedziała zamiast tego.

Emil splonął się, a ją ogarnął przyływ czułości do niego.

– Miło z twojej strony, że to mówisz.

Jedna z młodszych uczennic Cait podbiegła do niej i otoczyła ją w pasie ramionami. Cait instynktownie pogłaskała ją po włosach. Emil spojrzął, po czym wziął głęboki wdech. Nagle jakby do niego dotarło: szkoła, wioska i jej miejsce w niej. Spuścił oczy. O czym myślał? Że nigdy nie powinien był tu przyjeżdżać? Nie, na pewno nie to. Cait posłała dziewczynkę po wodę dla gościa.

Emil odsunął włosy z czoła. Ona przesunęła palcem wzdłuż wycięcia sukienki. Żadne z nich się nie poruszyło. Wróciła dziewczynka z wodą. Wypił całą szklankę. Zadzźwięczał szkolny dzwonek. Była ósma rano.

– Życie toczy się dalej. Naturalnie.

Lekko skinęła głową na potwierdzenie.

– No cóż – odezwał się, oglądając się przez ramię na drogę, którą przyszedł.

– Chyba muszę ruszać.

Cait oddychała zbyt szybko, a ręce tak jej się trzęsły, że wcisnęła je obie do kieszeni. Nie chciała, by odszedł, jeszcze nie. Nagle poczuła, jak jej go brakuje, jaką zostawił po sobie pustkę. Język jej skołowaciał, w ustach zaschło i czuła się tak, jakby miała watę zamiast mózgu.

Nasadził z powrotem kapelusz na głowę.

– Potrzebujemy nowego mostu – wyrzuciła nagle.

Odwrócił się i spojrzął na nią.

– Ten stary najwyraźniej długo już nie wytrzyma.

Opuścił spięte ramiona.

– Wiesz – powiedział – mnie też to przeszło przez głowę. Mógłbym ci zaprojektować nowy.

Co ona sobie wyobrażała? Z trudem zdobyła środki na prowadzenie szkoły, a co tu dopiero mówić o budowie nowego mostu.

– Obawiam się, że nie mamy pieniędzy, by za niego zapłacić – przyznała.

Zapatrzył się na horyzont, na jasną zieleń buszu i napór nieogarnionego błękitnego nieba.

– Pomyślmy. Trochę zarobiłem dzięki wieży.

– Ale przecież potrzebujesz tych pieniędzy do realizacji innych projektów.

– Niekoniecznie – odparł. – Najpierw muszę przeprowadzić badania.

- A długo to potrwa?
- Trudno powiedzieć.

Stali ramię przy ramieniu na środku starego drewnianego mostu, a brązowe wody rzeki pieniały się pod nimi, zmierzając do rzeki Gambia, a dalej ku ujściu do rozległego północnego Atlantyku.

- Sądziłam, że już nigdy cię nie zobaczę – wyszeptała.
- Ja też tak sądziłem. A jednak jestem.

Wszystko znów gwałtownie się na nich zważyło: potargana pościel z białego płótna, dzwon bijący w kościele Saint-Séverin, ich oddechy w zimnym porannym powietrzu, ciepło jego ciała tuż obok jej ciała. Paryż.

– Myślę, że wystarczy tutaj most wspornikowy – powiedział Emil po dłuższej chwili. – Jest prosty, ale mocny. Stalowe belki zostaną wysunięte poziomo z obu stron rzeki tak, by spotkały się pośrodku. Nie będą się na sobie opierać, zostaną tylko skręcone razem.

- Tak – powiedziała. – Brzmi świetnie.

W podmuchach suchego, gorącego, niosącego czerwony piasek wiatru na drzewie baobabu rozspiewał się astryld.

Przekład: Dorota Konowrocka-Sawa

Redakcja: Julia Celer-Szczepaniak

Korekta: Katarzyna Skwark, Grzegorz Krzymianowski

Cover design (c) Kathleen Lynch/Black Kat Design; © Mark Owen/Arcangel Images; © The Eiffel Tower (1887–89) photographed during the Universal Exhibition of 1889 in Paris, architect Gustave Eiffel (1832–1923) (b/w photo), Giraudon, Adolphe (1849–1929)/Paris, France/Bridgeman Images/PhotoPower

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4372-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, blue sans-serif font. The letter "v" is significantly larger and more prominent than the other letters.

